





216





Egz. archiwalny IBL

# NA TUŁACTWIE.



Egz. archiwalny IBL

# NA TUŁACTWIE.

OBRAZY WSPÓŁCZESNE

przez

J. I. Kraszewskiego.

Tom pierwszy.

INSTYTUT

ADAM MICKIEWICZ PAM

Biuletynika

Warszawa, ul. Miodowa Nr 72

Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1882.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 22 Апрѣля 1882 года.

---

Druk „WIEKU“ Nowy-Swiat Nr. 59.

1701

<http://rcin.org.pl>

... Lo scendere e il salir per l'altrui scale.

*Dante.*

— Czy można się widzieć z panem Naczelnikiem?

Pytanie to głosem śmiałym a razem uprzejmym, uchylając nieco kapelusza, zadał mężczyzna średnich lat, przyzwoicie ubrany, służącemu, stojącemu przed drewnianym dworkiem w miasteczku, z zapalonym papierosem w rękę. Lokaj, gdyż na takiego wyglądał mocno zarumieniony, tęgiego wzrostu chłopak, w letnim odzieniu — popatrzył z uwagą na pytającego, jakby chciał zbadać z kim ma do czynienia, odjął nieco papieros od ust i namyslał się nad odpowiedzią, gdy przybywający dobył z kieszonki tajemniczy jakiś przedmiot i zręcznie wsunął go w rękę, która się ku niemu wyciągnęła. W tej samej chwili fizyognomia i postawa fagasa przybrały nader uprzejmy wyraz — papieros poleciał na ziemię, a chłopak wbiegł żywo do dworku wołając:



— Zaraz zobaczę.

Gość stał tymczasem oczyma roztargnianemi rzucając po podwórku i niekiedy zadumany wlepiając je w ziemię. Znać na nim było jakieś opamiętanie myślami i coś ciężącego na głowie.

Średnich lat, słuszny, przystojny, wyprostowany, tak jakby to trzymanie się żołnierskie winien był dawniejszej służbie. Przybyły, mimo dość regularnych rysów, twarz miał niemiłego wyrazu. Wejrzenie było kose, zuchwałe, niespokojne, w ustach coś fałszywego pokrywał uśmiezek. Ubiór, ruchy — choć go klasyfikowały do lepszego towarzystwa — przy ściślejszym rozbiorze, dawały się dorozumieć, że może do niego niedawno był przypuszczony i nauczył się do wymagań zastosowywać.

Jedną nogą stojąc na schodku prowadzącym do dworku, drugą na ziemi, gość czekał na powrót chłopca, trochę się krzywiąc, gdy ten nadbiegł pospiesznie i wprowadził go do wnętrza.

W lewo była kancelarya pana Naczelnika, w której on zwykle obojętnych interesantów przyjmował, wprost to, co się zwało salonem. Dowodem szczególnej łaski było, że wchodzący wpuszczony został do niego. Salon kawalerski nie odznaczał się nadzwyczajną elegancją, był w nieładzie, pomimo to pełno w nim było rzeczy dowodzących zamożności gospodarza. Wprost drzwi wchodowych znajdowały się dwa okna na

ogródek i drzwi szklane, na prawo i lewo sofy zarzucone różnemi przedmiotami, — przy jednej z nich w prawo stał duży stół okryty serwetą, a na nim, oprócz czapki mundurowej i rękawiczek, widać było na srebrnej tacy butelkę wody sodowej, cukier i rum. Papier stęplowy leżał kupkami w rzędzie, na ziemi kilka kopert podartych. Parę numerów dziennika walały się na sofce. Na półkach w kątach widać było fotografie w różnych oprawach, porcelanowe i srebrne fraszki; najróżnorodniejsze wyroby sztuki i sztuczki — i bardzo cenne i najmniejszej nie mające wartości.

Na jednej z sof, bez surduta, w porozpinanem letniem ubraniu spoczywał mężczyzna tegoż wieku prawie, co przybyły, lub mało co starszy od niego, dobrze zbudowany, otyły, z twarzą zupełnie wygoloną, rysów mało znaczących, które się opisać nie dają. Zobaczywszy wchodzącego podniósł się nieco, witając go ruchem ręki.

Gość pospieszył uścisnąć tę dłoń, nisko się kłaniając, i zawołał z wielką troskliwością i nadskakiwaniem:

— Na miłość Boga, niechże pan Naczelnik się nie rusza, niech ja nie przerywam spoczynku.

— Wściekle bo gorąco, — nieco ochryplym głosem począł spoczywający na kanapie, który palił zwolna cygaro i gościowi tak się przyglądał, jak przed chwilą jego sługa.

— Byle po niem burzy i gradu nie było — mówił gość, siadając na przeciwko Naczelnika—jeszcześmy z pól nie pozbiali.

Od tej zwykłej meteorologicznej przedmowy rozpoczęła się rozmowa—lecz po wstępie—urwała się nagle. Naczelnik czekał, bo wiedział że ów przybyły nie fatygował by się pewnie nadaremnie i musiał mieć interes jakiś, gość namyślał się może od czego począć, i trudno mu było.

Grzeczny dosyć gospodarz, choć nie z wielką natarczywością, zaproponował wodę sodową, za którą podziękowano mu, chciał się zdobyć na cygaro,—ale przybyły oświadczył, że się do dobrych przyzwyczajając nie chce i prosił o pozwolenie zapalenia własnego.

Przeciwko temu nie było opozycji.

Zapalając cygaro, które w istocie płonąć nie chciało, gość począł niezmiernie się uskarżać na ciężkie czasy.

— Heł heł!—posłuchawszy go nieco, odpowiedział lekceważąco Naczelnik. — Skarżycie się wszyscy, a no, dla tego u was jednych i u żydów grosz jest.

Powiedział to z uśmiechem, przybyły ruszył ramionami.

— Chyba nie u mnie—rzekł.—Ja w dorobku..dzieci kilkoro.

— Przecież szwagra macie bogatego i żona wasza musiała wziąć posag dobry — przerwał

śmiejąc się i jedno oko przymrużając Naczelnik, jakby chciał mu dać poznać, że dobrze jest o wszystkim uwiadomiony.

Gość westchnął i ruszył ramionami, twarz jego sposepniała.

— Ja przed panem Naczelnikiem — rzekł — jak przed ojcem rodzonym nie chcę mieć żadnych tajemnic. Brat mojej żony... nie mówię na niego nic — zapewne — miał po sobie prawo, ale, Bogiem a prawdą, — zostałem przez niego pokrzywdzony.

Tu westchnął i spuścił oczy. Naczelnik palił cygaro i słuchał z wielką uwagą.

— Powinniśmy byli pójść do równego działu — mówił przybyły — był niby to dział, splecono mnie — ale...

Tu ręką zamachnął.

— Bóg z nim.

— Wasz szwagier pan Florek — odezwał się leżący na sofie — coś na mnie niełaskaw. Siedzi na wsi, a do miasteczka nawet przez grzeczność nie zajrzy.

Gość słuchając zrobił minę dziwną, jakby chciał mówić i wahał się.

— Ja wam też powiem po szczerości, bo wiem że jesteście uczciwym człowiekiem — kończył Naczelnik. — Wasz szwagier, pan Florek to ptaszek, na którego zbliiska patrzeć potrzeba.

Szwagier wcale temu nie zaprzeczył, poru-



szyl się na krzesle niecierpliwie, niby pohamował, niby namyślał i dodał cicho:

— Niech mnie Bóg uchowa, abym ja jemu chciał szkodzić— ale co prawda to prawda—głowa przewrócona.

— Ja to wiem — podchwycił leżący na kanapie.—U niego różni ludzie bywają, o różnych rzeczach rozprawiają.

Szwagier powtórnie poruszonym się okazał, otworzył usta i zamknął je.

— Mówcie przedemną śmiało — odezwał się Naczelnik—ja nie mam przeciwko niemu złej woli, owszem radbym tylko zapobiegł, aby sam sobie nie szkodził i nie gubił się. Wy panie Zygmuncie, powinniście być mi w tem pomocą.

Pan Zygmunt więcej ruchami niż słowy zdawał się dziękować za życzliwość tę.

— Panu Naczelnikowi wszyscyśmy winni wdzięczność—rzekł—i nikt lepiej tego nie czuje nademnie. Pana Floryana w istocie pilnować trzeba jak dziecko. Głowa przewrócona... marzyciel... z tych co to, jak nasz genialny powiedział: wiecznie się czegoś spodziewają.

Naczelnik chrząknął na znak, że zrozumiał.

— My ich znamy—odparł z półuśmiechem— a ja też na waszego Florka pilną zwracam uwagę.

W tem miejscu rozmowy, jakby rozrzewniony i przejęty pan Zygmunt przysunął się nagle



z krzesłem do gospodarza, pochylił nad nim i coś mu do ucha szeptać zaczął pospiesznie, towarzysząc sobie ruchami wyrazistemi.

Opowiadania tego, porzuciwszy cygaro słuchał Naczelnik z niezmiernie wytężoną uwagą, a na twarzy jego malowały się różne uczucia niem wywołane. Zmarszczył się w końcu i zadumał.

Pan Zygmunt jakby przykrego dopełnił obowiązku odsunął się z krzesłem, westchnął i zamilkł. Cygaro złe, zapalone z trudnością, zagasło mu w czasie opowiadania, jał się zapalać je na nowo.

Tymczasem leżący na kanapie Naczelnik patrzył nań zdala, i można było posądzić go, że z pewną pogardą—i wstrętem przyglądał się gościowi.

P. Zygmunt usiadł, — przebaknął coś mało znaczącego i zakończył tem, że bez żadnego interesu przybył mu tylko złożyć swe uszanowanie, a wiedząc jak na przednowku trudno teraz o owies dla koni, ośmiela się prosić, aby parę furek, które nadejdą z obrokiem dla koni — łaskawie przyjęto. Dodał, że i żona tam coś miała przysłać do spizarni.

Naczelnik podał mu rękę mrużąc podziękowanie.

Jakby miał jeszcze coś na sumieniu, p. Zygmunt przysunął się i począł usilnie prosić aby to

co poufnie się mówiło o szwagrze — żadnych za sobą następstw nie pociągnęło.

P. Naczelnik ręką o bojętnie zamachnął.

— Zmiłuj się — rzekł — już ciż nie sądzisz że-  
byśmy się my go obawiali. Sobie tylko piwa na-  
warzyć może.

I na tem wszystko się skończyło.

Dalej mowa była o koniach, bo urzędnik miał jednego brudno-kasztanowatego, do którego pary dobrać nie mógł. P. Zygmunt wskazał mu poci-  
chu miejsce, w którym zupełnie, kropla w kroplę  
drugi był podobny — z czego radość była wielka.

Na tym podobnych informacyach, które bar-  
dzo się przydać mogły, zesła blisko godzina,  
gość się pożegnał czule i uniżenie, i prosił Na-  
czelnika jak o łaskę, aby dla niego z sofy nie  
wstawał.

W czasie tych odwiedzin pan Zygmunt miał  
ciągle wyraz twarzy frasobliwy, smutny, a po-  
stawę pełną poszanowania i uniżoności — lecz za-  
ledwie wyszedł za podwórko, stał się innym czło-  
wiekiem.

Zdawało się że wyrosł, głowę dumniej pod-  
niósł, usta skrzywiły się wcale odmiennie; chód  
nawet był pewniejszy i zuchowatszy.

O tej godzinie dnia, chociaż u nas siesty od-  
bywać po obiedzie nie ma zwyczaju, upał wielki  
opustoszył był miasteczko, w którym się to dzia-  
ło. Niewielu wytrzymalszych a pilnemi sprawa-

mi zmuszonych do tego, przesuwało się po ulicach, w których panowało milczenie, zaledwie przerywane głosem kozy żydowskiej, zamkniętej gdzieś w szopie, lub turkotem wózka podskakującego na dylach, któremi uliczki wymoszczone były. Tu i owdzie nawet okiennice od skwaru słonecznego pozamykane zostały. U kościoła siedzący zwykle żebracy w cieniu murów usypiali.

Słońce paliło bez miłosierdzia, tak jak ono w tych krajach umie dopiekać, gdzie przez pół roku blade jego promienie ziemi do życia obudzić nie mogą.

P. Zygmunt wolnym krokiem, z wytrzymałością, która o silnym jego organizmie dobrze świadczyła—szedł z przedmieścia, na którym dworek się znajdował, do wnętrza miejsciny, na rodzaju wysepki dokoła wodą oblanej rozsiadłej. Rzeka która na wiosnę rozlewała się szeroko, teraz płynęła wązkim korytem, a na moczarach zielonością niedawno okrytych, pożółkłe szuwary i trzciny pusto i smutno zalegały.

Obraz tego jakby wymarłego miasteczka, okolicy obnażonej z drzew szeroko—pustki i ruin, gdyż wiele murów noszących na sobie ślady pożarów, stały ponad drogą — musiał oddziać na humor przechodnia, który butno ale zasepiony i zachmurzony wpadł w końcu do jednego z domów zajezdnych w małym rynku, jak całe miasto dylami drewnianemi wyłożonym.

Zajazd ten żydowski, choć do najporządniejszych należał, nie odznaczał się ani wytwornością, ani czystością nawet. Przez wjazdową sień szeroką, oświetloną tylko bramą, która do niej wpuszczała—wchodziło się do izb gościnnych.

Jednej z nich, położonej od ulicy, której okna były okiennicami zasłonięte—otworzył drzwi pan Zygmunt i wszedł do niej, starając się nie stuknąć i jak najmniej zrobić hałasu. W mroku nic z początku widać nie było, oprócz porozrzucanego podróżnego pakunku. Dwa łóżka z dosyć bezładną pościelą stały przy ścianach. Przy jednym z nich tłumok, z którego podobowano rzeczy, leżał otworem. P. Zygmunt się obejrzał uważnie, szukając kogoś oczyma, i w tejże chwili z westchnieniem, dźwignęła się żywo z łóżka pod ścianą kobieta.

Przybyły sen jej przerwał.

Przebudzona, która ziewając i poprawiając włosy na łóżku usiadła—była w tym wieku krytycznym, który już młodością nie jest, a starością się jeszcze nie nazywa.

Jestto ta pora życia dla wielu niewiast, która na humor ich i usposobienie wywiera wpływ najniekorzystniej odbijający się w ich obejściu z ludźmi.

Prędzej chuda niż zażywna, kobieta, z twarzą bladą, zapewne nigdy piękną nie była, ale żywe jeszcze bardzo oczy czarne mówiły, że mu-



siała mieć fizygnomię i wyrazu wiele. Zachowała też resztkę jakiegoś wdzięku i pewności siebie. Na pierwszy rzut oka widać było iż w domu ona musiała odgrywać rolę pani. Ubiór nieelegancki, trochę zaniedbany — miał cechę wiejską — lecz krój staranny i umiejętnie zastosowany do figury. Nie chciała ani się wydawać zbyt troskliwą, ani opuszczoną. Na widok zbliżającego się na palcach p. Zygmunta poprawiła suknię, przyglądziła włosy, oczyma poszukała zwierciadła i poziewając raz jeszcze wstała.

— Czym cię obudził, Natałko?—odezwał się przybyły.

— Drzemałam trochę, gorąco straszne — odparła kobieta tym głosem wprawnym, który miewają osoby lubiące mówić dużo. Spodziewam się, że wszystkie swoje pokończyłeś interesa w miasteczku, ja porobiłam już moje sprawunki i—moglibyśmy jechać do domu.

Spojrzała nań bacznie, p. Zygmunt stał zadumany.

— Jeszczebyśmy dziś mogli być, niezbyt późno w Żarach—dodała spoglądając na niego.

— Hm—odezwał się p. Zygmunt — a gdyby nam wypadło zamiast do Żarów, zawrócić do Lascocina do pana brata.

— Po co?—przerwała zaczynając się przechadzać po niewielkiej przestrzeni wolnej, która w środku izby pozostawała i poprawiając ciągle



ubranie. — Choć kocham Florka, ale nudzę się u niego, a do domu mi pilno.

P. Zygmunt pomyślał nieco.

— Jest bo tego potrzeba—odezwał się—jest obowiązek, mógłbym powiedzieć.

Tu głos zniżył.

— Nie przestraszaj się tylko. Byłem u Naczelnika (skrzywił się), potrzeba przestrzedz Florka, coś mają przeciwko niemu.

Pani Natalia bystro spojrzała mężowi w oczy.

— Ten człowiek się zgubi — odparła żywo, ruszając ramionami.

Zaczęli szeptać między sobą pocichu, a po chwili donośnym głosem, otworzywszy drzwi do sieni, krzyknął p. Zygmunt na służbę, aby konie zaprzęgała i wynosiła tłumoki.

Wbiegli zarazem pokojówka pani i służący pana, z pośpiechem biorąc się do pakowania pościeli, do składania rzeczy rozrzuconych. Sam pan wyszedł obejrzeć konie i powóz, otworzono okiennicę i pani naprędce zmieniła swe ubranie, niewiele rozmyślając nad niem, lecz umiejac prędko i zręcznie przystroić się po swej myśli.

I było jej z tem dosyć ładnie.

---

— Do Lasocina! — odezwał się siadając do powozu pan Zygmunt.

I konie zwolna po chwiejących się pomostach ruszyły, na długi most na rzece i groble wiodące ku rezydencyi brata pani Zygmuntowej.

Skwar dnia trochę się uśmierzył ku wieczorowi, a choć na zachodzie widać było opary gęste, które długiej pogody nie obiecywały, spodziewano się trzy mile, oddzielających miasteczko od Lasocina, zrobić nimby zmiana jaka nadeszła. Od dni kilku przepowiadano burzę i lękano się jej, żniwa się zbliżały.

Lasocin, jak samo jego nazwanie powiadało, położony był w leśnej, lecz żyznej okolicy. Dobra te składające się z Lasocina samego, Woli lasocińskiej i Brzeżanowie, dawna posiadłość rodziny starej Małdrzyków herbu Wąż, posiadał teraz pan Floryan Małdrzyk, brat pani Zygmuntowej, którą poznaliśmy — wziął on je dosyć odłużone po ojcu i dlatego przy dziele z siostrą, której się połowa wartości dóbr należała, posag jej nie był tak znaczny, jak po rozległości dóbr spodziewać się należało.

Pan Floryan z trudnościaby był wypłacić nawet mógł go, gdyby posag jego żony, dosyć znaczny, nie pomógł do oczyszczenia się z długów. On też sam, prawdziwe dziecko starego rodu, niebardzo był zdolny do wytrwałej pracy, wcale nie umiał być oszczędnym, i miał to jakieś zabobonne niemal przekonanie, że nigdy upaść i zrujnować się nie może, że Pan Bóg sam strze-

że i opiekuje się krwią poczciwą. Krew to w istocie poczciwa była, zdolna do ofiar bez namysłu, do bohaterskiego poświęcenia, nieopatrna, fantazyom swym potrzebująca dogadzać, ale i cudzym folgować gotowa. Temperament można było powiedzieć szlachecki, ze wszystkimi jego wadami i przymioty, gorący, wrażliwy, serdeczny.

Nie było też człowieka któryby, p. Floryana, vulgo, poczciwego nie kochał Florka, tak jak on kochał wszystkich i wierzył wszystkim. Przy sercu złotem wiele było lekkomyślności, a energii mało.

Z tą wiarą w Opatrzność, która mu o losy rodziny kazała być spokojnym, pan Floryan kroczył przez życie, nigdy sobie ściśle nie zdając z niego sprawy. Był trochę fatalistą, ale po chrześcijańsku, zdawał wszystko na Boga, i dla tego zdawało mu się, że sam mógł niebardzo się na kierowanie sprawami życia wysilać. Piękny idealnie męczyzna, p. Floryan miał tę polską fizyognomię dawną, jaką widzimy na portretach, słodczy i powagi razem pełną,—piękność opierającą się latom, świeżą cerę, zęby perłowe, rumieniec dziecinny, oczy szafirowe, włos jasny.

Owdowiały, mając już lat przeszło czterdzieści teraz, wyglądał z postawy i z twarzy młodzieńczo, nadto może młodo, wiedział o tem

i nie chciał zestarzeć. Po żonie, do której był bardzo przywiązany, co nie przeszkadzało bałamucić się potroszę—została mu jedynaczka córka, Monika. Zajmował się teraz jej wychowaniem, wraz ze starą kuzynką panią Lasocką —i, choć, bardzo kochliwy—mówił, że się już wcale żenić nie myślał.

Życie mu upływało bardzo swobodnie, na polowaniach, na wycieczkach zagranicę; trochę czytania, muzyki i w towarzystwie najrozmaitszem, bo żadnem nie gardził, a wszystkie lubił bardzo. Bez ludzi żyćby był nie mógł, sam pozostawszy z dzieckiem, które miało lat dwanaście—ze starą Lasocką—nudził się w domu. Naówczas każdy gość był mu dobrym.

Oprócz innych rozrywek, pan Floryan nie gardził też kartami. Nie grał dla pieniędzy, ani mu chodziło o wygraną—ale dla roztargnienia i rozrywki.

Wychowany starannie, wykształcony jak młodzi panicze bywać u nas zwykli, Małdezyk mówił doskonale po francuzku, rozumiał jako tako po niemiecku, trochę się przez ciekawość nauczył włoszczyzny. Czytał dużo, bez wyboru, i w głowie jego pozostało z różnorodnej lektury tyle szczątków rozproszonych, iż żaden przedmiot obcym mu nie był, mógł o każdym mówić łatwo, ale—nie szedł nigdy do głębi.



Jak pszczołka brał tylko miód z kielichów wiedzy i leciał dalej.

W towarzystwie nie było nad niego milszego człowieka, kobiety przepadały za nim. Lecz, rzecz szczególna, gdy przy pierwszym spotkaniu obudzał zwykle najgorętsze sympaty, zawracał głowy, poruszał serca—wszystkie te pasye, które tak łatwo wzniecał—nie trwały.

Nie było może mniej do siebie podobnego rođenjeństwa nad pannę (niegdyś) Natalię i jej brata. Jedno z nich wzięło rysy i charakter ojca, drugie matki. Siostra nie była piękną, ale energiczną, żywą i więcej chcącą panować niż się przypodobać. Mężczyźni długo się jej lękali i — choć miała starających się wielu, zamaż jej wyjść było trudno, pomimo że przywiązany do niej brat usilnie jej do wydania się dopomagał.

Dwadzieścia kilka lat mając panna Natalia już była tak upokorzoną tem i zniecierpliwioną, że sobie męża dotąd nie znalazła, iż w końcu wybór zrobiła, który ani bratu ani dalszej rodzinie nie przypadł do smaku.

Pan Zygmunt Kosucki, dosyć postawny i przystojny mężczyzna, dawniej podobno wojskowy, rodziny zupełnie nieznaney w okolicy, opowiadający się z Mazowsza, a nie mający nic oprócz dość przyzwoitej powierzchowności — poznał pannę Natalię na jakimś balu w okolicy. Znajomość poufalsza w ciągu trzech dni trwania



zabaw, tak się łatwo zawiązała i takie zrobiła postępy, że pan Kosucki wkrótce potem jawnie jako pretendent do ręki panny zaczął bywać w Lasocinie.

Pomimo usilnego starania o przypodobanie się p. Floryanowi, mimo że on niezmiernie łatwo dawał się wziąć za serce, szczególnym jakimś instynktem Kosucki wstręt w nim obudził. Dobry jednak i łagodny pan Floryan nie okazał mu go, starał przezwyciężyć, był grzecznym, i gdy siostra z niewieścim uporem oświadczyła, że za niego wyjść musi—brat się jej nie sprzeciwiał.

Małżeństwo to zdziwiło wszystkich, bo panna Natalia daleko świetniejszego spodziewać się miała prawo. Zaczęto się dowiadywać o tego zagadkowego człowieka, który się tu zjawił nagle, niewiedzieć z kąd, i nie miał ani rodziny, z którejby się wykazał, ani majątku, prócz małej wysłużonej pensyjki.

Ale panna Natalia, gdy chciała co wmówić w ludzi, umiała wszystko w jaknajpiękniejszym świetle przedstawić. Mówiła o jego charakterze, o nadzwyczajnych zdolnościach, o takcie—a nawet genealogię fantastyczną postarała mu się wyrobić.

Zyskała dlań przyjaciół udzieliła wskazówek, z pomocą których zjednał sobie obrońców i protektorów. Rad nie rad musiał brat, nad którym też miała przewagę, opartą na słabości jego—

zgodzić się na Kosuckiego i okazywać dla niego chętnym i życzliwym.

Panna Natalia potrafiła też posag swój podnieść jak najwyżej, wyprawę zagarnąć wspañiałą, z zasobnego domu szlacheckiego wynieść, co tylko cennego było a jej na nowe gospodarstwo przydać się mogło.

Przed ślubem jeszcze wziął pan Zygmunt Kosucki dzierżawą Żary, które za posagową sumę potem nabyto.

Z bratem wszystkie interesa oddawna były skończone, wypłaty pan Floryan dopełnił w terminie,—nie rachował się ściśle z siostrą — pomimo to jednak od początku nie była kontenta. Ona i mąż szeptali, że zostali pokrzywdzonemi. Na oko mogło się to nawet zdawać prawdopodobnem, bo Lasocin z Wolą i Brzeżanowicami, stanowił klucz pokazny, rozległość miał wielką, gdy nabyte Żary, ani trzeciej części dóbr tych nie były warte. Ale na Lasocinie leżał posag nieboszczki żony pana Floryana.

Brat nie usuwał się wcale od stosunków ze szwagrem był dla niego zawsze uprzejmym, lecz sponfalić się, sprzyjać z nim nie mógł. Coś go od tego człowieka odpychało.

Kosucki sztywny, obrachowany, przebiegły, podejrzliwy, czuł to, że serca p. Floryana pozyskać sobie nie mógł—i miał doń za to urazę. Ła-

twy dla innych, p. Floryan z nim był chłodnym i rzadko się wynurzającym.

Siostra, która do męża swojego wyboru była przywiązaną, rządziła nim pozornie—i chciała, aby świat cały wybór jej pochwalał, a p. Zygmunta wynosił—gniewała się też na brata, iż go nie uniał ocenić. Ochłódła nawet dla niego z tego powodu; czyniła mu wymówki.

P. Floryan rozmowy o tem jak najstaranniej unikał. Pomiędzy Żarami a Lasocinem nie było zbyt ścisłych stosunków, lecz nie stroniono od siebie wzajemnie.

Pomiędzy innemi zarzutami, jakie bratu czyniła p. Kosucka, był i ten, że jej wychowania Moni (Moniki) córki swej powierzyć nie chciał.

Monia była słabowitą i delikatną. Ojciec wolał ją mieć przy sobie ze starą Lasocką.

Pilnie śledzono, co się działo w Lasocinie, przez tę jakąś ciekawość zazdrosną, która z niechęci płynęła—i może z jakiejś rachuby na słabowitość dziecięcia, któremu życia nie prorokowano. Pani Kosucka więc troszczyła się o to mocno, aby brat nie stracił majątku, na którą już potroszę rachowała.

Lasocin był starą rezydencją, którą przed więcej niż stu laty Małdrzykowie wzięli po kobietach, należał on wprzód do rodzin możnych i widać to na nim było.

W XVIII wieku, gdy u nas budownictwo

ozdobniejsze, równie jak ogrody, weszło w modę, w Lasocinie też jakiś dygnitarz koronny stare mury poprzerabiał w smaku czasu. Dziś wyglądało to trochę dziwacznie, lecz dawniejsze i nowe budowy z muru, wysokie, okazałe, otoczone starymi drzewy, dawały rezydentowi pozór bardzo pański, szczególnie z daleka. Alea lipowa wiodła wprost do tak zwanego pałacu, którego część terazniejszy właściciel przyozdobił żeniąc się, w nowszy sposób.

Lubił pan Floryan wygody, przyjmował gości, dom był zawsze zaopatrzony obficie, służba liczna, ładu niewiele ale dostatek wielki.

Wszystko to budziło w siostrze zazdrość—wzdychała do tego państwa, które się jej, we własnym przekonaniu, należało. Dojeżdżając do Lasocina, poznając te miejsca w których spędziła długie lata, zamiast radości uczyła ucisk jakiś w sercu, posmutniała.

P. Zygmunt zakąsywał wargi i dumał.

W dziedzińcu wielkim przed domem było puśto; i dopiero gdy powóz się zatoczył przed ganek, z bliskich oficyn wybiegła odpoczywająca w nich służba. Oznajmiono przybyłym że p. Floryan, korzystając z chłodu wieczornego wyszedł na przechadzkę z panem Jordanem, ale miał na herbatę powrócić.

Pani Kosucka, która się tu czuła jak w domu a obcą, ze szczególnem uczuciem weszła do wiel-



kiego salonu. Przypomniała sobie spędzone lata dziecinne.

Nie dało jej jednak długo o nich rozmyślać, bo natychmiast przybiegła Monia z panią Lasocką, aby ciocię powitać.

Monia była dosyć ładną dziewczką, ale bladą i wątłą. Duże, ciemne oczy nad wiek roztropne,—oczy te sieroce dzieci, co matki nie znały, wyraz nadawały przedwczesnej dojrzałości, młodziuchnej jej twarzyczce. Chuda, blada, miała tylko przepyszne włosy popielate, które o jakiejś sile organizmu świadczyły.

Pani Lasocka, osoba w latach, siwa, spokojna, cicha, łagodna, nieokazująca zbyt czułości, smutna—trochę chłodna, przyjęła gości bez wielkiej poufałości, grzecznie, lecz jakby obcymi byli.

Pani Natalia też nie okazała dla siostrzenicy wielkiej czułości, chociaż przypatrywała się jej i badała z zajęciem. Kosucki chodził rozglądając się po wielkim salonie, który choć niezbyt świeżo, wyglądał poważnie i okazaście. Myślał że u nich w Żarach, gdzie wszystko nowe było, i niezbyt wykwintne, daleko mniej pańsko wydawało się mieszkanie. Toż samo porównanie robiła i pani Kosucka.

Zaczynano w sali jadalnej obok krzątać się około herbaty, gdy pośpiesznym krokiem, z wesołą swą, jasną a piękną i zawsze młodą twarzą,



wpadł po wiejsku ubrany, ze słomianym kapeluszem w rękę p. Floryan, witając siostrę radośnie i serdecznie, a nawet Kosuckiego z uprzejmością wielką. Monia przyszła się u niego dopomnieć pocałunku.

Razem z gospodarzem, który nie cierpiał kwasów, dobry humor wszedł do salonu.

Taż za p. Floryanem kroczył jego nieodstępny—niewiedzieć jak go nazwać było—przyjaciel, towarzysz rezydent— trudno to określić, p. Jordan Klesz.

Byli to równolatki, ze szkolnej ławy wyniesiona drużba, dziś Orestes i Pylades. Po szkołach stracili się na czas jakiś z oczów, Jordan przebywał różne koleje i dostał się w końcu chory, jak mówiono do nieuleczenia, zubożały—do szpitala.

Przypadkiem jakimś dowiedział się o tem Floryan, natychmiast pojechał po niego, zabrał do domu, leczył i miał tę pociechę, że Jordan zupełnie przyszedł do zdrowia.

Miał potem sobie szukać jakiegoś zajęcia, obrać powołanie, dostać miejsce, lecz zwlekało się to od dnia do dnia, w końcu p. Floryanowi, niemogącemu się obejść bez towarzystwa stał się potrzebnym,—i zamieszkał sobie w Lasocinie.

Co on tu robił, opowiedzieć trudno. Wszystko i nic. Najgłówniejszem zajęciem jego było zabawianie przyjaciela, towarzyszenie mu, pomaganie

do przyjęcia gości, pieszczenie z nim razem Moni.

Jordan niepiękny, mały, czarny, z twarzą, która miała wyraz codzien inny, z włosiem najezonym na głowie szerokiej i kulistej—z oczkami małemi, kryjącemi się pod brwią nasypioną—niepokaznej powierzchowności był w swym rodzaju niepospolitym człowiekiem. W szkołach i uniwersytecie był to pierwszy uczeń, który wszystkie zabierał medale. Pamięć miał niesłychaną, dyalektykę zręczną, wymowę czasem przedziwną, nauki ogrom, czytanie polihistoryczne, zdumiewające—i byłby niezawodnie z temi darami, przy bystrości pojęcia, która go odznaczała, doszedł daleko, gdyby przy końcu studyów—nagle go coś nie zwichnęło. Stracił wiarę we wszystko, czego się uczył. Śmiejąc się powiadał, że nie jest pewnym, nawet czy dwa a dwa są cztery.

Sceptyk — stał się obojętnym na wszystko i drwił z całego świata.

Wygłoszenie przy nim jakiegokolwiek teoryi, zasady, pewnika, wywierało ten skutek, że natychmiast usiłował zaprzeczyć temu. Ulu-bieńcem jego był Montaigne — kochał się we wszystkich krytykach, a niemniej oni też jego nieubłaganym sarkazmem byli ścigani.

Takim był ów p. Jordan, w niektórych momentach życia, gdy coś go z apatii wywiodło, w innych ograniczał się uśmiechem i łagodnem

szyderstwem. Powiadał że nie było na świecie rzeczy, o którąby warto się spierać było.

Obok tego usposobienia sceptycznego — dziwnym kontrastem, serce miał najlepsze.

Za Floryana dałby się być posiekać na kawałki, a Moni służył za niankę, za popychadło, za pieska. Robiła z nim co chciała.

Łatwo się domyśleć że pani Natalia Kosucka, nie cierpiała Jordana, za to właśnie iż brat jej go kochał, a może i za żarciki, jakich sobie delikatnie pozwalał niegdys z niej i Kosuckiego.

Spojrzenie samo przenikliwe, bystre, p. Jordana mieszało ich oboje.

Rola jaką w domu tym odegrywał, bardzo skromna i podrzędna — nie zmuszała Kosuckich do zbliżania się ku niemu.

Byli z nim zdaleka, a Jordan zbliżać się nie miał ochoty. Zwycie gdy oni przyjeżdżali w odwiedziny — on szedł sobie czytać Montaign'a.

---

Wieczór zszedł na bardzo urozmaiconej rozmowie, w ganku od ogrodu. P. Floryan był wesół, Kosucki uderzająco ponury i zamysłony.

Niepodobna było nie wpaść na myśl, że miał ciężkiego coś na sercu. Natalia dostrajająca się do męża, siedziała także posępna. Floryan na próżno usiłował ich rozbawić, w końcu przypisał

to znużeniu, i odprowadził ich do przeznaczonych dla nich pokojów. Przez grzeczność dla siostry wybrał jej jeden z tych, które zajmowała będąc panną.

Mieli się pożegnać i rozejść, gdy p. Zygmunt ujął szwagra pod rękę i szepnąwszy mu coś do ucha, poszedł razem z nim do jego sypialni.

— Niezmiernie mi przykro, mój kochany bracie—odezwał się siadając u niego, gdy zostali sami — że ci twój błogi spokój przerwać muszę. Lecz nie miałbym sam pokoju w sumieniu, gdybym obowiązku nie spełnił.

Tak uroczystym wstępem uderzony Florek, który właśnie miał zapalić cygaro i z twarzą promieniejącą zabierał się baraszkować—stanął jak wryty, a po chwili zbliżył się do szwagra.

— Cóż to być może?—szepnął.

— Sprawa największej w świecie wagi — niemiła, groźna — dodał Kosucki — lecz... *póki* czas, należy radzić.

— Przestraszasz mnie—rzekł Floryan.

— No powiem ci szczerze i otwarcie—wybuchnął Kosucki — radbym żebyś się zląkł i nie wziął lekko tego co powiem, bo inaczej... największe nieszczęście spotkać cię może.

Poblądł p. Floryan.

— Mów, proszę cię—a jasno.

Zygmunt potarł włosy, westchnął.

— To czego się zawsze dla ciebie lękałem,





com przeczuwał — mówił Zygmunt — ziściło się. Mam najpewniejszą wiadomość, że z powodu osób które w tym domu bywają, rozmów nieoglednych jakie się tu prowadzą — no, wprost całego twego postępowania nieopatrz nego, jesteś pilnie podejrzany... gorzej niż to... zdaje mi się, że lada chwila pociągnionym być możesz.

Tu znizywszy głos, szybko sypać zaczął do ucha panu Floryanowi — wiadomości, które w znacznej części były improwizowane.

Pod nawałem tych groźb, p. Floryan spoważniał, zmieszał się, ale zbytnej nie okazał trwogi.

— Proszę cię — odparł — gdyby nawet tak było jak mówisz, nie czuje się winnym; łatwo mi się będzie wytłumaczyć.

— Tak, gdyby cię do tłumaczenia się przypuszczono — odpowiedział Kosucki. — Jestem bardzo dobrze z Naczelnikiem, prośbą, datkiem, zakłeciami, wymogłem na nim tylko pewną zwłokę. Na łeb na szyję biegłem z tem do ciebie, dopóki czas, potrzeba się ratować. Na miły Bóg! dla siebie, dla dziecięcia, dla nas — zaklinam cię.

— Ale w jakiż sposób? jak — zawołał Floryan ręce załamując — ja tu nie widzę wyjścia.

— Wiesz co — sądz o mnie jak chcesz, — rzekł Zygmunt — wiem że nigdy nie miałeś do mnie serca, ale ja... kocham cię, wdzięczen jestem i gotów jestem zrobić, co tylko zdołam.



Floryan przyjęty tem oświadczeniem, pospieszył go uściskać.

— Łamałem sobie głowę nad tem, jak ciebie i majątek dla dziecka ocalić — począł gorąco Zygmunt. — Słuchaj mnie, jest jedno wyjście. U nas nic trwałego nie ma, gorące te czasy przeminają, — trzeba im zejść z oczów.

Małdrzyk chciał mu przerwać, Kosucki nie dał mówić i ciągnął dalej:

— Słuchaj — powinienes wyjechać zagranicę... to jeden jedyny sposób uniknięcia tego czego ty z twem zdrowiem i rozpieszczeniem nie wytrzymasz. Nie przerywaj mi, aż ci cały plan wyłożę. Ażeby majątku nie tknięto, musisz pozornie się go pozbyć, kondyktownym sposobem, jak się dawniej wyrażano. Komukolwiek bądź go sprzedać, siostrze, komu chcesz. Już ci najpodlejszy z ludzi, mając go sobie powierzonym, przywłaszczyć nie może. Monię możesz oddać z Lasocką do nas.

— Ale, na miłego Boga — przerwał Floryan — jakże chcesz abym się oddalił. Pozwolenia na to nie dostanę, kiedy już jestem poświadczony, a przekradać się — nie chcę. Uciekać jak winowajca, jak złodziej, gdy się czuję niewinnym.

Zzymał się p. Zygmunt.

— Któż o tem mówi — zawołał żywo, zbliżając się do szwagra. Są na wszystko sposoby, ja na siebie biorę wyrobienie ci paszportu... ante-

datowanego. Nikt za to odpowiedzialnym nie będzie.

Małdrzyk stał z oczyma wlepionemi w ziemię, przybity, zdrętwiały. Jak piorun z jasnego nieba spadało to na niego, nie mógł jeszcze zebrać myśli.

Kosucki, który nie chciał mu dać zbyt rozmyślać, począł dalej rozwijać swój temat, wskazywać konieczność tego kroku a w perspektywie tylko parę lat przebytych spokojnie zagranicą.

Nie mógł poznać po szwagrze jakie to na nim robiło wrażenie. Floryan rzucił się na kanapkę, zapalił cygaro, głęboko się zadumał.

Wybiła północ, gdy Zygmunt naostatek, zniękaniem szwagra i jego milczeniem zmuszonym się widział sypialny pokój opuścić.

Ale na odchodnym zbliżył się jeszcze do Floryana.

— Zrobisz naturalnie co zechcesz, ale cię uprzedzam—rzekł—że należy działać szybko, ani dnia ani godziny nie ma do stracenia. Umyślnie z tem przybyłem, ofiaruję ci moje braterskie usługi, jestem w sumieniu czysty.

Uściskali się raz jeszcze w progu. Kosucki wyszedł.

Chwilę dłużej Floryan stał nieporuszony w tem miejscu, w którym go szwagier zostawił. Spojrzał na zegar—było po północy. Otworzył drzwi sypialni i skierował się ku oficynie.

Stał w niej Jordan. W oknie jego było światło jeszcze. Przyjaciel gospodarza, pomimo największych nalegań, nie chciał nigdy innego zająć mieszkania nad nędzną izdebkę w oficynie. Tłómaczył się z tego bardzo naiwnie.

— Mój kochany Florku—jeżeli chcesz żeby mi było dobrze, nie pakuj mnie do pałacu i nie dawaj paradnych mebli. Jestem z natury i nalogu brudny, a gdy potrzebuję pilnować się abym nie plunął gdzie nietrzeba, nie zwałął czegoś—jestem nieszczęśliwy. Potrzebuję barłogu aby się w nim wylegać bez troski. Cóż chcesz? natura.

Floryan zostawił go w oficynie.

W istocie izba Jordana była w straszliwym bezładzie. Tylko dawne mieszkania akademików zrównać się z nią mogły. Książki i szkarpetki, tytuń i świece, suknie i talerze leżały razem, jedne na drugich. Jordan palił nieustannie cygara, popiół ich, niedogarki, szczątki, okrywały wszystko.

W chwili gdy Florek drzwi otworzył, przyjaciel leżał na łóżku, w koszuli, z nogami do góry podniesionymi, z cygarem w ustach. Na stołku przy nim paliła się kopcąc mała lampeczka. Podarta książka leżała na łóżku. Z oczyma w sufit wlepionymi dumał.

Zwrócił oczy ku drzwiom i wykrzyknął:

— Florek— a toż co?

Dość mu było podniosłszy się spojrzeć na przyjaciela, aby z twarzy jego, od tyłu lat tak dobrze mu znanej — wyczytać że nie dla zabawy przychodził.

Małdrzyk przysunął sobie stołek do łóżka, rzeczy jakieś z niego zrzuciwszy—siadł i milczał czas jakiś.

Potem, w bardzo prostych wyrazach, opowiedział pocichu co mu przyniósł Kosucki.

Jordan podniosłszy się zpościeli, objąwszy kolana rękami, słuchał go z uwagą, nie przerywając. Małdrzyk chcący coś z twarzy jego wyczytać, nic z niej wyrozumieć nie mógł. Marszczyła się, drgała, krzywiła, zasepiała, uśmiechała nawet szydersko.

Długo nie przemówił nic Klesz—dumał.

— Cóż ty na to?—dokończył Floryan—przychodzę do ciebie po radę. Mów.

— Ba!—zawołał Jordan—gdybym wiedział co mówić!! W tem co ci przyniósł Kosucki nie ma nic do prawdy niepodobnego, owszem jest, sądzę albo cała lub pół prawdy. Rada jego nawet złą mi się nie wydaje, a jednakże — szczerze powiedziawszy—nie wzbudza we mnie zaufania i—boję się go.

— Mój Jordanie—przerwał Małdrzyk—ja go nie lubię także, lecz lękam się abyśmy oba nie byli niesprawiedliwi i uprzedzeni. Niemiły jest, niesympatyczny, lecz o żadną nieuczciwość nie



mam prawa go posadzać. Siostra moja jest—dosyć powiedzieć, siostrą.

— Tak—a on szwagrem!—dodał Jordan i począł oburącz rwać włosy na głowie, które się straszliwie najeżyły.—Rób jak cię natchnie twój duch opiekuńczy—mój Florku — nie pytaj mnie, bo nie chcę mieć na sumieniu twojego postanowienia. Jedno ci tylko powiadam—że bezemnie zagranicę nie pojedziesz—gdybym miał o żebraczym chlebie wlec się za tobą—nie opuszczę cię. Jesteś zanadto dobry i nieopatrzny, wierzysz wszystkim. Ja z tobą, choćby lokajem.

Florek rzucił mu się na szyję.

— Co począć! co począć! — zawołał wrywając się i biegając po izdebce.—Monia! moja Monia! jak ja ją porzucę, jak ja bez niej, jak ona bezemnie wyżyje.

Jordan syknął tylko.

— Gdyby dłużej tam przyszło pozostać—odezwał się — nie rozumiem dla czego byś córki nie miał wziąć do siebie. Wychowanie zagranicą daleko łatwiejsze niż tutaj. Skorzystałaby na tem. Wątpię, powieźlibyśmy ją do morza, w klimat cieplejszy.

Myśl ta silnie zdawała się przemawiać do przekonania p. Floryana.

— Masz słuszność—rzekł—toby się doskonale złożyło.

— Tak mi się zdaje—począł Jordan—choć



znowu powtarzam, nie słuchaj mnie, a rób po swej myśli. Przecież dochody z majątku przysyłać ci będą.

Floryan myślał chodząc milezący po pokoju. Z pierwszej trwogi ochłonawszy, był teraz pod panowaniem fantazyi, która mu przedstawiała ponętne obrazy, pięknych krajów, morskich wybrzeży,—życia wyswobodzonego z trosk powszednich, podróży z Monią, która się miała napać wrazeniem piękności nowych, rozwijać pod wpływem tej cywilizacyi tworzącej cuda.

Niemal z radością chwycił już tę myśl dobrowolnego wygnania i wyswobodzenia od trosk wszelkich.

Druga już była i na dzień się zbierało, gdy Małdrzyk wyszedł z oficyny, wrócił do swego pokoju i położył się rozgorączkowany na spoczynek, nie mogąc usnąć aż do rana.

Gorzej było z Jordanem, który natychmiast po wyjściu przyjaciela, oddział się i, że mu duszno było w izdebce, pobiegł do ogrodu, rozmyślać. Tu leżącego na ławce i uspionego ze znużenia słońce zastało.

Owoce dumania a może walki z samym sobą, którą Jordan toczył zwykle, gdy mu do niej przeciwnika brakowało, było teraz—przekonanie całkiem wczorajszemu przeciwne.

Floryan spał jeszcze snem ciężkim, gdy Klesz

wszedł pocichu do sypialni i usiadł przy łóżku jego.

Małdrzyk otworzył oczy, nie mogąc zrazu oprzytomnieć.

— Słuchajno—odezwał się Jordan, biorąc go za rękę.—Całą noc rozmyślałem nad tem o czem mówiliśmy wczoraj. Zdaje mi się, że i ty i ja źleśmy radzili.

Wiesz co—kraj opuścić jest łatwo — powrócić do niego trudno. Wyrwany z pośrodka tego społeczeństwa, którego jest częstką składową, człowiek z konieczności dzieczeje. Wcielić się musi w nową całość, a to nieinaczej jak wyrzekając się swojej. Rzecz okropna, a dla nas, niemłodych, to operacya, którą się często życiem przyplaca. Serce, obowiązki, nałóg, wszystko nas przywiązuje do tej ziemi.

Cierpieć—musi człowiek wszędzie, lepiej naj-sroższą katuszę znieść u siebie, niż błąkać się wyrzuczonemu, oderwanemu po obczyźnie.

Nie—nie—uchodzić nie można, nie godzi się — tułactwo to śmierć.

Patetyczny ten wykrzyknik, ledwie przebudzonego Floryana zdumiał nadzwyczajnie.

— Przypomnij co mówiłeś wczoraj! — zawołał.

— Głupstwo mówiłem, bez zastanowienia się głębszego—odparł spokojnie Jordan.

Argumenta, które teraz głosił, do serca i

przekonania panu Floryanowi nie przypadają Milezał, Klesz dowodził z zapalem i nie ustępował, nalegał.

— Nie pojedziesz więc zemną—rzekł w końcu Floryan — jeżeli mnie okoliczności zmuszą, na rok, na dwa się oddalić. To się samo z siebie rozumie. Ja też nie myślę wcale o wygnaniu się na wieki.

— To zupełnie inna kwestya — odpowiedział chłodno Jordan. — Jeżeli ty zrobisz głupstwo—za nic w świecie nie dam ci go popełnić samemu. Idę z tobą, tembardziej że czuję się ci potrzebnym.

Poczęli się sprzeczać z sobą.

— Mój kochany—zawołał w końcu Floryan—ty przypuszczasz najgorsze. Ja się oddalam, ale z najmocniejszym przekonaniem, iż wkrótce powrócę do Lasocina.

— Nikt inaczej kraju nie opuszcza—przerwał Klesz — jak z tą nadzieją, która najczęściej zawodzi.

Nadchodzący sługa, rozmowie tej koniec położył. Jordan powrócił do oficyny. Wszyscy wstawali, zbliżała się godzina śniadania. Pierwsza zjawiała się Natalia z chmurą na czole. Przychodziła błagać i prosić brata, aby usłuchał rady jej męża—ściskała go ze łzami w oczach; zaklinała na miłość dla córki.

Floryan wczoraj już zachwiany — dawał się

namówić na wszystko. Kosucki z nadzwyczajną gorliwością podejmował mu się posług wszelkich, brał wszystko na siebie. Szło o to aby nie trać czasu, natychmiast akt sprzedaży na imię siostry dopełnić; uzyskać pozwolenie wyjazdu, i uchodzić. Monia miała pozostać ażby p. Floryan obrał sobie miejsce pobytu i urządził się tak by ją mógł przyjąć.

Około południa, ułożonem było wszystko. Dziecku nie powiedziano nic więcej nad to, iż ojciec na czas jakiś oddalić się musi.

Małdrzyk, jak mu się to trafiało najczęściej, był bez większego zapasu w domu, Kosucki ofiarował się natychmiast z pożyczką kilku tysięcy rubli.

Nie było wymówki, pozorów do zmiany planu tak mądrze obmyślanego. P. Zygmunt naglił tylko z wykonaniem i nazajutrz już mieli jechać do akt, aby corychlej sprzedaż symulowaną dokończyć. Koszta miał też szwagier opłacić.

Przed samym obiadem, zmęczony, z twarzą zmienioną wszedł Małdrzyk do pokoju Jordana, który siedział w swej izdebce, po dniu brudniej się jeszcze wydającej. Palił cygaro i patrzył w ogród. Przez cały ranek w pałacu gonie było.

— Jordku—zawołał ściskając go—rzecz jest postanowiona, nie ma sposobu—jadę.

— Więc, jedziemy — poprawił go Jordan.— Byłem na to przygotowany.



— Nie mogę przyjąć tej ofiary — rzekł Floryan.

— Powlokę się za tobą sam — odezwał się Klesz—jak chcesz. Nie opuszczę cię.

Patrzali na siebie czas jakiś.

Floryan rękę mu podał, ścisnęli dłonie w milczeniu.

— Nie namyśliłeś się znowu inaczej? — zapytał gospodarz ze smutnym uśmiechem.

Jordan ruszeniem ramion odpowiedział — a potem dodał:

— Znasz mnie— w wielkich i małych rzeczach, po roztrząśnięciu *pro* i *contra*, kończę zawsze na tem że—nie wiem nic i niczego nie jestem pewny. Myślałem dużo—nie wiem nic. Kończę na fatalizmie: są losy i przeznaczenia.

---

Pani Nina Herz, wdowa po kontrolerze, któremu nawet dawano pono tytuł ober-kontrolera — niewiasta lat czterdziestu kilku, z twarzą bardzo pospolitą, lecz umysłu nader praktycznego, trzymająca mieszkania umeblowane do najęcia na Starem mieście w Dreźnie, przy Christianstrasse — była bardzo szczęśliwą, gdy jednego poranku jesieni, zwabiony kartką na drzwiach przybitą, zwiastującą: *Möblirte-Zimmer, parterre*, zjawił się mężczyzna lat średnich, przy-

stojny bardzo, oświadczając iż chciałby obejrzeć mieszkanie.

Mowa jego, akcent, powierzchowność, wszystko świadczyło że miała do czynienia z cudzoziemcem, a nikt nie może być pożądanym gościem w podobnych lokalach, nad przybywającego zdaleka.

Szło tylko o odgadnięcie, do jakiej kategorii należał ów przystojny mężczyzna. Strój jego i obejście, było, wedle wyrażenia się pani Niny, bardzo *nobel*, ale są narodowości i narodowości — jedno lepsze bywają od drugich do — zdzierania z nich skóry.

Domyslała się w nim pani ober-kontrolerowa polaka lub rosyjanina — obu tych narodowości było naówczas w Dreźnie obficie, pierwsza przemogła. Kalendarz oznaczony był rokiem 1865. Czasy dla wdów po ober i po prostych kontrolerach, utrzymujących meblowane pokoje dla gości przybyłych do Drezna — były, można powiedzieć, złote. Niewiele mieszkań stało próżnych.

Pani Herz zaledwie przed tygodniem postradała rodzinę amerykańską, która jej za wszystkie nakrycia poplamione i spalone dywany, sowsicie się opłacić musiała. Nakrycia i dywany starannie wyrestaurowane, czekały teraz na nowego przybysza, któryby je powtórnie zapłacił.

Piękny mężczyzna, niezmiernie ugrzeczniony, powierzchowności sympatycznej, od pierwszego

wejrzenia podobał się bardzo pani Herz. szło tylko o zbadanie kategorii cudzoziemców, do jakiej należał, i o wiadomość bliższą czy był w posiadaniu dzieci i psów. Dzieci jako tako za podwyższeniem komornego tolerowano w kamienicy, psów nie znoszono.

Przybyły bardzo pilno oglądał wszystkie zakątki, nawet te o których się mówić nie godzi, choć realisci nowej szkoły lubią je i opisują dokładnie. Wymagania jego, dawały do myślenia. iż przybywał z dobrze zaopatrzonym workiem, co panią Herz skłaniało do nadskakującej grzeczności i wielu ustępstw. Obiecywała lampy z zasłonkami, gotową była dać stołeczki pod nogi, poświęcić fotel jeden, który stał u niej w „*gute Stube*“. Tymczasem gość opatrywał i nie okazywał tego zachwyty, jakiego się spodziewała właścicielka. Zamało mu było słońca, pokoiki znajdował ciasnymi, umeblowanie niedostatecznem.

Było to tem dziwniejszem, że pani ober-kontrolerowa wyrozumiała z rozmowy, iż tymczasowo w pięciu pokojach miało mieszkać tylko dwóch panów i służący.

Służący!! dawało to wielkie wyobrażenie o worku cudzoziemca, gdy się nie chciał ograniczyć jedną—sługą płci żeńskiej, któraby z pomocą przychodniej niewiasty i kuchni i pokojowej służbie starczyła.

Posłyszawszy o lokaju, poczęła ostrożna

niemka, tytułować nieznajomego hrabiowską godnością. Zawahała się chwilę pomiędzy baronem a hrabią—lecz ostatni przemógł.

O cenę przybysz nie targował się wcale, choć pani Herz, na wszelki wypadek o kilka talarów ją podniosła. Potrzeba wiedzieć, że szanowna kontrolerowa, której po mężu została tylko mała pensyjka, utrzymywała się z tego że w kamienicy najmowała dwa piętra, meblowała je, i odnajmowała przyjezdnym. W ten sposób miała dla siebie mieszkanie darmo i wcale nieżyły dochodzik. Szczególniej teraz gdy napływ cudzoziemców był znaczny, ceny lokalów się podniosły, nadzieje miała świetne.

Oglądający pan, zdawał się namyślać i nie być pewnym; gospodyni uczyniła mu uwagę że jest wielka trudność ze znalezieniem mieszkania, zwłaszcza powabnego, w domu tak przyzwoitym, w pośrodku miasta położonym—i za cenę tak umiarkowaną. Wahał się jeszcze, lecz widocznem było że nudził się poszukiwaniem. Dożył z kieszeni cygaro do zapalenia którego gospodyni ofiarowała mu zapałkę i nie mówiąc usiadł w fotelu.

Było to dobrym znakiem. Pani Herz dbała o godność swoją, natychmiast w drugim zajęła miejsce. Cudzoziemiec się zadumał.

Puściwszy kilka razy dym, dożył w końcu pugilaresika, i milcząc położył zadatek przed go-



spodynią. Uradowała się temu wielce, lecz oberkontrolerowa była osobą praktyczną i nie chciała potem mieć kwestyj żadnych z lokatorem, poczęła więc wymieniać dodatkowe warunki, drobne dopłaty i t. p. Na to wszystko mało zważał zadumany cudzoziemiec, palił cygaro, smutne jakieś myśli zdawały się go ogarniać, na widok tego czystego ale niesmacznie i trywialnie przybranego mieszkanka, tandetnych jego obrazków na ścianach i ozdób przypominających hoteliki drugorzędne.

Tego pani oberkontrolerowa pewnie odgadnąć nie mogła, bo dla niej pokoje te były zbyt kownie przybrane.

W kilku słowach tymczasowa umowa została dokonana, podano sobie ręce; cudzoziemiec miał się wnieść przed wieczorem.

Z karty wizytowej zostawionej wraz z zadatkiem, dowiedziała się wreszcie pani Herz, że lokator jej był polakiem i zwał się panem Florzaniem... Małdrzyka zakrztusiwszy się, wymówić nie mogła i ruszyła tylko ramionami.

Powszechnie u nas panowało przekonanie, iż sasiadała zachowali pamięć dawnych z Polską stosunków, z którą przez dwa albo i więcej panowania pod jednym berłem zostawali. Wprawdzie korzystali oni z tego, bo pieniądź nasz płynął tu i wycieńczonych podatkami zasilał — lecz zrazem mieli to przekonanie, że królowie zrujno-

wali Saksonię, opłacali drogo utrzymywanie swe na tronie. My, sasom przypisywaliśmy zgubę rzeczypospolitej, oni nam wszystkie swe klęski. Wyzyskiwano więc polaków dla odwetu choć częściowego, ale szczególnego dla nich nie miało nigdy afektu.

W bliższych nam czasach, Drezno szczególnie było schronieniem, ulubionem miejscem pobytu, przytulkiem jakimś tradycyjnym dla rodzin polskich. Sasi dopóki im grosz przynoszono, radzi byli i grzeczni—ale—na stronie krzywili się i uśmiechali z obyczaju naszego, nieopatrzności i buty. W tych latach, gdy się nasze opowiadanie zaczyna, możnych rodzin było dosyć, więc i pewne poszanowanie miano dla worka.

Myśmy się zawsze łudzili sympatyą tych „poczciwych sasów“. I pan Floryan, który mieszkanie najmował, znalazł swą przyszłą gospodynię, wprawdzie bardzo pospolitą kobieciną, lecz miłą i grzeczną.

Dom, choć wymaganiom jego nie odpowiadał, musiał przyjąć jakim był, bo od wczora chodził, trudził się, męczył i trafiał coraz na gorsze.

Powrócił więc wolnym krokiem do hotelu Saskiego, w którym stanął tymczasowo, ciesząc się tem że po drodze co chwila, słyszał z ust przechodzących mowę polską. Spodziewał się znaleźć ziomków, wesołą gawędkę, a wieczorem wieszka.

Rozrywka ta była mu tem konieczniejszą, że, choć ze złudzeniami wyjeżdżał, spodziewając się wiele przyjemności z podróży, od granicy owładła nim jakaś tęsknica nieopisana, nieodegnana, jakiś ból serca po tym kraju, który porzucił, po dziecięciu ukochanem, po miłym Lasocinie, nawet po powietrzu, jakim tam oddychał.

Mimowolnie myśl powracała do gniazda, siedała tam i rośła co o tej godzinie działo się w opuszczonym dworze. Widział swą Monię, niespokojną, zapłakaną.

Miał z sobą poczciwego Jordana, który go opuścić nie chciał, ale i ten straciwszy grunt pod nogami, po którym stapać był przywykły, znajdując się w świecie nowym, patrzył, milczał, niewiele rozumiał, zabawnym nie był i zabawić nie umiał.

Pan Floryan, choć mu się ze swą lepszą od jego niemczyzną, ofiarował iść szukać mieszkania i wyręczyć go, nie puścił przyjaciela. Wiedział już jego teorye oszczędności, a tych zwolennikiem nie był. Skazany na czasowe wygnanie, chciał przynajmniej mieć je opłacone wygodami życia i rozrywkami. Miał na to, jak mu się zdawało, aż nadto dostateczne zasoby. Wszystko tu wydawało mu się bajecznie tanie.

W hotelu Saskim, p. Floryan zastał Jordana, spartego na oknie i patrzącego w ulicę. Nie było mu tu dobrze, dosyć eleganckie umeblowanie

pokoików, które zajmowali i czystość jaką w nich utrzymywano — wadziła mu. Musiał się mieć na baczności, aby cygar nie rzucać na dywany, i chodzić pluć do .. miseczki stojącej w kącie.

Widok ulicy i kręcących się po niej przechodniów, aż do najostateczniejszego proletaryusza, starannie i czysto poodziewanych, nie podobał mu się także. Przeczuwał, że będzie się musiał ubierać. To go nudziło.

— No, chwała Bogu!—zawołał Floryan wchodząc — mamy nareszcie mieszkanie przy ulicy... Ale jakże się uliczka zowie? Chrystusowa? Nie może być... coś podobnego. Nie odpowiada ono wymaganiom moim, jest trochę ciasne, pięć pokoi.

— Bój się Boga! a toż na co?

— Jakto na co? ażebym się nie dusił i miał gdzie przyjąć ludzi. Bez towarzystwa żyć mi niepodobna, a ziomków, jak słyszę, jest mnóstwo. Pięć pokoików nie pokoi. Jeden dla mnie, drugi dla ciebie, jadalny, salonik, garderoba. Komisyoner hotelowy obiecał mi kucharkę przyzwoitą. Pawełek też potrzebuje ciupki dla siebie.

Jordan słuchał i wzdychał.

Trzeba się ograniczyć o ile możności — odezwał się wreszcie. — Bądź co bądź, Bóg wie jak długo to potrwa, a nim ci z kraju nadeślą.

— Proszę cię! pieniądze będą na zawołanie, Kosucki mi to przyrzekł uroczyście, a tymczasem



mamy ich dosyć. Tęskno mi okrutnie—dodał Floryan — potrzebuję rozrywki i skąpieć nie myślę. Tetryk jesteś.

Jordan spojrział na niego.

— Trzeba więc zająć się pakowaniem i przenosinami—rzekł idąc ku drzwiom.

— Po co? Pawelek to zrobi. Chodźmy gdzie.

To mówiąc westchnął i ziewnął razem p. Floryan.

Wtem zapukano do drzwi.

Mężczyzna z okrągłą, uśmiechniętą twarzą, wąsikiem wyczernionym i nastawionym do góry, z charakterystycznymi bokobrodami noszącymi datę 1831 r. w półksiężycie podgolonemi, nieśmiało ukazał się na progu. Fizys jego tak była ułagodzona, przymilona, serdeczna, że budziła sympatyę. Nie można się też było omylić na niej, tak nasze choć pospolite, składały ją rysy.

Ubrany bardzo przyzwoicie, a nawet z pewną elegancją pospolitą — gość ten mógł mieć lat przeszło pięćdziesiąt, ale trzymał się dobrze.

P. Floryan postąpił parę kroków ku niemu.

— Pan Floryan Małdrzyk z Lasocina?—dobył się głos z piersi przybyłego niego zachrypły.

— Tak jest.

— Mój Boże! pan dobrodziej nie pamięta! w klasie czwartej gdy byłeś w drugiej... Ignacego Cymerowskiego.

— Przepraszam.

— A ja doskonale go sobie przypominam — rzekł żywiej coraz Cymerowski—piękny pan był jak aniołek.

— Cóż pan tu porabia?—zapytał skłopotany trochę pan Floryan, bo Cymerowskiego tego nie mógł sobie na żaden sposób przypomnieć, choć pamięć miał doskonałą.

— Ja!! — tu mu ręce z kapeluszem ku kolonom opadły. — Ja tu już od lat kilkadziesiąt. Łatwo się domyśleć—wygnaniec panie dobrodzieju, ale, dzięki opatrności bożej i pracy własnej mam tu już swój zakładzik, magazyn bielizny, którym trudni się moja żona. Ożeniłem się z poczciwą niemką.

Naturalnie serce ciągnie do ziomków, radbym im służyć, bo to tu, panie dobrodzieju, te sasy—ho! ho! trzeba ich znać. *Gemütlich! Gemütlich* a drą ze skóry.

Bezinteresownie. jako rodakom miło mi..

Pan dobrodziej długo tu zabawić myśli?

— Nie wiem—rzekł p. Floryan powoli się oswajając z Cymerowskim. — Siadajże, łaskawco. Znasz Drezno, my z moim przyjacielem p. Jordanem Kleszem.

— Klesz?—podchwycił Cymerowski — a nie był naówczas w szkołach.

— Byłem—odparł zimno Jordan, który przybyłemu z pewną nieufnością się przypatrywał.

— Więc także koledzy!

Podano sobie ręce, ale Jordan cofnął się nie zawiązując rozmowy. Floryan widocznie rad był człowiekowi, zasiedzialemu już na tutejszym bruku i mogącemu dać jak najlepsze informacje. Gawędka była gotowa.

Cymerowski badał, patrzył i wyciągał na słowa. Dowiedział się o najętym mieszkaniu.

— A! jak Boga kocham — zawołał — to bieda z tymi przybywającymi! — Czemuż pan nie pocze-kał. Pewnie pana obedrą, a i ulica nieprzyjemna.

Herzowa? tak. Ja ją znam, baba kuta. Ma córkę niczego, niby wdową jak i ona.

Pokiwał głową. — Ja panu później nastreczę lepsze mieszkanie.

Małdrzyk, któremu koniecznie towarzystwa było po trzeba, począł się rozpytywać o ziomek mieszkających w Dreznie.

— Jak maku! panie dobrodzieju, pełno ich! — zawołał Cymerowski. — Hrabina D., hrabia P., hrabia Z. Znam wszystkich i szczycę się ich przyjaźnią. Prezes T., Marszałek Ks.

Liczył i liczył bez końca.

Floryan słuchał uradowany.

— O! Polonii dosyć — dokończył śmiejąc się Cymerowski — będziesz pan miał do wyboru. Jednakże z koleżeńskiego obowiązku muszę ostrzedz, nie zawadzi ostrożność, są ludzie i ludziska.

Zabawiając tak dawnego towarzysza, Cyme-

rowski ściągnął do obiadowej godziny. Ponieważ Jordan był smutny i milczący, p. Floryan na obiad zaprosił gadulę, który nie odmówił. Wesół był i plotki sypał jak z rękawa.

W kilka dni potem, gdy już Małdrzyk zbiegiem szczęśliwych okoliczności tyłu znalazł znajomych starych i tyle nowych porobił znajomości, że cały dzień miał towarzystwo a Cymerowski z uczucia koleżeńskiego obowiązku nie odstępował go prawie na chwilę i posługiwał mu nadzwyczaj gorliwie, Jordan, który nie mógł się oprzeć smutkowi, jaki go uciskał, bładził najchęćiej sam po mieście i okolicach.

Jak Floryan szukał rozrywki pomiędzy ludźmi, tak przyjaciel jego w samotności, albo właściwiej powiedziawszy, w studyowaniu ludzi, kraju i tego nowego świata, na którego ład burza ich wyrzuciła.

Floryan po swojemu, brał lekko wszystko— Jordan podejrzliwie i nieufnie. Tu na tym nowym gruncie, nie mógł się bezpiecznie obracać i nie czuł się swobodnym, dopóki by lepiej go nie poznał.

Studia, jak ten co je robił, były dosyć fantastyczne. Bystry umysł Jordana miał ten dar intuicji rzadki, który pozwala z niewielu po-



chwyconych rysów, stworzyć sobie całą istotę. Szukał więc charakterystycznych znamion, łatwo odgadując resztę.

We wszystkim, co natura tworzy, nie wyjmując człowieka, jest logika tak ścisła, tak prawidłowa, iż dosyć jest prawa jej znać, aby jak Cuvier z zębu odtworzyć mamuta.

Jordan obracał się dotąd w ciasnych ramach jednego kraju, widywał ludzi pod mniej więcej jednemi warunkami wykształconych i obracających się—sąd jego o społeczeństwie był więc na nieco jednostronnych doświadczeniach oparty. W nowe wpadłszy stosunki, znajdował w nich tego samego człowieka, którego znał—lecz z nieznanemi wariantami formy i barwy.

Dla siebie nie potrzebował on tych studyów, bo niewiele dbał o strony życia praktyczne, lecz dla biednego Floryana rad był poznać nową atmosferę, w której obracać się mieli.

Bawił się swemi spostrzeżeniami osobiscie, a zbierał je na pożytek przyjaciela. Jakieś niedobre przeczucia mówiły mu, że w przyszłości potrzebować mogą całej energii i wszystkich sił dla stawienia czoła temu—co czekać ich mogło.

Obawiał się, lecz obawa ta przyszła zapóźno i Floryan jej nie dzielił, wyśmiewał ją. Jordan, który ludziom wogóle nie wierzył, nietyle dla zepsucia ich, jak raczej dla słabostek, które ku złemu prowadziły, z nieufnością patrzył na całą

sprawę tę nagłego wyprawienia z kraju p. Floryana. Sprzedaż kondyktowa Lasocina, na którą tak mocno nalegano, nie podobała mu się.

Przywiązany niemniej od ojca do Moni, która w jego oczach, na jego rękach wzrosła, niezmiernie tęsknił i niepokoił się o nią, a to mu czarnymi myślami cały horyzont zaciągało.

Gdy Floryan godzinami baraszkował z Cymerowskim, który go oprowadzał po różnych kątach miasta, Jordan brał kapelusz i laskę i ruszał — w świat, gdzie oczy poniosły patrzeć i uczyć się.

W jednej z tych przechadzek po Wielkim ogrodzie, w którego głównej kawiarni—restauracyi (Grosse Wirthschaft) zawsze prawie naówczas ludzi bywało pełno—Jordan siadł przy stoliczku nad szklanką piwa i naprzemiany przysłuchiwał się to szwargotaniu Niemców, to odzywającym się dokoła głosom znanej polskiej mowy.

Niekiedy wyraz jakiś dochodzący jego uszu, wprawiał go w drżenie i niepokój.

Znajomości nowych nie robił Klesz i niechętnie je zawiązywał. Tym razem uderzyła go przy sąsiednim stoliku twarz, która mu się znajomą wydała. Mężczyzna siedzący w pewnym oddaleniu, mniej więcej jego wieku, rysów zmęczonych, blady, żółty, równie pilno mu się przypatrywał. Klesz miał najmocniejsze przekonanie, że tego

kogoś znał gdzieś i widywał, ale nazwiska przypomnieć sobie nie mógł.

Już miał wyrzec się odgadywania go, gdy spierając się na lasce, powstał ów nieznajomy-znajomy i z wolna zbliżać się zaczął z nieśmiałością ku niemu.

Jakiś ruch czy postawa nagle Jordanowi przypomniały nazwisko... Filipa Żyrmuńskiego. Przed kilku laty bywał on często u Floryana, i wyróżniał się od zwykłego jego towarzystwa usposobieniem poważniejszym, głębszem uczuciem życia i obowiązków. Jordana to zbliżyło do niego, lubił z nim mówić. Sprzeczały się zawsze, bo p. Filip miał pewne zasady i prawdy, w które wierzył mocno, a Jordan był nieprzewyciężonym sceptykiem. Było to równie w jego umyśle jak w temperamentcie.

Filip, wiedział o tem Klesz, znikł był z kraju zostawiając w nim młodą żonę. Różne wieści chodziły o jej losach.

— Filip!—zawołał Klesz wstając.

Smutnym głosem potwierdził to zbliżający się i ręce sobie ścisnęli.

— Że ja się tu znajduję—rzekł Żyrmuński—to, nie dziwna, ale ty panie Jordanie.

— Nie z własnej woli—odparł Klesz. — Jak się to stało zem i ja wywędrował — długoby opowiadać było. Powiem ci tylko, że p. Floryan jest tu, wwtłómaczy ci to może.

— Floryan!—zawołał zdumiony Żyrmuński.

— No, lecz wy? wy—przerwał Jordan.—Jesteście tu dawno?

— Od początku mojego wygnania, które było, jak wiecie, koniecznością — rzekł spokojnie siadając przy nim Żyrmuński.

— I, jakże ci tu?

Uśmiechem bladym odpowiedział p. Filip.— Jak mi jest—począł—zdaje mi się, że się tego łatwo możesz domysleć? Nikt mniej nie był stworzonym do emigrowania nad nas szlachtę polską, dla tego nam nigdzie dobrze być nie może. Wychowany byłem jak my wszyscy na hreczkosieja, na berejtera trochę, na gajowego, ale... do niczego więcej. Prawdę rzekłszy, nie umiem nic. W salonie znajduję się przyzwoicie, jem dobrze, piję gdy potrzeba, ręce mam silne, więcej nic. Lecz to co rękami bez głowy zarobić można, ledwie wyżywi.

Ramionami strząsnął i mówił dalej:

— Wszedłem z małemi bardzo środkami, które się wyczerpały, z kraju nic mieć nie mogę, zebrać nie umiem. Zapracować tu—rzecz trudna. Biedę klepię.

Jordan słuchając wzdrygnął się jakby po nim mrowie przeszło.

— Tak jest—rzekł—my wszyscy wychowujemy się tak jakbyśmy nigdy wykoleić się nie mieli.



— Tu—dodał Filip—każdy człowiek cośumie ma jakąś specyjalność, powołanie—my stworzeni jesteśmy na szlachciców, a szlachcic bez ziemi... do niczego. Wyobraźże sobie los tych...

Jordan nie dał mu dokończyć.

— Nauczyłeś się czego?—spytał.

— Nauczyć się czego na starość, gdy się nie nie uczyło w młodości bardzo trudno. Musiałem się chwycić najłatwiejszej rzeczy.

Uśmiechnął się pokazując plamami ciemnymi okryte ręce.

— Pracuję u fotografa!

Zamilkli oba.

Jordan rad był odwrócić rozmowę od drażliwego przedmiotu. Począł pytać o sasów i ich usposobienia.

— Ludzie są — rzekł Filip. — Warunki życia w tym kraju, nasiedlonym gęsto—są takie, że wszyscy pracować muszą. Zarobek mały, życie ubogie, nędzy prawie nie ma, fortun wielkich, któreby miały fantazyje wielkie, nie ma także... proza życia, mierność.

Wszystko na maluczką skalę i serca też.

— Smutno—rzekł Jordan.

— Szczególniej tym—dodał Filip—którzy ze złudzeniami wychodzą, wierzą w chrześcijańskie braterstwo, w miłosierdzie przyjaznych ludów i tym podobne mrzonki.

— Ja przynajmniej nigdy się nie łudziłem

niczem podobnem—gwałtownie przerwał Jordan —ale powiedz mi co tu robotnik prosty zarabia —bo—któż wie, może i ja kiedy potrzebować będę pracy, a nie umiem nic.

— Ty? ty nic nie umiesz! — rozśmiał się Filip.

— Pochlebiam sobie, że tak jest—rzekł śmiejąc się także Jordan.

— Naprzód więc trzeba ci wiedzieć, że nie-każdy robotnik znajdzie tu pracę, nawet do tłuczenia kamieni.

Klesz usta zagryzł.

— To fatalne—mruknął— i można z głodu umrzeć? he?

— Nie, bo gdy będziesz bliskim zamorzenia od głodu—odparł Filip—wtedy dadzą ci kartofli, kawałek chleba i żandarm wywiezie cię do granicy.

— A!—rozśmiał się gorzko Jordan — dobrze to wiedzieć.

Rozmowa szła w ten sposób czas jakiś. Wstali w końcu i aleą lipową, smutniej coraz gawędząc pociągnęli ku miastu.

— Floryan rad cię będzie widział — odezwał się Jordan.—Wiesz jak jest żądny towarzystwa, byliście dobrze z sobą. Chodź ze mną.

Zawahał się nieco fotograf.

— Poszedłbym — wybuchnął — ale, ale mi przykro pokazać mu się teraz... a potem, wiesz,

towarzystwo nasze polskie, psuje człowieka bo-  
go rozpróżniacza. Nawykamy do próżnej paplani-  
ny, do zbytich wygódek, a ja—chciałbym się  
korzystając z nieszczęścia mego—odrodzić. Chcę  
zapomnieć o mojem szlachectwie, a stać się —  
człowiekiem. Floryan nie zrozumie tego, że czas  
mój jest moim chlebem.

— Przecież spocząć musisz—zawołał Jordan.

— Godziny spoczynku są chwilami nauki. Zo-  
stałem fotografem—dodał—chcę przynajmniej to  
powołanie wielce dwuznaczne, wielce wątpliwe—  
wziąć na seryo i umieć to dobrze co robię.

Słuchał Jordan z uwagą.

— Do licha—zamruczał—sensat z ciebie i ry-  
gorzysta straszny.

— Ale bo jeść muszę—odparł Filip — a pro-  
sić nie umiem.

Przeszli kawałek milcząc.

— Powiedzże mi—odezwał się pomyślawszy  
Jordan—gdybym ja był w twojem położeniu, co-  
bym robił? Wiem że mi odpowiesz pewnie, iż...  
kierowałem się na profesora i uczonego, ale  
w Niemczech doktorowie filozofii chodzą bez bu-  
tów i ukształcenia jest więcej niż go społeczność  
zżytkować może... więc to do niczego.

Korektorem w drukarni?—zapytał Jordan—  
nadto jestem roztargniony...

Mógłbym przepisywać.

— Wezystkiego tego ja nieudolnie próbowa-

łem — zawołał Filip.—Z przepisywania na obiad nie starczy.

— Cóż obiad kosztuje?

— Hm! — rozśmiał się Żyrmuński—robotnik prosty wyżywia się za trzy srebrniki, resztę dopełniając piwem i cygarem.

Zadumany znów głęboko Jordan, zapytał nagle:

— A chleb po czemu funt?

Filip odpowiedzieć nie umiał.

— Na suchy chleb jeszcze nie zszedłem — rzekł po chwili.

Uparł się Klesz, złapanego znajomego prowadzić do p. Floryana.

— Jest nawet tego potrzeba—odezwał się.— Właśnie Florek chce się dla córki kazać fotografować.

— Mogę być pomocą w tem—rzekł Żyrmuński — ale mnie z waszego fotografowania się nie przyjdzie nic, bo ja jestem w służbie u fotografa.

Wlekli się tak do Christianstrasse. Przez zapuszczone w oknach mieszkania story, widać już było u niego światło. Domyślać mogli się towarzystwa, bez którego nie obchodził się Małdrzyk. Zawahał się nieco Filip, lecz dał w końcu pociągnąć.

Z przepokoju słychać już było gwar wesołej rozmowy.



Pokoje oświecone rzęsiso, wyglądały bardzo ładnie.

Pawełek roznosił właśnie herbatę. Stolik do wista wieczornego stał przygotowany.

Cymerowski opowiadał coś z wielkim zapalem, dolewając sobie araku do szklanki. Oprócz niego, trzech panów jeszcze, siedziało na kanapach i fotelach.

Tak zwany Nabab, majątny obywatel, który bawił w Dreźnie nie z konieczności lecz dla fantazyj, puszczając im cugle dosyć luźne, leżał na wpół na kanapie. Ponieważ niedaleko mieszkał, kazał sobie więc długi swój cybuch przynieść z ogromnym bursztynem i pykał z niego, ożywiając rozmowę bardzo dosadnemi wyrażeniami.

Drugi, którego zwano hrabią Trzaską, od herbu przybierający to nazwisko, niemłody, do zbytku wyświeżony, elegant—palił cygaro, spoglądając ku kartom. Mówiono, że grał wybornie i szczęśliwie, a wygranej potrzebował, bo — musiał żyć wygodnie i zbytkownie — a nie było z czego. Znakomite koligacye, dawna domu za-możność, nałogi powzięte w czasach gdy się fortunę traciło, robiły go panem choć już nim nie był.

Położenie jego terażniejsze nikogo nie oszukiwało, znali je wszyscy—lecz każdy przez grzeczność udawał, że nie wie o ruinie. Niemcy zaś, choć czuli iż nie miał nic wierzyli w to, że się

zawsze na stopie zamożnej utrzymać potrafi. Imponował im swoją niezachwianą wiarą w siebie. Długów miał mnóstwo, a płacił je, zaciągając nowe, potroszę, dla utrzymania kredytu, systematycznie dając dwadzieścia wierzycielom natrętnym, gdy mu się udało sto u kogo pożyczyć.

Postawa była niewymownie dystyngowana, wzrost piękny, twarz pańska, a maniery arystokratyczne.

Ostatni pan Myśliński, nieustępujący nikomu pod względem wysoko nastrojonego tonu i górami noszonej głowy, miał coś w sobie jakby nagle oswobodzonego kancelisty gubernialnego miasta, przerobionego na obywatela. Nie obył się jeszcze z nowym położeniem swem, choć już szpakowaciał. Naprzemiany to zbytek buty śmiesznej, to coś służebniczego i pokornego zdradzało, że nie był na swem miejscu. W istocie mówiono o nim, że przez ożenienie, ze starszą od siebie a bogatą panną, z chudopachołka wszedł w lepsze towarzystwo.

Dobór ten osób nie czyniłby wielkiego honoru p. Floryanowi, gdyby za łagodzące okoliczności nie służyły mu—że znajdował się zagranicą i że byli to tylko partnerzy do wista, do których głównych zalet liczyła się wprawa do gry i ochota do niej. Wprawdzie hr. Trzaska gdy znaczniejsze sumy przegrywał uregulowanie rachunku odkładał do jutra, które się przeciągało, ale zre-

szta był to gentleman i rozmowę miał bardzo przyjemną.

Gdy Jordan prowadzący Filipa z sobą ukazał się we drzwiach, gospodarz nie odrazu go poznał —lecz przypomniawszy sobie okazał wielką radość. Inni goście spojrzeli z ukosa na intruza, Nabab i hrabia przywitani go zimno, Myśliński skłonił się zdaleka.

Największe jednak i nieprzyjemne wrażenie zrobiło przybycie p. Filipa na Cymerowskim, który pobladał, zeszywniał, skrzywił się i zszedł na drugi plan—zasuwając się do kąta.

Jordan tymczasem, znajomy wszystkim gościom, zbliżył się do nich zastępując gospodarza, który zajął się Filipem.

Cymerowski wziął w rękę kapelusz swój i rękawiczki nakładał zabierając się do wyjścia, chociaż wprzód nie okazywał do tego ochoty. Postrzegłszy to p. Floryan poszedł mu szepnąć aby pozostał.

— Nie mogę, prawdziwie nie mogę —odparł Cymerowski z jakimś zakłopotaniem, które nie uszło uwagi gospodarza. — Człowiek ma tyle na głowie.

Zająknął się i szepnął do ucha p. Floryanowi:

— Panowie z tym panem (wskazał na Filipa) dawno się już znają?

— Z kraju jeszcze—rzekł Floryan wpatrując się w niego.

Cymerowski dwuznacną jakąś z zrobił minę, nie powiedział już nic, ścisnął rękę gospodarza i wymknął się cichaczem ku drzwiom.

Po chwili Filip i gospodarz, którego tymczasowo u stolika zastępował Jordan — rozmawiali z sobą pocichu. Od czasu jak się raz ostatni widzieli, tyle się zmieniło rzeczy. Floryan mając zaufanie w Filipie, pobieżnie, naprędce zasięgnął od niego wiadomości o ziomkach, których tu poznał.

— Nabab? — zapytał — zdaje się dobry człowiek.

— Dobry, zapewne — rzekł Filip — ale czy człowiek, nie wiem. Przynajmniej nie pierwszego wyborowego rodzaju.

— Hrabia? — szepnął gospodarz.

Żyrmuński ruszył ramionami.

— Najprzyjemniejszy z biesiadników, ale z arytmyką pokłócony oddawna.

— Myśliński? — badał Floryan.

— Prawie go nie znam — rzekł Żyrmuński — ale jeżeli nie był lokajem, to ma kwalifikację wszelką potemu.

— Złośliwy bo jesteś! — zawołał śmiejąc się gospodarz.

— Cóż chcesz, bieda otwiera oczy i czyni nieubłaganym dla drugich, gdy los jest niełitościwy dla nas. Mścimy się na bliźnich za dołę własną.



Ale—dodał—nie zapytałeś mnie nawet o Cymmerowskiego, a to może było ze wszystkiego najpilniejszym. Jest to stary wyga, który wszystkim służy i wszystkich wyzyskuje. Miej się na ostrożności, aby cię nie wciągnął w co, i nie złupił. Znany jest z tego.

Floryan się roześmiał.

— W tym względzie nie potrzebowałem informacyj—rzekł—Kosztuje mnie kilkanaście talarów już, ale jest tak biedaczysko niezręcznym, że mi go żal.

P. Floryan poszedł do wista, a Jordan z gościem do swojego pokoju i grano w uroczystem milczeniu.

---

Brüblowska terrasa! Któż nie zna jej z europejskiej sławy, jakiej od wieku używa? Każdy przybywający do Drezna spieszy ją zobaczyć—i jedni na wiarę swych poprzedników widokiem z niej się zachwycają, drudzy znajdują, że pochwały były przesadzone. Stanąwszy tu, mając Elbę pod stopami, daleki i urozmaicony widok ze wszech stron, przypominający obrazy Drezna Canalettego, staroświeckie budowy, poważny most, wzgórza zielone na widnokręgu, wybrzeże malownicze—niepodobna nie przyznać, że to jest w swoim rodzaju oryginalne, jedyne i w swoim

rodzaju piękne. Tylko ogród i bulwary przyozdabiające samą terrasę, datujące z małemi odmianami od czasów ministra Brühla, a dziś mniej starannie utrzymywane niż niegdyś, ze swemi poszczerbionemi wodotryskami, wyslizganemi schodami, z kawiarenką bardzo skromną Torniamentego, który latem tylko tu gości — z niesmacznie odnowionym i polepionym Belwederem — wydają się trochę staroświecko i jak na stolicę... ubogo.

W tych czasach jeszcze, mimo że mniej może było starania o upiększenie sławnej terrasy niż dzisiaj, była ona zawsze pełną — przepelnioną. Cudzoziemców tysiącami liczyło Drezno i takich co z dobrej woli gościli tu i co z musu czekali na coś, albo nie wiedzieli co zrobić z sobą. Ruch i życie było niezmierne, a wieczory przy dźwiękach muzyki miały wybitny, kosmopolityczny charakter. Typy fizyognomij najrozmaitsze, ubiory najdziwaczniejsze ocierały się tu o siebie, języki całej Europy brzmiały równouprawnione, prawie głuszac niemiecki. Sasi, którym to przynosiło dochody, nie chorowali jeszcze na wielko-germańską jedność, którą drogo przypłacili — i nie zabraniali nikomu tak mówić jak go matka nauczyła; nie przeczuwano jeszcze nawet tych czasów, których my dożyliśmy, gdy na kolejach żelaznych junkry pruskie obcej mowy znosić nie zechcą.

Błogie to zaprawdę były czasy owe — bo cudzoziemców jako mszyce szanowano, potrzebując ich wysysać—a policya bardzo czujna, kładła rękawiczki gdy była zmuszoną z jednym z nich obejść się trochę ostrzej. Ta atmosfera łagodna i rozweselająca, ozonem jakimś przesycona, oddziaływała tu na wszystkich, nawet na tych, którzy się ze swego losu i pobytu na tej ziemi jak najmniej cieszyć mieli prawo. Ludzie co w kieszeni nie czuli nad talara, chodzili podśpiewując z głową do góry. Mieszkańcy dla wszystkich byli uprzedzająco grzeczni, rachowali bowiem że stu ubogich także coś przynoszą—a kto inny ich nie drezdeńczyć zasilać muszą.

Pięknymi wieczorami jesiennymi roilo się na terrasie. Przy małych stoliczkach u Torniamentego, we mroku siedziały pary, trójki i czwórki cichych, śmieszkami przerywarych rozmowach, w Belwederze około muzyki, przy rześistem oświeceniu, robiły się znajomości wejrzeniami, zawiązywały rozmowy, umawiały schadzki. Nawet członkowie młodszy ciała dyplomatycznego, incognito nie pogardzali zabawą na terrasie—i nie opuszczali żadnego koncertu.

Cóż dziwnego, że się tu znalazł jednego wieczora i p. Floryan, który tak ludzi i towarzystwa potrzebował. Wypadkiem jakimś był właśnie pozbawiony Jordana, który powlókł się gdzieś z Filipem, a jego partnerowie wistowi dnia tego za-

proszeni byli do hrabiny P., której chory, niewstający z fotelu mąż, potrzebował dystrakcyi.

Małdrzyk w domu, sam jeden, nie mógł wytrzymać. Napastowały go w samotności myśli duszące, przykre—wspomnienia, przecucia, żale, których czuł nieużyteczność. Wyszedł więc sam jeden — i machinalnie powlókł się na terrasę w nadziei spotkania tam kogoś — pochwycenia, choćby już Cymerowskiego, który go nudził powtarzaniem jednych zawsze historyi z wojny stanowiącej epokę świętą jego życia.

Przeszedł jednak terrasę razy kilka, tam i nazad, napróżno szukając znajomej twarzy. Mrok był jeszcze pozwalający doskonale rozpoznawać przechodniów. Piękna postawa, twarz mężka typowa p. Floryana zwracały nań uwagę, osobliwie kobiet przesuwających się tu powoli pojedynczo i parami. Fizyognomia człowieka mówiła im, że to musiał być jeden z tych ludzi, których ła-two zdobyć można. A żadna z kobiet nie wątpi, że gdy zdobędzie—utrzyma; chociaż z p. Floryanem właśnie to było najtrudniejszym.

W istocie nasz wygnaniec znudzony, był w tem usposobieniu i stanie ducha, że zdobytym być pragnął. Oprócz innych tęsknot doznawał i tęsknoty do towarzystwa niewieściego, którego tu nie miał.

Lubił preliminarya romansu, choć zwykle i



najczęściej na nich kończył, zjadając jak dzieci z ciast wielkanocnych rodzynki cykatę z placka.

Wśród przechadzek raz pominął był przystojną bardzo, skromnie ale starannie ubraną—panienkę czy też młodą osobę, która mu się pilno przypatrywała. Półuśmieszek skromny ale wyraźnie zarysowany drgnął na jej ustach.

P. Floryan postrzegł, że była to blondyneczka, z oczyma niebieskimi, dosyć słusznego wzrostu, czysty typ saski. Zaintrygował go uśmiech.

Przesunęła się krzyżując z nim raz jeszcze, z tym samym zagadkowym twarzy wyrazem. Szła słuchać muzyki na terrasie, przez prostą ciekawość p. Floryan pociągnął za nią.

Siadła przy stoliczku, rozkazując sobie podać kawy, a że w bliskości miejsce się znalazło próżne, znudzony nasz wygnaniec zajął je,—żądając herbaty.

Kobieta dostrzegła to zaraz, zarumieniła się i—wymagała tego przyzwoitość, zaczęła unikać wejrzeń ciekawych natrętnego sąsiada. Było to widocznem, lecz brała się do tego czy bez przekonania, czy tak niezręcznie, że co chwila spotykały się wzroki, poczem kobieta z oczyma uciekała co najprędzej do swej filiżanki.

Floryan pił bardzo brzydką herbatę powoli i siedział.

Muzyka warczała i huczała.

Niewiasta dobyła z torebki sakramentalną

niemiecką pończochę, bez której przyzwoitość z domu wychodzić nie pozwala, i poczęła pilno bardzo obracać drutami. Jak wiadomo do pracy tej oczu niepotrzeba, i — chodziły one po sali, a czasem spotykały się znowu z wejrzeniem melancholicznem Floryana.

Radby był ją zaczepił może, bo niekiedy drażniący uśmieszek po wargach się jej przesuwał, lecz oniesmiała go pończocha, a kto wie czy i uśmiech nie oznaczał, iż przystąpić się nie godziło.

Skończył się tak koncert, kobieta z niebieskimi oczyma dopiła herbaty, zwinęła pończochę, okryła się chustką, upadł jej parasolik, który p. Floryan pośpieszył podnieść i podać, za co otrzymał nieme podziękowanie, któremu towarzyszył rumieniec.

Nieznajoma wyszła, a że Floryan nie miał tu co robić, skusiło go — zdaleka, niepostrzeżonemu pójść za piękną blondynką. Szła powoli, obejrzała się nawet parę razy, co zmusiło wstydzącego się swego postępuku Małdrzyka, wstrzymać trochę. Obawiał się być śmiesznym, a — życzył sobie, choćby wiedzieć kto była owa blondynka. O ile dotąd pragnął kogoś znajomego spotkać — teraz się zaczął tego obawiać. Szedł pod murami, cieniem. Blondynka wolnym krokiem skierowała się ku Georgen-Thor; przez ulicę zamkową, rynek na pragską. Była to droga, która prowadzi-

ła mniej więcej i p. Floryana do jego domu na Christianstrasse.

Dziwniej jeszcze, dalej okazało się, że nieznaną ku tej samej ulicy skierowała swe kroki. P. Floryan cieszył się z tego, lecz — osłupiał w końcu zobaczywszy ją wchodzącą — w bramę kamienicy, w której on zajmował parter od pani Herz najęty.

Poniekąd tłumaczyło mu to uśmieszek szyderski, gdyż mogła go widzieć już kiedy, chociaż on jej sobie nie przypominał.

Stanąwszy w progu, obejrzała się — jak się zdawało (ciemno już było) w tę stronę, z której Małdrzyk nadchodził, zatrzymała chwileczkę — i — znikła.

Niepospolicie tem zaintrygowany p. Floryan przyspieszył kroku, i wchodząc do domu usłyszał tylko głośny, wesoły śmiech od strony mieszkania Herzowej, który umilkł nagle.

Pawełek nadbiegł natychmiast. Jordana dotąd w domu nie było.

Dobry p. Floryan, choć ze służką swym był na bardzo poufalej stopie — nie śmiał go pytać w początku. Dopiero rozbierając się, od niechcenia zagadnął go czy nie stał w bramie przed chwilą i nie widział kogo wchodzącego, bo mu się zdawało — że go ktoś do domu poprzedził.

— A juźci że widziałem. — Dycht przed jaśnie panem przyszła córka gospodyni.

— Mnie się zdawało że mężczyzna?—nie chcąc się wydać przed Pawełkiem rzekł Floryan.

— Gdzie mężczyzna — odparł Pawełek — przecież ja ją znam, i śmiejąc się jeszcze mi powiedziała po swojemu *Tenabnd*, co ma się znać—dobry wieczór.

Floryan się rozśmiał.

— Robisz więc znajomości, widzę, i uczysz się języka!

— A już! z tym językiem, bodaj ich!— mruknął Pawełek—jabym tu sto lat mieszkał, a nie nauczyłbym się go, bo to do niczego niepodobne. Kat wie co! A z gospodynią i jej córką, człowiek rad nie rad, choć na migi rozmawiać musi, bo raz w raz czego potrzeba. To i ony się śmieją i ja się śmieję, a w końcu taki dadzą co potrzeba. Tylko takie to bestye, żeby najmniejsza rzecz, to ją zaraz zapiszą, darmo nic.

Pokręcił głową.

— Córka gospodyni, stara? — zapytał Floryan.

Pawełek parsknął.

— Przecie jasny pan Herzową zna, a i ta nie stara jeszcze. Córka młoda, ale ponoś wdowa już, bo dziecko ma, dziewczynkę lat ze dwa—a męża nie słyhać — nie; ale bo taki wdowa, bo służąca mi to mówiła.

— He?—śmiejąc się zapytał Floryan—to ze służącą jednak choć po niemiecku rozmawiasz.



— A, jako żywo!—ofuknął Pawełek. — Służąca powiada, że jest wendka, licho wie co to znaczy, ale z takiego narodu co niby po naszymu gada, tylko przekręca—a rozumie wszycko. Ze służącą tą to ja mogę przecie się rozgadać. Powiada, że jak panowie z sobą rozmawiają, bez mała też rozumie.

— Dobrze o tem wiedzieć! — dokończył p. Floryan, który posłyszał w tej chwili wracającego Jordana.

Jakkolwiek byli z sobą bardzo dobrze, Małdrzyk o swej śmiesznej przygodzie nie powiedział mu nic. Wstydził się jej i płochości swej—a choć domyślał się, że wszystkowiedzący Jordan pewnie córkę gospodyni znał już z widzenia i mógłby być mu coś o niej powiedzieć, nie zaczął go o nią.

Klesz tłómaczył się z opóźnienia swego. Powracał z Filipem z przechadzki, ku Plauen, którą dla miłości fotografa przedsięwziął, bo Żyrmuński przez cały dzień nawąchawszy się fotograficznych wyziewów, potrzebował ruchu i świeżego powietrza.

— Żal mi okrutnie Filipa — dodał Jordan— męzna w nim dusza, charakter silny — ale przewidzieć można, że w walce z losem padnie. Gdyby miał całą swobodę umysłu, i nic na sercu—szłoby mu lepiej. Człowiek boleścią złamany, siły traci.

— Cóż za boleść tak ciężka? — zapytał roz-targniony Floryan.

— Zdaje się—po chwili namysłu odparł Jor-dan—że porzucona w domu żona, zdradziła go. Z boku dochodzą go wieści. Listów nie ma żad-nych, majątek który zostawił w jej ręku... prze-padł.

Ręką zamachnął Jordan i zamilkł nagle. Flo-ryan sposepniał i namarszczył się. Przeszedł się po pokoju kilka razy paląc cygaro.

— Nie odebrałeś nic z poczty?—zapytał Jor-dana, pod którego adresem pisać miano.

— Ani słowa.

— Dziwi mnie to—dodał Małdrzyk.—Mieli-śmy tu dostać resztę pieniędzy. Ani ich, ani listu. Nawet od Moni i Lasockiej nic. Wina poczty, bo niepodobna aby tak długo milczeli.

— Chodzę na pocztę codzień — odezwał się Jordan — robiłem jak najstaranniejsze poszuki-wania.

Ze zwykłą swą lekkomyślnością, Małdrzyk, który nad przykreimi rzeczami długo nie lubił się zatrzymywać—odwrócił rozmowę i począł szydzić z Cymerowskiego, opowiadać o Myślińskim, któ-ry w rozmowie zdradzał najpocieszniesze nieu-ctwo.

Jordan tym razem śmiechowi nie wtórował—chodził zaszepiony.

Być może, iż Małdrzyk miał ochotę zręcznie

przeprowadzić gawędkę na mieszkanie, gospodynię i—jej córkę, bo począł utyskiwać na niedogodności lokalu. Cymerowski, jak mówił, znajdował że był drogi. Chciał o tem pomówić z gospodynią.

Jordan dumiał, nie odpowiadając.

— A ty, nie poznałeś się bliżej z Herzową— spytał—możebyś mógł służyć za pośrednika.

— Z Herzową?—przerwał Jordan. — Poznałem się i owszem, a gdybym nie unikał jej, baba by mnie zanudziła, bo, zapewne sobie wyobrażając, że mam tu wpływ jakiś, bardzoby mnie sobie rada pozyskać. Dwa razy napoiła mnie kawą.

— Byłeś więc u niej? Ma familię? — zapytał Floryan.

Klesz, który na wylot znał przyjaciela, jakby uderzony tem pytaniem spojrział nań.

— Słuchajno — odparł z miną mentora—pytasz ty, mnie o familię; jakże to być może abyś ty — babiarz niepoprawiony, nie wiedział że ma córkę, gdy ta jest młoda i ładna?

Zarumienił się Małdrzyk i przybrał prawie zagniewaną minę. W oczach Klesza pogorszyło to jego sprawę, zrodziło podejrzenie.

— Zkądże chcesz—krzyknął Floryan—żebym wiedział te szczegóły?

Jordan ciągnął dalej z szyderskim spokojem:

— Jeżeli ci są nieznane, służyć mogą informacją, zasiągniętą w czasie picia kawy, w *gute*

*Stube.* Tak jest, pani ober-kontrolerowa ma córkę, mniej więcej dwudziestoletnią, ale już owdowiałą, i jest babką dwuletniej wnuczki. Córnka, którą po imieniu Liną zowią, a której mężowskiego nazwiska nie znam, pozwalając sobie z pewnych powodów, powątpiewać o istnieniu owego męża... jest wcale ładną blondynką, sentymentalną i zalotną. Czyta Schillera, zna Heinego, pasyonowaną jest do teatru i powiada że ma słabość do polaków.

O tem bym ci w końcu powiadać nie powinien, ale powiem abys się miał na ostrożności, że parę razy wspominając o tobie, chwaliła bardzo twą mężką piękność; a gdym jej lata, które liczysz sobie—powiedział, zakrzyknęła, iż tyle ich mieć nie możesz.

Pani Liny strzedz się potrzeba.

Floryan ruszył niby pogardliwie ramionami.

— Nie znamy się przecie — dokończył i dali sobie: dobranoc.

---

Miesiąc upływał od owego wieczoru pamiętnego na terrasie, jesień już coraz była chłodniejsza. Na koncertach w Belwederze publiczność w dusznej sali przy drzwiach zamkniętych siedzieć musiała. Turniamenti stoliczki z podwórza kazał poznosić i wygładał tylko pierw-



szegō śniegu, aby się na zwykłą zimową do Włoch wybrać przejażdżkę, a kawiarnię zamknąć do wiosny. Wróble nawykłe zbierać rzucone im okruszyny, strwożone przelatywały od Torniamentego do Marschnera, i napowrót — przeczuwając już głodną zimę.

Za to teatr się napełniał, i urlopowani artyści powracali do swych obowiązków. Amerykanie, anglicy, rosyjanie, którzy letnie miesiące spędzali u wód, w Szwajcaryi, na wycieczkach różnych, a nawet w Schandan, Loschwitz i Blasewitz, ciągnęli też napowrót do Drezna.

Z wielkiego tłumu Polaków, który w letnich miesiącach wszędzie się tu spotykało, znaczna część ubyła. Zostawało ich jeszcze jednak bardzo wielu, i p. Floryan, który tu zimę spędzić postanowił, nie obawiał się aby mu towarzystwa zabrakło.

Listy z Lasocina, długo oczekiwane z utęsknieniem nareszcie nadeszły. Pani Natalia pisała do brata, długo ale niejasno, tłumacząc męża iż on wcale pisać nie mógł, gdyż obawiał się być przez to skompromitowanym. Z boleścią serca donosiła iż niespodziewany wcale obrót przybrał — wiadomy interes, że się znalazły różne podejrzenia, oskarżenia i niebezpieczne zeznania, które możność rychłą powrotu odbierały. Trzeba było czekać cierpliwie ażeby się to wszystko wyjaśniło, nad czem miał mąż jej pracować. Bolało

ją także—iż w żaden sposób pieniędzy teraz nadaśleć nie mogli, gdyż nieurodzaj był okropny, ceny nadzwyczaj niskie, a pozostawione ciężary i opłaty nagłące. Wszystko to było zawikłane, niejasne, smutne.

Pocieszającym tylko pozostawało to, że Monia była zdrowa, że uczyła się pilnie, że wspominała o ojcu i tęskniła za nim.

Listy Lasockiej i samej Moni, dużemi literami, po dziecinnemu pisany— przyszły inną drogą i tak jakoś jak gdyby p. Natalia o nich nie wiedziała. List Moni jakby łzami był, pisany, a tak naiwny dziecinnie, tak serdeczny, stękniony. smutny, iż czytając go łzy w oczach Floryanowi stanęły: Dziecię wyrywało się ku niemu, wołało: Weź mnie z sobą. Ból i przestach sieroctwa czuć było na tej karcie.

Lasocka pisała z wielką oględnością, sucho, z omówieniami, frazesami, które więcej mówiły niż w nich było. Pismo było przerażająco smutne, jakby na biedną kobietę spadł niespodziany ciężar nad jej siły.

Jordan, który czytał to czego tam nie było— domyślał się z listu, iż Lasocka bardzo była ze sposobu obchodzenia się z nią i z dziećciem niekontenta. Nie skarżyła się wcale, donosząc tylko sucho, iż państwo Kosucey przenieśli się do pałacu, zamieszkali w Lasocinie, a ją z Monią umieścili w oficynie, ze służącą dawną, do której dzie-

cię było przywykłe, odprawiono, a dano im do posług dwunastoletnią ze wsi sierotkę.

Pisała że Monia była zdrowa, ale popłakiwała często, a za te łzy odbierała bury i groźby od ciotki—która trochę zaostro obchodziła się z pieszczonek dziecięciem.

Odebrawszy te korespondencye Floryan tegoż dnia długie listy wyprawił do siostry, do szwagra, do Lasockiej i do dziecka. Pod wpływem rozgorączkowania w jakie go pisma odebrane wprawiły—pisał gorąco; nalegając na Natalię naprzód o niezbędne pieniądze, gdyż zapasy się wyczerpywały, potem o jak najłagodniejsze obchodzenie się z Monią. Kosuckiego upoważniał chociażby do zaciągnięcia długu w jego imieniu, gdyż życie zagranicą było drogie i t. p.

Listy te wysławszy i nie wątpiąc bynajmniej o ich skutku, p. Floryan z uciskiem w sercu tak potrzebował rozrywki jakiejś, towarzystwa — czegoś coby go z koła myśli czarnych wyprowadziło, że się rzucił pomiędzy ludzi, i porobił nowe a uciążliwe znajomości.

Bywając na obiadach i wieczorach, musiał też u siebie przyjmować. Kucharkę niedosyć ze stołem wykwintniejszym obeznaną, potrzeba było odprawić. Nastreczył się kucharz stary, który niegdyś u panów polskich służywał—wzięto go bez namysłu.

Jordan sykał i krzywił się, a Floryan się

z nim klócił, wyrzucając mu niegodziwy pesymizm jego, którym sobie i drugim życie zatrutował.

Poczeiwy Klesz miał oprócz tego powody krzywienia się. Między innymi i to mu się nie podobało, że Floryan jakimś przypadkiem poznał się z córką gospodyni, która do innych talentów łączyła i ten, że mówiła niezle po francuzku, co Małdrzykowi ułatwiało wymianę myśli. Siadywał często po obiedzie u pani Herzowej i trafiało się, że gdy ona dla gospodarskich potrzeb wychodziła do miasta, sam na sam godzinami paplał z piękną Liną, coraz poufalszym z nią będąc — i ona z nim. Klesz postrzegł, że małe podarunki przynosił z miasta, które bez trudności przyjmowano, może nawet przymawiano się do nich.

Matka, pani ober-kontrolerowa, zawsze zapraszając na kawę Jordana, który dla tego tylko nie odmawiał, że chciał badać co się tu święciło — bardzo zręcznie usiłowała się dowiedzieć od niego o położeniu majątkowym, rodzinie, przeszłości swojego lokatora, a nawet o jego charakterze.

Widocznem być zaczynało, że budowano coś sobie na sympaty Floryana dla pięknej Liny. Jordan, którego to oburzało i przerażało razem, z przezorną dobroduszością, z rodzajem politowania malował położenie przyjaciela, jako bardzo niepewne, przyszłość jego mocno zagrożoną. Kobiety słuchały z niedowierzaniem, i miały słu-



szność, bo sposób życia, wydatki, przyjęcia gości, świadczyły o zamożności. Tak im się zdawało. Jordan utyskiwał na nieopatrność. Ta była w istocie wielka — Małdrzyk się zawsze miał za dziedzica znacznego majątku, a nie przypuszczał żeby wygnanie to potrwać miało długo. List siostry na chwilę go zmięszał, ale już trwoga ta przeszła.

Dobrego serca i chętny dla drugich, równie jak folgujący sobie, p. Floryan przebąkiwał już o tem, że Cymerowskiemu należałoby dopomódz do rozszerzenia jego handelku bielizną, na co niewiele miało być potrzeba, a Filipowi założyć pracownię fotograficzną, któraby przy stosunkach z polonią, mogła mu zapewnić utrzymanie.

Nie zaprzeczał Małdrzyk, że Cymerowski był trochę szachraj i filut, ale przypisywał to jego położeniu i właśnie dla tego pomagać mu chciał, aby go na drogę poczciwszą wprowadzić. Dla Filipa zaś chciał coś zrobić, bo jego cichą pracę niewdzięczną szanował i miał dla niego współczucie. Że oprócz tego codziennie się trzeba było z kimś dzielić, do składek przyczyniać, ratować kogoś — do czego p. Floryan całym sercem się garnał, — a zapasy z domu przywiezione wyczerpywały się — nadesłanie zaś nowych funduszów było bardzo wątpliwem, Jordan drżał o los przyjaciela.

Nie mówił nic jeszcze, chodził coraz posepniejszy.

Od czasu jak poznał bliżej Linę p. Floryan—mieszkanie, które wprzód było dla niego wiele niedogodności—stało się znośnem.

Ludzie, którzy wszystko wiedzą, często nawet to czego nie ma, już przebąkiwać zaczęli o pięknej Linie—i o skłonności dla niej p. Floryana. Hrabia Trzaska, sam w sprawach świata i zielonego stolika bardzo wyéwiczony, pierwszy otwarcie o to zagadnął Małdrzyka, który się o mało nie rozgniewał. Trzaska, poufały ze wszystkiemi, a po kilku dniach każdego po imieniu wołający, bez ceremonii odezwał się do Floryana:

— Strzeż się tej swej gosposi... my tu je dobrze znamy. Sentymentalne są, czule, łatwo się przywiązujące, ale następstwa zawsze drogo się opłacają.

I śmiał się, a p. Floryan zapierał, hrabia nawet od chwili gdy go przestrzegł stał mu się nieznośnym.

Ze swej strony, znający lepiej Florka Jordan, zamiast go drażnić, udzielał mu tylko wiadomości przy kawie zaciągniętych. W czasie jednego z tych posiedzeń, Lina mu szepnęła, że urodziny jej matki były nazajutrz.

Klesz już wiedział co to znaczyło i, nie mówiąc nic Floryanowi, w swoim imieniu, i jego, parę wazoników kwiatów posłał pani ober-kontro-

lerowej. Skutkiem atencji było, że ośmielono się ich obu prosić na wieczerzę i poncz, ale Małdrzyk był zaproszony na obiad i wista, i Jordan przez ciekawość poszedł sam do gospodyni.

Znalazł tu samą tylko jej rodzinę, starszą siostrę, osobę poważną i otyłą, także wdowę, która jadła dużo a nie mówiła tak jak nic, brata urzędnika w ministerstwie skarbu, typ biuralisty i jakąś kuzynkę niesmacznie ubraną, z okrutnie wielkimi rękami i nogami płaskimi.

Przyjęcie ograniczyło się na zimnych mięsach, sałacie z kartofli ze śledziem (najpospolitszej i ulubionej świątecznej potrawie sasów), kawie, którą się pije zawsze—a na ostatek ponczu.

Ten stanowił epilog uczty, wszyscy się rozochocili—pani Lina i reszta rodziny dla poufalszej zabawy wyszli do drugiego pokoju, a, Jordan ulubiony gospodyni pozostał z nią w saloniku.

Poncz niespodziane wydał owoce, wzruszona, rozrzewniona, wspomnieniami lepszej przeszłości pani ober-kontrolerowa całe swe życie, dole jego i niedole roztoczyła przed chętnym słuchaczem. Szczególniej rozczulała się nad losem ukochanej córki, której się nie mogła odchwalić. Ze szczerością, której później może żałowała, opowiedziała Jordanowi, o młodym owym mężczyźnie, który się tak kochał w Linie, był z nią zaręczonym, i—nim poszli do ołtarza... na tamten świat śmierć go zabrała.

Dotąd mówiono zawsze że była wdową — teraz okazywało się, że słomianą tylko.

Po ostatniej zaś lampce ponczu, zapomniawszy już pono o tem co niedawno wyznała Jordanowi — poczęła niespodzianie pani Herzowa kłać i łajać zdrajcę, który uszedł do Ameryki od ożenienia z Liną.

W ten sposób dowiedział się Klesz historyi dotąd utrzymywanej w tajemnicy. Było mu to na rękę, a że bardzo pragnął przyjaciela odciągnąć od zbyt bliskich stosunków z Liną — nazajutrz w swój sposób, sarkatycznie, z humorem, wyśpiewał przed nim wszystko.

P. Floryan przyjął to jakoś dziwnie, gniewnie.

— Proszę cię, co mnie to wszystko obchodzić może? Wdowa czy nie. Powiem w ostatku, że zawód jakiego w życiu doznała, budzi we mnie prędzej sympatyę niż — inne uczucie. Co to wszystko dowodzi?

Klesz się śmiał.

— Ja też nie nie chciałem dowieść — odparł — mój Florku, pragnąłem cię rozerwać tylko o powiadaniem.

— Bardzo smutnem — rzekł żywo Małdrzyk. — Posądzasz mnie widocznie o czułe jakieś sentymenta — przyznaj się?

— Znam poczeiwe a do zbytku miękkie serce twoje — odparł Jordan. — Nie kochając się, bo nie



przypuszczam aby kobieta innego świata, narodowości, obyczaju—nawpół i powierzchownie wykształcona, zająć cię mogła seryo — możesz nawyknać i nałogowo się przywiązać, a potem cierpieć.

Pozwól też abym ci tę zrobił uwagę, że polka, gdy komu okazuje współczucie, zawsze nią kieruje serce, temperament, uczucie prawdziwe—niemki zaś mają trochę tantazyi, a wiele rachunku.

— Dajże mi pokój z morałami!— weselej trochę ale zawsze zasepiony zawołał Floryan.— Grasz rolę mentora nie przyjaciela, litości nie masz nademną. Wiesz co cierpię, najmniejszej rozrywki mi nie pozwalasz.

Jordan z powagą swą zwykłą przyszedł go uściskać.

— Mój drogi — rzekł —gdybyś ty otworzył serce moje i zajrzeć mógł do niego!

Nie bierz mi za złe, że cię goryczą karmię, sam nią jestem przepojony. Życie nasze w domu, a życie na tem wygnaniu — są rzeczy odrębne zupełnie i wielce różne. Tam między swemi—mieliśmy swobodę, znano nas i fałszywie nie tłómaczono czynności. Tu, co jeden z nas czyni spada na cały naród—Jordan Klesz nie powiedzą ale polak to zrobił. Małeńki rys przybywa do coraz ciemniejszego wizerunku narodowego, niechętną, złośliwą malowanego dłonią.

Tobie przytem zdaje się, mójFlorku, że jutro się to skończy wszystko i wrócimy tam gdzie *dulcis fumus patriae* tak pięknie wonieje, po smrodliwym węglu niemieckim. Bóg wie! Bóg wie.

Westchnął Jordan.

Małdrzyk chciał na gwałt rozmowę na inny przedmiot odwrócić. Zanucił coś, przeszedł się.

— Mój Jordku—spytał—ja jak ja, po całych dniach z rodakami gram, piję i paplam, *mea culpa*, wiesz że całe życie byłem próżniakiem z powołania, ale—powiedz mi—co ty robisz?

Klesz skrzywił usta i potarł włosy.

— Daj mi słowo, że się śmiać nie będziesz?—rzekł.

— Zmiłuj się!.

— Nie mam co robić, widzisz—dodał Jordan—nudzę się, postanowiłem uczyć się czegoś i obrałem sobie—introligatorstwo. Zawsze z książkami i papierem będę miał do czynienia. W Niemczech papieru zadrukowuje się ogromnie wiele.

— Obiecałem ci się nie śmiać, Jordku—zawołał Małdrzyk—ale doprawdy trudno. Ty, co byś mógł pisać, chcesz książki oprować?

— A, mógłbym pisać—odparł Jordan—to nie ulega wątpliwości. Książkę zrobić z pewnym szykiem i wprawą — jest rzecz nadzwyczaj łatwa. Jedno z dwojga albo się tworzy dzieło imaginy, do którego wchodzi ingrediencye tysiąc razy już zużytkowane, lecz w nowy sposób zmie-

szane, zaprawione i osmaczone — albo z piędziesięciu książek starych zszywa się nowa.

Proces to znany, łatwy i przy odrobinie talentu, dający owoce wcale pokaźne. Ale tu w Niemczech tego owocu na targu jest tyle, że go za bezcen nie chcą. Po polsku zaś... ty wiesz lub nie wiesz co daje pisanie? Chleba z tego mieć nie mogę—a chcę mieć chleb.

— Mój drogi—ofuknął go Florek — już ciż póki ja żyję.

— Tak! tak—rzekł Jordan—ale ty także możesz nie mieć chleba do zbytku.

— Jakim sposobem?—oburzony zawołał Floryan.

— Jak tysiąc innych co się zdało na łaskę i niełaskę rodziny. Kosucki może być niezłym człowiekiem — ale jest człowiekiem, podlega pokusie.

— Siostra! Natalia!—wołał Floryan.

— Siostrze on potrafi wmówić co zechce—rzekł Jordan—ale, dajmy pokój temu. Dość. Pozwól mi bym się na przypadek uczył introligatorstwa.

— Bzik! — roześmiał się Floryan.

— Wiesz, że jestem do bzików skłonny—spokojnie rzekł Jordan. — Przypuść, że mam taką fantazyę.

— Naturalnie że ci jej zabronić nie mogę—

roześmiał się Małdrzyk. — Życzę aby cię to bawiło.

— Bawi nawet bardzo — rzekł cicho Jordan — na nieszczęście nim przyjdzie do tego co jest zabawne, to jest do wykończenia, klej obrzydliwie śmierdzi... i, w izbie zaduch — nie do opisania. Ale — nie ma róży bez kolców.

---

Czas płynął i biegł z szybkością niesłychaną. Bywały dni nudne i długie, miesiące przelatywały jak błyskawice, i za ledwie się jedno komorne i rachunki opłaciło — już nowe trzeba było gotować.

Okolo Nowego Roku kassa pana Floryana, bardzo była nadwerżona, a oczekiwane z kraju pieniądze — nie nadchodziły. Korespondencya stawała się coraz rzadszą, mniej jasną, niezrozumiałą, zawikłaną. Z pism możnaby się było domyślać, że interesa szły bardzo źle — i że chyba tajono jakieś katastrofy. Floryan smutniał, niecierpliwił się, gniewał.

Na dobitkę do kłopotów okazało się przy sprawdzeniu terminu paszportu, na który przy wyjeździe nie zważano, że wydany był na kilka miesięcy, i już się kończył. Lecz że prawo toleruje przez lat kilka takie przeciągnięcie — niewiele na to zważano.



Dnia jednego gdy Małdrzyk rano, za ledwo się ubrawszy, wybierał na miasto, ujrzał wchodzącą do mieszkania nieznaną sobie figurę, która z lisim, szyderskim, złośliwym uśmiechem, z niezmierną grzecznością wcisnęła się i patrzyła mu w oczy, jakby naumyślnie ociągając z zaprezentowaniem się.

Postać i fizygnomia były tak w swoim rodzaju szczególne, iż łatwiejby je odmalować niż opisać.

Wojskowego coś, urzędniczego, typ starty i niewyraźny — postawa wymuszona i sztywna, ruchy wyuczone, ubranie tylko wielką ilością wstążeczek w pętlicy się odznaczające.

Gdy się krokiem cichym sunął raczej niż zbliżał ku p. Floryanowi, wyglądał jakby zacząwszy się wprzód — chwycił go nagle na uczynku.

Otwierające się usta uwydatniły brzydkie zęby, i wyraz twarzy szatańsko zły, lubujący się w zadaniu komuś kłopotu — w sposób słodziuchny i zwiększający jeszcze przykrość.

Mówił po francuzku, głos był stłumiony, ciągle szyderski.

— Pan Floryan Małdrzyk? — zapytał.

— Tak jest — odparł gospodarz.

— Mam honor się mu zaprezentować, komisarz nadzorujący obcych (Fremden-Comissar).

Nie potrzebował wymawiać nazwiska, które powszechnie było znane.

Floryan się skłonił.

— Z obowiązku chciałem zrobić znajomość.

Małdrzyk wskazał krzesło.

Komisarz nie siadając, począł się po mieszkaniu rozglądać ciekawie.

— Bardzo wygodny lokal? nieprawdaż? — spytał ciągle się sam do siebie śmiejąc, bo mu robić musiało przyjemność widzieć pomieszczenie Floryana.

Ale musi pana drogo kosztować?—dodał.

— Nie tak bardzo—rzekł sucho Floryan, który zaczynał się chmurzyć, bo mu się wizyta nie podobała.

— Długo tu panowie myślą bawić?—ciągnął dalej komisarz—bo wiem, że pan ma towarzysza... Jordan Klesz? wszak tak?

— Bardzo dokładnie pan jesteś uwiadomiony —przebąknął Floryan.

— To mój obowiązek — szydersko kończył przybyły.—Muszę wiedzieć czem się kto zajmuje, gdzie bywa, a nawet czy ma fundusz do utrzymania się.

Odchrząknął.

Rumieniec okrył twarz Floryana, który drgnął oburzony tą indagacją. Bystre wejrzenie gościa dostrzegło tego poruszenia i śmieszek stał się jeszcze zjadliwszym.

— Pan daruje — rzekł uniżenie się kłaniając —iż go inkomodowałem.

Skłonił się, wizyta była skończona, skierował się ku drzwiom i zniknął.

Małdrzyk stał długo nie mogąc przyjść do siebie. Odwiedziny te miały jakieś znaczenie, ale jakie? odgadnąć nie umiał.

Począł wołać głośno Jordana, o którym wiedział, że był jeszcze w domu. Niezwykły ton i natężenie głosu, przstraszyły Klesza, który wybiegł bez surduta, wydając się ze swą kolorową, i nieświeżą koszulą.

Szybko, niecierpliwie Małdrzyk opowiedział mu o tych odwiedzinach—zapytując go: Co to ma znaczyć?

— Zdaje mi się, że to poprostu zwykła tym panom chętka zrobienia przykrości, a może—dodał Jordan—jakaś grzeczna przestroga. W ciągu dnia będę się starał dowiedzieć.

Floryan, który był do zbytku wrażliwym, wyszedł jak struty.

Jordan narzuciwszy surdut na siebie udał się do pani Herzowej.

Zobaczywszy go gospodyni z twarzą strwożoną, pobiegła naprzeciw.

— Co u panów robił komisarz? — zapytała z widoczną obawą.

— Właśnie ja pani się o to pytać chciałem.

Ober-kontrolerowa zwiesiła głowę i ruszała ramionami.

— Albo ja wiem! Co ja wiedzieć mogę — rze-

kła.—Wystaw pan sobie, był i u mnie. Rozpytywał się o panów, o sposób ich życia, o wydatki, o osoby, które do nich przychodzą.

Ale ja tych panów nie znam.

Coś w tem jest! Mianożby panów oskarżyć o co?

Jordan śmiać się zaczął.

— Ale o cóż?

— Nieprzyjemna rzecz!—dodała Herzowa.— Zapytywał mnie z jakimś przekazem o córkę też? W tem coś jest!—powtórzyła z niechęcią.

— Jakże się pani zdaje? coby to być mogło— odezwał się Jordan spokojnie.— Ani mój przyjaciel ani ja nie poczuwamy się do niczego.

Wdowa westchnęła ciężko. Myślała chwilę, spojrzała na kalendarz ruchomy, wskazujący ostatnie dni miesiąca, utarła nos, odchrząknęła i zbliżając się do Klesza odezwała się zmienionym głosem:

— Prawdziwie mi przykro, ale tyle mamy wydatków, niech pan daruje i będzie łaskaw hrabiemu przypomni (tytuł ten uparcie się utrzymywał), że zmuszona jestem prosić go o zaległą należność za lokal.

Jordan się skrzywił.

— Będiesz ją pani dziś jeszcze miała—rzekł z chłodną dumą—a jeśli pani pilno, ja założę.

Jordan sięgnął do sakiewki, Herzowa popa-



trzała nań z jakimś wahaniem, zaczerwiniła się i zaczęła przeproszać.

— Tyle bo mam tych wydatków.

Klesz nic od niej się nie dowiedziałwszy i wyrozumiewając tylko, że coś przecie spowodować musiało odwiedziny komisarza—poszedł do Filipa.

Lecz do niego się docisnąć o tej godzinie ranej w pracowni, która szczególnie dla podawania potomności rysów kucharek, pokojówek i ich *sza-ców* (kochanków) była ufundowaną, a te w tym czasie wycieczek na miasto najwięcej się z głaszają—w godzinie tej było trudno.

Fotograf, u którego Filip pracował robił pono niezłe interesa, ale fotografie niedobre.

W Saksonii wszystko co jest obrachowanem na masy, przystępnem dla nich, wiezie się najlepiej. Tu też niezmiernie mało jest zakładów zbytłowny towar sprzedających, a te są dla cudzoziemców tylko przeznaczone.

Najwięcej zarabia piwiarnia, w której i mini-ster i wyrobnik za dwadzieścia fenigów chłodzą się gambrynusowym nektarem; najlepiej też stonsunkowo wychodzi fotograf, który tanio, z prosta odbija na papierze kucharki i żołnierzy.

Kilku nadwornych fotografów, każe sobie płacić drogo, produkuje arcydzieła — lecz sława ich nikogo nie ściąga, bo tu pierwszym warunkiem—taniłość.

Chlebodawca Filipa był jednym z tych skromnych profesjonistów, który na ludek rachował— i na liczbę.

Roboty więc tu, choć niewytwornej było dużo i nieustanna. Cisnęły się kucharki z koszykami w rękę w towarzystwie wojskowych.

Filip biegał spocony, zajęty, nie mając czasu słowa przemówić—i, mimo najlepszej chęci, Jordana na godzinę wieczorną odprawił.

Trzeba było czekać na nią.

Klesz znalazł się w maleńkiej uliczce, przy której mieściła się pracownia, o godzinie w której zwykle wychodził, wziął go pod rękę i wyprowadził na sąsiednią Bürgerwiese.

Opowiedział mu ranną przygodę, której Żyrmuński wysłuchał krzywiąc się.

— Nie wiem co to w tym razie ma oznaczać — rzekł—ale zwykle tłómaczy się to tem, że albo cudzoziemiec jest podejrzany pod względem politycznym, lub nie dowierzają kieszeni jego i obawiają się niewypłatności.

— Ale my, zdaje mi się—zawołał Jordan — żadnych długów nie mamy. Pieniędzy jest niewiele, lecz Floryan się ich spodziewa co chwila.

— Zatem, pierwszeństwo!—odparł Filip.

— Prawdą a Bogiem, mój kochany — rzekł śmiejąc się Jordan — mój poczciwy Florek i pod tym względem czysty jest. Być może, iż go ogadano, że było jakieś podejrzenie niesłuszne, lecz

miano czas się przekonać o jego bezpodstawności. Nie rozumiem.

— Ani ja—dodał Filip—ale w końcu być też może, iż wizyta jest wprost tylko złośliwego człowieka, zabawką. Indywiduum to, europejskiej sławy, znane jest ze swych fantazyj.

Gdy po rozmowie z Filipem, Jordan późno już wrócił na Christianstrasse, zastał okna oświecone i gości w domu zebranych na herbatę i wista.

Był to dzień, w którym zwykle Małdrzyk przyjmował. Nie umiał on utrzymać w sobie doznanej przykrości, wygadał się przed przyjaciółmi i, gdy Klesz wszedł, zastał ożywioną rozmowę o panu komisarzu. Znali go wszyscy—odwiedziny nie były bezprzykładne, nie przywiązywano do nich wagi.

Hrabia Trzaska, który należał do klubu przy Krzyżowej ulicy, składającego się z dyplomatów i szlachty — i mówił, że się tam czasem z ministrem Beustem spotykał — obiecywał mu się poskarżyć na to postępowanie komisarza.

Opowiadano anegdoty o nim.

Ubogich ludzi pozbywał się z miasta różnemi sposobami, a obchodził się z nimi nielitościwie, często grubiańsko.

Beust pono, gdy się przed nim uskarżano, ramionami potrząsał, usta krzywił, ręce rozpościęrał szeroko i milczeniem do zrozumienia dawał, iż na to poradzić nie mógł.

Zwolna też wielka w początku ilość przybywających tu rodaków, znacznie się zmniejszała.

Powieść o rannych odwiedzinach, pomimo że ją lekceważyć się zdawano—dziwnie jednak zwarzyła i ostudziła nowych przyjaciół pana Floryana. Daleko wcześniej niż zwykle zaczęli spoglądać na zegarki, dokonczyli śpiesznie wista i porozchodzili się.

Jordan powtórzył treść tego o czem się dowiedział od Filipa.

Następnego dnia, gdy swoim zwyczajem, poszedł Małdrzyk dać dzień dobry pięknej Linie, znalazł i ją zasepioną i bardzo ostygłą. Robiła pończoszkę wzdychając i nie patrząc na niego.

W kwaśnej i przerywanej rozmowie kilka razy powtórzyła—jako, w terażniejszych czasach nikomu wierzyć nie można, bo ludzie się sprzedają za to, czem w istocie nie są.

Florek, który z nią zwykł był żartować i wesołe tylko prowadzić pogadanki, obrócił i to w żart.

Matka pani Liny, chodziła też posepna, i—tego dnia, nastęczała się zbytnio, przeszkadzając miłej rozmowie. Popsutego humoru nie mógł być jednak przyczyną pan Floryan, bo komorne, z dodatkami, wczoraj jeszcze zapłacił.

Wszystko to razem wzięte i brak wiadomości z domu, zaczęło wpływać na usposobienie p. Floryana i czynić go coraz smutniejszym.



Na stolyczku przy jego łóżku stała fotografia Moni— wpatrywał się w nią z tęsknotą, z coraz większym niepokojem.

Listy Lasockiej, choć pisane oględnie—dawały do myślenia. Nie zmieniono mieszkania w oficynie i pani Natalia na wyraźne żądanie brata nie odpowiedziała nawet.

W tych dniach przyszedł od niej list nowy: krótki, suchy, w którym oznajmywała o wyprawieniu trzechset rubli w miejsce żądanych dwóch tysięcy, wyrzucała mu marnotrawstwo i zapowiadała ażeby nie żądał nowej przesyłki, bo ani za pół roku mieć jej nie może.

Pismo to było jakby kroplą, która naczynie przepełniła.

Floryan wpadł w gniew niesłychany. W pierwszej chwili, chciał bądź co bądź—powracać. Jordan zaledwie go mógł pohamować.

Oczy mu się otworzyły. List siostry napisany był w takim tonie, jakby nie miano żadnego obowiązku względem Małdrzyka, a czyniono mu łaskę tylko.

Mniej może w tej chwili uląkł się Floryan o siebie, co o córkę. Wyrzucał sobie, że przez tchórzostwo dziecię naraził, i przyszłość jego mógł zachwiać.

Kleszowi z wielką trudnością przyszło ukłysać go, uspokoić nieco i doprowadzić do chłodnego rozważania—co czynić należało.

Małdrzykowi, który ani do oszczędności ani do pracy, nigdy w życiu nie był nawykłym — przewidywanie samo położenia, w którym oboje stać się mogło koniecznością, było przerażającym.

Widząc go w tym stanie podrażnienia, Jordan w pierwszej chwili powziął myśl powrócenia do kraju, dla widzenia się osobistego z Kosuckimi; lecz wprędce rozwaga przyszła, że on tam zrobić nic nie mógł, nie miał prawa, a Floryana opuścić samego, było to narazić go na nieochybne zwichnięcie, na moralne zwątpienie i upadek.

Wstrzymał się więc z tem aż do czasu gdyby zrozpaczyć mieli, i ten jeden ostatni krok pozostawiał.

Małdrzyk wrażliwy do zbytku, miał naturę ludzi słabych, gwałtownie odczuwał wszystko i zrazu, równie łatwo zapominał, tłómaczył sobie na lepsze, chwycił się najniedorzeczniejszych nadziei.

Nazajutrz, po wyprawieniu nowych listów, znalazł go Jordan spokojniejszego znacznie, a, co dziwniej, usiłującym wczorajsze wrażenie nowym wykładem listów zatrzeć i kłam mu zadać.

---

Tak stały rzeczy, gdy jednego wieczora, figura obrzękła, z zaczerwienioną mocno twarzą,

świadczącą o używaniu niepomierneń Reisewit-  
skiego, Feldschösscheńskiego i Pilznieńskiego  
piwa — niewyraźnie coś bełkocząca pod nosem,  
przyszła wręczyć dwie napół drukowane, pół pi-  
sane karteczki, pieczęcią urzędową opatrzone.  
Zapalono świece aby wydecyfrować o co cho-  
dziło.

Prezydujący w wydziale policyi wzywał obu  
panów aby się stawili nazajutrz w biurze cudzo-  
ziemców, drzwi X., o godzinie jedenastej rano.

Floryan przeczytawszy to zaproszenie zmie-  
szał się niem bardzo, zgryzł, posmutniał, przewi-  
dywał już, że przez całą noc spać nie będzie.

Jordan wymknął się do kontrolerowej, aby  
się o czemś od niej dowiedzieć. Stosunki z gospo-  
dynią, a zwłaszcza z piękną Liną, od niejakiego  
czasu znacznie były ochłodły. Zdawało się, iż  
kobiety miały jakieś instynktowe przeczucie, że  
pieniądze z kraju przywiezione się wyczerpywa-  
ły, a nowe fundusze nie nadpływały. Śledzono  
postylionów przychodzących z listami. Piękna  
Lina była smutną.

Floryan, który zachodził do niej, jak dawniej  
na gawędkę z cygarem, nie znajdował już ani u-  
śmiechu na ustach, ani tych słodkich wejrzeń me-  
lancholicznych, jakimi go dawniej darzyła.

Wezwanie policyi do stawienia się pani Her-  
zowa znaczącem poruszeniem głowy powitała,

spojrzała na córkę, minę zrobiła nieokreślonego wyrazu.

— Kto to może wiedzieć, czego od panów chcą?—rzekła—albo o paszport idzie, albo może... (tu przerwała sobie, poruszyła się żywo i dokończyła). Ja tych rzeczy nie rozumiem.

Nazajutrz przed jedenastą jeszcze niecierpliwym p. Floryan z Jordanem razem, błędził około dawnego pałacu Coelów, przy Frauenkirche. Usłużny policyant chcącym wniknąć objaśnił, że było dopiero trzy kwadranse na jedenastą, i że punkt o godzinie naznaczonej stawić się dopiero mogli we drzwiach, które im ukazał. Tak chciała forma i prawo.

Dnia tego prawdopodobnie jakaś *razzia* przedsięwziętą być musiała przeciwko ziomkom pp. Floryana i Jordana, gdyż kilku, znanych tylko z widzenia zobaczyli wychodzących z tych samych drzwi X., prowadzących do kancelaryi panna komisarza.

Biła jedenasta gdy, niecierpliwym, z twarzą rozpaloną, Małdrzyk wszedł do szczupłego pokoiku, jednym oknem oświetlonego, w którym biurko papierami zarzucone, krzesło i sofka, były całym umeblowaniem.

Przy biurze schylony siedział znany komisarz, ale *quantum mutatus ab illo*. Owego złośliwego uśmiechu śladu na jego twarzy nie było. Nachmurzony, posepny, zły—tu już pamiętający tyl-



ko o tem że był wszechwładnym urzędnikiem — p. komisarz za ledwie na ukłon małym skinieniem głowy odpowiedzieć raczył.

Wziął najprzód kartkę z rąk Małdryka, wpatrzył się w nią, srożej jeszcze brwi ściągnął, usta wydał, i siedząc w krześle, nawpół obrócony do stojącego przed nim — delikwenta, (bo w istocie Floryan wyglądał na obżalowanego, a biurokrata na sędziego) odezwał się ostro i krótko:

— Środki utrzymania W Pana?

Floryan osłupiał, nie umiał odpowiedzieć. Niezrozumiany komisarz, żywiej i z wymówką, dodał:

— Proszę mi pokazać fundusze? Władza żąda od pana, abys pieniądze jakie masz... ukazał i — i dał słowo, że one do niego należą.

— Ale cóż za powód? — począł Floryan zmięszany.

Ostro i niegrzecznie komisarz zaczął gniewając się i bijąc ręką o biurko:

— Władza nie ma powodu się panu tłumaczyć z tego co czyni! Nasze przepisy tego wymagają, pokaz pan pieniądze.

Małdryk nie był do tego przygotowanym, lecz że zwykle nosił w pugilaresie paręset rubli (ostatnich), wyjął je milcząc i rzucił na biurko, nie chcąc się wdawać w rozmowę dalszą.

Komisarz ręką je rozsypał, oczyma policzył.

— Są pańską własnością?—zapytał grubiańsko.

— Tak jest—rzekł Małdryk sucho.

— Słowo?

— Zdaje mi się, że już powiedział.

Komisarz mruczając coś popchnął pieniądze ku właścicielowi, który je zgarnął i nie mówiąc nic, głowę zwrócił do Jordana, który już co miał przy sobie nagotował.

Taka sama formalność, lecz krócej i prędzej odbyła się z Jordanem, komisarz zanotował coś na papierku i głową kiwnąwszy, jakby mu nader pilno było, zawrócił się już do stojącego w progu, nowego delikwenta.

Rozmówić się z nim — ani mieli sposobu, ani ochoty.

Floryan wyszedł upokorzony, milcząc, z głową spuszczoną.

O kilka kroków od bramy spotkali Filipa.

— Cóż i ty wezwany jesteś?—zapytał Jordan.

— A wy?

— Wystaw sobie — krzyknął oburzony Floryan—co zaszykana!! każą pokazywać fundusze!

— A! to jeszcze nic—rzekł smutnie Filip — ja, który się paszportem prawnym wykazać nie mogłem, podlegam daleko cięższej kontroli. Nie tylko muszę co miesiąc tłumaczyć się z tego co będę jadł.. ale — nie mam zapewnionego dłużej pobytu nad dwa do czterech tygodni, poczem

kartę moją odnawiać muszę. Zły humor komisarza, który bywa często kwaśnym, może mnie jutro zmusić... do wyniesienia się—w świat szeroki.

— Jakto? i nie ma wyższej instancyi? odwołania się, skargi?—zawołał Małdrzyk.

— Nie wiem przynajmniej przykładu aby coś mogło zaradzić temu — smutnie bąknął Filip.— Jesteśmy na łasce i niełasce. Sasi są w obawie naprzód o własny spokój od czasów jak im go Bakunin zakłócił — powtóre o to aby ktoś od nich nie potrzebował... kawałka chleba. Biednych wytrącają bez litości.

Filip, którego karta pobytu wyszła była, biegł prosić o jej odnowienie i pożegnał Floryana i Jordana, w milczeniu powracających do domu na Christianstrasse.

Kleszowi zdawało się, że, choćby przykrość miał zrobić przyjacielowi, rozmówić się z nim otwarcie, pora przyszła.

— Słuchaj, Florek—rzekł—trzeba mieć mężstwo, temu co sobie zgotowaliśmy czy los nam zgotował mężnie zajrzeć w oczy — i — póki czas do położenia się zastosować. Ty żyjesz złudzeniami. Człowiek powinien, aby się nieomylił w rachubie, liczyć zawsze na najgorsze nie—jak ty—na najlepsze.

Małdrzyk chciał przerwać.

— Daj mi mówić naprzód—odezwał się Jordan.—Cierpliwości chwila. Żyjesz na takiej sto-

pie jakby ci Kosuccy regularnie mieli przysyłać coś sobie zakreslił. Widzisz już że, bądź co bądź, oni albo się opóźnią lub całkiem chybią. Nie wchodzę w powody.

Potrzeba więc natychmiast kucharkę odprawić, służącego odesłać do domu, wzięść dla siebie jeden czysty i porządny pokój, ja się sobie gdzieś i na poddaszu umieszczę, o mnie nie ma mowy. Stół w Hôtel de France dwuzłotowy wcale jest znośny.

Małdrzyk słuchał nie zdając się ni słyszeć ni rozumieć, konwulsyjnie mu się twarz krzywiła.

— Jordek, do tej ostateczności nie doszliśmy jeszcze — zawołał. — Prawda, byłem nieopatrzny nieco, wyszastałem trochę tego głupiego grosza — ale dziś — wobec tych wszystkich rodaków, z którymi się tu zawiązały stosunki — tak się skompromitować.

— Co za kompromitacya! — krzyknął Jordan zapalając się. — Na Boga! Ubóstwo noszone jawnie i z podniesionem czołem jedna szacunek — udawany dostatek nikogo nie oszukuje, a, jak wszelkie kłamstwo, robi ujmę człowiekowi.

— Romanse! — rzekł głosem stłumionym Floryan. — Jak cię widzą, tak cię piszą. Musiałbym wyrzec się wszelkich stosunków.

— A pał ich djabli stosunki, do których kwalifikacyą jest majątek i nie uczciwość — zawołał Jordan. — Z tych stosunków innej korzyści nie



masz, oprócz że u ciebie jedzą, piją i ogrywają cię w karty.

Floryan otarł pot z czoła.

— Rachujmy—spiesznie dodał Jordan. —Kasa twoja cała wątpię, żeby nad trzysta rubli wynosiła.

— Trzaska mi winien z pięćdziesiąt! — mruknął Małdrzyk.

— No! będziesz je widział! — uśmiechnął się Jordan—te możesz pożegnać. Potrzebujesz przy dzisiejszym trybie życia więcej niż połowy tego co masz na miesiąc. Pieniędzy z Lasocina nie obiecują. Na Boga! Floryanie...

— Znajdę kredyt!—syknął Małdrzyk—dajże mi pokój, zlituj się. Przecież z Lasocina w najgorszym razie na jakie pięć tysięcy rubli liczyć mogę.

Jordan gorzko śmiać się zaczął.

— Poczciwze ty mój—zawołał—pamiętaj, że srodków prawnych do zmuszenia ich aby ci płacili nie masz żadnych, że oni cirachunki przedstawiają jakie zechcą. Gdyby przyszło przez przyjaciół znagłać, upominać się—na to czasu potrzeba.

— Znajdę kredyt! — odparł powtórnie, lecz z wyrazem rosnącej niecierpliwości Małdrzyk.— Proszę cię temi przepowiedniami nie dobijaj mnie, zlituj się.

Klesz uściskał go w milczeniu.

— Wiesz Florku—rzekł—kocham cię nie jak

brata, ale jak dobroczyńcę, jak ojca. Krew moją dałbym aby ci ły oszczędzić. Ja na ten tryb życia twego patrzeć nie mogę, ten chleb, który u ciebie jem gorzkim mi jest niewymownie. Pozwól mi, abym się wyniósł i myślał o sobie. Służyć ci będę, być ciężarem — nie mogę.

Małdzykowi ły stanęły w oczach.

— Jordku mój — zawołał — jeżeli ty mnie kochasz, nie opuszczaj mnie. Opłacasz mi ten chleb, który z tobą łąmię, radę, pociechę, samą przytomnością twoją.

Patrząc na ciebie łądżę się czasem żeśmy tam, — razem.

Nie dodawaj mi jednej więcej tęsknoty, gdy ciebie nie będę czuł przy sobie.

— Florku, potrzeba być mężnym — przerwał Jordan — słabych los gniecie — odwagi.

Zrób o co proszę. Wymów mieszkanie, wynośmy się.

— Nie mogę, jeszcze nie mogę — złamanym głosem dodał Floryan. — Pozwól mi, pofolguj, czas jakiś, zobaczysz... Znajdę środki.

Klesz, który pierwszy był zrobił już kroki sądził, że starczy on za wyłom w twierdzy, ulitował się nad przyjacielem i — umilkł.

Małdzyk oddalił się do swego pokoju, zapalił cygaro, tarł czoło i przechadzał się niespokojnie.

Posłał Pawelka po Cymerowskiego. Wierny ten w początku słuźka Floryana, po wyciągnięciu

od niego kilkudziesięciu talarów i—szczególniej, po ukazaniu się Filipa na Christianstrasse — rzadkim tu bywał gościem. Pawełek miał polecenie prosić go, aby przybył natychmiast.

Jakoż przyprowadził ze sobą pana Cymerowskiego, który począł od progu tłumaczyć się dla czego od tak dawna się tu nie pokazywał. Dziecko mu było chore, doktorowie i apteka kosztowali niezmiernie, kłopoty miał wielkie.

— Mój Cymerowski—odezwał się, niebardzo słuchając tłumaczeń Małdrzyk—prosto z mostu ci mówię o co mi idzie. Spóźniły mi się pieniądze z domu. Zawczasu chcę na to radzić. Nie wiesz gdziebym mógł pożyczyć?

Oblicze Cymerowskiego ściągnęło się dziwnie—stał milczący długo.

— Pożyczyć?—powtórzył. — Mnie się zdaje, że chyba u jednego ze znajomych... ale, dalipan, u którego—nie wiem Co się tyczy tutejszych...

Pokręcił głową.—Lombard pożyczają ale na zastawy, a lichwiarze... na wysoki procent, i to potrzeba poręczyciela miejscowego, znanego. O! z tem pożyczaniem—westchnął—kłopot tu nie mały. Niemcy są trudni, a drą jak żydzi. Broń Boże godzina minie, weksel protestują i bieda.

Nie, nie—ja radzę, niech pan, u którego z przyjaciół się postara. Nabab ma pieniądze.

— Ale bo to przykra rzecz prosić—wyjąknął Floryan.—Pilno mi tak bardzo nie jest. Pomyśl

— Co tu myśleć — zamruczał Cymerowski— ze wszystkich rzeczy w Dreznie o pieniądź najtrudniej. Na pierwszą hypotekę ja panu dostanę na półpięta procentu, choćby na milion, a na słowo—grosza trudno. A! ci niemcy, proszę pana.

Z Cymerowskiego po godzinnej gawędzie nie nad mnóstwo smutnych przykładów golizny, wyciągnąć nie było można. Zgryziony Małdrzyk odprawił go. Chciał koniecznie dowieść Jordanowi podobieństwo i łatwość kredytu, wyobrażał go sobie możliwym, łamał głowę.

Pod wieczór poszedł z wizytą do Nababa.

Zastał go we wspaniałym apartamencie, który zajmował przy Bürgerwiese, w szlafroku złocistym, z cybuchem niezmierniej długości i z tym tonem protekcyjnalnym, który go nie opuszczał nigdy.

Głoszono go bardzo bogatym, tracił bardzo wiele, a pańskość ta wyglądała jakoś na zapożyczoną i udawaną. Ccś dorobkowniczo było w prozopopei Nababa, oprócz tego umysłowo wielce ograniczonego.

Jak zawsze Nabab nie znajdował się sam,— doskonale doń dobrany pod względem zdolności, dworujący mu Myśliński zabawiał go.

Przyjęli p. Floryana dosyć zimno. Od niejakiego czasu chłód ten postrzegał u wszystkich.

Przesiedziawszy tu z pół godziny, nasłuchawszy się nedorzecznych i bałamutnych plotek,



Małdrzyk wyszedł zgryziony. Nie było sposobu żądać tu pożyczki.

W drodze przyszła mu myśl inna. Miał przyjaciół w kraju, niektórzy z nich byli majątni. Były marszałek Lubicki, stary wdowiec, mający kapitały, częsty dawniej gość w Lasocinie—mógł mu z łatwością przyjść w pomoc.

Floryan napisał do niego, list wystylizowany zręcznie, lekki, niezbyt nalegający, o krótkoterminową prosząc pożyczkę, którą Kosucy mieli wprędce zapłacić.

W przypisku dodał, że tych parę tysięcy rubli pragnąłby mieć—jeżeli możliwa — odwrotną pocztą.

Jordanowi naturalnie nie powiedział o tem.

Z nicierpliwością liczył dni, oczekując odpowiedzi. W najgorszym razie spodziewał się ją mieć za dni kilkanaście, a o skutku nie wątpił.

Jakoż nie zawiódł się, Lubicki, który go znał zamożnym i słownym, a obrocie nowym interesów nie wiedział, wyprawił weksel na bank Kasziela, naówczas najznacniejszy tu, prawie jedyny, a Floryan natychmiast sobie pieniądze kazał wypłacić.

Z niemi razem powróciła mu dawna pewność i wiara w siebie, humor—buta.

Jordan, który o liście i wekslu nie wiedział, niezmiernie był zdumiony. Nazajutrz po

otrzymaniu wypłaty, Floryan zaprosił wszystkich znajomych nie już na herbatę i wista, ale na sutą z szampanem wieczerzę.

Posłyszawszy o niej, Klesz aż pobladł.

— Ale mój Florku, to naprawdę szaleństwo —zawołał.

— Cóż to, myślisz, że nie mam pieniędzy?— odparł śmiejąc się i pugilares dobywając z kieszeni Małdrzyk.—Patrz, licz!

Jordan odtrącał ręką.

— Nie, nie, wymagam tego, licz.

Tryumfował Małdrzyk widząc zdumienie przyjaciela.

— Otóż to tak się konfuduje czarno wszystko widzących pesymistów.

Milczący Klesz, ani się dopytywał o źródło— był pewny zaciągniętej pożyczki i ta go stworzyła, zasmuciła. Obawiał się najgorszych następstw.

Wieczór był—świetny!

Hr. Trzaska wesołością i dowcipem ożywił wszystkich, Nabab—pił i jadł doskonale, nawet Myśliński był ożywiony, i puszczał się w rozmowę, z której nigdy cało nie wychodził.

Wieczór ten—stosunki z gospodynią i piękną Liną znacznie poprawił. Kobiety obie, ostygłe niedowierzające, znowu się stały uprzejmymi bardzo.

Lina nazajutrz podniósłszy oczy na p. Flo-

ryana, westchnęła i zaczęła mu robić wymówki, że jej towarzystwo już mu się naprzykrzyć musiało—gdyż... rzadko teraz przychodzi.

— Zdawało mi się — odparł Małdrzyk — że chyba ja panią nudzę, bo przestałaś być na mnie łaskawą.

Wdowa uśmiechnęła się dwuznacznie — coś przebąkując o płochości mężczyzn i t. p.

Rozmowa, jak za lepszych czasów, zadziergnęła się żywo. Niemka szczególnie niebieskiemi oczyma mówiła wiele. Floryan rozbudzony bezkarnie brał za rączki — duże i nieładne, zbliżał się, poufalił. Mama, choć podglądała, nie protestowała i nie stawała na zawadzie. Dosyć, że dnia tego przyszło do kradzionego niby całusa, do szeptów poufałych i pan Floryan zasiedział się tam do późna.

Gdy nucąc coś powrócił do swojego pokoju, obok Jordana i zajrzał do niego, zastał z nogami do góry, wedle amerykańskiej metody, dumającego nad Montaignem.

— Myślałem, że zanocujesz u pani Herzowej?—rzekł z przekąsem.

— Ah! zagadałem się z tą Liną! — zawołał wesoło Floryan.—Wiesz, niepojęta dla mnie zagadka ta niemka, jak wszystkie kobiety, choć miałem ją za naiwną. Raz zimna jak lód, to znowu czuła i przymilająca się, że—człowieka djabli biorą. Nie rozumiem.

— Ba!—odparł pomrukując Jordan— dla mnie to rzecz jasna.

Ja wcale nie wiedziałem że ci pieniądze nadeszły — a one musiały to dośledzić. Nic tak nie rozczuła ich jak przekonanie, że ideał ma pieniądze.

P. Floryan drzwi zatrzasnął

---

Nadeszła wiosna. Lipy na Brühlowskiej terasie miały już zieleniejące pączki, wielki ogród balsamiczną wabił wonią. W miniaturowych ogródkach przed domami kwitły krokusy i dobywały się tulipany. Wszędzie widać było żywe zajęcie około drzew i grządek. Wielką Paulownię, na zimę zawijaną w słomę, a pomimo to często przemarzającą, gotowano się rozpowić — ale do maja nad Elbą, do Serwacego, Pankracego i Bonifacego, nikt nie zaręczy, że mróz odpędzony nie powróci.

Tak samo jeszcze wstrzymywano się z podejmowaniem tych pudełek drewnianych, które okrywają na zimę marmury i chronią je od słoty i sadzy.

Lecz... kwiecień miał się ku końcowi, śnieg zdawał się niemożliwy, mróz chyba bardzo lekki mógł grozić.

Razem z nadchodzącą wiosną, wszyscy co zi-



mę spędzali w Dreźnie, snuli już projekta, dokąd ztąd na nieuchronną wilegiaturę, na jaką kuracyę, do których wód jechać mieli. Dreźnie na lato, jak zawsze, trochę opustoszeć miało. Panie ober-kontrolerowe, registratorowe i inne meblowanych lokalów właścicielki wzdychały. Z tej ogólnej reguły, z tego zatruwającego wiosnę utrapienia i pani Herzowa nie była wyjąta.

Chwilowa rehabilitacya jej wiernego lokatora, znowu ustąpiła podejrzliwości i smutnym rozmyślaniom.

Dla wielce przenikających i odczuwających każdą zmianę niewiast, coraz jawniejszem było, że p. Floryan mógł nie tak w istocie być bogatym jak go sobie wyobrażano.

Tracił wprawdzie po peńsku, z nieopatrznością nader szlachetną czy nader szlachecką, ale z kraju nie nadsyłano jak należało. Pani Lina utyskiwała znowu, że nikomu na świecie ufać nie można.

Zbliżyła się bardzo do p. Floryana, tak że Jordana razić to zaczynało i niepokoić — gdy jakieś symptomata wycieńczenia znowu ją odepchnęły. Smutna była bardzo. Wyznawała przed matką, że polak ten podobał się jej, był jej miłym, że zawarłaby z nim chętnie trwalsze stosunki i gotową była poświęcić mu się, a życie osłodzić — lecz — bez pieniędzy??

Przysłowie niemieckie powiada nawet, że u-

czucie się kończy tam, gdzie się kwestya finansowa zaczyna.

A i biedny wygnaniec, nie miał już wielkiej ochoty do rozrywania się lekcjami języka niemieckiego, dyalektu saskiego, których mu udzielała piękna Lina. Chwilowe jego ożywienie i rozweselenie ustąpić musiało pod naciskiem coraz smutniejszej rzeczywistości.

Niestety — wszystko co przeczuwał i przepowiadał prorok, ów złowrogi Jordan, powoli się sprawdzało. Kosuccy zmienili zupełnie ton wradkich korespondencyach, które jeszcze od nich przychodziły czasami. W ostatnim liście pani Natalia wyraźnie dawała do zrozumienia że z Lasocina, ściśle obrachowawszy, p. Floryan niewiele się mógł spodziewać, a to co mu należećby się okazało, przez sumienie musieli dla Moni zachować.

Marszałkowi owych pożyczonych parę tysięcy rubli wręcz oddać odmówiono.

Lasocka pisało coraz wyraźniej uskarżając się na zaniedbanie wychowania Moni, na brak pierwszych potrzeb—sukienek i trzewiczków, na niedostateczne nauczanie guwernantki, a raczej bony, która przy dzieciach Kosuckich była— a jak z łaski przychodziła do biednego dziecka.

Tej straszniejszej coraz rzeczywistości, groźnej, nieubłaganej, oczywistej, już nawet Mał-

drzyk zaprzeczyć, ani grozy położenia złagodzić nie umiał.

Jordan naglił, prosił, zaklinał. Postanowiono od maja wymówić mieszkanie na Christianstrasse, Klesz miał się przenieść do Filipa—Pawełek odjechać do domu.

Obliczywszy co się po opłaceniu dłużków tu i owdzie pozostać mogło — Małdrzyk miał zaledwie tyle by ubogo i nader skromnie, przy oszczędności, do której nie był nawykłym, przebiedować parę miesięcy.

Niemal wypowiedziana już wojna przez siostrę i szwagra, w sposób tak cyniczny, iż mu prawne posiadanie Lasocina przypominali i wyzywali go niemal aby zaprzeczył, iż się zrzekł wszystkiego —do reszty przygnębiły Małdrzyka. Pozostawał mu jeden środek tylko, domaganie się jakiegoś sądu honorowego, przy wyjaśnieniu całej sprawy o której Jordan był uwiadomiony najlepiej : mógł pod przysięgą świadczyć, że sprzedaż była kondyktową.

Chociaż w skuteczność tego kroku nie wierzył Klesz, lecz na wezwanie przyjaciela ofiarował się z listami jego jechać do kraju.

— Ci co cię w sposób tak niegodziwy zawiedli — mówił—mogą i mnie równie niecnemi środkami się pozbyć. O siebie mi nie idzie, lecz żebym mógł co zrobić — bardzo wątpię. Bądź co bądź, pojedę.

Nie było nad to innego ratunku — Małdrzyk łudził się znowu. Chciał naostatek aby mu i córkę oddano i ten majątek, który pod pozorem zachowania dla niej, zatrzymywano. Bujna fantazyja jego snuła już plany nabycia ziemi na Szlązku—i gospodarowania.

Jordan zaczął się w podróż wybierać, chciał jednak wprzód o Floryana być spokojnym, umieścić go gdzieś w bezpieczniejszym lokalu, urządzić mu życie, obrachować wydatki i widzieć jak Małdrzyk z tą zmianą bolesną i upokarzającą się pogodzi.

Pani ober-kontrolerowa była zapewne już przygotowaną do wypowiedzenia mieszkania— z panią Liną stosunki zupełnie prawie się zerwały. Unikając spotkania się z Małdrzykiem, piękna blondynka wyniosła się z córeczką do Loschwitz, do krewnych.

Matka wzięła na siebie ostateczny obrachunek z tym, którego już nawet hrabią nazywać przestała. Za poplamione dywany, popalone serwety, potłuczone lampy, i mnóstwo drobnych uszkodzeń podano registr tak olbrzymi, że Jordan oświadczył gotowość rozprawienia się o to na drodze sądowej.

Oburzona do wściekłości pani Herzowa, wyłajawszy go, zapowiedziała że zapowie sama. Wezwany na naradę Cymerowski, poufnie szeptał, że nigdy jeszcze w Dreźnie przykładu nie



było ażeby cudzoziemiec wygrał z sasem u saskiego sądu, choćby najsluszniejszą sprawę. Życzył układy lub poprostu zapłacenie co żądano. Potrzeba było brać adwokata, który dużo kosztował, a ostatecznie Cymerowski po przejrzeniu pretensyj, nie znajdował ich przesadzonemi.

Skończyło się więc na tem, że zapłacić musiano. Uszczupliło to fundusz p. Floryana, który wszystko teraz znosił z apatyą smutną.

Napadały go czasem gniewy szalone, a po nich jakaś niema rozpacz bezsilna. Jordan się za obu krzątał.

Nowa izdebka z przedpokojem wynaleziona przez niego w starym, niemiłym domu, zaniedbanym i brudnym, naprzeciw Mobren-Apotheke—wychodziła oknem na trochę zieloności i drzew. Było to całą jej zaletą, a z meblami lichemi, trzeba ją było blisko dziesięciu talarami miesięcznie opłacać. Usługę miała pełnić kobieta, która takich kwater kilka zamiatała rano i opatrywała wieczorami.

Rozstanie z Jordanem było smutne i milczące; Klesz jechał niebardzo pewnym będąc czy powróci; Floryan żegnał go nie pojmując jak sam jeden pozostać potrafi. Wprawdzie poczciwy, małomówny Filip, miał się do niego dowiadywać, lecz czasu miał zamało, aby przesiadywać, rozrywać i pocieszać.

Gdy po odprowadzeniu na kolej Klesza i wsza-

dzeniu go do wagonu trzeciej klasy, Małdrzyk do nowego swojego mieszkania powrócił — zbierało mu się równie na szal jakiś i na łyż. Dostał gorączki.

Miał przed oczyma upadek własny wypisany tak wyraziście na zbrukanych i odrapanych ścianach, nędznych sprzętach, żelaznym piecyku, nagiej podłodze, suficie niskim — na samotności tej i upokorzeniu, iż ani chwili łudzić się nie mógł — zapomnieć o nieszczęściu swoim.

Lecz zamiast starać się, radzić coś, szukać wyjścia, zająć pracę — biedny rozpieszczony człowiek bolał i wił się nie wiedząc jak podoła ciężarowi, który w latach już późniejszych, spadał na nieprzygotowanego.

Pod naciskiem konieczności, mieszkanie nowe, gdy je z Jordanem opatrywali, wydało się im znośne, dosyć spokojne, przyzwoite; teraz występowały wszystkie jego strony ujemne. W istocie dom stary, zrujnowany, posepny, miał w sobie coś odstrasającego, cichy był jak pustka, opuszczony jak ruina. Schody zużyte, sieni ciemne, przedpokój cuchnący — sam pokój Floryana zbliska mu się przypatrzywszy — miały coś w sobie więziennego, coś co o nędzy i ubóstwie mówiło.

Małdrzyk przywykły do elegancyi, do wygod, do czystości, do otoczenia poezją życia — dusił się w tem powietrzu i tych półmrokach zdających pokrywać pajęczyny i śmiecia.

Sługa, stara i nędznie ubrana, która mu przysła łożko posłać i lampę zapalić, klapiąca pantoflami, dotykająca rękami brudnymi jego rzeczy—taki w nim wstręt jakiś wzbudziła do nich, taką odrazę, że nie śmiał pomyśleć nawet o położeniu się do łożka.

Chciał noc spędzić w fotelu, lecz i ten zatłuszczony był i zużyty. Karafka z wodą, szklanka—wszystko na co spojrział, niepozornem mu się wydawało i podejrzanej czystości. Powietrze stało się dusznem. W gorączce tej zastał go nadchodzący Filip, któremu Małdrzyk z boleścią się nskarżać zaczął.

Fotograf nie mógł tego wziąć na seryo.

— Al!—rzekł spokojnie— to prawda, że ze wszystkich obrzydliwości ubóstwa najtrudniejszą do znoszenia jest nieczystość, towarzysząca nędzy i niedostatkowi—lecz i do niej nawyknać się musi gdy trzeba. Zresztą wody zawsze w studni dostać można.

Floryan łożko popodścielawszy własną bielizną z pomocą Filipa, pomywszy co się umyć dawało, rozmową trochę roztargniony—uspokoił się wreszcie.

Noc była pod wrażeniem wszystkiego co budziło obrzydliwości, ciężką do przebycia—Małdrzyk budził się, rzucał, i nad ranem dopiero usnął tym snem ciężkim, którym natura zwycięża człowieka i ratuje się od wycieńczenia.

Zbudziły go—wesole, srebrne, dźwięczne głoski dziecinne, na korytarzu podedrzwiami i tupanie nóżkami, od którego serce mu uderzyło. Przypomniał sobie Monię i te lata, gdy ona czasem znużonego po polowaniu przybiegała budzić całusami. Słuchał jeszcze zdziwiony, z bijącym sercem, gdy się wnet dał słyszeć głos kobiecy, młody, żywy, dźwięczny.

— Józka, łobuzie ty jakiś! wielem ci razy mówiła abys mi po korytarzu hałasów nie wyprawiała. I jeszcze mi Karolka ze sobą na tę hecę zabrałaś. Zaraz mi ruszaj do izby! Marsz!

Słowa te po polsku wymówione, zrobiły na Floryanie przy całej swej rubasznosci wrażenie niewymowne. Przypomniał się kraj! Cóż tu mogła ta kobieta robić, i z dziećmi? Samo jej zamieszkanie w tym domu opuszczonym tłómaczyło już, że i ona także nosiła jarzmo wygnania; lecz głosu nie czuć było, aby jej ono ciążyło.

Zagadkę tych polskich sąsiadów, Małdrzyk postanowił sobie rozwiązać i koniecznie się o nich dowiedzieć. Gdy wkrótce potem nadeszła sługa, pomimo wstrętu jaki czuł do tej istoty brudnej i nasepionej, począł się ją rozpytywać.

Odpowiadała niebardzo chętnie chodząc i krzątając się, bo czasu nie miała wiele na obsłużenie tylu lokatorów, mógł jednak z urywanych słów wyrozumieć Floryan, że w sąsiedztwie we dwu



pokoikach mieścili się prowizor apteki, polak, jego żona i dwoje dzieci.

Sługa wyrażała się o nich z tem lekceważeniem, jakie Niemcy mają dla tych, co nie umieją być zamożnemi.

Floryan nazwiska nie mógł się dowiedzieć i wyczytał je dopiero później w meldunkowej książce. Prowizor z niemiecka nazywał się Feder, miał czasowe zajęcie w przeciwległej Mohren-Apotheke.

Mimowolnie musiał nad tym faktem pomyśleć Małdrzyk. Ów Feder — z prowizorostwa swego znacznego funduszu do życia mieć nie mógł, z kraju pewnie pomocy żadnej — a żył z żoną i dwojgiem dzieci. Co to za życie być musiało!

Floryan zadrżał wyobrażając je sobie.

Rodzina ta o ścianę nazajutrz niemniejszą budziła w nim ciekawość. Ponieważ niemal wszyscy polacy znali się tu między sobą, postanowił spytać o Federa Filipa, który obiecał przyjść wieczorem.

Nienawykły do żadnego zatrudnienia—Małdrzyk dumiał teraz jak czas zabije i dzień przepędzi. Około pierwszej miał pójść na obiad do Hotelu Francuzkiego, kilka godzin trzeba było zostać samemu z sobą.

Wyjeżdżając Jordan zostawił mu swojego portowego Montaigna, jeden tom Mickiewicza i parę niemieckich uczonych książek. Małdrzyk pró-

bował czytać, ale nie nawykła myśl do przywiązywania się niewolniczo do cudzej, odbiegała precz. Nie wiedział co czytał.

Rzuciwszy w końcu książki, wyszedł błędzić na miasto. Lecz i to nie mogło go rozerwać, obawiał się spotkać którego z tych znajomych, przyjmowanych na Christianstrasse tak gościnnie i pańsko — wstydził się zajrzeć im w oczy.

Przemykając się bezmyślnie małemi uliczkami, w których buchająca para z browarów, i dym — przechadzkę czyniły nieznośną, stając przed lichemi wystawami tandetnych sklepików, doczekał się wreszcie godziny obiadowej i w najciemniejszym kącie siadł jeść bez apetytu. Strawa dwuzłotowa wydała mu się bezecną, tanie wino lurą. Wstał głodny, obyczajem niemieckim zmuszony głód zalać czarną kawą, do której dołał araku.

Do wieczora było daleko, a powracać do nieznośnego mieszkania nie miał najmniejszej ochoty.

Skierował się więc ku Bürgerwiese. To jedno poobiedzie niezem jeszcze było, myślał o tem ile ich podobnie, samotnie, gryząc się i męcząc spędzać będzie musiał, nim Jordan powróci.

Dumając tak i przechodząc około ławek, na których nianki siedziały, trzymając przed sobą wózki dziecinne i doglądając malców bawiących się w piasku, postrzegł nagle na odosobnionem siedzeniu, przy niebieskim wózku, bardzo zало-

tnie przystrojonym w poduszczerki i nakrycia — siedzącą z pończoszką—Linę.

Młoda wdowa, zobaczyła go także i poznała, twarz jej się nieco zarumieniła, rada była czy nie temu spotkaniu, odgadnąć trudno, gdyż dosyć się zimno rozstali—nie unikała jednak wejrzenia, oddała ukłon, a p. Floryan uszczęśliwiony, że miał choć przemówić do kogo, stanął i grzecznie rozpoczął rozmowę.

Ton jej ze strony Liny uderzał zmianą zupełną. Dawniej głos był łagodniejszy, frazesy wyszukańsze, ruchy im towarzyszące obmyślane by wdzięcznie się wydały — teraz występowała kobieta jaką naturalnie była, prozaiczna, zimna, pospolita. Miała tylko ów djabelski wdzięk młodości (francuzi to tak nazwali), który na Floryana czynił zawsze pewne zmysłowe wrażenie.

— Nie wyjeżdżasz pan więc do kraju? — za pytała go Lina.

— Jeszcze nie—odparł Małdrzyk—jakiś czas przebyć tu muszę. A pani powróciłaś widzę ze wsi.

— Tak! tak—odezwała się niemka—krewnym długo ciężarem być nie można. Wprawdzie płaciłam im po pięć srebrników za mój wikt, ale źle mnie karmili, kawa była szkaradna, a płacz mojego dziecka ich niecierpliwił.

— Jakto gościnność u państwa się opłaca?— spytał Floryan.

— Naturalnie—rzekła wdowa, więcej patrząc na pończochę swą i na córeczkę niż na Floryana. — Ludzie są nie majątni, a ja nie chciałam im być nic winną.

Maldrzyk spróbował po dawnemu na poetyczniejszy nastrój pociągnąć rozmowę. Lina nie była do tego usposobioną.

Przypomniał jej wieczory, które tak mile spędzał z nią, słuchając wyjątków z Schillera, jeszcze pono z pensyi zapamiętanych — ruszyła ramionami.

— Cóż pan chcesz? — odezwała się chłodno spoglądając na niego. — Myślałam wówczas, że pan się seryo mną zająłeś i możesz mnie i mojej małej los zrobić. Ale pan sam podobno nie jesteś w bardzo szczególnem położeniu. Rozum mieć potrzeba. Co warta miłość bez chleba?

Floryan się uśmiechnął.

— Więc gdybyśmy się byli pokochali bardzo... i byli ubodzy.

— Do czegoż taka miłość się zdała? — przerwała rozumna niemka. — Pan to po polsku bierziesz, a ja po naszymu. Dosyć mam już tego com przecierpiała w życiu.

— Dla chwili miłości?—podchwycił złośliwie Floryan.

Lina spojrzała mu śmiało w oczy.

— No, tak — rzekła — byłam wówczas głupiem dzieckiem.



A po chwili dodała równie zimno:

— Przyznam się panu, że z początku miałam nawet skłonność przywiązać się do niego. Wy polacy macie w sobie coś sympatycznego—ale to wasze... *polnische Wirtschaft!* (polskie gospodarstwo!).

Poruszyła ramionami, rozplakane dziecko podniosła z ziemi, poczęła je całować, uciszać roztkliwione, dała mu dobrych parę klapsów i skinięciem głowy pożegnała rozczarowanego Małdryka.

Tak rozumnej wstrętliwie kobiety—nie spotkał był jeszcze w życiu.

Zrażony przechadzką powrócił wcześniej niż zamierzał do domu. Wchodził właśnie na ciemny korytarz, prowadzący do drzwi mieszkania, gdy po za nim dały się słyszeć kroki męskie.

Sąsiednie izdebki zajmowane przez Federów stały otworem, w progu widać było młodą, przystojną, małego wzrostu, pulchną kobiecinę, z włosami trochę rozrzuconemi, trzymającą chłopczyka na rękę. Przy niej stała z włosami najeżonemi, hoża dziewczynka siedmioletnia może, w której z łatwością się było można owego łobuza, Józki domysleć.

Pani prowizorowa, wyglądająca drzwiami kogoś innego, musiała się spodziewać na schodach, bo wychylała się ciekawie, i w ciemności nie spostrzegłszy zaraz Floryana, odezwała:

— A chodźże, bo kawa ci wystygnie, a ty lubisz gorącą.

Z za Małdryka dopiero odpowiedział głos:

— Idę, idę.

Obejrzał się p. Floryan, mężczyźni się pozdrowili.

— Bardzom rad, że pana spotykam—odezwał się wesółym głosem prowizor, młody mężczyzna, niezbyt hoży, ale twarzy otwartej, jasnej, miłej. — Dowiedziawszy się, że ziomka mamy sąsiadem, chciałem zrobić znajomość.

Federowa szepnęła półgłosem do męża:

— Prośże na kawę.

— Moja żonka, no i dzieciaki — odezwał się Feder,—kiedy pan łaskaw, prosimy bez ceremonii na kawę. Moja żona robi ją po polsku, nie po sasku, i, dalibóg nie wiem jak, ale u niej nawet i śmietanka z kożuszkiem.

Wesoło uśmiechała się Fedorowa, mężowi podsuwając chłopaka, którego trzymała na rękach, a ten pulchne swe łapki wyciągał ku ojcu.

Twarze tych biednych sąsiadów, takie jasne, tak spokojne, choć wszystko mówiło o ich ubóstwie — pociągnęły ku sobie Floryana. Wszedł prezentując się gosposi.

Mieszkanie—nie było o wiele porządniejszem od tego, które on zajmował—lecz czuć w nim było ducha i rękę kobiecą. Czyściuchno się wydawało i wesoło, kilka wazoników z kwiatkami, o które

tak łatwo w Dreźnie, ożywiało okna zielenią i pstroczną różnobarwną.

Na stoliczku czystą zasłanym serwetą, stała już przygotowana dla męża kawa.

— Józka—zawołała—dzwięcznym głosem gosposia—a żywo! przynieś filiżankę, popłócz i wytrzyj mi czysto.

Dziewczynka pobiegła pędem do drugiego pokoju. Feder prosił siedzieć na kanapce, sama pani nie chciała usiąść.

— Ja, proszę pana—rzekła wesoło—tak nauczyłam się krzątać i ruszać, że mi usiedzieć trudno. Jest bo co robić w domu z dwojgiem bachurów.

I śmiejąc się pokazała dwa rzędy białych ząbków.

To wesele i swoboda jaka tu panowała, niezmiernie zdumiewały Floryana, wytłómaczyć ich sobie inaczej nie umiał jak jakąś naszą nieopatrnością.

— Państwo tu dawno?—zapytał.

— O! już więcej roku — mówiła gosposia. — I dał się nam ten czas we znaki. Z początku póki Ignas nie znalazł zajęcia, musieliśmy głodem przymierać. Ale my to umiemy jakoś znosić po bożemu. Cóż pomoże się gryźć i płakać? Ja mężowi nie pozwałam być smutnym, ani sobie. Kogo Pan Bóg stworzył tego nie umorzył.

A potem—czy to wiele człowiekowi potrzeba?  
Byle chleba kawałek.

Uśmiechnęła się do męża, mąż do niej.

— Gdyby nie Anusia — odezwał się do gościa—jabym tego rozumu nie miał. Gryzbym się o nią, o siebie i o dzieci, ale to heród baba, mówię panu. Choć bieda to hoch!

Federowa na jednym ręku trzymając chłopca, drugą nalewając kawę, przerwała:

— Ja bo nigdy nie zwątpiłam o opatrności Bożej! Jako żeby człowiek zdrow, młody, z trochę oleją w głowie, nie dał sobie rady? Prawda, że u Niemców cudzemu znaleźć chleb — niełatwo, a no Ignas przecie ma zajęcie, kontenci z niego, zarabia tyle żeśmy niegłodni, dzieci niebose. Czego chcieć!

— Nicby mój zarobek nie pomógł — odezwał się prowizor—gdyby nie głowa i nie serce mojej baby.

Kobiecina się zarumieniła od tej pochwały w oczy.

— E! nie pleć! — rzekła—pij kawę, bo ci na czas do apteki powracać potrzeba. Z nimi nie ma żartu.

— Siedem minut mam jeszcze—odparł Feder spoglądając na zegarek.

W taki sposób Floryan zabrał niespodzianą znajomość z sąsiadami, wynosząc od nich wrażenie takiego zdumienia jakby bajkę z tysiąca nocy



ujrzał nagle wcieloną. Ubóstwo i przy niem ta wesołość i swoboda umysłu, to ograniczenie się w wymaganiach od losu, zdawały mu się niepojętymi, nieprawdopodobnymi.

Stosunkowo, on, sam jeden tu, zamożniejszy od nich, miałże prawo na swoją dolę narzekać? Mógł i on pracować.

Tak — ale, praca naprzód wydawała mu się, wedle pojęć zadługo żywionych, czemś jego stanowi uwłaczającym; a potem?—nie umiał nic.

Nie taił tego przed sobą, przyszedłszy do badania sumienia; w salonie mógł dostać każdemu, na polowaniu popisać się świetnie, z kobietami szwargotać w sposób najprzyjemniejszy dla nich, na koniu nawet kapryśnym dosiedzieć — lecz, po zatem... więcej nic.

Uczyć się czegoś? w jego wieku było—jak sądził, za późno. Skazanym więc się czuł na to bezsilne pasowanie się z życiem, które małe wstrząśnięcie zwichnęło.

---

Małdrzyk, chociaż się musiał z pozostałym groszem obliczać bardzo skrzętnie, gdyż Jordan rychłego powrotu nie obiecywał, a za skutek podróży nie ręczył — nie umiał jednak oprzeć się wielu pokusom. Przychodziły nań takie chwile stęsknienia, goryczy, rozpaczy niemal, że naów-

czas szukał rozrywek tak, jakby szło o ocalenie życia.

Jednego wieczoru, choć sam to sobie wyrzucił, choć czuł, że to było rozrzutnością nieprzebaczoną, kupił sobie bilet do krzesła w teatrze. Raz tam idąc, wstydził się by go na innem, tańszem miejscu nie spostrzegł kto z dawnych znajomych.

Parę jasnych rękawiczek i kapelusz świeży, został mu z dawnych czasów. W teatrze grano pospę niemiecką, zgruba ociosaną na stary sposób, ale śmiechu pełną, naiwną prawie, a do prostodusznej publiki zastosowaną.

Pan Floryan zapomniał o swem położeniu i śmiał się. W sztuce był człek średniego wieku lekceważący wszystko, wysmiewający świat — komiczny zaufaniem w swe szczęście, który pragnącego takiego nastroju Małdrzyka, zupełnie na wiarę swą nawrócił.

Wychodził więc z teatru, nic sobie chwilowo ze swej biedy nie robiąc — prawie wesół, myśląc że tego dnia mógłby już sobie pozwolić skromnej wieszery u Helbiga, gdy znany głos go powitał:

— Pana Floryana, dawno niewidzianego.

Obejrzawszy się postrzegł Małdrzyk Nababa, dla którego właśnie lokaj w liberyi przywoływał powóz.

Nadzwyczaj łaskawy, wielki pan podał rękę p. Floryanowi.

— Ale cóż bo pana Floryana nigdzie widzieć nie można. Ponieważ złapałem, słowo honoru— do mnie na herbatę i wiseczka. Wiesz co, ten Myśliński, licho wie co go upiekło, i wyrwał się, znikł. Posądzam go, że pojechał grać w ruletę do Wisbadenu lub Homburga. Nie przyznaje się do tego, ale ma żyłkę.

Nabab rozśmiał się głupowato.

— I wiecznie przegrywał—dodał.

Małdrzyk się wahał jeszcze, przyjąć czy nie zaproszenie, gdy Nabab ujął go pod rękę i niemal gwałtem do powozu swego wsadził.

Tej uprzejmości ze strony wielkiego pana przyczyną było że—się nudził. I on, tak jak Floryan we własnem towarzystwie nie smakował. Potrzebował mieć dwór, rezydentów, przyjaciół domu, naprzód że się to ładnie wydawało, powtóre iż sam sobie zostawiony—nie wiedział co zrobić z sobą.

Oprócz palenia fajki, grania we wszystkie gry możliwe i—paplania, Nabab do niczego nie był zdatnym. Lubił stół dobry i kobiety także, ale te ostatnie zaczynały mu się wydawać coraz mniej powabnymi. Starzał.

— To dziwna rzecz—mawiał naiwnie.—Za moich czasów młodszych, co to pięknych było... nawet prostych chłopianek, a teraz co spojrzysz —brzydota lub coś tak pospolitego!

Pomimo to Nabab, który tu przepędzał część roku bez rodziny, sam, niekontrolowany przez nikogo—zmieniał bardzo często swą służbężeńską, i przyjaciele jego mówili, że ją dobierał zawsze bardzo młodziuchną, świeżą i wdzięczną.

Oddalenie się Myślińskiego, który wiernie jak cień towarzyszył Nababowi, zostawiło po sobie próżnię dotąd niezapełnioną. Zobaczywszy Floryana, o którego losie wiedział, wielki pan wpadł na myśl przywiązania go do siebie. Człowiek był przywoity, szlachcic dobry, mówił po francuzku jak francuz, prezentował się w sposób dystygowany — na dworaka lepszego wyboru zrobić nie było podobna.

W drodze na Bürgerwiese, gdzie Nabab miał wspaniałe apartament na pierwszym piętrze pięknej nowej kamienicy—myśl ta dojrzała. Szło tylko o to aby drażliwego człowieka, nieobytego jeszcze z własną dolą, nie obrazić.

— Słowo honoru—rzekł Nabab, gdy się już zbliżali ku mieszkaniu — że ja za p. Floryanem tęskniłem. A takeś nam zniknął, nie wiedzieć gdzie szukać było.

Proszę mnie za życzliwego sobie przyjaciela uważać, i nie zapominać o mnie. Ile razy na obiad zechcesz przyjść to mnie uszczęśliwisz. Sam jeżdząc dławie się.

Ścisnął go za rękę, a p. Floryan tak już był swoim upadkiem przybity, że uczuł wdzięczność,



rozculił się i niemal go w ramię chciał pocałować—gdy wysiadać potrzeba było.

Na górę wszedłszy okazało się, że już wprzód zaproszony hrabia Trzaska, który wszędzie gdzie jadano i grano, szedł chętnie— czekał z cygarem w fotelu.

Był więc gotowy wist z dziadkiem, na twarzy gospodarza rozpromienionej radość widać było wielką. W tejże chwili dla podniecenia jej jeszcze, lokaj podał szlafrok i fajkę.

Rzucił się na sofę. wołając:

— Służba, herbaty!!

U Nababa herbata zawsze była obficie jadłem różnem poprzedzana, mogła się nazwać wieczernią. Floryan, który przez czas jakiś na chudym stole w Hôtel de France się żywił, błogiego doznał wrażenia, znajdując stół dobrze zastawiony. Humor wyniesiony z teatru nietylko się utrzymał, ale jeszcze rozwinął. Pierwszy raz oddawna uśmiechał się.

Nabab był smakoszem razem i obzartachem, kucharza miał wyśmienitego, wina doskonałe. Wszyscy trzej siedli odżywiać się z dobrym apetytem.

Małdrzyk nabrał posiliwszy się ducha, odwagi, nawet myśli mu łatwiej po głowie chodziły i po czarnych nie błąkały się kątach. Odżył.

Chociaż godzina była późna dosyć, siedli do

wista. Nabab kładł się do snu późno, a na dzień zwykł był zasypiać.

Siadając do kart, Floryan spojrział na zegarek.

— O!—rzekł — godzina jedenasta; ja klucza od bramy nie mam, i trudno się będzie dostukać.

— A po cóż iść i dobijać się—odparł Nabab, jak gdyby u mnie gościnnego łóżka zawsze nie było. Prześpisz się u mnie.

Małdrzyk chciał zaprotestować.

— Ale, proszę cię, jak na wsi, bez ceremonii.

I zwrócił się zaraz do lokaja:

— Przygotuj dla pana pościel w gościnnym pokoju, bo ja go po nocy nie puszczę. Słowo honoru!

Hrabia miał klucz i niedaleko mieszkał, z nim więc ceremonii nie było.

Siedli do wista i grali do pierwszej godziny. Małdrzyk wstydząc się wyznać, że gra była dla niego za drogą teraz, zaryzykował się grać, choć z wielką obawą. Tymczasem szczęście mu sprzyjało, choć oba partnerowie wista wybornie grali —i po obliczeniu Małdrzyk znalazł się wygranym kilkanaście talarów, a na dobitkę, nie u hrabiego, któryby był nie zapłacił ale u gospodarza, płacącego zawsze gotówką.

Pokoik sypialny, który mu dano, lepsze czasy przypomniał. Czysciuchny był, elegancki, wygo-

dny, taki — w jakim się czuć mógł Floryan jak u siebie.

Po życiu ubogiem i wstrzemięźliwem do jakiego był zmuszonym, wszystko to miało dlań wartość podwójną — z rozkoszą rzucił się na łóżko świeżuchne, z doskonałym cygarem w ustach.

Wspomnienie tego co go jutro czekało, z powrotem do brudnej izdebki w starym domu — zasępiło go trochę. Mimowolnie przesunęła się myśl po głowie, jakby to miło było tu zostać.

Resztką dumy zaprotestowała. Usnął w marzeniach napół różowych, pół szarych.

Nazajutrz nie chciano go puścić bez śniadania. Nabab nieubrany, w pantoflach przy kawie, proponował rewanż w ekarte lub nawet maryaża.

Niegodziło się będąc wygranemu odmawiać. Siedli i grali z różnem szczęściem do południa. Floryan był parę talarów wygrany. Wyrwał się już do domu, ale na odchodnem, w potężne go ująwszy ramiona, Nabab zawołał rozczulony:

— Ale proszę cię, zlituj się, na obiad przyjdź o czwartej, i potem wiścika zagramy. Nie opuszczaj mnie.

Między obiadem a wistem, po kawie pojedziemy do cyrku. Jest Renz, ty musisz lubić konie, nie byłbyś szlachcicem. Powiadam ci, czwórka siwych, którą on sam stojąc na jednym z nich pogania! choć malować. Anioły nie konie. A ta

bestyjka miss Betty... dałbym jej pięćset talarów gdyby przyszła na wieczerzę.

Floryan odszedł przebrać się do domu, rozmarzony. Widocznie Pan Bóg zlitował się nad nim. Nie było w tem nic złego, że się mógł trochę rozerwać i o położeniu zapomnieć.

---

Jakim sposobem Małdrzyk, zatrzymując dla jakiegoś wstydu mieszkanie swe w starym domu, stał się w niem prawie gościem, bo najczęściej i noce nawet przepędzał u Nababa, któremu powoli dworować się nauczył — wytłómaczyć tego nie umiemy.

Nie czuł żadnej zgryzoty sumienia przyjąwszy niemal obowiązki usłużnego rezydenta. Nabab obchodził się z nim bardzo względnie — lecz niemniej musiał mu się biedny akomodować.

Ten rodzaj życia nieregularnego, sąsiadów jego Federów zdawał się zasmucać i niepokoić.

Parę razy nieśmiało zapytała go pani prowi-zorowa — czy nie wyjeżdżał z miasta.

— Nie, pani — rzekł — mam tu przyjaciół, nie puszczają mnie od siebie.

Feder, który może coś wiedział już, milczał, ale stał się ceremonialniejszym.

Filip fotograf, kilka razy wieczorem w domu nie zastawszy Małdrzyka, skrzywił się i przestał



tam zaglądać. Rozpytując u znajomych o Floryana dowiedział się z łatwością o tem, o czem wszyscy swoi byli już uwiadomieni. Przykro mu się zrobiło. Znał innym Małdrzyka, cierpiał nad jego upokorzeniem.

Spotkali się raz wreszcie wieczorem. Floryan zobaczywszy go widocznie się zmieszał.

— Nigdy p. Floryana nie zastaję w domu — odezwał się—byłem już niespokojny.

— Nie ma o co — odważnie odparł Małdrzyk — wciągnął mnie do siebie Nabab i — oto jakos stało się, że bez siebie żyć nie możemy.

Filip się skrzywił.

— Nie mam sympatyj dla tego człowieka, i dziwię się, że ją pan dla niego mieć możesz. Kto zmuszony jest nieszczęściem iść na wygnanie za cudze czy swoje grzechy—rzecz to przebaczona. Nabab w chwili gdy drudzy tu cierpią, obok nich przyjeżdża się bawić, pieniądze trwonić i jakby z nich najgrawać.

Małdrzyk czuł się w obowiązku starać go bronić.

— Zmiłuj się, zmiłuj!—zawołał — cóż znowu za purytanizm cię opanował. Każdemu wolno żyć jak mu się podoba, wierz mi, że robi wiele dobrego.

— Radbym wierzyć—odparł Filip—ale śladu tego nie widzę.

Ostygli oba dla siebie po tej krótkiej rozmowie, fotograf pożegnał się i odszedł.

Kilka słów jego nie pozostało jednak bez skutku—Małdrzyk wszedł w siebie i począł rozierać własne postępowanie. Nie był z siebie rad—lecz, słabość, nałóg wygodnego życia, próżniactwo przemogło. Starał się w oczach własnych oczyścić, a kto tylko przedsięwzięje coś podobnego, ten zawsze tego dokonać potrafi. Został tylko zły humor i kwas na dnie.

Chciał choć trochę usunąć się od Nababa, jego codziennych obiadów i służby przy nim, która w godzinach od wista wolnych, zależała na dosiadzaniu przy nim, gdy w szlafroku, z fajką leżał, drzemał i niby pół uchem słuchał plotek miejskich. Pan, który się przyzwyczajał do ludzi, a Myślińskiego jeszcze z powrotem nie miał—gdy mu Floryana zabrakło, posyłał, po niego lokajów i dzentlmanów, i w końcu zawsze go do siebie skusił.

W istocie upokarzające to było, ale Małdrzyk jadł, pił i wista najczęściej wygrywał, a w brudnej izdebce czasu spędzać nie potrzebował.

Niekiedy na parę godzin do siebie wpadłszy, mimowolnym był świadkiem życia swoich sąsiadów Federów. Tam, dziwny, niczem niezakłócony, spokój panował. Ponieważ ściana oddzielająca ejgo pokój od nich bardzo była cienka, docho-

dziło do niego co się tam działo: wesoły zawsze głos prowizorowej, jej zabawy i nauka dzieci, krzątanie się około gospodarstwa i kuchni, rozmowy z mężem—i śmiechy wesołe obojga.

Mógł sobie najdokładniejszą zdać sprawę z ich dochodów i wydatków, wiedział ile Feder dawał żonie na utrzymanie domu,—nawet co na obiad jedli i co mieli do herbaty wieczorem. Nie mógł pojąć tego zaspokojenia małym, tych dobrowolnych umartwień, a przy ubóstwie niczem niezachwianego dobrego humoru młodej gospodyni, która do dwojga swoich dzieci, spodziewała się wkrótce trzeciego, i już pieluszki i kołbękę gotowała, a cieszyła się, bo chciała mieć koniecznie drugiego chłopca.

Feder starał się tymczasem o miejsce prowizora na prowincyi w małym miasteczku saskiem, gdzie życie znacznie tańsze było.

Prowizorowa gotując, szyjąc, ucząc dzieci, posługując sobie sama w domu, miała jeszcze czas podśpiewywać piosenki młodych lat, głosem czystym—i, gdy się najmniejsza chmurka zjawiała na twarzy męża, póty ją rozpędzać, aż z nią razem śmiać się i z dziećmi bawić nie zaczął.

Całe szczęście tych czworga osób, wedle obračunku p. Floryana nie kosztowało ich więcej, jak jego bieda i męczarnia. Wydawali we czworo tyle ile on sam na siebie—oszczędzając jeszcze.

Tymczasem dnie uchodziły, a spodziewanych

listów od Jordana nie było. Zamiast dwóch, upłynęło pięć tygodni, a nie dał znać o sobie. To samo już było bardzo złym znakiem.

Małdrzyk myślał co pocznie gdy się przedłuży jeszcze zwłoka—i Klesz nie da znać o sobie, a nie dźwignie go z tego utrapionego położenia.

Lasocka i Monia milczały także. Odpędzał ją jak mógł, trwoga coraz większa go ogarniała.

Naostatek dnia jednego przyniósł mu bryłtregger list, na którego kopercie stempel pocztowy niespodziewany jakiś i ręka była obca.

Było to pismo od tak dawna oczekiwane Jordana, z ostrożnościami oddane na pocztę.

Klesz, który nie chciał, znając przyjaciela, dobić go szorstkiem doniesieniem o smutnem stanie rzeczy, pisał tajemniczo jakoś i humorystycznie:

„Nie zgłaszałem się dotąd do ciebie—bom nie miał nic dobrego do doniesienia, a pamiętam o francuzkiem przysłowiu, które ci, czasu mojego milczenia, nieochoybnie na myśl przychodzić musiało. Gdy nie ma nowin—znaczy to dobrą nowinę.

„Jednakże rzeczywiście dobrego nie ma dotąd nic. Ja nie jestem stworzony na prawnika i dyplomatę, a tu by tych obojga potrzeba było. Nie rozpaczam jednak, że się nauczę i dyplomatyzować i jurystą zostanę. Tobie to winien będę.

„Podróż miałem z przeszkodami, na których



udało mi się karku nie skrócić. Pierwsze moje spotkanie z Kosuckim było dosyć nieszczęśliwe — lecz, wiesz że jestem uparty.

„Na zagadnienie moje odpowiedział ostro, że mi prawa do traktowania interesów familijnych nie przyznaje, i ani myśli mówić ze mną o nich. Pani, w pomoc mężowi przybyła dodała, że napisali jaki był stan interesów i nic więcej o nich do powiedzenia nie mają. Wyrzucali nam marnotrawstwo, sobie przyznając troskliwość o los Moni, której majątku tracić nie dopuszczają.

„Pomimo najusilniejszego starania nic z nich więcej dobyć nie mogłem, a Moni—Moni widzieć mi nie dopuszczono.

„Z boku zaś zostałem ostrzeżony ażebym się wynosił, jeżeli nie zechcę narazić na odpowiedzialność jako wielce podejrzany o to, że z jednej miski jadał z najpodejrzańszym. Zemknąłem więc, bo nie szło o mnie — siedzieć w ciupie na rosole chudym był potrafił — ale coby z tobą było?

„Miałem, niechwaląc się, całę dobre natchnienie udać się o protekcyę do marszałka, któremu parę tysięcy rubli winien jesteś—naprzód dla tego że dobry człowiek, powtóre że ma powagę pewną, i że jego własny interes mógł mi go zjednać.

„Marszałek, któremu musiałem cały *status ausing* opowiedzieć nic nie tając, i popierając

moje oskarżenie twoją własnoręczną notatką, na-  
przód wierzyć nie chciał, potem osłupiał, a na  
ostatek wyrwało mu się tak grubiańskie wyraże-  
nie, że go powtórzyć nie mogę.

„Pojechał sam w tym interesie do Kosuckich  
i siedział tam cały dzień, a powróciwszy, znowu  
się grubiańsko wyrażał. Rzecz zdawała się zer-  
wana, gdy nazajutrz, trochę zaniepokojony roz-  
głosem jaki sprawa mieć mogła, przybył pan Zyg-  
munt.

„Ja, nie pokazywałem się bo by był stracił  
apetyt, a była pora obiadowa; z drugiej zaś stro-  
ny lękałem się własnej strawności narazić, bo  
mógł mi ją przerwać w sposób nieprzyjemny.

„Słyszałem tylko z gabinetu, w którym mnie  
marszałek posadził, całą replikę pana Zygmunta.  
Argumenta jego są: że siostra przez ciebie w dzia-  
le majątku pokrzywdzoną została i że sprzedaż  
miała na celu wynagrodzenie jej; powtóre że  
muszą zabezpieczyć los Moni i — ogromnie łożą  
na jej wychowanie, potrzebie że ty zostawiłeś  
długi, w krótkim przeciągu czasu wybrałeś wiele  
pieniędzy i że—ostatecznie oni ci nie winni nic..  
i nie czują się obowiązani nie dawać. W końcu  
naciśnięty przez marszałka, czysto przez miło-  
sierdzie i serce braterskie gotów jest—odczepne-  
go coś ofiarować raz na zawsze.

„Marszałek żądał rozmysłu i p. Zygmunt niz-

czem odjechał. Teraz ja wsiadłem na marszałka z mojami rachunkami i argumentami.

„Nastroiłem go jak miał mówić, czego żądać, a naprzód prawomocnego oznaczenia co dla córki twjej dać mieli i t. d. Ale cóż? P. Zygmunt tymczasem namysliwszy się lepiej, zniknął. Od kilku tygodni nie ma go i nigdzie dopytać nie można—ja zaś muszę się błąkać, bo mam pewną wiadomość, że mnie szukają i — jako sprawcę wszystkich niegodziwości chcą zamknąć na rekolekcyę. Korzystam z tej przymusowej włóczęgi, dla badań topo-geologo-i-etnograficznych. Nocuję u leśników, odpoczywam po małych karczemkach, zabawiam się po dworach szlacheckich, a nawet modlę po klasztorach z braciszkami.

„Widzisz że humoru nie tracę, co powinno ci dowieść, iż i nadziei nie pozbyłem. Apetyt mam doskonały, sen czasem niespokojny. Puls zdrowy.

„Życzę z duszy serca abyś i ty w swej ciupie na górcę zniósł cierpliwie — oczekiwanie i nie trapił się zbyt.

„Wiem od ludzi że Monia, jak zawsze delikatna, chorą nie jest; a nie pisze i ona i Lasocka, bo im tego zabroniono. Mówiono mi, iż starą Lasockę, za szpiega i nieprzyjaciela osądzoną, chcą oddalić.

„Nad Monią i jej losem czuwać będę przede wszystkim. Bądź dobrej myśli—chybaby Jordan był do niczego... ale jak zrzeczność czyni zło-

dziejem, tak przyjaźń daje natchnienie i talent, nawet takim jak ja niezdarom“.

Mimo humoru wymuszonego, list był bardzo smutny. Kosucy widocznie spalili mosty za sobą. O zwrocie Lasocina prawemu jego właścicielowi mowy nie było.

Z ustępn listu, którego nie przytaczamy, dowiedział się Floryan, iż co się tyczyło jego powrotu do kraju — ten całkiem był niemożliwym, chyba bardzo nierychło. Obwiniano go o monstrualne przewinienia, najcięższe kary ciągnące za sobą.

Dzień czy dwa Małdrzyk chodził zrozpaczony — lecz nie był to człowiek coby z takiego stanu wyjść umiał do energicznego jakiegoś kroku. Wrażenie pierwsze się zatarło, starał się wprost rozerwać i zapomnieć.

Dopóki by Jordan nie powrócił — miał przecie nadzieję. Część goryczy jaka mu się na sercu zebrała, wylał przed Nababem, który milcząco przyjął te wyznania, część Federom zaniósł, okazującym mu więcej współczucia. Lecz sama prowizorowa, swym rubasznym sposobem skonkludowała:

— E! jak Boga kocham, już się ztamtąd nie ma co spodziewać. To, przepraszam pana — łajdaki. Musi pan o sobie myśleć sam. Mając taką edukacyę! mój Boże!

Ta mniemana edukacya łudziła prowizorowę



a w istocie sam się badając najlepiej wiedział p. Floryan, że — nie umiał nic. Nawet ten język francuzki, którym z takim wdziękiem władał, gdy mu nim pisać przyszło, gdyby go uczyć drugich potrzebował — nie starczyłby.

Dworowanie u Nababa, po ostatnich wyznaniach i skargach Floryana — uległo zmianie. Ostygł pan dla niego. Tłómaczyło się to tem, że nie życzył sobie z osobą tak skompromitowaną mieć stosunków, — i że — daleko dogodniejszy jeszcze, choć mniej okazały, Myśliński powrócił ze swej tajemniczej podróży. Płatał się, gdy go zapytywano gdzie był, mówił że używał świeżego powietrza, lecz zdradzało go wyrywające mu się słówka... o Homburgu i Wiesbaden. Wygraną się nie chwalił.

P. Floryan znalazł parę razy u Nababa drzwi zamknięte. W ulicy gdy się spotykali udawał, że go niewidział. Wieczorem przyjmowano go zimno, na noc nie zapraszano. Służba, której twarze są najlepszym termometrem usposobienia panów — nie była dlań jak dawniej nadskakująco grzeczną.

Widocznie się go pozbywano.

Małdrzyk z myślą stracenia tej bezpłatnej gospody oswoić się nie mógł — zachodził tam, ale część dnia spędzać musiał na przechadzkach i w domu. Na obiady powrócił do francuzkiego hotelu.

Stosunkowo czas ten spędzony na dworowaniu przy Nababie był krótki — lecz w życiu nie nie przechodzi nie odciskając śladu na człowieku. Małdrzyk nie czuł się tym co wprzód, spadł o jakiś stopień w oczach własnych — zbiedniał moralnie. Upokorzenie czuł wewnętrzne. Żałował tego co uczynił, a jednak — któż wie, czy nowa podobna następująca się zrzeczność, nie byłaby go znowu na upadek naraziła.

Czekał ciągle na list Jordana — panowało milczenie. Brak zajęcia, rozrywki, wygód, towarzysztwa, codzien czynił go nieszczęśliwszym. Nie pozostawało mu często więcej nic nad — przeszkadzanie pani Federowej w jej pracowitych zajęciach.

Józka, przypominała mu Monię, chociaż ani wiekiem, ni charakterem, ni twarzą nie była do niej podobną — chodził więc z nią się bawić, zaprzyjaźnił, i — łobuz dziewczyna, nauczyła się wpadać do niego, przewracać mu wszystko, — rządzić się tu jak we własnym domu. Czasem w dodatku przyprowadzała małego braciszka, a Federowa za dziećmi musiała tu zaglądać.

Stosunki zawiązały się bliższe, gdyż pocziwa a mężna kobieta miała politowanie nad tym, jak ona go pocichu przed mężem nazywała — kaleką.

Gdy go do zbytku widziała przybitym, pod różnemi pozorami wyprawiała go z domu, wymyślała mu zajęcia.

P. Floryan niegdyś lubił choć mało co umiał rysować, dawniej też kaligraficzne cuda na par-gaminie dokazywał. Teraz w długich godzinach nudów, zadumany, siadłszy przy stoliku, bezmyśl-nie całe arkusze papieru zamazywał jakimiś dzi-wacznymi arabeskami, ornamentacyami i figlasi-mi. Papieru tego zarysowanego walało się dużo, dzieci się nim bawiły i nosiły.

Pierwsza Federowa zapatrzywszy się na nie, poczęła dowodzić, że p. Floryan mógłby, gdyby chciał, pracować gdzie u litografa.

— Ja się na tem nie znam — mówiła—ale to mi się wydaje ładne, a takie rzeczy przecie za pieniądze rysują na pudełka, na różne prospekty i t. p. Pewnie że to lichy płacą, ale jak nie ma co robić?

Feder pomysł żony znajdował bardzo szczę-śliwym. Prostoduszni ludzie nie widzieli w tem nic uwłaczającego dla tego ex-pana, żeby sobie co zarobił bazgraniną.

Floryan, gdy mu to powiedzieli, zmieształ się, zawstydził, ręką machnął — ale myśl w nim u-tkwiła.

Począł staranniej się wprawiać w ornamen-tacyjne rysunki. Bawiło go to. Parę ich Feder odkradł i *proprio motu* zaniósł do litografa, któ-ry dostarczał etykiet do apteki, pytając go pou-fnie, czy to było co warte i czy z tego mógł być jaki zarobek.

Rysownik poznał w tem fantazyę samouczka, niewprawę i nieobeznanie wzorami, ale—mówił że mało wiele coś by się zrobić dało. Ostrzegł tylko, że takie roboty licho się płacą w ogóle, a przekopiewują zwykle przez lada studentów.

Pobudzone miłość własną p. Floryana. Jestto struna, która ostatnia pęka w człowieku, a odzywa się za najmniejszym jej dotknięciem.

Z nudów kupił jakąś książeczkę wzorów i bawił się komponując ornamenta.

Prowizor podszeptał o nich Filipowi, który choć ostygł dla Małdrzyka, miał nad nim politowanie i sympatyę. Wzięli się we dwóch do niego, zachęcając aby talentu nie zagrzebywał. Filip znalazł zamówienie wielkiego arkusza, na tytuł do nut, z podanym tematem i motywami i podał go p. Floryanowi.

— Zrób to dla mnie.

Małdrzyk miał szczęśliwą chwilę natchnienia. Pomysł był dobry, ale gdy do wykonania staranego przyszło, zrażał się i rzucał rozpoczętą pracę, znajdował że gra świecy nie była warta.

Za bardzo podrzędną uważana jest ta sztuki gałązka, która pod ogólnem nazwiskiem ornamentacyi chodzi. Zdaje się ona mało ważną, łatwą i bez wartości. Tymczasem takiej ornamentacyi charakterystycznej jak we freskach pompejańskich, jak w rysunkach, tytułach i winietach z epoki renesansu, niejedyn zdolny mistrz



nie wykona. Do tego potrzeba osobnego talentu, fantazyi, bogactwa motywów, a pojęcia jedności w kompozycyi—pewnej erudycyi form, poczucia wdzięku, które niewszystkim są dane.

P. Floryan, który rysownikiem w innych rodzajach nie był, miał talent do ornamentacyi prawdziwy, i wielki.

Brakło mu pracy, zamiłowania i wprawy. Mówił sobie, że na starość nabywać ich było zapóźno—i nie liczył aby się to na co zdało.

Tytuł wykonany, w którym znać było dyletanta, po zbytecznem bogactwie mozolnych szczegółów, przez fachowego rysownika dla oszczędzenia czasu pomijanych, zastępywanych łatwiejszemi ogólnikami—podał się litografowi.

— Wie pan co—rzekł do Filipa—robota oryginalna ot—mógłbym czasem co zamówić.

Dla zachęcenia litograf dał kilka talarów.

O całym przebiegu sprawy Małdrzyk nie wiedział, i gdy mu Filip przyniósł zapłatę wierzyć jej nie chciał, przyjąć się wzdragał. Wstyd mu było. Ale—koniec końców—talary przedstawiały dobry obiad i butelkę wina. Floryan wziął je z warunkiem, że Filip i Feder pójdą z nim gdzieś na—saski *Schmaus*.

Oba oni, widzieli w ten sposób pokierowania na drogę jakiegokolwiek pracy i przyjęli zaproszenie.

W Małdrzyku odezwał się pan, dał obiad nie-

potrzebnie wykwintny i oblany do zbytku, do którego dołożyć musiał z kieszeni. Lecz wino i towarzystwo rozweseliło go chwilowo.

Nie mogąc się pogodzić ze swem położeniem, zawsze spodziewając się jakiegoś cudu, bo szlachta wierzy, że Pan Bóg dobrej krwi nie daje ginąć marnie—pod koniec obiadu Małdryk począł dowodzić—że... z chwilowego ucisku wyjdzie zwycięzko.

— Zobaczycie—rzekł—nie przepadnę! jeszcze wam na wyjezdnem lepszy *schmaus* sprawię!

Wszystko głupstwo.

Słuchając tego Filip posmutniał, Feder ramionami ruszył. Oba oni, mając zajęcia, pożegnali gospodarza prędko — i odeszli, zostawiając go z filiżanką czarnej kawy na terasie.

Poobiedni humor czynił p. Floryana romansowym po dawnemu. Obejrzał się czyby choć twarzyczki przystojnej nie zobaczył, któraby za deser poobiedni służyć mogła.

Właśnie gdy się z tą myślą oglądał — zobaczył dobrze znajomą Lischen—której na pierwszy rzut oka nie poznał prawie tak na korzyść była zmienioną. Owa Lischen należała do często przemieniającej się służby Nababa, wśród której zajmowała stanowisko wysokie, głównej *Wirtschaftlerin*—gosposi. Przez jakiś czas była w wielkich łaskach i dumnie się nosiła, gości Nababa ledwie nie jak pani domu przyjmując. Tony sobie dawa-

ła wielkie i dowodziła, że pochodziła ze starej rodziny szlacheckiej. Tytułowano ją *von*.

Lischen mogła mieć lat dwadzieścia, słusznego wzrostu, wysmukła, rysy twarzy miała bardzo regularne i piękne, które szpeciła tylko pretensjonalnymi grymasami. Stroiła się mniej krzyżując i niesmacznie niż inne saksonki, troszkę mówiła po francuzku, opowiadała że była na pensyi i miała prawo zwać się „*gebildeten*“ wykształconą.

Smiała była bardzo i—jak się zdawało, niezbyt surowych zasad. Rodzinę miała podobno liczną, ale w dalekich pokrewieństwa stopniach.

W czasie gdy p. Floryan bywał codziennym gościem u Nababa, Lischen jeszcze znajdowała się tam na czele gospodarstwa. Później jakoś znikła nagle.

Widywał ją p. Floryan codziennie i był u niej w łaskach szczególnych. Wabiła go na rozmowę, prawiła o sobie, o pochodzeniu, krzywiła się przed nim na Nababa, którego grubianinem nieukształconym zwała. Małdzyk łatwo się dający ująć lada wdziękowi kobiecemu, był z nią bardzo dobrze.

Lecz czasu pobytu na Bürgerwiese, Lischen choć zawsze bardzo czysto i starannie ubrana, — występowała skromnie. Tu, na terasie z pończoszką jedwabną w rękę, ani ją było poznać tak pański miała strój i minę. Suknia jed-

wabna, narzutka aksamitna, kapelusik z piórem, u paska ozdobna torebka à la Gretchen, pod szyją pyszna kamea, na rękach śliczne bransolety.

Siedziała sama jedna, oczyma czarnemi rzucając po salonie, a gdy wejrzenie jej spotkał p. Floryan, zdawało się jakby ono go już dawno szukało. Uśmiechnęła mu się i dała znak aby się zbliżył.

Rad ze spotkania Małdrzyk zabrał swoją kawę i przysiadł się do niej. Powitała go rada.

— A! a!—zawołała — przecież choć raz pana spotkać było można. Upatrywałam już dawno czy go nie zobaczę. Bywasz pan jeszcze u tego chłopca milionowego?

— Bardzo rzadko!

Skrzywiła się.

— Co za gbur, bez żadnej delikatności! pfe!

— Ale panna Lischen, zносиła go przecie długo?

Pokręciła główką.

— Mam go dosyć!—rzekła—a pan?

— Ja także.

— Co pan robisz?

— Nic—rozśmiał się Floryan—czekam.

— Gdzież pan się kryjesz?

Małdrzyk przed nią nigdy z położenia swojego nie robił tajemnicy.

— Nudzę się w brzydkiej dziurze, i dopóki lepsze nie nadejdą czasy będę klepię.



— Szkoda mi pana, doprawdy—odezwała się czule nań spoglądając Lischen. — Ja mam przecucie, że te lepsze czasy powrócą. Nie powinienes się smucić. A tymczasem, rozrywać się, nie siedzieć tak w kącie.

Floryan rozweselił się, zażartował. Z kolei zapytał co teraz robiła Lischen.

— Ja? Już mi się sprzykrzyło być w obowiązkach, chcę sobie odpocząć. Ja także nie robię nic—dodała.—Sama sobie pani, mam ładnych parę pokoików przy Pragerstrasse, trzymam służącą. Biorę książki z czytelni, chodzę do teatru.

Popatrzała mu w oczy.

— Przychodź pan do mnie na kawę — rzekła ciszej—będziemy sobie paplali.

I dużą, dużą ale starannie w rękawiczkę przybraną rękę podała Floryanowi, ściskając mocno dłoń jego.

— Doprawdy, ja pana zawsze lubiłam. Z tych co u Nababa bywali, ani hrabia, ani ten drugi, ani żaden nie wyglądał tak *nobel* jak pan, a ja tylko to lubię co *nobel*.

Floryanowi i to zatęchłe kadzidło dosyć było do smaku. Podziękował jej.

Zaczynało zmierzchać.

— Wiesz pan co—odezwała się Lischen składając pończochę — żebyś wiedział gdzie mieszkam, powinienes odprowadzić? Zgoda?

— Z największą chęcią! — cdparł grzeczny

Małdrzyk. Musiał jej podać rękę, ale szczęściem robiło się ciemno, i tak w czulej parze pociągnęli na Pragską ulicę.

---

Od Jordana listu przez długi czas nie było znowu — lecz rozrywkę miał teraz w miejscu towarzystwa Nababa, — chodząc niemal codziennie do dawnej gospodyni jego p. Floryan.

Musiła ona przy pierwszej znajomości trafnie ocenić dobrego ale lekkomyślnego, słabego i dającego się opanować człowieka. Zagarnęła go zupełnie i rozporządzała nim jak jej się podobało. Był li to kaprys kobiecy czy rachuba jaka, nie dawała poznać.

Łagodna w początku, powoli biorąc nad nim przewagę, tryb cały życia jego zastosowała do swoich wymagań. Umiała go zabawić, rozerwać, zatrzymać, a pyszniła się nim pokazując w nlicach i każąc się pod rękę prowadzić.

Tak idącego z nią kilka razy spotkał Filip i ominął nie witając, widział zdaleka Feder, i Federowa zgorszona niemal mu drzwi zamknęła.

Życie to próżniacze, które marzeniami o lepszej przyszłości podsyciała Lischen—Floryanowi było bardzo wygodnem. Panna zdawała się być zamożną dosyć, choć na sposób saski życie prowadziła oszczędne i obrachowane — dla p. Flo-

ryana była niemal rozrzutną. Zapraszała go na kawę, przysposabiała mu wieczerzę, umiała doskonale przyrządzać sałatę z kartofli ze śledziem, robiła poncz wieczorem, którego lampeczkę wypijała z przyjemnością.

Gawędka z nią była nienużącą i niewyczerpaną. Czytywała codziennie *Nachrichten* i *Anzeiger'a*, wiedziała cokolwiek się działo w mieście i okolicy, skandaliczne historyki zakulisowe, podzamkowe, ministeryalne i t. p. i niemi bawiła gością.

Nikt lepiej nad nią nie znał stosunków dworskich, gdyż wuja miała przy królewskich stajniach, jakiś kuzyn był pisarczykiem przy Beuście.

Miała też wielki przymiot, do którego p. Floryan przywiązywał cenę, humor zawsze wesół, śmiech gotowy wybuchnąć, pogodę niczem niezachmurzoną na czole. Gdy chciała pochlebić i przymilić się, nic to ją nie kosztowało, a przychodziło tak naturalnie, że było doskonałym surrogatem sentymentu.

P. Floryan coraz więcej ją lubił, przywiązywał się i znajdował w niej nawet przymioty, których nie miała, rozum nadzwyczajny w kobiecie, serce niesłychane u niemki.

Nowy to był epizod w tem nieszczęśliwym życiu wygnańca, który, jak inne, nie mógł przejść bez następstw i skutków; nowy upadek, który

o szczebel niżej stawiał zapominającego się człowieka. Znudzony—zabawiał się rozpaczliwie, nie licząc jak drogo to opłacał.

Filip tak go już począł unikać, iż Małdrzyka to uderzyło. Jednego dnia powlókł się wieczorem do niego, o godzinie w której zwykle pracownię opuszczał. Fotograf, który właśnie mył ręce gdy przybył, przywitał go stłumionem, cichem, niechętnem: Dobry wieczór.

— Bardzośmy się dawno nie widzieli — odezwał się Floryan.—Cóż to jest? czy się gniewasz na mnie?

— Trochę.

— Za co?

— Nie za siebie — odparł Filip.— Dobierasz sobie towarzystwo, które się zbliżyć do ciebie nie dozwala.

— Jakie towarzystwo? — odparł Małdrzyk.

Filip trochę pomilczał.

— Chcesz chyba dyplomatyczną rozpocząć karierę—rzekł szydersko— bo widuję cię często z pewną osóbką, która znaną jest dobrze jako przyjaciółka niewybrednego dyplomaty obcego, akredytowanego przy dworze saskim?

Małdrzyk zadumał się.

— Nie wiem nic o tem — począł obojętnie.— Nudzę się, co dziwnego że dystrakcyi szukam.

— Mój drogi—żwawo zawołał Filip— trafia-



ło mi się na polowaniu mieć straszliwe pragnienie, nigdy jednak nie piłem z kałuży.

Małdrzyk zapłonął rumieńcem, którego zmrok widzieć nie dopuścił. Dotknęła go ta przymówka do żywego.

Odwrócił się, wziął za kapelusz i wyszedł bez pożegnania. Dana mu nauka nie pozostała bez skutku. Napomnienie o dyplomacie przywiodło mu na pamięć, iż—spotykał na schodach parę razy lokaja w liberyi, a na stoliku panny Lischen tajemnicze bileciki francuzkie, które ani zazdrości, ani podejrzenia w nim nie budziły.

Lubił niemkę, ale sentymentu nie było w tem i odwiązanie się równie jak przywiązanie było łatwym. Dało mu tylko do myślenia, iż ona robiła tajemnicę z tego o czem świat wiedział cały.

Dzień czy dwa nie poszedł do niej — lecz Lischen sama przybiegła dowiedzieć się do niego, niespokojna, sądząc że jest chory. Okazała troskliwość taką, że nią go ujęła.

Nie mówiąc jej o tem dla czego wedle zwyczaju na kawę się nie stawił — wytłómaczył się niezdrowiem. Przy zręczności niemka po raz pierwszy będąc tutaj, obejrzała mieszkanie i całe gospodarstwo Floryana, znalazła je „*Scheusslich*“ obrzydliwym, i chciała aby się wyniósł gdzie indziej.

Małdrzyk wytłómaczył jej że dla listów, których spodziewa się z kraju, i danego adresu, mu-

si to mieszkanie zatrzymać. Lischen posiedziawszy—odeszła chmurna, wymagając słowa, że Flo-ryan tegoż dnia ją odwiedzi. Nie miał siły się oswobodzić i być szczerym.

Siedział jeszcze po wyjściu jej posepny nad arkuszem papieru, który wedle zwyczaju zarysowywał gzygzakami, gdy w progu zjawiała się, dziwna, nieznana mu postać.

W czasach tych nie były one osobliwością. Mężczyzna ten lat średnich, twarzy niewybitnej, na której trąd, plamy i zarost charakter zastępowały i czyniły ją wstrętną — ubrany nędznie, w butach podartych, w spodniach zakrótkich, w chustce na szyi, zastępującej bieliznę—z wej-  
rzeniem kosem i nieśmiałem, zaledwie wszedłszy, począł coś mówić takim językiem łamanym, że z niego o narodowości jego trudno było osądzić. Silił się na polszczyznę, w której czuć było na-  
wyknięcie do jakiegoś innego języka.

Oczywiście żądał jałmużny, pod pozorem tej narodowości, do której niby to miał należeć. Nie wchodząc w sprawdzenie pochodzenia, Małdrzyk dobył kilku srebrnych groszy i dał mu je dla po-  
zbycia się.

Przybyły został mimo to przy progu, dalej ciągnąc jakąś odysseę swą—i rozglądając się po izbie. Uderzyło to Małdrzyka, iż pewniadał jako-  
by znał Lasocin, okolicę i jego samego z dawnych czasów, gdy gdzieś tam na służbie zostawał.

Wspomniął osoby z sąsiedztwa. Naostatek począł o sobie zapominając, boleć nad losem jaśnie pana i t. d.

Z tego się zawiązała rozmowa. Floryana łatwo lada czem ująć było można.

Przybyły opowiadający się jako Leon Tatusiewicz — prosił ażeby mu wolno było, czasem posłużyć Małdrzykowi, bez żadnej pretensyi do wynagrodzenia. Gotów był przychodzić rano buty i odzienie czyścić, posyłki, gdyby było trzeba nosić i pełnić przez miłość bliźniego coby kazano.

Małdrzyk zbył go ni tem ni owem.

Nazajutrz natręt zjawił się zrana, nie pytając buty opanował i odzienie, i—gwałtem się wciśnął do usług.

Życie ciągnęło się po dawnemu, tygodnie upływały, listy od Jordana nie nadchodziły, a pieniądze się wyczerpywały. Małdrzyk już za miesiąc winien był komorne. Chciał pożyczyć, ale u kogo? Filipa, z którym się rozstał tak kwaśno, przebłagiwać nie myślał.

Szczęściem pismo nadeszło tak tęsknie oczekiwane od Jordana, zagadkowe znowu, lecz przynoszące jakiś cień nadziei. Klesz pisał:

„Nie mogę o moich przygodach obszerniej się rozwodzić. Opowiem je ustnie za powrotem, gdyż — jeżeli mnie p. Zygmunt nie zasadzi gdzie... co być może, wybieram się nad smutne brzegi Łaby.

„Zrobiłem nietylko com mógł, ale nad możność. Bardzo to mało, a razem wiele bardzo w stosunku do tego z czem mi tu walczyć przyszło.

„Rzemiennym dyszlem—jadę, idę—płynę, dybię aby ci służyć. Kiedy przyjdę, przyplynę i przywlokę się — wie tylko Bóg, którego opiece cię polecam. Twój—“.

Przybycie Jordana było najpożądanejszem ze wszystkiego. Z nim czuł się Małdrzyk silniejszym, zostawiony sam sobie—chwiał się—ginął.

W oczekiwaniu na niego nie wahał się, choć go to kosztowało wiele wstydu—założyć zegarek w Lombardzie i kilka kosztowniejszych fraszek. Z tem co otrzymał—mógł się dobić do końca.

Zaczynał się już sierpień, gdy w fotograficznej pracowni Filipa, bardzo rano zjawił się Jordan, opalony, wychudły, namarszczony, smutny.

Witał przyjaciela uściskiem ręki i siadł zaraz, bo ledwie się na nogach mógł utrzymać.

— Widziałeś się z Floryanem —zagadnął fotograf.

— Niech cię to nie dziwi. Nie, nie widziałem się—odpowiedział Jordan z namysłem.—Uczyniłem to nie bez rachuby. Kocham go—wiesz o tem ale znam całą słabość tej natury niemęskiej, w której męstwa i mękości wyrobić niepodobna. Może niedola to potrafi. Przeszedłem do ciebie, abys mnie naprzód objaśnił, ile i jakie głupstwa



popelnił ten biedak. Mów prawdę. Potrzebne mi to abym wiedział jak z nim mówić.

Westchnął Filip.

— Rzekłeś—odezwał się — znasz go dobrze, na głupstwach nie zbywało. Zamiast siedzieć spokojnie i szukać zajęcia, naprzód się dał wziąć Nababowi, u którego dworował. Tam podobno poznał się z niemką, którą tu całe miasto wytyka palcami. Była ona gospodynią u Nababa, a później dostała się panu... dyplomacie. Z obu umiała podobno wyciągnąć tyle, że żyje na wcale pokaznej stopie. Powzięła wielką przyjaźń dla Floryana, który się jej dał uwikłać i chodzi z nią pod rękę, a większą część dnia z nią spędza. Nikt się z nim w ulicy nie wita. Ja go nie widuję—to człowiek nie do uratowania.

Mówił, a Jordan słuchał nie okazując po sobie więcej smutku nad ten, który przyniósł z sobą.

Począł dopytywać z zimną krwią instygatora o szczegóły. Filip się rozgorączkowywał—on siedział napozór zimny. Trwało to dosyć długo, gdyż Klesz zdawał się tu chcieć naprzód obmyśleć sposób postępowania z Floryanem.

— Z nim potrzeba jak z dzieckiem—dokończył Klesz wybadawszy fotografa.—Więcej grzeszy słabością niż złą wolą. Biedny jest raczej niż występny—ale skutek jeden, bez niańki nie potrafi chodzić i—gdy mnie niestanie, gdzieś leć rozbije.

Westchnął.

— Na Boga! — zawołał ręce składając — mieli słusność i mają słusność ci co małe dzieci w zimnej wodzie zanurzają, i boso im w koszuli dają chodzić po mrozie, głodem morzą, nędzą hartują, co nie ma siły do życia — to umiera. A lepiej mężczyźnie tak zemrzeć nie żyjąc, niż potem męczyć się nieudolnemu i bezsilnemu, a mnożyć pokolenia osłabłe i znędzniałe.

To powiedziawszy Jordan wyszedł i wprost udał się do starego domu na Pirnajskim placu. Drzwi mieszkania znalazł otworem, chociaż klucza w nich nie było. Rzuciwszy okiem na izbę w nieładzie, a sądząc że Małdrzyk zaszedł pewnie do Federów, zapukał do nich. Prowizorowa przyszła mu otworzyć i na zapytanie o Floryana, odpowiedziała zimno, że prawie nigdy u nich nie bywał.

Nie wiedząc co znaczą drzwi otwarte i gdzie go ma szukać, — Jordan zły, musiał zejść i usadowił się naprzeciw w wielkiej piwiarni na rogu, w oknie, tak, aby powracającego Małdrzyka mógł na drodze pochwycić. Pilno mu było się z nim rozprawić. Wymówek czynić nie myślał, bo te na nicby się nie zdały, miał już plan inny.

Siedząc w oknie — czekał i czekał napróżno, coraz się mocniej niecierpliwiąc. Wieczór nadchodził a Floryana nie było widać. Już miał opuścić swe stanowisko, gdy postrzegł go z gło-

wą spuszczoną, ciągnącego opieszalym krokiem do domu. W jednej chwili Klesz był przy nim.

Namiętnie rzucił mu się Floryan na szyję, wołając:

— Mój zbawca!

Jordan wzruszony, gdyż twarz przyjaciela wynędzniała i zmieniona, niemal zbrzydła i coś ze szlachetnego swego wyrazu straciwszy — bolesne na nim uczyniła wrażenie — wzięwszy go za rękę wiódł na górę. Po drodze nie śmiał pytać—Klesz milczał.

Do drzwi przyszedłszy — Floryan, który je chciał otworzyć, zdziwił się znajdując odemknięte. Po zapaleniu gdy się obejrzał—krzyknął.

Mieszkanie było ograbione, wszystko co w niem jakąś wartość mieć mogło zabrano z niego. Złodziej pootwierał i wyprzątnął komody, miał czas odbić szkatułkę.

Małdrzyk ręce załamał. Jordan stał przybity. Zadzwoniono na sługę, posłano po policję, zamęt stał się w domu. Wybiegła Federowa, wyszedł prowizor.

Z badania okazało się, że nie kto inny, tylko ów sługa, który przychodził rankami, i miano go za domownika p. Floryana, wszystko powynosił.

Sługa widziała go objuczonego odzieżą, ale była pewną, że mu ją zabrać polecono. Trocha pieniędzy pozostawiona w szkatułce, padła też ofiarą!

Floryan obrany do koszuli niemal, byłby mocno uczuł stratę, gdyby przybycie Jordana, nie dawało mu nadziei, że łatwo się ona powetuje.

Nierychło się uspokoiwszy, siedli wreszcie i Małdrzyk ująwszy przyjaciela za rękę, począł od podziękowania mu za jego poświęcenie się.

Jordan westchnął.

— Nic ci dobrego nie przywożę — rzekł — wszystkie starania moje bezwstydną przewrotność Kosuckiego udaremniła. Szczęście że mnie tu widzisz z powrotem, bo o mało nie przypłaciłem osobistą swobodą tej wiary jaką miałem we wstyd, w ostatek jakiegoś uczucia w tym człowieku.

Pisałem ci, że musiałem użyć marszałka, zdawało się nawet, iż tytułem odczepnego coś chce dać Kosucki. Okazało się jednak, że nadzieją tą mnie łudził, aby nieopatrznie wydać na łup... rzuconym podejrzeniom. Umknąłem szczęśliwie. Marszałek służył mi jak mógl, całym sercem, lecz mieliśmy do czynienia z szatanem.

Nie posądzam twej siostry, zdaje się że jej p. Zygmunt potrafił swoje postępowanie wytłómaczyć. Marszałka ostatecznie tem zbył, że mu ofiarował... dług jego zapłacić. Majątek chce ni by to zachować (co z niego pozostanie) dla Moni

Floryan nie dał mówić.

— Ale to rozbój na gładkiej drodze! — krzyknął.



— Tak, rozbój, tem szkaradniejszy, że za pałkę służyło prawo, które ci podstępem zręki wyrwano — lecz — jakież jest sposób upomnienia się o sprawiedliwość?

Żadnego — dodał po chwili milczenia Jordan — Mężnie należy i śmiało spojrzeć w oczy nieprzyjacielowi — i — walczyć.

— Z czem? jak? — zrozpaczony zawołał Małdrzyk rzucając się na kanapę.

— Dziecku twojemu zapewniłem opiekę i nadzór. Marszałek i dwie poczciwe sąsiadki będą czuwać nad niem. W przypadku gdyby mu groziło jakie niebezpieczeństwo, Lasocka gotowa jest uwieść Monię. O nią więc, do czasu, możemy być spokojni.

— A cóż będzie z nami?

To rzekłszy Floryan, chwycił się za włosy i nagle zapytał:

— Przywiozłeś co z sobą?

Jordan zawahał się z odpowiedzią.

— Tyle może ile potrzeba aby się ztąd wynieść tam, gdzie jakieś zajęcie znaleźć możemy. Tu go ani szukać ani znaleźć. Tu jeszcze zamożnym cię znano, nie mamy ani ludzi, ani protekcji.

— A gdzież ją znaleźć możemy?

— Pomówimy o tem — rzekł Jordan chłodno.

Małdrzyk zerwał się z siedzenia i krokami wielkimi począł biegać po izdebce.

Boleśnie było patrzeć na człowieka, który stracił wszelką nadzieję i ostatek energii. Można było go posądzić o jakieś samobójcze myśli, gdyby — nawet ten czyn nie wymagał pewnej siły i woli. Tej brakło Floryanowi.

Jordan patrzył zachmurzony. Dawał mu się wyburzyć i przebyć tę krysę gwałtowną, wiedział że po niej nastąpi apatya, która uczyni Floryana posłusznym i powolnym jego żądaniom.

Małdrzyk ręce łamał, stawał, padał na sofę, zrywał się, pił wodę, jęczał, rozpytywał o szczegóły podróży i nie słuchając wyjaśnień przerywał mu boleściwemi narzekaniami.

Północ ich tak znalazła, a Jordan nie wytłómaczył się jaśniej z tego co zamierzał uczynić. Kazał się Małdrzykowi położyć — sam rzucił się na sofę — światło zgasił. Potrzebował odpoczynku, ale ciągle pytania i jęczenia Małdrzyka do rana mu oka zmrużyć nie dały. Floryan widocznie chciał z niego dobyć zaraz — z czem przybył, gdzie chciał go wlec ze sobą, Klesz nie odpowiadał, tylko ogólnikami.

---

Nazajutrz czujna policya od rana badała o spełnioną kradzież. Nie dano p. Floryanowi wyjść z domu, Jordan zostawiwszy go samego, poszedł na miasto.

Nie było najmniejszej wątpliwości kto kradzież spełnił — lecz nazwisko, którem się mianował było przybrane i śladu zręcznego złodzieja odkryć nie umiano.

Zostawiony sam sobie — wyczekawszy długo na Jordana, który nie powracał, pobiegł Małdrzyk do niemki.

Lischen właśnie stroiła się na wyjście, czy na przyjęcie gości, gdy wbiegł p. Floryan z twarzą wykrzywioną i zmęczoną wrażeniami dnia wczorajszego. Poznać było łatwo w nim zrozpaczonego człowieka. Niemka, która zawiązywała włosy i bez ceremonii nawpół ubrana, przyjmowała przyjaciela, ulękła się jego oczu obłąkanych.

— Cóż znowu się stało?—zawołała.

Popłatanemi wyrazami począł jej opowiadać Floryan nieszczęście swoje — dodając w końcu, że go chcą wyciągnąć z Drezna.

Zmarszczyła się Lischen.

— O! zapewne — odparła — co z tego to nie nie będzie.

Odwróciła się i poszła żywo kończyć ubranie. Poruszoną była i gniewną. Zdaje się że jakąś rachubę miała na cudzoziemca, którego jej już napół przyswojonego odebrać chciało.

— Z tego nic nie będzie — powtarzała brwi ściągając.

Floryan pogrążony w myślach, leżał napół na kanapie, nie słuchając co mówiła.

Zapukano do drzwi.

Jordan aż tu go ścigał, dowiedziawszy się o adresie u Filipa.

Wychodzącego Floryana wziął pod ramię, nie dając mu się nawet pożegnać.

— Chodź—rzekł—nie czas z babami się zaba-  
wiać. Musimy myśleć o sobie. Przywiozłem z so-  
bą listy polecające do Paryża. Tam, w najgor-  
szym razie, znajdziemy łatwiej zajęcie. Umiesz  
lepiej po francuzku niż po niemiecku. gdyby naj-  
lechtszą posadę nam dano—z głodu nie umrzemy.  
Jeżeli Paryż za drogi, na prowincyi umieścić się  
nam pomogą łatwiej. Tu nie mamy już co robić

— Lecz, jakże, zkąd pieniądze na podróż? —  
zapytał Floryan.

— Mam tyle, że nam starczy na nią. Poży-  
czyłem trochę u marszałka. Na Boga! mężstwa  
i determinacyi.

Małdrzyk się chciał opierać, siłą prawie od-  
ciągnął go Jordan, i nie dał mu się od siebie od-  
dalić ani kroku.

Gdy się to działo w starym domu przy Pirnaj-  
skim placu, zburzona i zaniepokojona Lischen,  
która prawdopodobnie liczyła na to iż zbiednia-  
łego szlachcica potrafi zmusić do ożenienia się  
z sobą, biegła do dyplomaty swego, szukając  
u niego ratunku.



Stary baron, był zazdrośnym. Zamiast uleźć błaganiom przyjaciółki, nasrożył się, rozgniewał, odmówił wszelkiej pomocy i zagroził zerwaniem stosunków. O to nie obawiała się tak bardzo Lischen, znając swą siłę, nie przewidziała wszakże środka jakiego miał użyć dyplomata, dla pozbycia się tego, którego uważał za rywala.

Małdrzyk jeszcze się opierał Jordanowi, przez wrodzone lenistwo, chcąc trzymać się miejsca, do którego nałóg go przywiązywał, gdy dnia trzeciego otrzymał wezwanie do stawienia się w biurze pod Frauenkirche. Karta pobytu była wyszła właśnie. Chodziło więc o zwykle, proste jej odnowienie.

Małdrzyk dosyć spokojnie wybierał się do pana komisarza, gdy na myśl mu przyszło, że może być wezwanym do wykazania funduszków. Zażądał pieniędzy od Jordana:

Klesz obliczył starannie dobytą kasę i połowę jej, nieprzechodzącą dwudziestu talarów wręczył Floryanowi.

— Jakto? więcej nie masz?

— To wszystko—odparł Jordan—starczy na dojechanie do Paryża.

— A na paryzkim bruku?

— Musimy myśleć o sobie—chłodno odpowiedział Klesz.

— Moglibyśmy łatwiej może tu pomyśleć o czemś.

— Tu, nie—rzekł stanowczo Jordan. — Jeżeli zechcesz zostać—zostaniesz sam—ja jadę.

Nie odpowiadając nic, Małdrzyk poszedł na policyę.

Pan komisarz miał dnia tego oblicze prawdziwie groźne. Zajęty był kilku cudzoziemcami wprzód przybyłemi, dosyć ich grubiańsko odprawiając, a tymczasem oczyma złemi ścigając stojącego u drzwi Małdrzyka.

Przyszła nań kolej wreszcie.

Biurokrata przewracał długo papiery na biurku nagromadzone, bawił się tem iż widział na twarzy nieszczęśliwego męczarnie, które mu zadawał.

— Boli mnie to—odezwał się sucho, patrząc na kartkę podaną, pan zmuszony będziesz w przeciągu dni trzech opuścić Saksonię.

Małdrzyk zagryzł usta.

— Z jakiego powodu?

— Z jakiego powodu?—szydersko się śmiejąc powtórzył p. komisarz — Gdzież to pan słyszał, ażeby rząd jaki i policya potrzebowała się tłómaczyć z tego co czyni?

Mamy prawo usunąć kto nam się—nie podoba.

— Ale panie—począł Floryan.

— Nie ma żadnego ale—przerwał komisarz, powtarzam, dano mu termin trzydniowy — gdy mogliśmy kazać jechać we dwadzieścia cztery godziny. Rozumie pan?

Małdrzyk milczał już—nie miał ochoty poniżać się i prosić.

— Ile masz pan pieniędzy?— zapytał oczyma go ciągle jedząc komisarz.

Floryan dobył z kieszeni co miał, krew mu uderzyła do głowy ze wstydu.

Niemiec spojrział pogardliwie na szczupły zapas.

— Jeszcze potrzeba wprzódki komorne i dłużki popłacać—to ledwie starczy do granicy.

Ruszył ramionami.

— Trzy dni, jesteśmy bardzo względni — dodał.— Może pan swych wszystkich znajomych pożegnać.

Wejrzenie zjadliwe było komentarzem do tych wyrazów.

U drzwi stał już z kartką inny delikwent, komisarz się odwrócił od Małdrzyka i wyciągnął rękę po kartkę jego następcy.

Wyszędłszy ztąd, Floryan tak był upokorzony obejściem się którego doznał i tem przymusowym wygnaniem—że go niemal władza dalszego orientowania się opuściła. Stał w podwórku, jak nieprzytomny.

Zdaje się, że Jordan musiał przeczuwać jakąś katastrofę i czekać nań w bramie, gdyż znalazł się w samą porę, aby go wzięsć za rękę i wyprowadzić ztąd.

— Kazano mi opuścić Drezno w ciągu trzech dni—zadławionym głosem odezwał się Małdrzyk.

— Z tych trzech dwa możemy im darować—odparł zimno Jordan.—Pocziwy ten wasz służący, uwolnił od pakowania wielu niepotrzebnych rupieci — jutro możemy być gotowi.

Pożegnamy tylko Filipa, no, i tych nieoszacowanych Federów, o których mi on wiele mówił dobrego—i—na kolej.

Nie nie odpowiedział Małdrzyk,—żał mu było tych miejsc, choć w nich tylko gorzkie pozostały wspomnienia, nałóg już go przykuwał do nich. Tu jeszcze choć wiatr jakiś powiał od bliższego kraju — było więcej swoich twarzy. Brühlowska terasa, wielki ogród, Blasewitz, okolice, po których błądził, życie to powszednie tutejsze, do którego się wdroył i nawykł—budziły żal za sobą.

Nie przyznawał się może do tego że i ową Lischen—niewieści głos pieszczony, — to złudzenie jakiegoś przywiązania, którego potrzebował, opuszczał nie bez bólu.

Dotąd żył jeszcze złudzeniami, nadziejami—teraz miało się rozpocząć życie w nieubłaganej rzeczywistości, surowej, bezlitośnej, prozaicznej.

Napróżno politowania i współczucia szukał u Jordana, który mu odpowiadał tylko przypominając, że elegie nie prowadzą do niczego.



— Jesteś bez serca — wyrwało się Małdrzykowi.

— Wybierając się do ciebie, musiałem je zostawić w domu—rzekł śmiejąc się Klesz.—Serce jest doskonałe: gdy nie ma troski o chleb. Radzę ci je zamknąć gdzie i zachować na lepsze czasy.

Idziemy się pakować—jutro w drogę.

— Mamy trzy dni.

— I chcesz, żebyśmy ostatniego dnia w towarzystwie jakiego dodanego opiekuna miasto opuścili?

Chodźmy do Filipa.

Ze zbliżającą się chwilą stanowczą Klesz zdawał się nabierać coraz większej energii, wracała mu nawet dawna wesołość i lekceważenie cierpienia. Żartował sobie ze wszystkiego, drażnił Floryana, lecz w ten sposób i z niego dobywał resztę siły.

Filip przyjął ich w małej izdebce, wyrwawszy się z pracowni na chwilę.

— Przychodzimy cię zaprosić—rzekł Jordan, abyś i ty nam towarzyszył do Paryża. Słyszałem, że tam fotografowie robią miliony. Wszystkie zarobki obrachowane na miłość własną i na próżność ludzką, najlepiej procentują.

— Wyjeżdżacie więc?

— Jutro.

— Nie wiesz, że mi kazano wyjechać — dodał Małdrzyk.

— Z powodu?

— Z którego się tłumaczyć nie raczono. Nie ma co mówić gościnni są sasi.

Filip się trochę strwożył.

— Miałooby to być prawidłem dla wszystkich? Przyznam się że nie miałbym ochoty, szukać nowego przytułku i odbywać nowicyatu w kraju, który zawsze poznawać i nawykać trudno do niego. Tu przynajmniej nauczyłem się żyć chlebem z masłem, kielbaską i piwem.

— Polska natura jest dość wytrzymałą — wtrącił Klesz — nauczyłybys się pić tak samo farbowane na czerwono kwaśne wino, i jeść tłustą zupę bez mięsa.

— Może nie w porę—odezwał się Filip obracając do Małdrzyka —lecz muszę ci oznajmić, że wczoraj fotografował się u nas Nabab — raczył rozmawiać ze mną i troskliwie się dopytywał o ciebie. Nie umiałem mu powiedzieć nic, oprócz że dotąd tu jesteś jeszcze.

— Muszę go pójść pożegnać— rzekł Floryan. —Jordan na mnie poczeka, jeśli nie znajdę Nababa kartę mu rzucę.

Dosyć niechętnie zgodził się na to Klesz milczeniem, a Małdrzyk wyrwał się swojemu mentorowi z myślą może zajrzenia jeszcze do Lischen. Właśnie o to posądział go przyjaciel.

Przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu, pan, chory na zęby, był w domu—Floryana wpu-

szczono. Z odnowioną życzliwością powitał go znudzony Nabab. Mysłińskiego znowu nie było, a hrabia Trzaska, którego długi wzrosły były do rozmiarów niepokojących, i niedających się już małemi nadpłatami przeciągnąć do idealnych terminów — wyjechał cicho, niespodzianie do Wiednia, z kąd już nie miał powrócić.

Zbolały Małdrzyk — przy pierwszym słowie dodał że przyszedł z pożegnaniem.

— Na Boga! i ty wyjeżdżasz! — zawołał chory — cóż to znaczy?

— Wypędzają mnie.

Nabab rzucił się na kanapce.

— Potrzeba iść do Beusta, to się da przerobić. Baronowa ... wymoże to na nim.

Baronowej U — przypisywano naówczas wpływ wielki u ministra, i przez nią szły wszystkie próśby do niego. Floryanowi zaświecił promyk nadziei, gotów był, nawet przeciwko Jordanowi, pozostać w Dreźnie, obawiał się tej walki o byt, jaka mu groziła w przyszłości. W Dreźnie, bliżej kraju, wśród ciągle przesuwających się tędy ziomeków — jakoś żyć i wyżyć było można, nieokreślonymi nadziejami, pożyczkami i błogiem *farniente*.

— Gdyby coś zrobić się dało? — westchnął.

Nabab zdawał się mocno sprawę biednego Floryana brać do serca. Mimo bólu zębów ruszył się z kanapy.

— Przyznam się też panu—rzekł, wstyd prze-  
magając Małdrzyk—że i zapasy moje się wyczer-  
pały, a niegodziwy szwagier zawód mi zrobił o-  
krutny.

Bojaźliwa ta wzmianka ostudziła Nababa i  
zafrasowała go. Staął zadumany i cybuch na  
kanapę rzucił.

— Proszę cię—rzekł—mnie tu mają za mi-  
lionera—a ja też zaczynam być goły. Z temi pie-  
niędzmi z kraju — to rzecz nieznośna. Oni na-  
szych potrzeb nie rozumieją, a tu nawet za  
szklankę wody płacić musimy. Mnie także taki  
zawód zrobił rządca, że musiałem kazać sprzedać  
kawał lasu.

Potał głowę.

— W kasie nie mam już i pięciuset talarów,  
a pieniądze lecą jak plewa.

Chcesz pięćdziesiąt talarów to ci pożyczę?

Floryan nie odpowiedział nic na to, a milcze-  
nie biorąc za przyzwolenie, stęknąwszy poszedł  
Nabab do biurka, otworzył je, szukał długo naj-  
mocniej podartych papierków i wręczył je Mał-  
drzykowi, który natychmiast siadł pisać kwit.

Nabab z początku brać go nie chciał, w końcu  
się nie sprzeciwił.

— Znajdę drogę do ministra — dodał — do-  
wiedz się do mnie jutro.

Małdrzyk wyszedł, trochę uspokojony tem,  
że na wszelki wypadek, miał niezależnych od



Jordana w zapasie choć trochę talarów. Obawiał się aby go przyjaciel na zbyt ostrą dyetę nie skazał.

Od Nababa pobiegł do Lischen, której nie zastał w domu. Byłby czekał na nią, ale się zląkł ścigania Jordana. Znał go i wiedział że gotów i tu za nim gonić.

O kilka kroków od mieszkania spotkał powracającą do niego niemeczkę wyflokowaną, wystrojoną, ale zamysłoną i w złym humorze. Zobaczywszy go, przyskoczyła żywo.

— Kazali ci wyjeżdżać? — zawołała. — O! wiem, wiem kto tę podłość zrobił — ale to być nie może. Szukałam was. Jedźcie niedalej jak do Blasewitz lub do Plauen, tymczasem się to przerobi.

Floryan opowiedział jej co mu Nabab przyrzekł.

— El to głupi stary baryła — odparła z pogardą. — Jemu się śni że przez ministrów robi się wszystko. Nieprawda! wszystko się robi przez małych ludzi. Ministrówi pod nosem jegourzędnicy wyrabiają co zechcą — kłaniają mu się i śmieją się z niego. Ja znajdę inną drogę.

Lischen chciała go prowadzić do siebie, lecz w strachu ażeby go nie przydybał przyjaciel, pożegnał ją Małdryk, przyrzekając że postąpi podług jej rady.

Powróciwszy do fotografa znalazł tu już Jordana samego z książką w ręku, Filip musiał do

pracowni iść. Klesz tymczasem aby nie tracić na próżno i chwili, a umysł czemś zająć i odwrócić go od smutnych myśli—z wielkiem zajęciem studyował podręcznik fotograficzny.

Zobaczywszy nadchodzącego Małdrzyka, zerwał się.

— Chodźmy — zawołał — pakujemy się i jedziemy.

— Na miłość Bożą — padając na kanapę odparł Floryan — nie pędź mnie tak nielitościwie. Daj mi się opamiętać. Sam możesz to pojąć, że po tem co doznałem, coś mi przywiózł—potrzebuję odetchnąć, oprzytomnieć. Głowa mi pęka z bólu, czuję się chorym.

Jordan spojrział na niego bacznie.

— Do wieczora możesz się wyleżeć i wypocząć—rzekł—jutro jechać musimy.

— Chcesz więc mnie ubić! — zrozpaczony zawołał Floryan, nie śmiejąc się przyznać dla czego zwłóczył.

— Chcę przeciwnie abys wolniej odetchnął, a tu powietrze dla ciebie niezdrowe—spokojnie rzekł Jordan.—Wyjedziemy jntro, bo to jest nieodwołalne, a na drodze zatrzymamy się gdzie zechcesz dla spoczynku.

— Zapomniałem ci powiedzieć—wtrącił Floryan—że zmuszony byłem zastawić zegarek i trochę złotych rzeczy w Lombardzie. Dziś już niepodobna ich odebrać, biuro jutro tak rano się nie

otwiera — a ja nie mogę wyjeżdżać bez tych rzeczy.

Zmarszczył się mocno Klesz.

— Daj mi rewers Lombardu — rzekł sucho.

Floryan zaczął go szukać po kieszeniach i pobladł.

— Do licha! — krzyknął — lękam się aby i tego złodziej niepocziwy nie porwał. Był w szkatułce.

— Chodźmy do mieszkania.

Milcząc wysunęli się od fotografa, ale Klesz okazywał po drodze znaki niecierpliwości. Widoznem, było iż zwłokę, jakiej przyjaciel wymagał pod różnemi pozorami podejrywał jako podstęp dla zostania w miejscu, które za niebezpieczne uważał. Bądź co bądź, chciał go ztąd wyciągnąć.

W mieszkaniu kwit z Lombardu się nie znalazł — zginął. Jordan, pomimo zapewnień przyjaciela, iż biuro zamknięte, pojechał do Nowomiejskiego Ratusza. Urzędnik, którego tu znalazł, począł szukać w księgach, pokazał Jordanowi dowód że w dniu spełnienia kradzieży, rzeczy były wykupione. Przez kogo? nie wiedział. Złodziej zapewne musiał sprzedać kwit spekulantowi, który pośpieszył pochwyć zastaw. Nie było więc potrzeby czekać na to, czego nie można było odzyskać.

Wróciwszy do starego domu, gdzie się spodziewał zastać tak bardzo spoczynku potrzebu-

jącego Floryana — nieznalazł go tu, drzwi były zamknięte — wyszedł. Kleszowi krew biła do głowy.

— Niestety z tym człowiekiem — mru-  
czał.—Gdzie go szukać?

Małdrzyk — który czuł kilkadziesiąt talarów w kieszeni a w umyśle zamęt i znużenie cielesne. pozwolił sobie pójść na terasę, kazał pół butelki reńskiego wina postawić i z cygarem w ustach— pił, aby sobie dodać—męztwa.

Podbudzona fantazyja dostarczała mu rozmaitych środków, do—pozostania na miejscu. Dla czego? z tego się sam przed sobą nie spowiadał. Jordan wydał mu się niezręcznym, dziwakiem, tyranem. Z Kosuckimi oczywiście postąpił bez taktu, zepsuł sprawę... tu, marzył znowu o wyjeździe do Paryża—po co?

Sposobił się do oporu. Stanowczo nie chciał jechać. Nabab w rozmowie bardzo rozumnie się wyraził, że Paryż i Francya dobre były tylko dla tych co tam z pieniędzmi jechali. Małdrzyk widział że jak na dłoni — prawda ta była jasną, a Klesz bałamucił i na nieszczęście go narażał.

Z temi myślami, podniecony, wrócił powoli na plac Pirnajski. Jordan czekał nań w piwiarni na rogu.

— Na zegarek nie masz już co czekać—  
rzekł.—Złodziej uwinął się i wykupił go.

— Byłem pewny tego—zamruczał Floryan.



— Możemy więc sposobić się do podróży, dodał uparty Klesz.

— Ja, nie pojedę—odparł Małdrzyk stanowczo.—Mam widoki inne. W Paryżu z głodu umierać nie myślę. To są mrzonki te protekcyje i szukanie zarobku.

Jordan stał milcząc i długo się wpatrując w niego.

— Zatem—odezwał się spokojnie—nie pozostaje mi nic więcej nad — pożegnanie się z tobą. Pieniądze podzieliłem—zdałem ci sprawę z nie-szczęśliwej podróży. Rady mojej słuchać nie chcesz, pomoc przyjacielską odrzucasz. Żegnam cię.

Małdrzyk stał na pół osłupiały. Widząc że Klesz odchodzi myśli naprawdę, pochwycił go za rękę.

— Na Boga! zaczekajże, tak się przecie nie rozstaniemy.

— Jadę jutro—powtórzył stanowczo Jordan.—Pieniądzy mam zaledwie tyle ile mi na podróż do Paryża starczy, przejechać ich tu nie mogę. Muszę jechać.

— Ależ do jutra jeszcze dosyć czasu—wybąknął Małdrzyk—tyranizujesz mnie.

Klesz milczał.

— Chodź na górę, mówmy—dodał Floryan.

— Znasz mnie—odezwał się przyjaciel—niełatwo co postanawiam, ale gdy mam przekonanie

to uparte. Nie zmienię go, pocóż napróżno mamy się spierać?

Jadę jutro, nieodwołalnie — dokończył Jordan.

Na twarzy Floryana widać było pasowanie się z sobą.

— Chodź, proszę cię, zostań ze mną — do jutra, daj mi zebrać myśli.

Jordan nic już nie mówiąc, szedł z nim na górę. Siedli—mleczeli.

Kilka razy z różnych stron próbował Małdrzyk zaczepiać przyjaciela, usiłując zachwiać jego postanowieniem—napróżno.

Jordan w końcu zamknął rozprawy temi słowy:

— Być bardzo może iż się mylę, że to co zaśrodek zbawienny dla nas, dla ciebie uważam—nie będzie tak szczęśliwym jak się spodziewam; ale—wyrwać cię ztąd, jest koniecznością. Ty tu zgnijesz...

— A tam?—zapytał Małdrzyk.

— Nie wiem, możesz odżyć.

Wieczorem, Klesz sam wniósł że coś zjeść było potrzeba, ale poprowadził Floryana do piwiarni naprzeciw, gdzie kazał dać dwa kufelki piwa, chleba z masłem i szynki.

— To dosyć na umorzenie głodu — rzekł — a z kasą potrzeba się rachować ściśle.

Ostygly, rozczarowany, zamysłony Małdrzyk,

był na rozdrożu, nie wiedział co wybrać. Pozostać samemu, ze słabemi nadziejami? czy jechać mając z sobą energicznego za dwóch opiekuna?

O świcie Jordan był upakowany—nie namawiał go, ale sam sposobił się do drogi. Na pociąg odchodzący przez Kolonię do Paryża potrzeba było spieszyć. Małdrzyk, który chodził gorączkowo po izbie, nagle spojrzął na zegarek, twarz mu się wykrzywiła boleśnie.

— Jadę!—zawołał—chciałeś, zmusiłeś—jadę.

— Nie zmuszam!—odparł Jordan.

Filip, który na wszelki wypadek przyszedł się dowiedzieć wieczorem o przyjaciół, posadzając ich o zwłokę, zastał izbę pustą i starą służącą w pantoflach, zamiatającą ją, która mu rzuciła niechętnie odpowiedź na zapytanie:

— Wyjechali!

Koniec Tomu I-go.



TOM DRUGI.





Na dworcu północnym kolei, w Paryżu, oczekując wieczornego pociągu z Kolonii przechadzał się dosyć żwawo mężczyzna, którego wiek trudno było oznaczyć ściśle.

Przypatrzwszy mu się zbliska, można było dać lat ze sześćdziesiąt, chociaż chód elastyczny, postawa żołnierska, uchy żywe, zdala młodszym go daleko czyniły.

Typ to był ciekawy, w którym ci co owe czasy pamiętają, poznać mogli łatwo relikwię z roku 1831. Wszyscy wojskowi, wyszli ze szkoły surowej W. Ks. Konstantego zachowali do końca życia tę postawę rycerską, ten sposób trzymania się, którego wiek ugiąć nie może, a—nawet owe twarze prawidłowo wygolone.

Mężczyzna, o którym mowa, wśród towarzyszków i rówieśników, uderzał wybitnem wcieleniem tego typu.

Czas i moda mało bardzo na zmiany niedo-

strzeżone wpłynęły. Piękny niegdyś mężczyzna, nie zrzekał się dotąd wdzięku męskiego, który mu dawniej zyskiwał serca, nad Wisłą, nad Elbą i nad Sekwaną. Twarzyczka pomarszczona okrutnie około oczu, porysowana koło ust, poszamerowana na policzkach, była biała i rumiana. Wąsik wśród niej wyszwarcowany i dwoma spiczastemi kończykami podniesiony do góry, miał w sobie coś młodego, trzpiotowatego, podporucznikowskiego. Usta małe, nosek kształtny, dawały obliczu charakter osobliwy, siedząc wśród tej siatki zmarszczek.

Czoło było wyłysiałe, a nad niem, nadzwyczaj kunsztownie adaptowany tupecik, który miał pretensję nie być poznanym i uchodzić za prawdziwe, rodzime włosy — siedział więcej na tylnej części czapki niż na przodzie.

Na szyi — z przyzwyczajenia nosił dotąd, zarzucony już przez wszystkich krawat czarny na duszce, który może służył do podtrzymania głowy — zdającej się chcieć czasem drzeć niepotrzebnie. Reszta stroju obcisłego i dobrze do figury przystającego składała się z węgierki, która miała to do siebie, że mundur trochę przypominała. W jednej z dziurek do baryłek przeznaczonych, widać było maleńką wstążeczkę niebiesko-czarną, a tuż przy niej, nadwiedłła różę.

Lakierowane buty obcisłe, którym tylko ostróg brakowało, nareszcie w ręku kijek cienki,

więcej dla zabawy, niż do chodzenia przydatny—dopełniały obrazka.

Mimo swych lat, wyglądał przechadzający się elegancko, i rękawiczki, choć prane—leżały na trochę dużych rękach jak ulane. Dbał widocznie o to.

Pociąg trochę się był opóźnił z powodu jakiegoś złamania osi dostrzeżonego w Verviers, a oczekujący nań bił szpicrutą po nogach i pocichu mruczał, bo go to niecierpliwiło.

*Heure militaire!* — nie powinni byli dać na siebie czekać. Gderał.

Niecierpliwy ten pan, był to kapitan Arnold Zanosz, rozbitek z 1831, — już lat kilkadziesiąt przebywający nad brzegami Sekwany. Był on niedalekim krewnym Jordana, który do wujaszka, bo z nim dawno korespondował, napisał o informacye i na przybycie do Paryża, jako opiekuna i przewodnika go sobie zamówił.

Owe listy rekomendacyjne, o których Klesz mówił, dla dodania odwagi przyjacielowi—w istocie ograniczały się do... znajomości i pokrewieństwa z kapitanem Arnoldem.

Lecz Jordanowi zdawało się, że taki człowiek, kilkodziesięcioletnim pobytem na paryzkim bruku we wszystkie tajemnice jego wżyty, który nigdy od rodziny i od nikogo nie nie potrzebował i dumnie zawsze powtarzał, że człowiek sam sobie starczyć powinien—stał za listy rekomen-



dacyjne i protekcyę, gdy mu dobrej woli nie brakuło.

Klesz w przewidywaniu tej ostateczności, która ich z Floryanem spotkać miała, — korespondował z kapitanem, wypowiedział mu się i odebrał zapewnienie—że, przy pomocy Bożej, ja-koś to będzie.

Charakter kapitana Arnolda, był dziwną różnicą żywiołów przestarzałych mieszczaniną. Zanosz był bardzo pobożny, przytem mistyk i goniący myślą za rzeczami cudownymi, razem z tem w życiu powszedniem wesóły, kobieciarz, galant i śmieszek. Regularny jak dobry zegarek, pracowity, miał czas na wszystko — na godziny w kawiarni z przyjaciółmi, na przysługiwanie się młodym panienkom i młodym mężatkom i na zarabianie na chleb powszedni.

Kapitan pracując lat wiele nie dorobił się majątku, ale, jak powiadał — kłopotu ziomkom z pogrzebem nie miał zostawić. Zapasik renty był w biurku.

Pochodziła ona z oszczędności, bo fortuna w inny sposób mu się nie uśmiechała.

W pierwszych latach po przybyciu do Paryża, gdy mu podobno pensyjkę, do której miał prawo, niewiadomo z jakich powodów zakwesty-  
nowano, z dumy żołnierską plunął i wyrzekł się jej na zawsze. Miał przyjeżdżając tu okrągłych siedmdziesiąt dukatów w kieszeni. Szukał przez

jakiś czas zajęcia, poradzono mu wyuczenia się buchalteryi. Dobry niegdyś matematyk i rachmistrz kapitan z łatwością nabył nauki trzymania ksiąg, znalazł małą klientellę, a teraz miał tyle domów, małych kupców, którym trzymał rachunki, iż mu to rocznie kilka tysięcy franków, z gratyfikacyami, przynosiło.

Ucziwy i surowych zasad, aż do przesady i śmieszności, często zastępował i kasyerów. W tem kółku, w którym się obracał, lubiono go i szanowano. Kobiety tylko uśmiechały się z niego, bo do najmłodszych szczególnie najzajadlej się umizgał.

Pani Durand, w której domu od lat dwudziestu już pisywał rachunki, zrobiła nawet tę uwagę, że dawniej do trzydziestoletnich wdówek się przysiadł, a idąc w lata zaczął wybierać coraz młodsze, tak że teraz piętnastoletniemi się już tylko zachwycał.

Zwał je pączkami różanemi.

Pomimo tych zapałów kapitan, który z łatwością byłby się mógł przed laty dwudziestu nieźle ożenić, któremu swatano wcale przyzwoite kobiety—głową potrzasał.

— Umizgać się do francuzek—mówił—rzecz naturalna, ale ożenić się niegodzi chyba z polką.

Kapitan Arnold chodząc tak, coraz to dobywał zegarka, stawał, nasłuchiwał i przeklinał.

— *Sacré matin!*—żeby koleją mogła tyle mi-

nut się opóźnić. Wpakowałbym konduktora do kozy.

Naostatek dało się słyszeć przeraźliwe świstanie lokomotywy, hałas, dzwonek jakiś zaczął coś wybijać i podróżni wysypali się już do obszer-nych sal, w których tłumoki swe odbierać mieli.

Ponieważ kapitan nie znał Jordana tylko z fotografii i nie był mu znany również tylko z podobnej karty wizytowej, umówili się że Arnold miał do kapelusza przypiąć zielonego papieru opaskę. Co najprędzej dopełnił to, zobaczywszy natłok przyjezdnych wylewających się na salę — i czekał — oglądając się na wszystkie strony.

Uczuł w końcu że go ktoś za rękę pochwycił i ujrzał śmiejącą się, brzydką, poczciwą twarz Jordana, którego strój, mina, powierzchowność, niemal go przestraszyły. Nie chciało mu się wierzyć ażeby ten biedny, ubogo przyodziany człowieczyna, mógł być jego—siostrzeńcem, choćby od ciotecznych.

— Kapitan Arnold.

— *Present!*—po wojskowemu zawołał Zanosz przyglądając się ciekawie kłaniającemu się Flo-ryanowi, wychudzonemu, mizernemu, lecz jeszcze pięknemu mężczyźnie, którego postawa i ruchy dziecię salonów charakteryzowały.

Jordan go przedstawiał wujowi.

— Masz oto dwóch rozbitków wyrzuconych

na brzeg Sekwany, choć tu wam na nich nie zbywa. Żeby nie wykochany kapitanie — dodał w ramię go całując — kto wie czybyśmy się tu wazyli.

Nie odpowiadając na to, kapitan już zajął się stroną praktyczną wylądowania, uczył jak i gdzie odbierać mają tłumoki — sam się krzątał — a razem wśród tłoku zdala widząc znajomych na kolei urzędników, starego kolegę, oddawna sprawującego urząd portyera na północnym dworcu, kłaniał się, witał, rzucał słowa, i jakby młodzieniec dwudziestokilkoletni był czynnym.

Ze zdumieniem patrzył na to Floryan, który wiedział, że miał przed sobą dawnego wojskowego, co służył za czasów Ks. Konstantego.

Z jego pomocą odebrano tłumoki, uwolniono je od rewizyi konsumpcyjnej — zamówiono fiakra — i w ostatku kapitan rzucił mu adres małego hoteliku na Batignolles.

— Choć w hotelu, panie Boże odpuść — rzekł — długo popasać nie możecie i spodziewam się nie będziecie, zawsze upłynie czasu trochę nim się znajdzie mieszkanie. Praktycznie te rzeczy biorąc, niepodobna mieszkania zamawiać, póki się nie ma zajęcia. Mimo omnibusów i konnych kolei — traci się czas odlegle mieszkając od kąta, w którym się będzie pracowało. Dla tego wybrałem wam tani, kiepski hotelik, izbę z dwoma łózkami, za parę franków. Oszczędzać się musicie.



Omnibusami z korespondencyami dojedziecie ztąd dokąd zechcecie. Kwartał to nieelegancki ale tani.

Floryan milczał, przymiotnik „kiepski“—dany hotelikowi, który nosił tytuł ulicy swej—brzmiał mu w uszach nieprzyjemnie. Już w drodze Jordan mu dał przedsmak życia, jakie prowadzić mieli, nie dopuszczając się najmniejszego zbytku i ograniczając się do najniezbędniej potrzebego napoju i pokarmu, byle życie utrzymać.

Floryan sykał i narzekał, mentor powtarzał: Nie ma z czem żartować, pieniędzy mało, możemy pohulać dziś a jutro będziemy głodem marli.

Hotelik, przed którym stanęli, a którego właścicielka była znajomą kapitanowi, przy świetle gazowem, nie wydał się na pierwszy rzut oka Małdzykowi tak okropnym, jak go sobie wystawiał. Od wnijscia tylko uderzyło go to właściwe wszystkim podobnym gospodom powietrze ciężkie, niemile, które najrozliczniesze, nieokreślone wyziewy przenikały. Gaz, rynsztok, tłustości kuchenne, wilgoć, stęchliznę — wszystko w tem czuć było.

Po schodach wązkich i śliskich dostali się na trzecie piętro. Wszędzie było nadzwyczaj ciemno; oszczędzanie miejsca posunął architekt do ostatecznych granic. Pokój, który im dano, po

owym na Pirnajskim placu, mógł prawie ucho-  
dzić na pierwszy rzut oka za elegancki.

Komin przyozdabiał zegar brązowy, z parą kochanków i parą gołębi, sentymentalnie komi-  
czną. Nie szedł on oddawna, ale nie brakło go,  
zajmował miejsce, razem z dwoma lichtarzami do-  
branymi do niego i dwoma bukietami robionych  
kwiatów pod kloszami. Zwierciadła zmatowane,  
dywany wytarte, pawilony stare, zużyte—repre-  
zentowały przeciw zbytek jakiś zmarły i trupi.

Nie brakło nic; nawet marmoryzowanego *la-  
vabo*, i szczypców z brązowymi rączkami przy  
kominie.

Powietrze było—kwaśne.

Floryan chciał zaraz okno otworzyć, lecz  
ztamtąd buchnął nań wyziew jakiejś pobliskiej  
fabryki, który jeszcze był bardziej zabijającym.  
Zamknął je zaraz.

Kapitan rozporządzał tłumokami co prędzej  
i robił wnioski:

— Trzeba coś zjeść. Niedaleko znana mi, nie-  
zgorzsa *Cremerie*, tam coś dostaniemy. Dzisiaj  
ja proszę.

Chciał się opierać Floryan, ale kapitan gdy  
co postanowił, był uparty.

— Dzisiaj ja traktuję — rzekł—nie obawiaj-  
cie się. zbytku nie będzie.

Owa *Cremerie*, była zarazem rodzajem skro-  
mnej restauracyjki, niedaleko gospody położonej.

Nie mniej pokąźnego wyobrazić nie było sobie można. Kapitan ograniczył się butelką wina zapieczętowanego, szynką, serem, jajecznicą dla głodnych, a sobie kazał podać—absynt. Nie nadużywał go, jak inni, ale raz w dzień, znajdował że absynt krzepi.

O podróży nie było co mówić. Jordan zaraz przystąpił do rzeczy, żądał od kapitana rady co by tu robić aby zarabiać. Szło mu szczególnie o przyjaciela, który powołania do żadnej pracy nie czuł, usposobienia nie miał — i mógł chyba... rysować ornamentacye.

— Ano—odparł Arnold—to jest przecież talent, z którego tu coś zrobić można.

Krewny mojej starej przyjaciółki, poczciwej Durand, ma fabryczkę jakichś drukowanych gałganów i wiem że mu ludzie wzory rysują— że za to płaci. Pomówię z nią.

— Trzeba się jeszcze uczyć wprzód, a przynajmniej przypatrzeć — wtrącił Floryan—nie jestem z tem obeznany.

— Ale ja też, szanowny panie — odezwał się kapitan—gdym tu przybył oprócz czterech reguł arytmetycznych, reguły trzech i ułameków niewielem więcej umiał. O trzymaniu ksiąg *en partie double*, ani mi się śniło, a dziś lekcję daję buchalteryi. Trzeba chcieć.

Małdrzyk siedzący z kieliszkiem wina w rę-

ku, nie śmiał nic odpowiedzieć, kapitan się zwrócił do siostrzeńca.

— A waszeć co myślisz?

— Do niczego jestem— rozśmiał się trąc najeżone włosy Jordan — ale, wyliczę moje mniemane zdolności czy nieudolności. Mogę trzymać korektę w drukarni łacińskiej, z lichem grecką, na biedę włoską i niemiecką. Mogę głupstwa i komunały pisać w tych językach, ale, co podobno najpraktyczniejsze — trochę się znam na introligatorstwie.

— Ba—przerwał kapitan—maszę masz powołań do wyboru, i tak dobrze dokompletowanych, że z nich żadne tłustego kawałka chleba nie da.

Wiesz co—rzekł po namysle — ja cię nauczę buchalteryi, będziesz mnie wyrećzał, a—gdy wybije godzina, która nadejść musi, weźmiesz klientelę po mnie.

Nie—odparł Jordan—to mi się nie uśmiecha. Introligatorstwo...

— Głód! — zawołał kapitan —na cały Paryż jest jeden sławny introligator-artysta.

— Dla czegożbym ja nie miał być drugim — rozśmiał się Jordan.

— Ambicya!—rzekł Arnold.

Rozmowie ich Floryan zadumany przysłuchiwał się w milczeniu. Był już w stanie tej apatyi, której się spodziewał Jordan. Życie zapowiada-



jące się tak mu się nędznem zdawało, że o własnej woli kroku ku niemu zrobić nie chciał.

Arnold, czując to jego osmutnienie, napróżno chciał go żartobliwszym tonem wyprowadzić z melancholii.

Sama ta nad głową zwieszona jak miecz Damoklesa idea pracy, nieustannej, bez odpoczynku—mającej zaledwie na nędzne pożywienie wystarczyć—zabijała go.

Kontrast też Paryża, w którym był niegdyś jako bogaty młodzieniec, nieliczący się z groszem—z tym Batignolskim cuchnącym i brudnym, ścisnął mu serce. On co śniadał w *Café anglais*, co obiadował u *Chevet'a*, zejść na Cremerie w Batignolles!

Kapitan Arnold po swojemu chcąc mu dodać ducha, począł chwalić Paryż i francuzów.

— Trzeba ich znać, trzeba się zżyć z niemi mości dobrodzieju—*sacré matin*. Nie ma nic gorszego od złego francuza, ale gdy dobry, to lepszego człowieka znaleźć nie podobna. Trzeba, z niemi umieć żyć. Na grosz są łasi, chciwi, ale serce niech mu się poruszy, a ostatnią koszulę z siebie zwlecze.

Ponieważ z tego tonu jakoś gra nie wywierała wrażenia, kapitan poruszył inny.

— No, mospanie, *sacré tonnerre!*—zawołał—i to coś przecież znaczy, że człowiek patrzy nie na same samice ale na prawdziwe. kobiety Pa-

ryżanka, mosanie— to niewiasta w całym znaczeniu słowa. Będzie szelma brzydka — a zechce zostać ładną — potrafi. Oczki bestyjce igrają, nóżka małeńka, rączka, którą pocałować nie ma odrazy—no i pogadać z nią—trzymaj się dobrze, aby cię z siodła nie wyrzuciła.

Floryan tej paplaniny słuchał uważniej nieco, postrzegł to Arnold i dobrze wróżył już o człowieku, który kobiety oceniać umiał. Nie lubił tych co ich nie kochali.

Butelka wina i absynt już były wypite—Jordan ziewał, kapitan wstał, rozplącił się i odprowadziwszy ich do drzwi hoteliku, zadzwoniwszy aby im otworzono, dał dobranoc, wybierając się omnibusami dostać do dosyć odległego ztąd mieszkania.

— Jutro—rzekł Jordan— odpoczynek, pojutrze musimy coś zacząć.

Floryan nie odpowiedział na to, rzucił się, wdrapawszy na trzecie piętro coprędzej do łóżka i w śnie szukał zapomnienia życia.

---

Z dwóch tych rozbitków, z których jeden zdawał się nie mieć ani powołania ani usposobienia do pracy—właśnie zrozpaczony, dziwnym sposobem pierwszy znalazł zajęcie, stosunkowo nawet opłacające się i nieuciążliwe. Fabryka krewne-

go pani Durand, niejakiego Paulin, potrzebowała rysowników.

Kapitan przyniósł motywa i informację trzeciego czy czwartego dnia—dosyć niechętnie siadł, nie mając żadnej nadziei aby się to na coś zdało, p. Floryan, do roboty.

Miłość własna przyszła w pomoc. Patrząc na motywa i wzory uznał że równie dobrze, a może z większą fantazją narysuje jakiś dziwaczny ornament. Puścił sobie cugle.

Niezużyta wyobraźnia była dosyć obfitą—z łatwością nakreślił nie jeden ale kilka wzorów—i oddał je kapitanowi.

Ten spojrział, ale rzekł zaraz, że się wcale na tem nie zna. Obiecywał zanieść to do fabryki. Upłynęły trzy dni a odpowiedzi nie było żadnej, tak że Jordan zwątpił aby mogła być pomyslną.

Tymczasem zażądano widzieć się z rysownikiem, chciano mu dać skazówki i — obiecywano zajęcie, jeśliby nabył wprawy.

Druk wymagał większej prostoty rysunku, bo rzeźbanie form zbyt kosztownem być nie mogło.

Niechętnie, kwaśny, prawie przymuszony poszedł Małdrzyk do dyrektora fabryki z kapitanem. Być czyimś sługą, podwładnym, zmuszonym się stosować do rozkazów, skazówek i t. p.—dręczyło go.

Upokorzenia tego nie doświadczał dworując Nababowi, któremu się równym uważał, tu pro-

sty taki chłopisko—fabrykant, który sam o sobie mówił, że wyszedł z niczego, że w bluzie chodził i wozy poganiał, nad nim! jego chlebobdawcą!

Gorzko się uśmiechnął nad tą ironią losu.

Paulin ów wyglądał na tego kim był, duży, spasyły, z rękami zapracowanemi, w obejściu się rubaszny, nie robiący ceremonii z nikim, bo się już czuł milionerem—był dlań wstrętliwym.

Lecz—cóż było robić? Rysunki te, jak się okazywało, mogły dać, jeśli nie zamożność to przynajmniej przyzwoite utrzymanie. Płacone od sztuki, przy prędkim wykonaniu, były nawet świetne zarobki, lecz Paulin, jak tylko by się Floryan wdroył, chciał kontrakt roczny zawrzeć i warował sobie, że dla żadnej innej fabryki rysować nie miał.

Dawało to stałe utrzymanie, Floryan niezdecydowany krzywił się. W początku do robót swych najmniejszej nie przywiązywał ceny, teraz nagle znajdował, że one pewnie więcej warte być musiały, niż za nie dawano.. W istocie wartość im nadawało to, że Floryan tradycjami i wzorami skrępowany nie był, miały świeżość—pomysł ich uderzały oryginalnością.

Paulin rachował na to, iż one wyrobom jego nadadzą cechę odrębną. Nie mylił się w tem może, gdyż łatwiej o wprawnych naśladowców bez myśli, niż o zręcznych artystów, w których płonie iskierka daru bożego.



Gdyby Małdrzyk chciał być trochę serca w to włożyć i pokochać to co robił! Niestety, biedny rozbitek nudził się już i nad tem.

Jordan musiał go pilnować i zachęcać. On sam, pomimo pomocy kapitana, przekonał się na-przód że introligatorstwa wcale nie umiał, a gdy-by się go nauczył, długoby więcej nad parę fran-ków dziennie zarobić niem nie mógł.

Po drukarniach miejsca korektorów były tak poszukiwane przez ubogą młodzież, chodzącą do Sorbony i Collège de France, do innych wyższych zakładów, że ani można było pomysleć dostać się tutaj—a dostawszy się — trzeba było mrzeć głodem.

Arnold obstawał przy buchalteryi, a Klesz, choć zrezygnowany na wszystko—miał wstręt do niej. Prosił wuja o czas do namysłu.

Czuł że przecież coś umie i coś by mógł pi-sać. Początek był trudny. Język francuzki znał dobrze, ale myśli swe w tę sukienkę obcą ubie-rać—było mu trudno.

Przez jakiś czas ani kapitan, ani Małdrzyk nie wiedzieli, ani mogli odgadnąć co robi. Krył się z tem.

Ponieważ nie zarabiał, jadł też—mało. Ogra-niczał się takim posiłkiem, iż Floryan gniewał się na niego i kłócił.

— Wierz mi — odpowiadał ze śmiechem—że człowiek się popsuł i zdrowie sobie nadweręża.

zbytkiem jadła. Wracam do natury—karmię się higienicznie. Nie potrzebuję więcej, czuję się zdrowym i lekkim.

Przekonać go że się morzył nie było sposobu. Jadali razem u Duwała, ale Jordan zmniejszył sobie porcyę—i nic go nie mogło nawrócić.

W istocie, chociaż mizernym był, chodził żwawo, na siłach nie zdawało mu się zbywać.

Kapitan Arnold odwiedzał ich gdy mógł, bo szczególnie o Jordana był niespokojny. Ten, prosił o cierpliwość.

Wychodził z domu, nie bywało go po kilka godzin, powracał zmęczony, lecz z tą siłą panowania nad sobą, której nabył teraz, nigdy nie okazał ani troski, ani zwątpienia, ani żalił się na zawód doznany.

W końcu Floryan milczeniem jego dotknięty, zaciekawiony, wymawiać zaczęła, że mu nie ufa.

— Kochany Florku — odpowiadał Jordan — mam w tobie nieograniczone zaufanie, gdy chodzi o mnie. Zwierzyłbym ci się gdyby było z czego, ale się spowiadać z baków i omyłek nie mogę.

— Cóż robisz?

— Próbuje różnych rzeczy! Nie razem Kraków zbudowany. Do czegoś może dojdę. Czekaj i bądź cierpliwy.

Jednego dnia wpadł Jordan z tak rozjaśnioną twarzą, taki wesół i wybrykujący, iż Floryan aż ramionami ruszył.

Trzymał w ręku jeden z dzienników, które kupował zwykle za swój grosz, od ust sobie odejmując. Arnold mu to wymawiał, dowodząc, że w pierwszej kawiarni czytać je może.

— No, tak a konsumpcya?— odpowiadał Jordan—każę sobie dodać bodaj czarnej kawy, z nieuchronnym napiwem dla służącego, więcej to wyniesie niż kupienie dziennika.

— Ale kawa w dodatku!—wołał Arnold.

— Nerwy mi rozstraja.

Dano mu pokój. Tego dnia Jordan jak nigdy zatopiony był w dzienniku i zwyczajem swym, nie rzucił go, ale schował do kieszeni.

— Cóżś tam znalazł?—spytał Floryan.

— Nic coby cię zająć mogło, wierzaj mi. Głupstwo.

Małdrzyk rysował—lecz w miarę jak więcej coraz przysiadł nad tem musiał, a szczególnie gdy robota stała się przymusową, konieczną, stracił do niej smak, znajdował ją piekielną pańszczyzną.

— Florku, całe życie ludzkie jest pańszczyzną—odpowiedział Jordan.—Warunków jego nie zmienimy. Dziękuj Bogu, że możesz przy stoliku siedząc, bez wielkiego wyteżenia sił, bez nadwreżenia zdrowia coś zarobić.

Gdybym cię nie kochał, tobym ci zazdrościł.

— A! nie ma czego! to pokuta.

— Tak, i słuszna—dodał Jordan.—Jak każda pokuta oczyści cię ona i pokrzepi.

Parę razy napominania te i morały zniósł cierpliwie Małdrzyk — marszczył się tylko, milczał i—jeżeli go to przy rysowaniu zastało, z zajądłością po papierze smarował ołówkiem. Ręce mu drżały.

Widocznem było, że się na burzę jakąś zbierało, której Jordan nie przeczuwał.

Dnia jednego gdy znowu począł Małdrzyka nawracać, rzucił się i wstał z krzesła obrażony, włożył rękę w kieszenie i krzyknął:

— Nie nadużywajże mojej cierpliwości; obchodzisz się ze mną jak z małym dzieckiem, wzięłeś mnie w kuratelę, ale przyjaźń twoja staje się jarzmem

Mam przecież wolę własną i rozum. W mojem położeniu możnaby stracić zmysły i oszaleć—nie masz na nic względu.

Proszę cię, nie krępuj mnie, nie prowadź—bo, słowo ci daję, ucieknę.

— Sądziłem, że ci jestem potrzebny — odparł chłodno Jordan — robiłem to z serca, może niezręcznie, przepraszam.

Małdrzyk ochłonał, przyszedł go uścisnąć w milczeniu—zamilkli i nie mówili już dnia tego o niczem ważniejszym.

Jordan wyrzucał sobie, że był niezręcznym



i do zbytku despotycznym. Poszedł na radę do kapitana.

— Wujaszku—rzekł—znasz już potroszę mojego przyjaciela, mówiłem ci o jego przeszłości i o tem, że mu życie winienem. Okazuje się że z najlepszymi chęciami naprzykrzyłem mu się. Człowiek był aż do ostatniej katastrofy przez los zepsuty, rozpieszczony, wziąłem go w kluby, nadto]gwałtownie. Konieczność i my zapędziliśmy go do pracy. Nudzi się, męczy i gotów w przystępie zniecierpliwienia popełnić jakie szaleństwo.

— Więc cóż?—zapytał Arnold.

— Więc z nim, musimy jak z dzieckiem—dodał Jordan — zabawić go, rozerwać. Głowę łamię... możebyśmy mogli zrobić gdzie jaką wycieczkę... jakiś piknik? Masz pewnie znajomych?

— Ale ba, na fury ich brać, znajomych i znajome — rozśmiał się kapitan — tylko znowu jak zacznie się kumać z tym i owym... żeby go nie wciągnięto w bałamutne życie.

— Przecież my na straży—rzekł Klesz.

Kapitan przeszedł się parę razy po pokoju poświstując.

— A, no—rzekł—da się to zrobić, w niedzielę możemy wycieczkę do Wersalu umówić. Zaproszę moją starą Durand, a ona parę swych znajomych kobietek.

Mówiłeś mi, że kobiety lubi?—zapytał Arnold.

— I słaby jest dla nich, tak że go każda weźmie, która zechce. Szczęściem—mówił Klesz dalej—choć przystojny jeszcze, nie jest już młodym i—goły. Nie ma więc niebezpieczeństwa, aby go która chciała.

Kapitan palił swą krótką fajeczkę, przechodząc naprzeciw zwierciadła spoglądał w nie, bo nawykł był do tego, chrząkał, spluwał i podumawszy—zakończył:

— Zatem na niedzielę — *partie fine*. Dobiorę wesołe towarzystwo, spuść się na mnie, no i starego kolegę Tatianowicza doprzęgę. Śpiewa piosenki i ma niewyczerpany zasób anegdot. Z kościami poczciwy.

Ułożono się na niedzielę — i Jordan poszedł oznajmić o tem przyjacielowi, nie przyznając się że sam to ukartował, ale składając na kapitana.

Małdrzyk z początku nieokazał ochoty. Lepsze suknie ukradziono mu w Dreźnie, oporządzić się w Paryżu nie miał jeszcze czasu, choćby *à la belle Jardinière*—wstyd mu było ladażako ubranemu wystąpić.

— My wszyscy będziemy w codziennych surdutach — rzekł Jordan— w niedzielę tylko kupczyki się stroją.

Floryan w końcu przystał na wycieczkę do Wersalu. Arnold dał im wiedzieć, że on zresztą towarzystwa czekać ich będzie w restauracyi koło kolei, gdzie wcześniej zamówi obiad. Brał zno-

wu wszystko na siebie, znajdując że on tylko mógł oszczędnie i przyzwoicie ucztę przygotować.

W istocie też wybrał restaurację niewykwiśniętą, której całą zaletę stanowiło, że miała rodzaj ogródka z tyłu, a w nim altanki wijącemi się roślinami okryte, w których na świeżem powietrzu można było w cieniu spędzić godzin parę.

Zawczasu kapitan Arnold z kolegą Tatianowiczem, małym, okrągłym człeczkiem, z czerwona pyzată twarzą, obwisłemi policzkami i takiemiz wąsami wyczernionemi jak Zanosza — stół wino i siedzenia przygotowali.

Tatianowicz równie się młodości wyrzec nie życzył pono jak kolega kapitan, czernił resztę włosów, które przy świetle miały barwę bronzową, i ścisnął się paskiem tak, że mu nieustannie krew biła do głowy.

Specyalnością Tatianowicza było, oprócz dobrego humoru, zbieranie wszelkich możliwych proroctw i przepowiedni, cudownych objawień i wszystkiego co przyszłość miało odsłaniać.

Wierzył on jak najmocniej że miały się za jego żywota jeszcze dokonać takie przemiany w Europie, o jakich nikt ani marzył.

— No, zobaczyciel — mówił — wiercie nie wiercie, a wszystko się sprawdzi.

Spis proroctw łacińskich, francuzkich, polskich, w różnych językach, własnoręcznie na ma-

łych kartkach spisany, Tatianowicz nosił zawsze przy sobie w lewej kieszeni surduta — i niebezpiecznie było dotknąć tej jego słabej strony.

On i kapitan Arnold, który także mistykiem był na swój sposób, często godzinami całemi spierali się o tajemnicze znaczenie... czterdziestu i czterech w poezyi Adama.

Tatianowicz miał cały odrębny system wykładu tej zagadki.

Pomimo usilnych prośb aby się wcale nie stroił, Małdrzyk ubrał się jak mógł najstaranniej, a że chciał koniecznie kupić świeże rękawiczki, spóźnili się poszukując ich i przybyli, gdy już towarzystwo paryzkie wesoło się śmiejąc—tylko na nich oczekiwało. Kapitan na zegarek spoglądał i już się gniewać zaczynał.

Główną rolę grała podżyła, bardzo dobrej tuszy, twarzy rumianej, świecącej, trochę włosami już okrytej na brodzie i na wardze górnej—wesołej kumoszki mająca minę, stara przyjaciółka kapitana, u której on najdawniej rachunki trzymał, wdowa, mająca znaczny magazyn fajansów, porcelany i szkła—pani Felicya Durand.

Kapitan zapewniał, że w ciągu lat dwudziestu kilku znajomości z nią, nigdy jej nachmurzoną i smutną nie widział. Energiczna, ruchliwa, wygadana, w najwyższym stopniu praktyczna—była razem dobroczynną, miłosierną—choć zamiast



rozczułać się, litość swą i dobre serce często szorstko ale czynnie okazywała.

W ruchach miała coś męskiego jak w twarzy. Dwoje swych dzieci wyposażywszy, córkę dawszy za mąż do Lyonu, synowi handel urządziwszy w miasteczku na prowincyi, pani Durand sama (nie chcąc się zdać na dzieci) prowadziła dalej handel, na którym dobrze wychodziła.

Nie trzymała rzeczy zbytkownych, tylko pierwszego użytku, niezbędnej potrzeby — to co wedle jej wyrażenia, mogło się sprzedawać jak chleb.

Obdarzona doskonałym apetytem, pani Felicja wyglądała zdrowo; pomimo lat miała jeszcze białe i całe zęby—i choć mocno nieładna, niemal dla każdego była sympatyczną.

Wesoły humor pokrywał u niej i troski i niesmaki nieodłączne od życia, lubiła też towarzystwo męskie i kobiece, ludzi tak jak ona usposobionych.

Na ten dzień wystąpiła pani Durand uroczystie strojna, w jedwabiach, w łańcuchach, w pierścieniach, jak na zamożną mieszczkę przystało.

Naprawdę potrzebując najmniej dwie jeszcze zwerbować towarzyski, bo kapitan prosił jej o to, wzięła ze sobą starą pannę mieszkającą z nią razem, brzydką a gadatliwą i jak ogień sprytną, którą zwano panną Julią, a—że się więcej nikt nie nastroczał, oprócz właścicielki ma-

tego hoteliku obok, krewnej jej męża dalekiej — pani Perron, pociągnęła i ją z sobą.

Pani Perron zwała się wdową i niewątpliwie nią być musiała, chociaż męża jej nieboszczyka nikt nie znał. Wiek swój podawała od lat kilku, jako zbliżający się do trzydziestki, lecz wyglądała zaledwie na dwadzieścia kilka. Urodzona, wychowana w Paryżu, i nigdy pono dalej nad Asnières i Montmorency nie wyjrzawszy, madame Perron, była typem paryżanki, tej klasy nieoznaczonej, średniej— która niekiedy wspina się bardzo wysoko, lub opada bardzo nisko. Spojrzawszy na nią można ją było odrazu odgadnąć. Mała, zręczna, żywa niezmiernie, z twarzą prawie dziecięcą, pulchną, wdzięczną a oczyma zabójczymi oświeconą, dowcipna, trochę muzykalna, bardzo czytana, śmiała jak huzar, pomimo sentymentalności swej, o której mówić lubiła, mimo zalotności, była równie w życiu praktyczną i obrachowaną jak pani Durand.

Pojąć tego nikt z jej znajomych nie mógł, dla czego bezdzietna, dosyć majątna, bo spłacała z domu długi i robiła pieniądze—otoczona adoratorami, zawsze w hotelu mając mnóstwo komisantów podróżujących, którzy do niej wzdychali—za mężą jednak powtórnie nie wyszła.

Gdy Durand jej o tem mówiła, ruszała ramionami i odpowiadała:

— Dla czego nie idę za mężą? bo—nie chcę!



A mnie to po co? Pana sobie narzucać nie mam ochoty.

Hotel pani Perron, który nosił tytuł Marsylskiego, prawie zawsze bywał przepełniony. Gospodyni była pilną, uprzejmą, wesołą, nie gniewała się za śmieszne słówko, wyszczerzała zęby — nadzwyczaj szczęśliwie poznawała ludzi — kto raz do niej zajechał, pewno o hoteliku nie zapomniał.

Rzadko bardzo pozwalała sobie wycieczek pani Perron, tym razem wszakże namówić się dała, starszej swej pannie powierzwszy klucze. Chciała odetchnąć trochę.

Kapitan Arnold grający rolę gospodarza poznał zaraz przybyłych z paniami temi, a pani Perron dość było na nich spojrzeć aby ocenić.

Ponieważ jedna tylko śliczna twarzyczka pani Adeli Perron mogła ściągnąć oczy na siebie, Floryan przysunął się do niej zaraz, a ów niewieści urok, któremu łatwo ulegał — podziałał tak, że wnet mu się twarz rozjaśniła.

Przybył chmurny i posepny, a jak rószechką czarnoksiężką wyraz ten stał się pod wzrokiem francuzki. Zaczęto ich wypytywać, zabawiać, mała gosposia, która plotła z wielką łatwością o niczem, zawiązała rozmowę — a że jej wejrzenie Floryana mówiło o sympatyi — porozumieli się łatwo.

Pani Durand i szczebiotliwa panna Julia,

równie uprzejmie zwracały się ku wygnańcowi, przychlebiając się mu, wspomnieniem Poniatowskiego i Kostiułki—lecz oczy pani Perron wymowniejsze były nad nie.

Jordan, który w takich towarzystwach bywał milczący—niewiele rozmowę podsycił. Ten ceremonialny, znikł natychmiast—gdy pani Durand z rubasnością swą zwykłą—dała hasło do poufalej gawędki: a panna Julia i mała Perron rzuciły w nią kilka ostrych i błyszczących dowcipów.

Wszyscy wiedzieli, że trzeba było rozruszać i zabawić biednego wygnańca i chętnie się do tego przyczyniali. Skuteczniej jednak nikt nad małą panią Perron, którą los czy rachuba usadowiła przy Floryanie. Francuzka, która już wiedziała że się polakowi podobać mogła, manewrowała tak aby ze wszystkiego czem się pochwalić godziło, skorzystać. Zdjęła rękawiczki aby mu pokazać bardzo ładnie utrzymywane rączki i paluszki oprawne w pierścienie, poprawiła chusteczkę tak aby zobaczył ramiona, poruszyła się i przegięła kilka razy aby kibić ocenił, — spróbowała czy się jej warkocz nie odpiął, który był chlubą i dumą. Żaden z tych ruchów nie został stracony dla pana Floryana, może aż nadto pilnie sledzącego sąsiadkę.

Jordan siedzący w końcu stołu przy kapitanie, szepnął mu:



— Do licha wujaszku, żeby czasem lekarstwo to nie było zamocne.

Arnold się roześmiał.

— Nic nie szkodzi—rzekł—nie ma niebezpieczeństwa, kobieta stateczna.

Na pani Perron z pospolitego towarzystwa, do którego była nawykłą—nikt prawie nie robił wrażenia. Wszystkie te typy komi-wojażerów, mieszczan z prowincyi i t. p. znała nadto dobrze, nie miały dla niej nic nowego. Floryan ze swą piękną twarzą, noszącą jeszcze ślady poważnego smutku — był dla niej czemś zagadkowym, nowym. Wiedziała, że niegdyś bardzo bogaty, szlachcic starego rodu, stracił wszystko i był nieszczęśliwy. Jako biedny wygnaniec budził współczucie, a jako mężczyzna ciekawość.

Nie był to pospolity człowiek. Pani Perron szepnęła zaraz pannie Julii, że był bardzo dystygowany i że się jej niezmiernie podobał.

Toż wrażenie uczynił podobno na wesołej pani Durand, która się ku niemu zwracała ciągle i na pannie Julii wtrącającej się ciągle do rozmowy. Oblegano Małdrzyka, gdy biedny Jordan siedział prawie niepostrzeżony, zapomniany, i nikt nie zważał na niego.

Wśród dobrze wróżących śmieszków obiad się rozpoczął. Był on bardzo pospolitym i smutnie prawidłowym obiadem małej restauracyi — lecz po przymusowej wstrzemięźliwości kilkotygo-

dniowej, wydawał się doskonałym. Winem częstował kapitan nie żałując. Nie było drogie — ale i ono po paryzkim smakowało, bo nie codziennie się widywano z pieczątką.

Klesz patrzył, podsłuchiwał i nawet o jedzeniu zapominał, czyniąc postrzeżenia. Wkrótce rozmowa z ogólnej, zaczęła schodzić na poufalszą — kapitan był w atencyach dla starej przyjaciółki, Tatianowicz rozmawiał z panną Julią kręcąc węża, Floryan pochylony ku sąsiadce żywo rozprawiał z panią Perron, a Jordan... kręcił gałki z chleba. Było mu z tem wygodnie, że pary nie miał.

Od Poniatouskiego i Kostiułki zwrócono się do Paryża, do anegdot brukowych, do życia powszedniego.

P. Perron rozpytywała gościa o jego przeszłość w ten sposób, jakby tajemnice serca jego zbadać chciała; on skarżył się jej na smutne, osamotnione życie w Paryżu, gdy w ogólności domiejskiego żywota nie był nawykły. Z ironią pewną wspominał o swych powozach, koniach, służbie, domu, gdy dziś chodził pieszo, sam sobie służył i mieszkał w jednej izdebce.

Perron okazywała współczucie, lecz znajdowała że kto się dostał do Paryża na wygnanie, ten skarżyć się nie miał prawa.

— A! zobaczysz pan — mówiła śmiejąc mu się i wdzięcząc — że nigdy na wsi się tak zabawić i

rozerwać nie mogłeś — jak tu nawet małym kosztem.

Opisywała mu potem wszystkie przyjemności bezpłatne stolicy, jej życie, rozrywki — i pocieszała jak mogła.

Obiad, ani się spostrzegli tak gawędząc, gdy się zbliżył do końca i podano pudding z rumem, który deser poprzedzał.

Wszyscy, wyjąwszy Jordana, byli w jak najlepszym humorze, krzesła się rozsuwały. Kapitan wstał aby czarną kawę kazać przynieść i likier, a piękna Perron znajdując, że w altance było duszno, wyciągnęła p. Floryana na przechadzkę po małym ogródku.

Nagle to spoufalenie się dwojga zaledwie znajomych osób i wyłączenie ich zajęcie sobą, wszystkich uderzało.

— Perron się naposiadła chyba ażeby mu zawrócić głowę — mówiła śmiejąc się Durand. Jordan w duchu zaczynał żałować, że na rozweselenie przyjaciela użył tego środka.

Kapitan Arnold śmiał się.

— Niech się rozerwie — mówił. — Jużciż nie jest tak prostodusznym aby to brał na seryo. Perron dziesięć razy na dzień tak dokazuje z pierwszym lepszym.

Po kawie, kapitan zażądał jeszcze dla siebie absyntu, do którego i Tatianowicz się przymówił. Udało się nareszcie panie Julii, trochę za-

zdrosnej, że się z dowcipem popisać nie mogła—  
odciągnąć Perron od jej towarzysza.

— Zmiłujże się nad tym nieszczęśliwym —  
odezwała się do niej pocichu. Straci głowę biedaczysko.

— Jużciż nie student!—roześmiała się gospo-  
sia—a ja nie potem tu przyjechała aby się kwa-  
sić i usta sznurować.

Późnym już wieczorem towarzystwo siadło  
do wagonu, śmiejąc się i podśpiewując, lecz nim  
to nastąpiło, piękna pani Perron tak manewro-  
wała, że wsunęła swój adres Małdrzykowi i szep-  
nęła mu aby, gdy się bardzo znudzi, przyszedł  
do niej na poufałą gawędkę. Ścisnęła mu rękę  
znacząco, a że widziała na sobie zwrócone oczy,  
w wagonie umieściła się umyślnie przy Jordanie  
i z równą nieustraszoną przypuściła szturm  
do niego.

Od pierwszych jednak słów postrzegła, że tu  
grunt był inny, człowiek chłodny i natura dla  
niej niesympatyczna. Wiedząc jednak że był  
przyjacielem Floryana, tem zażarciej ująć go<sup>o</sup>so-  
bie postanowiła. Odpowiadał jej sucho—drażniła  
go dowcipem. Dobyła naostatek i ze skamienia-  
łego trochę ognia. Rzekł tylko sobie w duchu:

— Niebezpieczna baba! drugi raz już zapra-  
szać jej nie będziemy.

Floryan wrócił z przyjacielem w tak dobrym



humorze, ożywiony, gadatliwy, jak oddawna nie był.

— Bóg ci zapłać, mój Jordanku — odezwał się zapalając cygaro, gdy się na spoczynek kłaść mieli—żeś mnie tak doskonale dziś, ty i kapitan —ubawił. Wiem że tobie to winienem. Proste sobie kobiety, ale ta Perron.

Potrząś głową.

— Żebyś był ją wprzód widział—rzekł Jordan—nie byłbym prosił. Uważałem żeś bardzo do niej przylgnął—toć jawnie bałamutka jest.

— Ale ma wdzięk paryżanki! — dodał Floryan.

Życie paryzkie wogóle, po owem tak niezmiernie od niego różnem, cichem, skromnem, małomiasteczkowem, niemieckiem życiu w Dreźnie, wydawało się Floryanowi ukropem po zimnej, a raczej po letniej wodzie. Chociaż z niem wygnańcy nasi, mało się dotąd stykali, ocierali tylko o nie, ta atmosfera, ten kipiątek, ta wrzawa, ten ruch, zdala oddziaływały na Floryana szczególnie. Natura jego wrażliwa, ulegała wpływowi otoczenia—lecz dotąd budziło ono tylko smutek i ból.

Widzieć około siebie te tłumy śmiejące się, czynne, zajęte, dzień i noc bez spoczynku—naprzemiany rzucające się do pracy i zabaw z taką gorączką i spragnieniem—dawało czuć tem mocniej własne osierocenie i obezwładnienie. Mał-

drzyk słyszał niemal codziennie od kapitana opowiadania o kolosalnych fortunach, jakich się tu dorabiano—o ludziach małych i niewykształconych, dokazujących cudów wytrwałością i uporem—jątrzyło go to. Czuł że coś był wart, że mógł by coś—ale—nie było za co rąk zaczepić. Obcy tu—zaledwie cierpiący — wyrzucał losowi, że się nim niezaopiekował, ludziom że dla nich był obojętnym.

Tysiące myśli zuchwałych po głowie mu się przemykało, wszystkie były niemożliwe do wprowadzenia w życie.

Z tym głupim, jak go nazywał rysunkiem, wiedział że w najszcześniejszym razie zarobić może jakie trzy tysiące franków rocznie— a cóż one znaczyły dla niego—w Paryżu?

Za mieszkanie miesięcznie potrzeba było około trzydziestu franków zapłacić, nędzny obiad, nawet za biletami co go o jeden sous tańszym czyniły, wynosił trzydzieści franków miesięcznie. Dodawszy do tego inne nieuchronne wydatki — nie stawało prawie na życie, o zrobieniu zapasu na jutro myśleć nawet nie było można.

Gdy mówili o tem z Jordanem, ten, nie tłumacząc się z tego co robił — wzdychał, że jemu i tyle zarobić jest niepodobieństwem.

— Dobry rzemieślnik—mruczał— więcej ma tu niż biedny literat. Dwudziestu pięciu centów

za wiersz trudno się dobić — a tych wierszy nie biorą wiele, bo ich nie potrzebują.

— Próbowałeś?—zapytał Floryan.

Klesz rękami strzepnął.

— Gdzie zaś! mówiono mi tylko o tem— a ja ostatecznie rzemiosła uczyć się muszę.

— Ty, co całą encyklopedyę masz w głowie—dodał Małdrzyk.

— Stare to wydanie — westchnął Jordan—i kart z niej wiele wiatr wyszarpał. Z obcym krajem wprzód się potrzeba żyć, poznać go, wnikać w głębiny tajemnicze życia jego—a dopiero się w nim jakkolwiek może człowiek w nędznym bytku pomieścić.

Pismo powiada: „*Vae soli*“, a myśmy tu wśród tłumu—sami, wiecznie, bośmy tu się nie urodzili i nie zrosli.

Klesz wygadawszy się tak mimowolnie, wnet naprawić się starał wrażenie jakie mógł uczynić.

— Pomimo to wszystko — dodał — ponieważ charakter francuzów ma być do naszego podobny—jak utrzymują ludzie, język dla nas nawykłych do niego przystępniejszy, jakoś się obędziem, i o chlebie powszednim nie rozpaczam. Ty go już tak jak masz, a ja—mieć się spodziewam.

— Dopóki ja go mam, rozumiesz dobrze że zawsze mam prawo dzielić go z tobą, bom ci winien...

— Nic! nic!—przerwał gwałtownie Jordan.—

Ze mnie mentor do niczego i przyjaciel nie potem. Im bardziej starzeję, tem się czuję nieużyteczniejszym na świecie.

---

Jordan mógł sobie w kilka miesięcy potem, większe jeszcze czynić wyrzuty. W istocie najlepsze jego chęci, największe poświęcenie dla Floryana — obracało się nieszczęśliwie i skutki rodziło zamierzonym przeciwne.

Napozór w życiu ich mało się bardzo zmieniło, lecz Jordan czuł że pod temi popiołami coś gorzało. Niewydający się z niczem, milezący Małdrzyk, miał teraz inną postawę, — więcej okazywał samowoli, o radę nie pytał, szedł niby o swej sile, ale dokąd i jakimi drogami, trudno zbadać było.

Po całych dniach czasami nie spotykali się prawie, Klesz odbywał jakiś nowicyat, uczył się rzemiosła, którego odgadnąć nie umiał Floryan, i widział tylko że ręce miał zasmolone, których szarą powłokę odmyć trudno mu było.

Małdrzyk jadał w małej restauracyi za miesięcznemi biletami, Jordan gdzieś osobno. Dopiero późno wieczorem schodzili się w mieszkaniu wspólnem, o którym parę razy już odzywał się Floryan, że bardzo dla niego niedogodnem było.

Napróżno Klesz, w dawną przyjaźń ufając,



starał się wybadać Floryana, i dowiedzieć coś o jego zajęciach, bo rysunek wiele mu wolnego czasu zostawiał, zapytany zbywał ogólnikami.

Zaufania dawnego nie było. Obawiając się nareszcie o Floryana, którego znał lekkomyślność — Klesz postanowił sam zdaleka podpatrywać co robił i gdzie bywał.

Wiedział że z ziomkami, których tu wielu się znajdowało, nie zawiązywał znajomości i kapitanowi Arnoldowi, który mu chciał je ułatwić — podziękował, mówiąc że czasu mu zbywa na nie.

Po bliższych kawiarniach, w których Małdrzyk by się był mógł znajdować — szukał go na próżno. Uderzyło go to, że zmiana powolna w postępowaniu Floryana, rozpoczęła się wkrótce po owej wycieczce do Wersalu.

Pani Perron ze swemi figlarnemi, wyzywającemi oczyma, z myśli mu nie schodziła. Parę dni krążył na próżno w sąsiedztwie hoteliku Marsylskiego i pod wieczór — zobaczył wkradającego się tu Małdrzyka. Poznał go, nie było wątpliwości. Stosunek więc się zawiązał, trwał i — nie mógł być bez niebezpieczeństwa.

Jordan ruszył ramionami nie pojmując jaki urok człowiek niemłody, ubogi, obcy, mógł mieć dla tej kobiety.

Wahał się dni parę, lecz nakoniec postanowił wprost Małdrzyka pytać. Im dłużej się to przeciągało, tem to drugie wydanie romansu z panną

Lischen, straszniejszym było—bo francuzka nie-  
skończenie przebieglejszą była i mądrzejszą.

Czekał nań już z gotowem zapytaniem Jordan, późnym wieczorem, gdy Małdrzyk podśpiewując, z różą w dziurce od surduta, pokazał się w progu. Był jakby odmłodzony, kapelusz od niechcienia na głowie, laseczka w rękę, dawały mu zdala smutną fizyognomię brukowego dandysa.

— Zkądże tak późno?—zapytał Klesz.

Floryan się odwrócił.

— Mamże się tłómaczyć? a to zabawne!! —  
odparł ostro.

— Zabawnem byłoby gdybyś ty przedemną  
robił tajemnicę—rzekł Jordan spokojnie.

— A!—odezwał się rzucając kapelusz i laseczkę na stół przybyły.

I począł się rozbierać powoli.

— Mój Florku — głosem łagodnym odezwał się Jordan — nie masz już dawnego zaufania we mnie.

Małdrzyk ruszył ramionami.

— Nie męczże mnie!—odparł krótko.

— Boli mnie, że potrzebujesz się ukrywać przedemną z tem co robisz—rzekł Jordan—i dla tego boję się o ciebie.

— Cóż mi się gorszego jeszcze stać może?—  
szydersko spytał Małdrzyk.

— Najgorszem byłoby to, gdyby z twojej dobroci korzystając, źli ludzie...

— A! stary temat! *Connu!* dajże mi pokój.

— Chodzisz dotej zalotnicy Perron... i...

Floryan odwrócił się rozplomieniony.

— Chodzę, tak — bawi mnie jej towarzystwo, jest dla mnie grzeczną, lubię ją. Więc co? więcej co?

Jordan spuścił głowę i zamilkł, nie było już sposobu ciągnąć dalej z rozgniewanym rozmowy. Sam Małdrzyk wszakże nie chciał jej na tym wybuchu zakończyć.

— Pytam się co w tem jest złego? Raczeń mi powiedzieć?

— Florku kochany, złem jest że to niedobre towarzystwo, i nie takie jakiego ty wart jesteś. Chciano cię wprowadzić do generałowej... która znała rodzinę twoją i w której salonie znalazłbyś świat tobie właściwy — odmówiłeś; a natomiast jesteś codziennym gościem u... kobiety...

— Ani słowa przeciw niej! — przerwał gwałtownie Floryan — ani słowa. Nie ma żadnego tytułu, jest prostą oberżystką, jeśli chcesz, ale więcej ma rozumu, dowcipu, serca, niż wszystkie wasze generałowe i hrabianie.

Jordan się roześmiał smutnie.

— A! — zawołał — do tegośmy już doszli!

— Tak, do tego! — potwierdził odwracając się Floryan. — Wiesz teraz wszystko. Dobranoc!

Tak odprawiony niemal grubiańsko biedny Jordan, nie odezwał się już, zawiął kołdrą—zgaszono światło. Oba spać nie mogli i słyszeli jak się niespokojnie rzucali w łózkach.

Dla Klesza, któremu się z przyjacielem tak nie wiodło, rozmowa ta była—wypadkiem. Oba wiał się aby obrażony nie zerwał z nim zupełnie, a nawet z oczów nie zniknął.

Nazajutrz Florek, jakby naumyślnie zasnął na dzień długo, a że Klesz zwykle rano wstawał, ubrał się i wyszedł nim Małdzyk się obudził.

Niespokojny bardzo Jordan pociągnął do swej tajemniczej roboty. Próbował on już kilku,—posyłał artykuły bezimienne do dzienników. Jeden z nich wydrukował nawet próbkę, za którą zapłacił dziesięć tranków, to jest po dwadzieścia pięć centów za wiersz, ale — następnych elukubracyj od biedaka nie przyjmowano. Przypadek zapoznał go z polskim zecerem, od bardzo dawna pracującym w Paryżu, który już nawet trochę był języka zapomniał, ale miłość dla kraju i swoich zachował. Ten mu ułatwił naukę zecerstwa, nad którą męczył się teraz Jordan. Lecz do niej, oprócz wielkiej biegłości w palcach, potrzeba było spokojnego umysłu, któryby od roboty nie odwodził, a Klesz cały bywał zatopiony w myślach—i roztargniony. Oprócz tego nienawykły do długiego stania na nogach, czuł jak mu one brzękły. Miał jednak nadzieję że i palce wprawi,



i nogi przyzwyczai i umysł niespokojny opanuje, zmuszając go do posłuszeństwa. Jako zecer mógł łatwo kilka franków dziennie zarobić. Pochlebiał sobie że omyłek uniknie, że korektorów oszczędzi. Trochę to były łudzące nadzieje, bo choć się nauczył nabierać litery, bez omyłki, przedstawiał je, nie wiedząc sam jak się to działo.

Kapitan Arnold ciągle go namawiał do buchalteryi—lecz Kleszowi mechaniczne to i bezmyślne zajęcie liczbami było wstrętliwem. Wypraszał się od niego, dopóki by ostateczna potrzeba i przekonanie nieudolności nie zmusiło do poddania się.

Dnia następnego, w drukarni nie było wiele do czynienia, Jordan wyszedł o południu, i nie mając co robić zwrócił się ku domowi. Niespokojnym był oto jak się teraz znowu z Florkiem spotkają, po wczorajszej kłótni.

Tymczasem Małdrzyk wstawszy, z siebie nie-rad, kwaśny, czuł zgryzotę sumienia z tego, że poczciwego i tyle dla niego poświęcającego się przyjaciela, tak grubiańsko odprawił. Nie mógł tego sobie darować, odzywało się w nim dobre serce. Klesz przypominał mu Lasocin, córkę, dawne lepsze czasy. Wpadłszy na te myśli Małdrzyk tak się poruszył, że gdy Jordan wszedł cicho i pokornie, nieśmiejąc go nawet przywitać, zerwał się od stolika i nagle rzucił mu się na szyję.

— Jordku—zawołał — przepraszam cię, nie gniewaj się! Byłem wczoraj podrażniony. Ta baba, ja to sam czuję, coraz nademną większą ma przewagę. Ty mi dobrze życzysz... daruj! daruj.

Klesz niezmiernie uradowany, ścisnął go płacząc prawie a usiłując się uśmiechać.

— Niech djabli porwą baby — rzekł. — Ja ci się tam rozrywać ich szczebiotaniem i zalotnością nie przeszkadzam. Wiem przecie że nawet w Lasocinie, gdyś był znudzony, chodziłeś na gawędę do klucznicy Chodorowskiej, która fajką śmierzdziała, na przodzie dwóch zębów nie miała—a resztką młodości i słówkami dwuznacznymi cię bawiła.

To tylko bieda, że ja się tej Perron boję. Jeżeli jej zaświtało w głowie wyjść za ciebie?

— Ale, gdzie zaś! — odparł Floryan. — Nie zrobiłaby świetnej partyi. Dajmy pokój temu. Gotów jestem dla twego spokoju ją poświęcić.

Byłby go może za słowo wziął Jordan i obmyślił jak to dokonać, gdy — wpadł niespodzianie kapitan Arnold.

Wiedział on że jego siostrzeniec czegoś się uczył—próbował i do celu dojść nie mógł, niespokojnym był o niego.

— Ja za tobą gonię— zawołał do Jordana od progu.—Trafia się dla ciebie przyzwoite zajęcie. Ty co umiesz wszystko i piórem lepiej władasz,

niż ręką w jakie inne narzędzie opatrzoną — będziesz miał pisanie.

— Cóż to jest?—zapytał Jordan.

— Wczoraj się spotkałem w ulicy z pułkownikiem—mówił kapitan. Imie jego ci znane niezawodnie z kampanii 31. Był to i żołnierz i dowódca meżny, a bystry. Biedaczysko, jak my wszyscy, choć rodzinę ma w kraju, nic albo mało co od niej może wykołatać. Pomoc jaką tu pobiera nie starczy mu na życie, więc też... chce pracować.

Oba słuchacze z ciekawością czekali na dalsze opowiadanie Arnolda.

— Ja tam się na tem nie znam — dodał—ale jucziz, kiedy się na to porywa pułkownik, człowiek niegłupi, kiedy w to kładzie wszystek grosz jaki ma—to podstawa tam jakaś być musi.

Oto, odkrył w sobie pułkownik geniusz wynalazków. Nie wiem ile już machin wyninwentował, które mu mioliony przynieść mają. Buduje ciągle, robi modele, pisze o swych wynalazkach memoryały i do tego potrzebuje pomocnika.

— Musi być więc niepospolitym mechanikiem i matematykiem—przerwał Jordan.

— Gdzie tam! — przerwał naiwnie kapitan. Nie umie pono nic—ale ma geniusz. Żebyś ty go słyszał gdy o tem mówi co dokona i jakie miliony zarobi, które wszystkie chce na dobro kraju obrócić.

Genialny — mówię ci — genialny. Już ja to przeczuwałem gdy w kampanii dowodził.

Jordan głową trochę pokręcił, lecz sprzeciwić się nie śmiał.

— Chodźmy zaraz, bo pułkownik czeka na nas, pilno mu memoryał pisać aby dostać patent na cudowną maszynę do piłowania drzewa na ferriery. Oprócz tego ma nową pompę swego wynalazku, nowy kocioł do maszyn parowych i młyn, o którym cuda prawi.

— Widziałeś to kapitanie?— zapytał Jordan —czy już były próby.

— Nie, nie, są tylko modele, i właśnie idzie o to aby do wykonania z nich maszyn pozyskać kapitalistów.

Całe to opowiadanie nie wydało się wiele obiecującym Jordanowi, lecz milcząc zabierał się iść z kapitanem.

— Wiesz pan co?—odezwał się Arnold—jeśli pan, panie Floryanie, nie masz pilnej roboty, chodź z nami. Pułkownik mi wspominał, że znał waszą rodzinę. Warto go poznać, to przecież jedna ze znakomitości naszych.

Małdrzyk był tak w tej chwili miękki iż na wszystko się godził. Siedli więc do omnibusu i— pojechali wszyscy razem na Marais, gdzie w małej, ciasnej i ciemnej uliczce, mieszkał genialny ów wynalazca.

Do wyboru domu i lokalu skłoniło go to, że



mógł tu dostać mieszkanie na dole i w podwórzu rodzaj budy napół oszklonej, w której modele swe i machiny mieścił.

Zastali go właśnie przy przekąsce, butelce wina i talerzu szynki, który mu przystojna służąca podawała, wśród papierów, rysunków i najdziwaczniejszych jakichś części luźnych, z drzewa wyrobionych modeli.

Mężczyzna był ogromnego wzrostu, silny, na twarzy wyrazistej a niepięknej, zarumienionej, malowała się wielka energia i pewność siebie. Obejście się zachował jeszcze z czasów służby grzeczne, ale cechujące dowódcę. Dla niego byli to subalterni, do których się zniżał uprzejmie. Zaufanie w ten geniusz, który czuł w sobie, dawało mu też pewnej dumy.

Przywitał kapitana i gości głosem donośnym, rubaszenie, po żołniersku—a, przedstawiającemu się Jordanowi począł zaraz opowiadać żywo o co chodziło.

— Trzeba tych głupich i zazdrośnych francuzów zmusić aby przecie ocenili co tu jest! (Uderzył się palcem w czoło). Mam z czego miliony wyciągnąć i dać drugim, ale z temi ludźmi, albo ograniczonymi lub zawistnemi walkę prowadzić muszę.

Pochlebiam sobie że zwyciężę. Ludzie się na tem poznać muszą w końcu co ja im przynoszę.

I natychmiast z żywością coraz wzrastającą,

począł pułkownik, ze stołu chwytając różne kawalki wzorów, mówić o swych wynalazkach.

— Ja sobie od gęby odejmuję ażeby to przeprowadzić do skutku, ostatni grosz w to pakuję, a wreszcie taki koniec będzie, że ktoś to podpatrzy i odkradnie.

Podglądają mnie, szpiegują mechanicy. Chcą mi wyperswadować potem, że ja prawideł mechaniki i matematyki nie znam. Furda! kto ma geniusz ten je odgaduje. Oni umieją wszystko a nie nie mogą. Kastraty bezsilne.

Unosił się pułkownik, wino popijał, o machinie do tarcia fornierów z zapalem prawil — a w końcu, Jordana zatrzymując przy sobie, gości swych pożegnał. Nie było chwili do stracenia.

— Trzeba spieszyć — wołał — bo ktoś mój wynalazek zwietrzy, i nim ja patent wezmę, odkradnie mi go.

Dosyć bystry znawca ludzi, Klesz, już w ciągu rozmowy, mocno się zachwiał w wierze, co do genialnych wynalazków — lecz pozostał z pułkownikiem.

Małdrzyk, na którego on mało zwracał uwagi, powrócił do domu sam. Zdawało mu się, że postanowiwszy poprawę i rozstanie się z p. Perron, u której w istocie, od niejakiego czasu bywał najczęściej — powinien był przynajmniej pójść ją — pożegnać.

Zaszedł więc po drodze do hoteliku Marsyl-

skiego. Piękna pani Adela zajmowała w nim apartamencik na drugim piętrze, dzięki jej zabiegliwości bardzo wytwornie ustrojony. Moda starożytnych, fraszek różnych i wyrobów sztuki, oddawna już się w Paryżu szerzyła. Pani Peron szło o to aby okazać smak i zaimponować swem mieszkaniem. Z wielką zręcznością po licytacjach, po małych kramikach antykwarskich, nabywała brie à brac—i salonik jej, gabinet, pokój jadalny, całe były przybrane w meble, cacka, porcelanę i brzozy, które niewiele kosztując, dla nieznawców dawały wysokie o zamożności i guście pojęcie.

Muzykalna—*à ses heures*—miała piękne pianino, kilka obrazów — a nawet podarty gobelin w sypialni.

Godzina, w której się zjawił dnia tego Florek, nie była jego zwyczajną. Zdziwiło to gospo- się, która właśnie miała coś do czynienia ze służ- bą, lecz prędko ją odprawiwszy, rzuciła się na kanapkę—bez ceremonii małe nóżki wyciągając i ziewając szeroko.

— A! co za pańszczyzna! co za nieznośna pańszczyzna — poczęła śmiejąc się. — Ani dnia, ani nocy. W końcu sprzedam tę budę i wyniosę się na wieś! Przepadam za wsią!

Małdzyk siedzący tuż na krzeselku milczał.

— A wy?—spytała.

— Wieś mi nadto przypomina—odezwał się.

— Biedny człowiek! straciliście tyle — westchnęła litościwie gorącym wejrzeniem go mierząc pani Perron.—Tak, to prawda, lecz we Francyi znaleźliście serca sympatyczne.

Podawała mu małą rączkę, którą Floryan ucałował w milczeniu, wzruszony.

Przyszedł tu z postanowieniem uwolnienia się, zapowiedzenia że praca mu teraz więcej czasu zajmować będzie; przyjęcie p. Adeli zupełnie pamięć tej poprawy—zatarło.

P. Perron zerwała się z kanapki, zbliżyła ku niemu zalotnie, podszepnęła mu coś wesołego, z czego się sama naprzód śmiać poczęła, pobiegła do szafy po biszkopt i wino, zaczęła gościa tak serdecznie przyjmować, tak łopodpieszczać, iż — biedny Floryan— znajdując ją czarującą, już ani myślał zrywać.

— Ja oddawna—mówiła zerkając nań pani Adela — wzdycham do spokojniejszego życia. Gdybym tylko znalazła kogoś poważnego, pocziwego, z którymby się resztę życia mogło spędzić. Bo ja, młodych nie cierpię.

Zaczęła malować przyszłe życie, gdzieś na południu Francyi, w małym zameczku, z dobrą fermą—jakby tam ono błogo płynąć mogło.

Rozmowa możeby była niebezpieczny dla Małdrzyka zwrot wzięła, gdyby jeden z dawnych znajomych, komi-wojażer podróżujący z guzikami, nie wpadł niespodzianie.



Zmarszczyła się bardzo zobaczywszy go, obcesowo się rzucił do rączek i witał jak zbyt dobrą przyjaciółkę—na co się najeżyła nieco. Zasiadł się, na zasepienie nie zważając, przy stoliku i dowcipować zaczął, zukosa spoglądając na Małdrzyka.

Gospodyni próżno się go pozbyć usiłowała, a p. Floryan widząc że go nie przesiedzi, pożegnał się i wyszedł, choć mu znaki dawała.

Miał znowu postanowienie rzadszego już uczęszczania do wdowy.

— Zbyt wielu ma przyjaciół — rzekł w duchu.—Bałamut baba, ale chwilami zachwycająca.

---

Jordan, który przemyślał nad tem, jakby przyjaciela w inne sfery mógł wciągnąć, a najmniej upatrując niebezpieczeństwa między ziomkami, korzystał ze znajomości z pułkownikiem, aby zawiązać stosunki.

Chodziło mu po głowie, aby wyszukać dom, w którymby i żeńskie przyzwoite towarzystwo znaleźć się mogło, którego Małdrzyk potrzebował.

Nie było to łatwem, bo znaczniejsza część dostępnych domów, żyła skromnie i mało przyjmowała, a w wielu z nich żony były cudoziemki. Jordan tylko polkom ufał.

Do pułkownika z dawnych wojskowych wielu ucześniezało, lecz... wszyscy, z małemi wyjątkami, żyli prawie bezdomnie, mieszkali gdzieś po kątach, życie prowadzili oszczędne i zamknięte.

Pułkownik drugiego już czy trzeciego dnia w oczach Jordana był — marzycielem i dziwakiem, którego pomysły genialne nie prowadziły do niczego, oprócz wielkiej straty mozolnie chwytych pieniędzy. Nieznajomość pierwszych zasad umiejętności, na których się wynalazki jego opierać musiały — była rażąca.

Klesz bardzo łagodnie i ostrożnie, aby miłości własnej wybujałej nie dotknąć, dał to uczuć pułkownikowi. Radził fachowych ludzi wezwać dla oceny i rady.

Stary wojak roześmiał się.

— To są pedanty i bałwany! Nie umieją nic — zawołał. — Koniec ten, że mnie z pomysłów okradną.

Gdy przyszło tym pomysłem nadawać w memoryale pewną oznaczoną formę, pułkownik nie umiał jej znaleźć, plątał się, żądał jej od Jordana, a ten rady sobie dać nie mógł.

Po kilku próbach ostygł bardzo wynalazca.

— Dobry człowiek, ten twój kuzyn, odezwał się do Arnolda spotkawszy go — ale głowa tępa. Ograniczony — nie jest w stanie mnie pojąć, tak jak inni.

Ze swojej strony Jordan oświadczył kapita-

nowi że—wody warzyć dłużej nie chce i pożegna pułkownika.

Jednego dnia oświadczył mu, iż nie czuje się na siłach, tak genialnych wynalazków należycie zgłębić i jasno ich określić.

Pułkownik sapnął, rękami zamachnął, dobył ze stolika szczupły zapas grosza, nadwyreżony świeżo budowaniem kotła, który się na nic nie zdał, i należność wręczył Jordanowi, coś pomrukując.

Klesz nie chciał jej przyjmować, zmusił go genialny wynalazca—a Jordan nazad do drukarni powrócił.

Całym zarobkiem z tego stosunku krótkotrwałego było, iż porobił znajomości, z których jeśli nie dla siebie, to dla Floryana spodziewał się korzystać.

Małdrzyk przez czas jakiś zreformował się. Rysował, czytał, myślał czyby z małego talentu większych nie mógł wyciągnąć korzyści.

Listy od Lasockiej i Moni, które bardzo rzadko i ubocznymi drogami przychodziły, za każdym razem rozbudzały go jakby ze snu, czyniły lepszym. Wspomnienia przeszłości podnosiły go nad poziom, na którym teraz wegotował. Towarzystwo takiej pani Perron nie wydawało mu się potem ani tak pożądanem, ni tak zabawnem i przyzwoitem.

Los Moni, tego biednego dziecka sieroty, trwo-

żył go coraz bardziej. Postąpienie z nim tak cyniczne Kosuckich, kazało się obawiać, że i nad dzieckiem litości mieć nie będą. Drżał o nią.

Jordan naówczas pocieszał go opieką marszałka, sąsiadek i starej Lasockiej.

Lecz—właśnie teraz ta, na której przywiązanie najwięcej rachowano, doniosła w liście łzami skropionym, że, pomimo największych ustępstw, cierpliwości w znoszeniu prześladowania—naostatek została przez p. Natalię, pod jakimś błahym pozorem oddaloną.

Biedna staruszka, która od wyjazdu Małdrzyka nie miała od Kosuckich, utrzymywała się z dawniej oszczędzonego grosza—nie chciała też nic, błagała tylko aby ją zwrócono do sierotki—trwając się o nią. Dziecko pisało również smutnie i rozpaczliwie, prosząc ojca aby się za Lasocką wstawił.

Lecz, p. Floryan po doznanym zawodzie tak bolesnym, nawet z siostrą zerwał był stosunki. Dla dziecka jednak, postanowił napisać do niej i zakląć na pamięć rodziców, aby dla biednej Moni jej opiekunkę wróciła.

Jordan, z którym o tem długo rozprawiali, nie robił mu najmniejszej nadziei dobrego skutku.

— Chociaż się pani Kosuckiej zdaje, że ma jakąś moc nad mężem, pan Zygmunt tam jest wszystkim. Wmówi jej co zechce, tak jak wmó-



wił, że się wam z Lasocina nic nie należy. To napróżno.

List jednak pod adresem marszałka wyprawiono.

Przez dni kilka—Floryan mocno przejęty losem dziecka, zapomniał był o p. Adeli Perron. Klesz się i tem cieszył. Właśnie przygotował był nową znajomość dla Małdrzyka, po której się spodziewał, że ona go zająć i odciągnąć potrafi.

Lecz z wielkiego pragnienia niesienia pomocy przyjacielowi, i przy wielkiej wierze w to, że w domu polskim nie grozi niebezpieczeństwo — Klesz pocziwy źle się obrachował.

Dom, na który zwrócił uwagę, na pierwszy rzut oka, miał dlań coś pociągającego. Składał się on z byłego profesora Żelazewicza, który w pierwszej rozmowie zachwycił Jordana, wymową i erudycją. Zdał mu się człowiekiem i znakomicie obdarzonym i wykształconym bardzo.

Wiedział że żona jego, polka, była też kobietą niepospolitą (jak mówiono) pełną życia, młodą jeszcze i piękną, Oprócz państwa dwojga, znajdowała się i siostra profesorowej, która z nią razem bardzo głośną i chwaloną założyła fabrykę kwiatów. Unoszono się nad mężnemi niewiastami, umięcącemi pracę swą zdobyć niezależność, gdyż profesor, mimo swoich talentów i nauki, dotąd się jakoś nigdzie umieścić, i nigdzie utrzymać nie mógł.

U profesora Żelazowicza bywało mnóstwo osób, chodził tam kapitan Arnold, Tatianowicz i—nawet pułkownik, nie licząc innych. Floryan mógł więc tu zrobić znajomość z ziomkami i wejść w ich towarzystwo.

Państwo Żelazewiczowie zajmowali za Sekwaną, w części miasta, w której piękne sztuki i świat niemi zajmujący się mieścił—mieszkanko na czwartem piętrze.

Jordan, który z sobą wziął kapitana, wielkiego wielbiciela pani Żelazewiczowej — wcześniej Floryana jak najkorzystniej o tej rodzinie uprzedził.

Spodziewano się znaleźć w domu wszystkich, bo kobiety zajęte przez dzień cały robotą kwiatów, prawie nie wychodziły, chyba rzadko — a profesor, jak powiadał kapitan, właśnie teraz nie miał, na nieszczęście, żadnego zajęcia.

Jednakże Żelazewicza nie znaleźli. W saloniku więcej niż skromnym, przy stolikach zarzuconych resztkami kwiatów, liści, drutów, kolorowych papierków i żelazek, znaleźli dwie panie w domowym, prostym i niewykwintnym ubraniu.

Profesorowa była młodą jeszcze i wdzięcznej twarzy brunetką, słusznego wzrostu — lecz znać na niej było niewysłowione cierpienie, które uśmiech smutny, próżno się starał pokrywać.

Młodsza od niej siostrą, panna Feliksa, podobna do niej, lecz więcej męzkich rysów twa-

rzy, silniejsza, mniej mająca wdzięku, a więcej charakteru—była czysto polskiem dziewczęciem, skąpanem już zawczasu w niedoli i zahartowaniem do życia. Spojrzenie jej śmiałe powiadało, że złudzeń i marzeń mężnie się pozbyć umiała.

Na widok gości profesorowa i panna Feliksa naprędce zaczęły uprzętać, i witać ich z przymuszoną nieco wesołością. Oko panny Feliksy badało pilno Małdrzyka.

Profesorowa ubolewała (mówiła to z pewnem zakłopotaniem) iż bardzo pilna sprawa, właśnie przed chwilą męża jej wywołała z domu.

Kapitan Arnold, który tu bywał częściej, nie mówił na to nic, ale pomyślał iż bardzo rzadko mu się zdarzało zastać Żelazewicza u siebie. Nic w tem nie było dziwnego, gdyż biedny człowiek musiał szukać pracy, a w Paryżu aby ją znaleźć wiele czasu stracić potrzeba.

Rozmowa rozpoczęła się o kraju, potem o Paryżu, o ciężkiem życiu. Obie kobiety nie znały pono ze stolicy tylko to, co się ich zajęć tyczyło. Mimowolnie wracały do kwiatków swych, do ich sprzedaży, do konkurencyi, do cen wszystkich życia potrzeb, do spraw domowych.

Czuć w tem było niezmierną troskę o chleb powszedni.

Kapitan Arnold rozweselał i pocieszał.

— Pierwsze lata pobytu w tym Babilonie—mówił śmiejąc się — zawsze i każdemu ciężkie,

ale później — zobaczycie panie, pójdzie jak z płatka.

Profesorowa westchnęła i spojrzała nań.

— Daj Boże—szepnęła cicho.

— Żebyście panie wiedziały, jakem ja tu głodem marł w pierwszych latach. *Sacré matin!* Człowiek tak jadł wówczas, że każdy obiad przechorował. Jednakże się z tego wydobyło na twardszy grunt.

— I ja nie wątpię—odezwała się panna Feliksa — że zczasem będzie lepiej, ale mi tylko o Marynię chodzi, która zdrowia nie ma. Co do mnie—dodała wesoło—chlebem i wodą żyć mogę, byle tylko woda lepsza była.

I znowu zakłopotana profesorowa rozpoczęła o swych kwiatkach. Floryan zbliżył się i począł rozmawiać z panną Feliksą. Jej chłód i śmiałość, wejrzenie rozumne a wcale niezalotne, proza niedostatku jaką od niej czuć było—przykre na nim zrobiły wrażenie.

Więcej niewieściego wdzięku, smutku, czucia, znajdował w profesorowej. Wogóle Jordan rozumiał zaraz, że dom ten nie mógł przypaść do smaku jego przyjacielowi i wesołej francuzicy wygnać z jego pamięci.

Trudno tu było szukać pociechy, gdzie biedne, spracowane kobiety same jej potrzebowały, gdzie czuć było straszną trwogę codzienną o chleb powszedni. Jordan właściwie znalazł się u nich w swoim żywiole, bo był człowiekiem chętniej o-



fiary, dla którego największem szczęściem było, poświęcenie dla drugich, chociaż nie wiodło mu się w tem powołaniu. On też jeden starał się przy pomocy kapitana, trochę ożywić towarzystwo, żartując sam z siebie, z niezgrabności swej i nieporadności.

Opowiadanie jego wesołe o różnych małych omyłkach, popełnionych czasu pobytu w Paryżu, zwróciło rozmowę na warunki i właściwości życia tutejszego.

I przeszła tak niemal godzina, a gdy prof. Żelazewicz nie powracał, musieli się pożegnać, aby pracowitym kobietom, z których to jedna to druga, za czemś wychodzić musiały, nawet czasu odwiedzin— nie zabierać tych kilku chwil, które wchodziły w rachunek ich życia.

Jordan schodząc ubolewał, że profesora, o którego zdolnościach i nauce słyszał wiele, nie znaleźli w domu.

— Już to, prawdą a Bogiem — odezwał się kapitan — ja go prawie nigdy nie zastaję, a najczęściej w ulicy spotykam, musi biegać za lekcyami.

Wychodząc z domu skierowali się na wybrzeże i powoli ciągnęli przypatrując się wieczornemu ruchowi stolicy, który ma zupełnie odrębny charakter, tak samo jak zaludnienie ulic w każdej porze dnia jest inne—gdy, mijając ka-

wiarnię, przed którą stały pod namiotem powysuwane stoliczki, Arnold się zatrzymał.

— Ale, patrzajcież no—zawołał—to się doskonale składa, oto i nasz profesor, widzę go siedzącego i żywo rozprawiającego z francuzem. Chodźmy.

Żelazewicz tyłem obrócony, nie postrzegł ich nadchodzących. Był to mężczyzna w sile wieku, zdrów, krzepki, twarzy niewiele uprzedzającej o bystrości umysłu, jaką mu przyznawano. Było w niej wiele buty i pewności siebie, lecz jakby włożonej na nią siłą. Wzrok miał błędny i nie śmiały.

Zdala już usłyszeli jak dowodził coś wymownie francuzowi, który gazetę trzymał w ręku, i z uwagą chłodną przyjmował gorące frazesa.

Przerwało je uderzenie po ramieniu kapitana, który mu siostrzeńca i Floryana przedstawiał. Profesor, z francuzem skończywszy nagle, zwrócił się ku nim niemal z protekcyjonalną miną.

— A!—zawołał, siadając z nimi i przyjmując zaproszenie Arnolda, który chciał mieć towarzysza do absyntu — a! nowe ofiary! Przybywacie panowie do tego piekła! bo to jest prawdziwe piekło!!

Ruszył ramionami.

— Nikt lepiej nie zna Paryża nademnie, choć od niedawna tu jestem. Nie naseryo, błaga wszystko, uczciwy człowiek środkami prawemi

nie tu nie zrobi. Zapewniają nas o swej sympaty! Ironia! Obedrzeć by nas radzi, wyzyskać jeszcze, nie pomagać.

Rozgrzewał się Żelazewicz, i krzywił usta— a mówiąc nie patrzył w oczy nikomu, wlepił wejrzzenie, jak ludzie do odzywania się przed mnogą publicznością nawykli, w sufit lub podłogę.

— Czarno bo widzisz wszystko profesorze— rzekł kapitan.

— I nie mogę inaczej—przerwał Żelazewicz, ruszając ramionami pogardliwie. — Tu rzetelna nauka, zdolność, wyższość umysłowa, na nic. Nieuki! boją się i czują nieprzyjaciół w wykształconych ludziach!

Proszę panów, ja drugi rok tu napróżno szukam właściwego zajęcia!

— Mówiono mi żeś je znalazł?—rzekł Arnold.

— I niejedno — zawołał profesor—ale takie, którego mi godność własna przyjąć nie dozwalała.

Wszyscy milczeli.

— Szanowny panie—roześmiał się, nieśmiało wciskając słowo Jordan, któremu buta profesora imponowała — na początek jakiegokolwiek choćby skromne zajęcie.

— Ale, proszę pana — gorąco począł Żelazewicz, na którym działał może absynt powtórny—jabym tu mógł lepiej wyklądać niż ci co czytają w Sorbonie! Chodziłem słuchać ich. To litość

budzi! Gruntownej nauki nie ma, krytyki żadnej, wymowa nawet wątpliwa.

Nikt jeszcze nie ważył się profesorowi zaprzeczyć, tylko Jordan począł mruzczyć.

— Już ciż to trudno cudzoziemcowi, nieznanemu, od razu zostać ocenionym i uznanym. Słyszałem o znakomitym naszym astronomie, który tu szkła szlifuje w zakładzie optycznym. Więcej na początek wymagać nie można.

— A ja mu to wyrzucałem—przerwał Żelazewicz—poniżej się.

— Ludwik Filip przecież był nauczycielem wiejskiej szkółki—zamruczał kapitan.

Profesor nagle zamilkł, jakby się już wyczerpał, pił absynt i zapalił cygaro. Rzucił zapytanie jakieś Floryanowi, który wymową jego ogłuszony, krótko mu odpowiedział — i zdawał się namyslać nad nowym tematem.

— Chciałem—rzekł—pokazać tym francuzom ich lekkomyślność i nieuctwo. Uwierzycie panowie, napisałem historyczne dzieło, myślałem je wydać! Gdzie tam! Spiknęli się, zaparli mi wszystkie drogi—nieposób je drukować.

— Więc skończyłeś je? — zapytał Arnold—bom słyszał niedawno, że pracowałeś nad niem.

— Tak jak skończono! noszę je w głowie całe—zawołał Żelazewicz — ale pocóż mam daremnie pracę sobie zadawać!

Ręką zamachnął w powietrzu.



Jordan słuchał, patrzył — i widać było że w miarę jak mówił profesor, stygl coraz, rozczerwonywał się więcej. Jego natura przekorna odzywała się w nim, długo tłumiona; sceptycyzm i szyderstwo potrzebowało wybuchnąć. Zręczność się nadawała.

Potał najeżoną czuprynę, oczy mu błysły z pokornego nagle zmienił się w szukającego zaczepki.

— Wiesz panie profesorze—odezwał się głosem, który równie się przeobraził jak twarz jego—powracamy właśnie od pań waszych. Zbudowaliśmy się! Zawsze byłem tego przekonania że u nas kobiety więcej od nas mężczyzn są warte. My, rozprawiamy i narzekamy, a one w ciszy pracują.

Żelazewicz drgnął, czuć było że Jordan dotknął drażliwej strony.

— Zgadzam się w zasadzie z panem — rzekł zniżając głos—ale to płynie z tego, że one po prostu tylko kwestye mają na sercu i oku, my się czujemy do wyższych przeznaczeń stworzeni.

— I, nie robimy nic! — roześmiał się Jordan. Nie chcemy od małego zaczynać — a wielkiego osiągnąć nie możemy.

Żelazewicz uderzył się w piersi.

— Pan mnie nie znasz — rzekł— a wydaje się jakbyś mnie osobiście chciał..

— Na Boga! — wykrzyknął Jordan wyciąga-

jąc doń rękę.—Pan *mnie* nie znasz! ja mówię o ogóle ludzi, i o mężczyznach w ogóle. Nie miałem na myśli.

Uspokoił się profesor—milczał trochę, szukał z pewnością motywu do popisu.

— Tak —rzekł z pewną melancholią—szczęśliwsze są od nas kobiety. Zadanie ich inne, wzrok ich nie sięga daleko, myśl ich nie sili na rozwikłanie tych zagadek, ku którym nas prąd nieprzezwyyczajony popycha.

Szczęśliwe są, bo mają instynkt nieochybny, gdy my rozumem chcemy podbijać wszystko.

Szczęśliwe są—jak dzieci—bo nawpół dziećmi przez całe życie..

Kapitan słuchając, ironii się domyślał. Niedobrze może rozumiał, ale tknęło to wielbiciela niewiast, że je ceniono tak nisko.

— Profesorze — odezwał się jękając— dajże pokój kobietom, ja staję w ich obronie.

— I ja—dodał śmiejąc się Floryan.

— A nawet ja — na końcu dołożył Jordan— choć z mojej powierzchowności łatwo wywnioskować, że obrona jest całkiem bezinteresowną, bo się ich łaskami poszczycić nie mogę.

— Mówcie sobie panowie co chcecie — przerwał Żelazewicz smutnie—szczęście na tym świecie, a przynajmniej to co się powodzeniem zowie, zawsze jest w odwrotnym stosunku do rzeczywistej wartości człowieka. Łatwo się to tłómaczy:

daje—im wyżej się ona podnosi, tem bardziej osamotnia i staje niezrozumiałym. Świat jest mu nieprzyjacielem.

— Hm— przebaknął kapitan — zejdzmy na bruk paryzki i mówmy o życiu powszedniem. Więc dotąd nie masz profesorze zajęcia?

— Nie mam — westchnął Żelazewicz — dla tego, że natury mej zwyciężyć nie mogę i lada jakiej pracy nie wezmę. Powinna moim siłom odpowiadać.

O tych siłach widocznem było, że miał wysokie pojęcie.

Jordan, który gryzł złe cygaro, niechcące mu się palić, odezwał się:

— Pan profesor wykładał?

Z góry nań spojrział Żelazewicz, boć grzechem było nie znać takiej znakomitości, nie wiedzieć nawet jak świetnie dała się poznać w kraju.

— Moim przedmiotem była historia, albo raczej, właściwie filozofia historii—rzekł od niechcienia.—Pan rozumiesz że przecie nie mogę uczyć dzieci— a—b—c.

Roześmiał się szydersko.

— Pracuję czasem do niektórych dzienników — dodał—ale jak tylko artykuł zdradza talent, pogląd samoistny—oho! do koszyka! W rok potem ktoś zużytkuje to i przerobi.

Żelazewicz był nadzwyczaj pesymistycznie dnia tego usposobiony. Kapitan, dla którego

kwestya życia była pierwszą, wtrącił chcąc go niezgrabnie pocieszyć:

— Wiesz, kochany profesorze, pomimo tych zawodów, jeszcze się możesz nazwać szczęśliwym, masz żonę anioła.

Żelazewicz nściskiem ręki mu podziękował.

— I to mnie trapi—rzekł sucho—że ona musi się tu zamęczać pracą biedaczka.

Jordan cokolwiek się zawahawszy, ośmielił się podszeptać:

— Profesor naturalnie masz prawo wymagać więcej, ja mam bardzo skromne żądania. Gdybyś wiedział o jakim zajęciu wymagajacem nie talentu ale jakiego takiego usposobienia, proszę pamiętać o mnie.

— Najchętniej—rzekł protekcyjonalnie Żelazewicz.—Pan...

— Mam stopień uniwersytecki — dodał skromniej Jordan—i coś się tam studyowało.

Profesor bystro spojrział.

— A!—rzekł—filolog?

— Trochę historii, języki starożytne.

Nie dokończył, Żelazewicz stał się mniej mównym.

— Dotąd pan nic nie znalazł?—zapytał po chwili.

— Uczę się zecerstwa—szepnął Klesz.

— Jakto, magister filozofii?



— Doktor — poprawił Floryan skłaniając głowę.

Profesor się zachmurzył.

— Otóż to są losy naszel — rzekł — jakże tu nie wyrzekać.

Jordan się prawie wesoło uśmiechał.

— Ale jabym drwa rąbał — dodał — byle sił stało i byle mi to zapewniło niezależność.

Robiło się jakoś późno, ulica stawała się puściejszą, ludność spływała do teatrów i w te ogniska, do których ją ciekawość i sam tłum, mający siłę atrakcyjną—przyciągał. Musieli się rozstać, bo i absynt był skończony. Kapitan wdziewał już swe zamszowe własnoręcznie prane rękawiczki. Pożegnali się jakoś sztywno i chłodno.

Żelazewicz niechętnie powlókł się ku domowi.

Szli długo milczący — dopóki Jordan, nie przerwał rozmyślenia wykrzyknikiem:

— Wuju kochany, twój profesor może być bardzo zdolny, ale to tylko—gęba!

— Albo ja wiem! — ruszając ramionami odparł stary żołnierz.—Gęba może—i żołądek, który żona ciężką pracą napełniać musi.

— Za co go jeszcze będzie kochała— dołożył Jordan.

Floryan słuchał nie mieszając się do rozmowy—kilka kroków uszli, gdy i on z kolei dodał:

— Nie rozumiem tego ażeby człowiek, które-

mu Bóg dał miłość kobiety, nie umiał dla niej do najwyższych podnieść się poświęceń.

— Jak Boga Kocham! — wykrzyknął kapitan, dla kobiety, *sacré matin!* w ogień i w wodę!

---

Miesiące upływały bez wielkich zmian w tem dosyć jednostajnem życiu.

Jordan czujny, patrzył na całe postępowanie Floryana i nie trwożył się tak bardzo. Czuł że w wielu rzeczach należało folgować. Nie wymawiał mu więc, że chodził do pani Perron, gdyż stosunek ten do pewnego stopnia poufałości doprowadzony, zdawał się nie posuwać już dalej.

Florek otwarcie opowiadał że go bawiła, że ją lubił, ale czasem potroszę szydził z niej, słówka jej niezręczne powtarzał. W samem więc zbliżeniu się było antidotum.

Rysowanie dla fabryki szło swym trybem — lecz — z coraz mniejszą ochotą. Jednostajność zajęcia nudziła Małdrzyka. Nigdy długo nad stolikiem wytrwać nie mógł.

Zmordowany wręczce, rzucał ołówek, kładł się, dumał, powracał do roboty, przerywając ją bezustanku, godzinami czasem z cygarem siadywał w oknie, choć widok z niego na dachy i poddasza nie był ani piękny ani ciekawy.

Jordan się teraz więcej obawiał zniechęcenia niż zajęcia panią Perron, chociaż z jej strony, widać było nieostygającą ale coraz większą troskliwość o utrzymanie dobrej przyjaźni z p. Floryanem.

Francuzka oszczędna i wyrachowana, małemi nawet przysługami starała się do siebie przywiązać wygnańca.

Cały tryb ten życia jednostajny, rzadkiemi tylko i skromnemi wycieczkami i odwiedzinami przerywany, regularny, mógł każdej innej naturze starczyć, tylko nie Małdrzykowi.

Nowego czegoś, gorętszego, potrzeba mu było.

Jordan, który przez ten czas wcale się nieźle wyuczył zecerstwa i mógł tyle zarobić, że mu to na jego życie niewytworne starczyło — trzymał się Paryża tylko dla tego aby Floryana nie opuścić.

Stałe zajęcie i stosunkowo lepsze wynagrodzenie, z nadzieją otrzymania jakiegoś jeszcze korzystniejszego stanowiska, dawano mu w Tours, przy wielkiej drukarni Mame, która pracowała też dla Paryża. W błogosławionej tej krainie życie było tańsze, małe miasto lepiej się nadało Jordanowi i byłby oddawna puścił się tam, ale jak tu Floryana porzucić samego, bez tego nadzoru serdecznego, który nieraz już zniechęconego, rozkapryszonego, gotowego popełnić nie-

dorzecznosc z nudów — wstrzymywał na skraju przepaści?

Wahał się Klesz. Mówili o tem z kapitanem, ale Arnold nie podzielał obawy jego.

— Mnie się zdaje, że ty tą swoją troskliwością przesadzasz — rzekł. — Jeżeli był w nim kiedy niestatek i płochosc, dawno to przeszło. Nabral już nałogu, a nałóg staje czasem za cnotę. Co u licha! Mnie cię żal stracić... ale, jeżeli masz widoki w Tours, jedź.

Ja tam byłem raz dni kilka! Powiadam ci! Wszystkie wina niemal musują jak szampan. Chinon-Bourgueil doskonałe! owoce niedorównane — no i kobiety niewszystkie brzydkie. Trudno żebys go wiecznie niańczył.

— Kapitanie, on mi życie ocalił, kocham go! zatęsknię się. Człowiek poczciwy, a natura taka, że jest sobie sam nieprzyjacielem. Gdybyś choć ty na niego naglądał.

— Ale z największą chęcią! — odparł kapitan.

— A w razie niebezpieczeństwa doniosł mi.

— Chętnie! dobrze! zgadzam się — mówił Arnold — tylko mój Jordku, nie spuszcza się na moją bystrość. Ja nie dopatrzę się nic aż póki mi w oczy nie wlezie samo. Człek jestem prosty — i żołnierz.

Jordan jeszcze się wahał.

Naostatek jednego dnia, napomknął od nie-



chceni o tem, że mu niezgorsze wurunki na prowincyi ofiarowano.

Małdrzyk spojrział bystro, widać było że obawa stracenia Klesza dotknęła go.

— Cóż myślisz?— spytał.

— Nie wiem sam— rzekł Klesz— nawykłem wisieć przy tobie i służyć ci.

— Ano, to możeby się i dla mnie gdzieindziej znalazło zatrudnienie— przerwał żywo Małdrzyk. Przyznam ci się, że oddawna tego smarowania po papierze liści i kwiatów mam dosyć. Wolałbym już co innego.

— Tak, ale co się ma w garści, tego dla niepewnego czegoś rzucać się nie godzi. Pózwól mi jechać i zbadać grunt, jeżeli tam znajdę coś...

Małdrzyk uściśnął go.

— Tak, zrób to, zrób. Turrenna ma być krajem mlekiem i miodem płynącym. Jedź, badaj i wołaj mnie do siebie.

Klesz rozmaitemi jeszcze sposobami chciał zwlekać, bo mu wracały obawy, przeczucia— ale w ostatku, choć nie bez smutku, węzełki swe pościągał, i milcząco a łzawo pożegnawszy przyjaciela, wyjechał.

W najgorszym razie kapitan Arnold został na straży.

Chociaż dwaj przyjaciele mieszkając razem, w istocie mało chwil z sobą spędzali — aby brak Jordana mocno się dał uczuć Małdrzykowi, za-

tęsknił za tym powiernikiem, z którym mógł mówić o przeszłości, który dziecko jego kochał jak swoje — który nawet najprzykrzejsze prawdy umiał mu osłodzić.

Nawykł był do jego opieki nadto. Był niemal jak dziecię, które pierwszy raz samo zostawszy bez niańki, próbuje chodzić, dumne jest, a razem okrutnie się boi, aby nie rozbiło głowy.

Nazajutrz po odjeździe Jordana, wieczorem nie mając co robić, Floryan poszedł poskarżyć się pani Perron na sieroctwo swoje. Usłyszawszy o tem, francuzka z uzaleniem potrzęsa głową, głosikiem serdecznym zaczęła boleć nad stratą przyjaciela, lecz... w oczach jej błysnął jakby promyczek radości.

Siedli do przerywanej w początku rozmowy, interesami gospodarskiemi—Florek zatrzymał się dłużej niż zwykle. Pani Perron powiadając że była głodna, kazała przynieść kolację—zostali zupełnie sami—w słodkim *tête à tête*.

Małdrzyk wydał się z tem że lubił burgundzkie wino—na stole zjawił się wyborny *Beaune*.

Wdowa była ożywioną i wesołą.

— Co pan tam płacisz w tej dziurze za mieszkanie—spytała nalewając mu wina.

Florek się wypowiedział.

— Czy tak jest dogodne, że się go trzymacie?—mówiła Perron.

— Al wcale nie! ciemne nawet i wilgotne—

mówił Florek, któremu na myśl przyszło, że istotnie dla siebie jednego mógłby znaleźć stosowniejsze.

— Więc, przenieś się pan do mnie—wtrąciła nie patrząc nań wdowa—mam na drugim piętrze dwie izdebki śliczne. Jutro będziesz je mógł zobaczyć.

Małdrzykowi serce uderzyło z radości, lecz natychmiast myśl przyszła coby na to Jordan powiedział. Spojrzał na nią i zamilkł skłopotany.

— No, cóż? odrzucona moja ofiara.

— A! bynajmniej — zawołał Floryan — ale... ale...

— O! bez ogródki, mów szczerze.

— Co ludzie powiedzą?

Pani Perron parsknęła homerycznym śmiechem.

— Mój Boże!—zawołała— co ludziom do tego, a potem? sądzisz pan że w istocie byłoby to dla nas niebezpiecznem?

Wejrzenie jej badające, głębokie, utonęło w jego oczach, twarzyczka się zasepiła.

Była nadto zręczną żeby się wydać miała z jakimiś widokami matrymonialnemi — rachowała na to, że człowiek ten sam w ostatku pod jarzmo nachylił głowę.

— Jesteśmy dobremi przyjaciółmi—dodała— ja mam dla niego wielką sympatyę (westchnęła),

pan dla mnie jej trochę—nie wiąże to nas, a z tego co ludzie powiedzą, śmiać się możemy.

— Kochana pani Adelo.

— A! bez—pani.

— Więc kochana przyjaciółko — z wyrazem wdzięczności dodał Florek —daj mi czas, wymówię moje mieszkanie— i gościnność twą przyjmę.

P. Perron porwała się z siedzenia i z żywocią dziecięcą, chwyciwszy go za głowę, pocałowała w czoło. Florek już ją obejmował rękami, gdy mu się wyrwała, paluszkami pogroziła na nosie.

— Nie! nie! powinieneś szanować swą gospo-  
się. Ale—mam słowo.

Florek podał rękę.

Siedli znowu przy sobie i rozmowa dalej płynęła, rozpryskując się na dowcipy, na których pani Adeli, nigdy nie zbywało. Chciała go tego dnia upoić, oczarować — skrepować, ażeby sam się o to starał czego ona pragnęła najmocniej.

Florek odszedł późno, w istocie upojony i szczęśliwy. Lecz powróciwszy do tej izdebki, w której mu surowego Jordana przypominało wszystko, gdy pomyślał o tem jakie jego przesiedlenie się uczyni wrażenie na przyjacielu—trwoga go ogarnęła.

Czuł w duszy, że popełniał krok, którego nikt pochwalić nie mógł. Wystawiał się na niebezpieczeństwo. Wiedział o słabości swojej.



— Jużciż—rzekł w duchu — baba nie może myśleć żebym ja się z nią ożenił. Jest wprost współczucie dla wygnańca i dla współziomki Poniatowskiego—i potrzeba lepszego towarzystwa.

Dał słowo—cofać się nie chciał i nie myślał.

Tegoż dnia spotkali się z kapitanem.

— Wiesz, kochany kapitanie — odezwał się Małdrzyk—tak mi smutno w tem opuszczonem mieszkaniu, nie wytrwam w niem. Zdaje mi się że się do innego hoteliku przeniosę.

— A! dokąd!—spytał Arnold.

— Pani Perron daje mi jasny, piękny i tani pokój u siebie—rzekł prędko Floryan.

Kapitan wąsa pokręcił.

— Wystawiasz się na pokusę — odezwał się z uśmiechem sardonicznym.— Nie wiem czy to bezpiecznie.

— Oh! oh!—roześmiał się trochę przymuszonym uśmiechem Florek, i nie chcąc przedłużać rozmowy, odszedł prędko.

Kapitan niedługo myśląc pośpieszył do swej przyjaciółki pani Durand, którą samą jedną zastał w sklepie.

— Cóż to cię tu przyniosło?—zawołała kupcowa — miły gość! miałżebyś ze mną starą za sklepikiem chcieć wypić filiżankę kawy?

— Nie odmawiam — rzekł grzecznie Arnold, po staroświecku całując jej ręką grubą i namuloną—ale, z czem innem przychodzę.

— Mogę służyć ci zaliczką na rachunek?—  
poczęła Durand.

Kapitan aż rękami strzepnął.

— Cóż znowu?

— No, to już nie odgadnę.

Po krótkim namyśle Arnold zbliżył się jej do ucha.

— Co sobie myśli ta kokietka Perron. Bałamuci nam naszego pana Floryana już oddawna; niedosyć na tem, teraz gdy pozostał sam, bo mój siostrzeniec do Tours pojechał—namówiła go aby się przeniósł do niej!

Pani Durand słuchała ciekawie, ale udzielona wiadomość nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Kiwnęła głową.

— Cóż w tem tak złego? — odparła.—Wierź mi, cna tak ma pozór płocha—ale kobieta stateczna i nie bez grosza. Jestem pewna, że teraz ją obrachowawszy, choć hotel wzięła z długami, już paręset tysięcy ma pewnie. To nie do pogardzenia. Nie sądzę żeby wydać się za niego chciała, bo znalazłaby człowieka z pieniędzmi—lecz gdyby do tego przyszło?...

Arnold nie umiał już wytłómaczyć, dla czego ten związek wydawał mu się niemożliwy i niestosowny.

Durandowa się uśmiechała.

— Cóż cię to tak nastraszyło?—dodała.

— Ludzie będą gadali!

— On nieżonaty, ona wdowa—poczęła kupcowa — jeśli pleść będą to na nią, a jemu jaka krzywda, że ładnej kobiecie nie się podobał? gdyby była jak ja, stara!...

Poruszyła ramionami, kazała przynieść kawę do pokoju za sklepem, pannę Julię posadziła na swe miejsce i poprowadziła kapitana, który szedł jak winowajca ze spuszczoną głową.

Kupcowa tegoż wieczoru sama poszła przez ciekawość do Marsylskiego hotelu, do przyjaciółki.

— Co to ja słyszę Adelciu? Czy prawda że się twój polak do ciebie przenosi?

— A wy zkad o tem wiecie? — rumieniąc się zawołała wdowa.

— Ja wiem wszystko, ty filutko! — śmiała się gruba kupcowa. — Cóż, tak dalekoście zaszli?

Adela zdawała się namyślać chwilę, zrobiła minkę poważną i nieuleknioną i rzekła seryo:

— Proszę się nie obawiać o mnie, i wierzyć, że wiem co robię. Nic mi nie grozi. Wcale to nie jest paryżanin coby z najmniejszej grzeczności i lada uśmiechu chciał korzystać! Człowiek stateczny, nie młodzik, a ciocia (tak ją zwała czasami) wie że i ja nie jestem płochą.

— Ja też się bynajmniej nie obawiam o ciebie, ale stary kapitan boi się o niego.

— Kapitan? — podchwyciła Perron — za pierw-

szą razą gdy go zobaczę, oczy mu wydrapię. Czy i on ma się mięszać do tego.

Pogniewała się trochę, lecz w chwilkę potem szczebiotała tak wesoło i swobodnie, jakby najmniejszej nie miała troski. Chciała nawet pokazać pani Durand mieszkancko na drugim piętrze, ale otyła kupcowa, która w łoży portyera zasiadła na rozmowę, na schody wspinać się nie zyczyla.

Małdzyk po dwóch dniach niepokoju i walki ze sobą, znajdował to co miał zrobić naturalnem, i jak najwłaściwsem. Długi list przygotowywał do Jordana, pełen powagi i morałów, wystudowany tak aby mu odjąć wszelką obawę następstw. Wiedział, że pomimo to, Jordan się pogniewa, połaje, obawiał się nawet aby sam nie przyleciał. Spóźniał się z wysłaniem pisma, rachując że kapitan go może uprzedzić, że na zarzuty łatwiej mu będzie odpowiadać, niż, jakby czując się do winy — tłómaczyć z góry, zawczasie.

Stało się jak przewidywał, gdyż Arnold troskliwy o człowieka, którego mu powierzono, natychmiast do Tours bilet wyprawił. Piorunujący i błagający razem list odebrał od Jordana. Zaklinał go aby nie ulegał słabości i nie narażał się na nieobrachowane następstwa. Wiedząc że jedno tylko wspomnienie dziedzicia, imię Moni-



może na nim uczynić wrażenie, Klesz cały list nią napisał. W imieniu sieroty prosił go.

Małdrzyk rozczulony, niespokojny byłby się już cofnął może—lecz—wstydził się uleźć. Przerobił swój list i najuroczystsze w nim dał zapewnienie iż żadnego kroku nie uczyni, któregoby Jordan nie uznał dobrym.

Obiecywał naostatek, że dla spokoju Jordana, dłużej nad parę miesięcy w hoteliku Marsylskim gościć nie będzie. List tak był czuły, serdeczny, ujmujący za serce, że Klesz zmiękł, pozostał w Tours — i Pana Boga opiece powierzył losy przyjaciela. Kapitan miał nagłądać, a w razie, gdyby się o czem przez panią Durand i pannę Julię dowiedział, natychmiast mu donieść.

Przenosiny więc odbyły się bez przeszkody i z wielką dla Floryana radością, gdyż każda nowość go bawiła. A było się w istocie czem cieśzyć, bo wybrane dla niego mieszkanie przez dobrą przyjaciółkę, nie mogło się porównać do dawnego, zbrukanego, przyciemnionego i smutnego. Wdówka oddała co miała najlepszego i ogołociła inne pokoiki z tego co mogło tylko przydać się do przyozdobienia apartamenciku p. Floryana.

Składał się on z dosyć przestronnego i wesołego saloniku z oknami na ulicę, z alkowy przestronnej i przedpokoju, w którym mieściły się niewidoczne w ścianach szafy i chowanki. Fran-

cuzi mają ten talent zużytkowywania najmniejszego miejsca, nie psując linii, nie rażąc przyklepionymi do ścian przybudówkami. W alkwie i przedpokoju można było cztery razy tyle rzeczy wygodnie schować, ile ich miał Małdrzyk.

Sprzęty w salonie były prawie nowe, dywany świeże, zegar i lichtarze na kominku z ciemnego brązu i nierażące. Można było, nie wstydząc się, przyjąć tu gościa; w najmniejszej rzeczy znać było staranie o pewien wdzięk i harmonię. Obicie wesołe, popielatego koloru, na którem się wiły gałązki róż i powoju, wcale miłe robiło wrażenie

Nawet pierwsze wspaniałe stosunkowo apartamenta przy Christianstrasse nie mogły się z tem cackiem porównać. Uszczęśliwiony Florek, serdecznie uściśnął rączki pięknej gosposi, która równie jak on była uradowana. Pierwszego dnia zaraz zapowiedziała mu, że stołować się musi u niej i że go to ani susa więcej kosztować nie będzie niż w garkuchni.

— A spodziewam się — dodała z figlarnym uśmieszkiem — że będzie trochę lepiej!

Razem z tym nowym trybem życia, pod wpływem lepszego trochę bytu, — humor i usposobienie p. Floryana uległy znacznej zmianie. Ochota do pracy zmniejszyła się — ochota do życia i używania wzrosła.

W tym wesołym, śmiejącym się saloniku, do którego dochodziły ciągle głosy i wrzawa ulicz-

na, nie tak było można pracować spokojnie, jak w ciemnej izdebce dawnej. Lada co odrywało.

Floryan czuł potrzebę poruszania się jak inni, do roboty nie było mu pilno—w każdym razie pewny był, że go ztąd nie wypędzą i że głodnym nie będzie.

Rysunki swą jednostajnością coraz mu się bardziej uprzykszały. Spóźniał się często z ich oddawaniem, spieszył potem zniecierpliwiony i wykonywał niedbale. Parę razy kazano mu je przerobić staranniej, co go obruszyło.

Z każdym dniem niechęć do tej pańszczyzny, jak ją zwał, rosła. Gotów by był ją porzucić byle miał najmniejszy pozór i tłumaczenie. Szukał ciągle czemu się to lżejszem zastąpić dało.

Tymczasem jednak, od wyjazdu Jordana mnożące się wydatki drobne, które zbyt kownem i zbyt kownem były—rosły strasznie, potrzebował grosza na nie, więc choć z musu pracował. Mniej go teraz kontrolowano, nikt nie wiedział jak czasem swym rozporządzał—pozwalał sobie więcej Wspomnienia dawnej zamożności ciągnęły tam, gdzie się choć przypatrzeć było można—życiu rozkoszному zamożnych.

Florek nabrał zwyczaju, jak inni próżniacy, przechadzania się po bulwarach, szczególnie włoskim, gdzie zawsze najwięcej jest życia, i wszystkie te gastronomiczne zakłady wabia, gdzie dla samego dobrego tonu złota młodzież jadać musi.

Z jakimś uczuciem smutku i gorączkowej ciekawości przypatrywał się wyelegantowanym ichmościom, wśród których bystrzejsze tylko i wprawniejsze oko mogło rozpoznać świat istotnie bogaty od pozłacanego. Florek po przybyciu do Paryża, zmuszony niedostatkiem sukni skradzionych w Dreźnie, ubrał się już był, skromnie lecz z tym smakiem i wytwornością, do których był nawykły. Wszystko też na nim leżało ładnie, miał talent wyglądanja elegancko małym kosztem, a na dystynkeyi i powierzchowności nie zbywało mu nigdy. Wśród bulwarów nie raził i zdawał się do nich stworzonym.

Przechadzki te w początkach rzadsze—coraz potem w różnych porach dnia powtarzać się zaczęły częściej i zabierały godziny całe. Ruch, ekwipaże, publika przed kawiarniami, przepyszne sklepy, przesuwające się typy najrozmaitsze—bawiły go. Lecz—świat to był—niestety, na który on tylko z trotuaru, zdaleka zazdrosnem okiem mógł spoglądać. Przystęp do niego był mu wzbroniony. Czuł się stworzonym do tych ludzi, i przez los nielitościwie wytraconym z ich grona.

Własną siłą dostać się napowrót na zależne stanowisko nie było podobna — a z cudem spóźniała się opatrność. Niekiedy niemal rozpacz gniotła mu serce.

Za co go ta kara spotkała?



W jednej z tych godzin zwątpienia—Florek spostrzegł przed sobą, niezmiernie wylegantowanego młodego jeszcze i pięknego mężczyznę, który laseczkę z gałką z lapis lazuli włożywszy w usta, długo mu się naprzód przypatrywał, aż wreszcie unosząc nieco kapelusz z gracyą zupełnie francuzką, zbliżył się zapytując—w języku bulwarów:

— *Monsieur Florian de Małdrzyk?*

Zupełnie nieznajome mu rysy, postać, głos, których sobie przypomnieć nie mógł—uśmiechały się uprzejmie, wymowa zdradzała polaka, strój i jego akcesorya bardzo dobry byt. Kto to mógł być? Małdrzyk łamał sobie głowę.

Potwierdził że był w istocie tym, kogo w nim poznano.

Elegant uśmiechnął się zwycięzko i począł po polsku:

— Widzę że mnie pan nie poznaje? No, i niedziw, młodym chłopcem miałem przyjemność spotykać go na kontraktach w Dubnie.

Małdrzyk jeszcze nie wiedział z kim miał do czynienia.

— Jestem Prochorowski, którego zwano Miciem, może pan sobie teraz mnie przypomni? Dla francuzów z które mi mam interesa musiałem nazwisko to zmienić na przydomek, i w Paryżu zowie się—*de Lada*.

Sklonił się grzecznie, biorąc już pod rękę

Małdrzyka, bo ich tłum bulwarowy popychał i rozłączał. Małdrzyk teraz go sobie już doskonale przypomniał, jako szalonego zuchwalstwa gracza, chłopaka bardzo niemającego, który uksiążył L.—nieraz jednego wieczora po sto tysięcy złotych przegrywał i wygrywał. Ale zkądże się wziął ten rycerz na paryzkim bruku? i to tak świetnie występujący, jakby tu już wrósł i miał czas bujnie zakwitnąć?

Ów Micio de Lada— nie miał nigdy żadnych nadzwyczajnych przymiotów, któreby jego karierę tłumaczyły. Szkół nie skończył, nie umiał nic, po francuzku wyuczył się w towarzystwach, do których się wcisnął—lecz, czelność miał i energię niezrównaną. W kartach służyło mu nadzwyczajne szczęście, które za włosy chwytać umiał; a że u nas kto w karty grał wszędzie łatwy miał przystęp—Micio dostał się na książęce pokoje i tu tak sobie poczynał śmiało jakby do nich był stworzony.

Od tego czasu wiele lat upłynęło.

— Cóż pan tu porabiasz?—spytał elegant natarczywie dosyć.

— Jestem... jestem wygnanym, to jest zmuszonym byłem kraj opuścić. A pan.

Micio zawahał się trochę z odpowiedzią.

— Ja jestem chwilowo tylko zagranicą, mam znaczne interesa, zajęcie... które mnie zmusza część roku spędzać we Francyi. Rzuciłem się do

handlu, gram trochę na giełdzie, idzie mi świetnie.

Ale naprzód, panie Floryanie—dodał zbliżając się pod namiot kawiarni — pozwól pan, jako staremu znajomemu, zaprosić się. Siadajmy! Cokolwiekbądź! Co pan każe?

Po krótkim wahaniu, Małdrzyk zażądał kawy. Usiedli.

— Cóż się z Lasocinem stało? — zapytał de Lada ciekawie.

— Wieleby i długo o tem rozpowiadać potrzeba, nie mam go już!—rzekł wzdychając Florek, który na siostrę i szwagra przed obcym się nie chciał uskarżać.

Micio zrozumiał jakoś, że przy pierwszym spotkaniu, zwierzenia się nie mógł wymagać.

— Ale cóż pan robi w Paryżu?—rzekł wesoło. Tu, *ma foi*, potrzeba tylko umieć, a świetne się robią interesa. Ja jestem tego żywym przykładem! Ale trzeba umieć i śmieć,

— Mówiłeś pan że handlujesz? czem?

Młodzieniec się uśmiechnął.

— Mam współkę i komis w wielkim domu w Bordeaux. Wysyłam wina. Oprócz tego gram na giełdzie. Przy zdarzonej zręczności ułatwiam nabycie innych towarów. Nasz kraj szczególnie wiele potrzebuje tego co się zjada i wypija i lubi to mieć w dobrym gatunku, a ja — wprawdzie dostarczam nietanio—ale *de qualité supérieure*.

— I to panu Mieczysławowi coś przynosi?—  
zapytał Małdrzyk.

— Jak to, coś? — zaśmiał się pan de Lada—  
nie coś ale bardzo piękną prowizyę! a że i na bur-  
sie mi się dotąd wiodło, jestem *en train*, jeśli to  
potrwa, dorobić się fortunki. Mój Smogulec  
sprzedałem! Cobym ja na wsi robił. Przyznam  
się panu, że nie ma życia jak w Paryżu!

— Tak, dla tych, którzy to życie opłacać  
mają czem!

— Rozumie się—wesoło podchwycił Micio—  
lecz kto ma spryt ten tu równie łatwo robi pie-  
niądze jak je trwoni.

Pan de Lada w tej chwili nie musiał mieć za-  
jęcia, gdyż wdał się w rozmowę długą z p. Flo-  
ryanem, o dawnych czasach, o ludziach, których  
znali, a zajęciem żywym, jakie okazywał wy-  
gnańcowi, ujął go tak iż Małdrzyk otwarcie  
w końcu całe swe położenie odmalował.

— Ale, słuchajże pan—zawołał Micio—jeste-  
śmy z jednej prowincyi, ziemiaki, miałbym sobie  
do wyrzucenia, gdybym panu radą i moim wpły-  
wem nie służył. Mam stosunki, coś mogę. Znaj-  
dziemy zajęcie mniej krępujące, odpowiedniejsze  
dla pana. Spuść się pan na mnie!

Był to pierwszy człowiek który tak serdec-  
znie, ochoczo, zdawał się jego losem zajmować,  
niedziw więc że Floryan w tym stanie ducha,



w jakim go to spotkało — uczuł wdzięczność — gorąco ją starał się wyrazić.

— Ja muszę jeszcze jakiś czas spędzić w Paryżu — rzekł Micio — stoję ztąd o trzy kroki w Hotel de Bade (wskazał ręką), daj mi pan swój adres.

Z pewnym wstydem wyciągnął Małdrzyk z pugilaresu bilet swój z adresem ówkiem dopisanym. De Lada rzucił nań okiem i schował do kieszeni.

— Co pan robisz z dzisiejszym wieczorem? — zapytał.

— Ja — z goryczą odparł Małdrzyk — nie zostaje mi jak powlec się do domu.

— O tej godzinie? — wykrzyknął elegant. — Ale to niepodobna! Prowadzę pana do teatru — albo — wiesz pan co? lubiłeś zawsze konie — ja pasjami też cyrk lubię. Zawiozę pana na pola Elizejskie do cyrku.

Floryan zawahał się.

— Bez ceremonii! — podchwycił de Lada — zrobisz mi pan łaskę, bardzo proszę. Ja tam w cyrku mam znajomości, jestem jak w domu. Dyrektor mój przyjaciel, a boska miss Jenny! Widziałeś pan co ona dokazuje na koniu, Jaka odwaga! jaki wdzięk. Amazonka, bohaterka, bogini, klękać przed nią.

To mówiąc, wstał Micio, zawołał garsona, zapłacił, rzucił się do tuż stojącego fiakra, gwał-

tem prawie wsadził doń Małdryka i do cyrku jechać rozkazał.

Przez całą drogę de Lada nie mówił tylko o miss Jenny! Fiakr, który miał obietnicę dobrego—na piwo, popędził ku polom Elizejskim. Cyrk stał oświecony, słychać w nim było muzykę, przybywali trochę późno. Biletów ledwie dostać mogli, gdyż ścisk tego dnia był ogromny.

Wchodzili właśnie, gdy owa sławiona miss Jenny w fantastycznym ubraniu nader lekkim, uwydatniającem przedziwne jej kształty posągowe, stojąc na dziarskim koniu, z wdziękiem karmazynowemi kierując wodzami, pędziła szóstkę rumaków ognistych, a posłusznych jak dzieci.

Była istotnie piękną, niezmiernie zręczną, a to połączenie w niej wdzięku i siły nadawało jej istotnie coś idealnego. Nic ją nie zdawało się kosztować ani utrzymanie równowagi, chociaż jedną nogą a raczej palcami tylko dotykała grzbietu konia, ani kierowanie rozpedzoną szóstką, ani nateżenie uwagi, jakiej wymagał ruch każdy. Instynktowo, z łatwością dokonywała cudów, i miała czas myśleć o tem aby się sama cudowną wydała.

Frenetyczne oklaski towarzyszyły jej przy obiegu areny.

Widok miss Jenny, koni tych, atmosfera cyrku, zapal z jakim witano artystkę, wszystko to p. Floryana też wprawiło w zachwyt.

Na chwilę zapomniał się, był oczarowany.

Koń! konie! ta dawna miłość jego, od której go los odsadził Łzy prawie poczuł na oczach. Siąść na konia, lecieć — jakie to było szczęście. Drżał cały ze wzruszenia. Ochota go brała niemal skoczyć do cyrku i pochwycić jednego z tych cudnych siwoszów, na którym jak srebrna mora włos świecił.

Rzucano bukiety, bito w dłonie, miss Jenny uśmiechała się, skłaniała z wdziękiem, rzucała oczyma, nie opuszczając swojego niebezpiecznego stanowiska.

Dopóki była w arenie, nikt słowa nie przemówił, de Lada też cały wychylony pożerał oczyma piękną amazonkę, dopiero gdy znikła, a *intermezzo* poczęły clowny, Micio siadł ocierając pot z czoła.

— A co? — spytał — nie bóstwo to? nie cud? Ale, zobaczysz pan ją zbliska. Po skończeniu widowiska zaprowadzę pana do dyrektora i do niej. Trzeba żebyś się poznał z niemi.

Miss Jenny, oprócz tego zdumiewającego talentu, jest pełna dowcipu — mówi czterema czy pięcią językami — osoba bardzo dystygowana. Mówią że lord Quercy formalnie się jej oświadczył i odmówiła bo kładł za warunek aby nie występowała, a ma formalną do koni namiętność.

— O! konie! konie! — westchnął Florek — do-

piero się czuje co to koń, gdy się go jest pozba-  
wionym.

— Więc choć popatrzeć miło?

— Nie—zawołał Florek—większy to żal bu-  
dzi.

Miss Jenny występowała raz jeszcze, ale  
w orszaku, który przedstawiał wjazd jakiejś kró-  
lowej francuzkiej. W stroju średniowiecznym  
była na inny sposób piękną—a zawsze zachwyca-  
jącą. Wszystkie inne gasły przy niej. Florek  
uważał, że przejeżdżając blisko nich, spojrzęła  
zukosa na Micia i uśmiechnęła mu się.

Pozazdrościł znajomości i uśmiechu.

Jeszcze ostatni jakiś popis miał zamknąć wi-  
dowisko, gdy Micio pociągając za sobą pana  
Floryana, znajomymi przejściami, przekradł się  
w podwórze za cyrk, aby dłoń uścisnąć panu Ri-  
chard dyrektorowi cyrku.

Był to piękny, w sile wieku mężczyzna, trochę  
z jock'eyska ubrany, twarzy, rysów szlachetnych,  
manier pańskich—który pana de Lada acz uprzej-  
mie przyjął dosyć chłodno, a tak samo i zapre-  
zentowanego mu Małdrzyka, którego Micio przed-  
stawiał jako szlachcica, niegdyś dóbr rozległych  
pana i wielkiego miłośnika koni.

Mr. Richard przyjął powinszowania obu przy-  
byłych jako hołd należny—a na zapytanie o miss  
Jenny, której hołd chciał złożyć de Lada, odparł



stanowczo, iż tak jest zmęczona, że się z nikim widzieć nie może.

Odwiedziny więc za kulisami niebardzo się powiodły, lecz wychodząc Micio szepnął na ucho Małdrzykowi iż drugą razą zapozna go z boską miss Jenny.

— Richard jest dziś kwaśny—dodał—i wiem dla czego, bo mu konia najulubieńszego zepsuto. Jestto nietylko strata kilku tysięcy franków, lecz luka, którą zapełnić innym bardzo będzie trudno.

---

Spóźniony bardzo nad zwykłą godzinę powrót do domu p. Floryana, nie podobał się pani Perron, która nań z wieczorzą czekała. Musiał się jej tłumaczyć że spotkał przyjaciela dawnego, i nie-mógł się tak łatwo z nim rozstać tembardziej, że mający stosunki w Paryżu ziomek, obiecywał mu pomoc swoją.

— A do czegoż ona panu jest potrzebną? — zapytała wdowa.

— Do wyrwania się z tej uciążliwej pań-szczyzny rysowania — rzekł Florek. — Nudzi mnie to.

Popatrzyła nań nie odpowiadając.

W ciągu dalszej rozmowy umiała dobyć z Małdrzyka czem się zajmował w Paryżu przyjaciel

jego, dowiedziała się, że miał komis win i że szczęśliwie grywał na giełdzie.

— Dałeś mu pan swój adres?—zapytała.

— Nie mogłem odmówić.

— Zróbże tak abym ja go zobaczyć mogła gdy przyjdzie, nie zawadzi że mu spojrzę w oczy—odezwała się wdowa. — Zuam wielu podróżujących z winami, różnie się im dzieje, a na giełdzie! ho! ho—gra niebezpieczna!

Dotknęło i to panią Perron, że Florek z wielkim mówił zapalem o cyrku i miss Jenny. Uwielbienie dla niej nie podobało się gosposi i rzuciła obelżywym—*saltimbanques!* Florek się tłómaczył namiętnością swoją do koni.

Wieczór zszedł jakoś kwaśno. Przez całą noc Małdrzykowi śniła się arena, a nad nią na skrzydlatym rumaku unosząca się w powietrzu, lekka jak one, miss Jenny. Wstał z bólem głowy, lecz że musiał dnia tego kończyć rysunki, przeklinając swą pańszczyznę, zasiadł do pracy. Szła mu źle bardzo, darł i rzucał papiery.

Przed południem jeszcze niespodzianie się zjawił Micio. Nie miał widać znajomości wiele w Paryżu a towarzystwa potrzebował. Wydane być musiały stosowne rozkazy na dole, gdyż kwadrans zaledwie posiedział de Lada, gdy z kłuczykami w ręku, w miluchnym rannym stroju, ale łańcuszkami i pierścionkami okryta, zjawiła się pod jakimś pozorem gosposia.

Zdziwiony trochę tem zjawiskiem, którego się nie spodziewał, gość z galanterią polsko-francuzką wstał na powitanie nieznanym. Florek nie uważał jak ciekawym wzrokiem zmierzali się wzajemnie. Wrażenie musiało być dobre, gdyż pani Perron trochę długo się zatrzymała u progu, stała się bardzo wesolą, zawiązała żartobliwą gawędkę z p. de Lada i odeszła rozpromieniona.

— Ale wiesz, że ta twoja gospoia bardzo śliczna i miłuchna! — roześmiał się Micio — do pozazdroszczenia!

Po tym krótkim epizodzie, uparł się Florka zaprosić na śniadanie na bulwary. Dawny sąsiad — wyciągnął go z sobą, a po śniadaniu chciał koniecznie zabrać ze sobą do cyrku, gdzie niezawodnie miss Jenny zastać mieli.

Małdrzyk się niebardzo opierał. Śniadanie wykwintne z doskonałym winem Burgundzkim leżącym w koszyczku — przeciągnęło się nieco, lecz obu ich wprawiło w ten złoty humor, który szczęśliwym daje umiejętnie nakarmiony zółdek.

Małdrzyk się czuł jakby innym człowiekiem. Niczem nieusprawiedliwiona nadzieja wstępowała do jego serca. Myślał sobie że gdy taki Micio mógł się dorobić świetnego stanowiska na parzykim bruku, los nie mógł mu tej samej łaski

odmówić. Wart był przecie tyle przynajmniej, co on.

W cyrku zastali zamieszanie wielkie—ale p. Richard był cokolwiek uprzejmiejszym.

Miss Jenny w bardzo wytwornem ubraniu—powitała słodkim uśmiezkiem swojego wielbiciele. Florkowi wydała się i dziś bardzo ładną, lecz strój, światło, zupełnie odmienne warunki, czyniły ją jakby inną do niepoznania. Miała ruchy, obejście się, nawet fizyognomię pięknej angielski, chociaż była nią tylko z przezwiska.

Z równą grzecznością przyjmowała i Florka, który ją i p. Richarda ujął tem, że z wielką znajomością rzeczy o koniach mówił. Trafili właśnie na chwilę gdy dyrektor, któremu szło o zastąpienie skaleczonego konia — targował się z roztrucharzem o nabycie nowego wierzchowca. Krew, maść, wzrost, wszystko odpowiadało wymaganiom—lecz młody koń był surowy i ostry.

P. Richard opowiadał z pewną goryczą, że mu dziś przy próbie dwóch jego berejterów z siebie zsadził.

Małdrzyk, który niegdyś bardzo dzikie konie lubił, i niejednego tabuna zwyciężył, począł obchodzić pięknego wierzchowca, opatrywać go—i wyraził się w ostatku, że koń mu się nie zdawał tak trudnym do pokonania.

Richard się roześmiał.

— Na Boga—zwołał—mussisz być pan jeźdź-



cem niepospolitym, gdy się to mu łatwym zdaje.

— Byłem niegdys niezłym — odparł zimno Florek — chociaż nie mogę pewno ani z najgorszym pańskim masztalerzem się dziś mierzyć. Pan to wiesz, że każdy koń, jak człowiek, wymaga stosownego do swego charakteru sposobu obejścia się. Są ludzie co koniowi z oczów czytają—ja dawniej to umiałem.

Konia przeprowadzano, Florek wodził za nim pożądliwymi oczyma, a dyrektor, sam najlepszy jeździec, słuchał i przypatrywał mu się z zajęciem. Miss Jenny rozmawiała z Miciem.

Małdrzykowi prawdziwie szalona myśl przyszła do głowy. Czuł w sobie nadzwyczajną siłę i niezmiernie pragnienie znalezienia się na siodle.

— Gdybyś pan kazał go osiodłać — rzekł — naprawdę, choć nie kawalkator, a prosty sobie polski jeździec i myśliwy, spróbowałbym ja czy też on mnie zrzuci.

Richard i miss Jenny spojrzeli nań z podziwieniem, uśmiechał się z taką pewnością siebie, iż i oni trochę zaufania powzięli.

— Seryo?— spytał dyrektor—chcesz pan spróbować? Chętnie się na to zgodzę, ale następstw nie biorę na siebie. Wprawdzie na placu dużo piasku... ale...

— Każ pan osiodłać, proszę! — odezwał się Florek.

Kilku z cyrkowych jeźdźców, świadkami będąc tego, szydersko się uśmiechali i ramionami poruszali. Dwóch z nich koń zrzucił.

Byli pewni, że zarozumiały polak jak piłka się stoczy z wierzchowca, który chrapał i niecierpliwił się groźnie.

Na znak dany przez dyrektora przyniesiono siodło, a Florek stanął naprzód przed koniem, patrząc mu uparcie w oczy—mówić coś zaczął do niego—głaskać, pomimo rzucania się i znowu oko w oko—z natężoną siłą wejrzenia długo patrzył. Wierzchowiec dał się osiodłać. Wszyscy w cichości i z ciekawością ironiczną spoglądali na zuchwałego polaka, który jakby się tajemniczym jakimś językiem rozmówił z koniem — widocznie złagodzoną znacznie, ujął cugle, dotknął strzeżenia i — siedział na nim. Koń spał się raz, zdawało się że wszystkie siły wyteżył aby jeźdźca zrzucić ze siebie, prychnął dziarsko i w susach powolnych począł obiegać arenę. P. Floryan siedział jak przyklepiony do konia, ze swobodą, z rycerskim wdziękiem wcale różnym od tego jaki daje sztuką wyuoczona jazda szkolna.

Dyrektor niezmiernie zdumiony, bił brawo, lecz nadewszystko zachwycona była miss Jenny.

Dwaj cyrkowi jeźdźcy patrzyli posobie skonfundowani.

Małdrzyk objechał wkoło raz i drugi, ściągnął cugle, zwolnił kroku, stanął i zeskoczył zręcznie

Koń, który zdawał się w czasie całej krótkiej przejażdżki zupełnie spokojnym — teraz dopiero spostrzeżono, że cały stał potem okryty.

Richard podał rękę Floryanowi.

— Tak tylko polacy jeżdżą na koniach — rzekł — nie szkolna to jazda, ale centaurów!

Miss Jenny wyciągnęła też obcisłą rękawiczką objętą, długą rączkę i porzuciwszy zupełnie Micia zajęła się Małdrzykiem.

Florek skromnie wymawiał się, że się nigdy naprawdę jeździć konno nie uczył, ale miał lat dziewięć gdy na konia siadać i z konia spadać począł. A potem—potem to już jakoś samo przyszło, że na każdym koniu usiedzieć mógł i z każdym sobie dać radę, nawet z takim tabunem, którego do lat siedmiu nikt nie miał w rękę.

Lekce to sobie ważył, gdy na dyrektorze i pięknej amazonce jazda ta dziwna, nieuczona a tak pewna siebie ogromne zrobiła wrażenie.

P. Richard gotów był już konia kupić, a Florek śmiejąc się żartem wyrwał się z tem, że dla przyjemności jeżdżenia gotów konia ujeżdżać.

Zawiązała się tym wypadkiem taka dobra znajomość między dyrektorem, miss Jenny a Florem, iż przy pożegnaniu musiał im dać słowo, że ich będzie odwiedzać. Mr. Richard ofiarował mu wolne wnijscie do cyrku każdego czasu.

Wszystko to — nie byłoby może Małdrzyka bardzo pociągnęło do towarzystwa, które dla nie-

go wcale stosownem nie było, gdyby nie wejrzenie miss Jenny i jej sposób obejścia się z nim, tak wyzywający, natarczywy gorączkowy jakiś, iż Florkowi znowu się głowa zawróciła. Dziewczę było piękne, a miało w sobie coś tak oryginalnego, ekscentrycznego, śmiałego — biedny człowiek nie mógł się temu urokowi oprzeć.

Pochlebiało mu też może iż tak słynna artystka — w Paryżu — zwróciła na niego uwagę, raczyła się wdziękzyć. Takie szczęście dawno go nie spotkało. Tu po raz pierwszy odegrał jakąś rolę, potrafił się odznaczyć, był czemś więcej niż pierwszym lepszym w tłumie.

Micio de Lada w czasie całego tego epizodu stał przybierając jak najwdzięczniejsze pozy, a nie mogąc zwrócić na siebie uwagi miss Jenny, która cała była zajęta śmiałym jeźdźcem. Wprawilo go to w nieszczególny humor, żałował może iż wprowadził tak nieogłędnie starego znajomego do swych cyrkowych przyjaciół, ale mógłże przewidzieć że niemłody już, zbiedzony, milczący Małdrzyk zdobędzie się na taki *coup d'etat*.

Floryan wychodził z cyrku daleko śmielszy i pewniejszy siebie. Micio milczący. Przemógł się jednak, otrząśł z tej zazdrości i nanowo począwszy badać p. Floryana, zrobił mu nadzieję że wynajdzie dlań jakieś nie tak uciążliwe zajęcie.

W ciągu rozmowy, nieznacznie rozpytywał się



o panią Perron, która na nim pewne wrażenie uczyniła, a że dosyć lekceważąco mówił o niej, Małdrzyk chcąc ją lepiej w jego opinii postawić, powiedział mu, że wdówka była hotelu nie dzierżawczynią, jak sądził, ale właścicielką, i że bliżej znający jej interesa, szacowali ją co najmniej na parękroć sto tysięcy franków.

— Hol ho!—zawołał Micio—gdyby to prawda była, pani Perron byłaby smacznym kąskiem. Ładna, roztropna, niestara—i parękroć stotysięcy gotówki dla człowieka co pieniędzmi umie obracać... możnaby się z tego milionów dorobić.

Małdrzyk poruszył ramionami i dodał chłodno:

— Na co miliony, dośćby było tych parykrociów ażeby żyć spokojnie i bez troski!

— O! ja potrzebuję milionów!—odparł Micio, bez tego nie mogę żyć!

Rozstali się bardzo przyjacielsko.

---

Małego znaczenia wypadek ten z koniem, zabrana znajomość z artystami cyrkowemi, większy miały wpływ na p. Florysna niż on sam przewidywał.

Jeszcze bardziej zraził się od pracy nudnej przy stoliku — coś go ciągnęło do konia i do ro-

dzaju życia, który miał pozór swobodniejszego. Pani Perron krzywiła się i na tę znajomość i na pasyę narażania się na niebezpieczeństwo.

Micio de Lada, którego parę dni nie widać było, przyszedł znowu w odwiedziny, i znowu przypadek... sprowadził gosposię do lokatora. Tym razem zatrzymała się dłużej, a że pora była śniadania, odezwała się do Małdrzyka ażeby przyjaciela prosił ze sobą. Śniadanie było tak jak gotowe.

— Wiem— odezwała się śmiejąc i kokietując ładnego chłopaka — że pan jadasz śniadania na bulwarach, ale ja też pana nie otruję.

Micio z wielką łatwością dał się zaprosić, jak w ogóle bliższej znajomości z p. Perron nietylko nie unikał, ale się o nią gorliwie zdawał starać.

Małdrzyk postrzegł, że z obu stron biegały oczy, mieniano sympatyczne uśmiechy i niedawne poznanie się coraz przyjaźniejsze formy przybierało.

Z natury swej zazdrosnym nie był—jednakże ta łatwość z jaką wdówka dawała się zbliżać do siebie, to niezmiernie otwarte serce, ta zalotność na zawołanie zawsze się wdzięczyć gotowa—trochę go ostudziły.

Sam on mniej może teraz zajmował się gosposią, bo po głowie chodziła mu miss Jenny, daleko piękniejsza, bez porównania wyższy typ niewieści.

Przyrzekłszy panu Richard że konia przejeżdżać będzie, aby go nałamać trochę, nimby z nim wyższą szkołę rozpoczęto—następnego ranka pojechał Małdrzyk do cyrku. Dyrektor przyjął go uprzejmie, okulbaczono Sfinksa, gdyż takie imię nadane było koniewi, i Florek zabierał się go do siąść i jechać do Bulońskiego lasku, gdy nadchodząca miss Jenny, naparła mu się sama towarzyszyć.

Mówiła śmiejąc się, iż była ciekawa jak Sfinks chodzić będzie. Mały chłopak miał jechać za nie-mi na ogromnym angielskim koniu.

Przejażdżka u boku słynnej amazonki — rozpromieniła Małdrzyka, a p. Richard nie zdawał się nic mieć przeciwko temu.

Sfinks jak gdyby poznał swojego pana, który znów w oczy mu długo patrzył, przemawiał doń i głaskał — znalazł się z nim bardzo łaskawie. Spróbował przy wsiadaniu wyrzucić go z siodła i przekonawszy się, że tego nie dokáže, poszedł w udatnych skokach dalej, obok konia pięknej amazonki.

Florek znał miss Jenny tylko z cyrku i krótkiej z nią rozmowy, — teraz dłuższa wycieczka, w ciągu której mógł zupełnie swobodnie rozgadać się, dała mu ją ocenić lepiej. Piękna amazonka, nietylko była piękną, ale miała pewne wykształcenie, coś poetycznego, wielki dar przy-

podobania się jakąś szczerością prawdziwą czy kłamaną.

Niewiedzieć jak do tego przyszło że swe życie opowiadać zaczęła Florkowi, wszystkie jego trudy i zawody—jak sierota dostała się do gromadki akrobatów i kuglarzy, z której ją zrzęcnosć i siła wyzwoliły—gdy wpadła w oko właścicielowi cyrku.

Był to, jak mówiła — niegodziwy i okrutny człowiek, od którego by może nie była się uwolniła tak łatwo, gdyby śmierć nie przyszła w pomoc.

Mówiła potem o pobycie swym w Anglii — i o terażniejszych powodzeniach w Paryżu.

Z rodzajem ironii razem i prostoduszności, opowiadała smutne dzieje swoje — jak gdyby w życiu nie ją już ani bawiło, ani pociągało.

Nie narzekała, szydziła sobie ze wszystkiego.

Florek z kolei coś o swojej doli napomknął, aby dowieść, że się na los tak bardzo uskarżać nie mogła.

Dziwny stosunek zawiązał się w ciągu przejażdżki. Małdrzyk, choć śmiesznie się i po młodzieńczemu nią zajął, okazywał tylko pełną poszanowania przyjaźń. Właśnie to że nie prawil oklepanych komplementów i gorących oświadczeń, ujęło ją może i—przybrała ton dobrej przyjaciołki. Była w nim zalotnosć ale tak przytłumiona, tak zakwefiona — że Małdrzyka więcej



uspokoila niż rozplomienila. a przynajmniej nie dopuscila mu sie jawnie rozgoraczkowywac.

Pod koniec przejazdki bardzo wesoło—patrząc mu w oczy, śmiało rzekła:

— Młodej kobiecie najtrudniej o przyjaciela! Wielbicieli i kochanków mamy krociami, ale wiemy co znaczą te ich zapęły. Mam wzgardę dla tych ludzi, co nie znając kobiety—narzucają się jej ze swą namiętnością—i sądzą że pochlebstwy lub datkami ją sobie pożyczą na chwilę, aby ją jutro porzucić. Niestety—my jesteśmy najwięcej narażone na te szturmy z naszymi brylantów jako bronią w rękę!

Zrobiła minę pogardliwą.

— W tem życiu wiekuistych występów, popisów—i atmosferze upajającej—tak nam potrzeba czasem serca,—przyjaźni—czegoś ochładzającego.

Małdrzyk wtórował jej. Zwolnili koniom kroku aby dłużej rozmawiać ze sobą.

— Bądź mi pan przyjacielem—dodała w końcu amazonka—ja sobie wiele po nim obiecuję. Jesteś człowiekiem poważnym, czuję w nim serce szlachetne.

Potrzebaż mówić, że go ujęła i do reszty przykuła do siebie. Dojeżdżając już do cyrku, miss Jenny uwiadomiła swego nowego przyjaciela, że mieszkała w domu na polach Elyzejskich, zupeł-

nie osobno, ze starą sługą i spodziewała się że nietylko w cyrku widywać się będą.

— Protektora znalazłabym łatwo — dodała smutnie — miałam i mam codziennie obrzydliwych a świetnych propozycji mnóstwo, lecz wolę mieć takiego jak wy przyjaciela.

Małdrzyk ofiarował się jej cały na usługi, musiał jednak, choć z upokorzeniem wyznać, że całkiem swobodnym nie był, bo był do obowiązkowej pracy dla chleba zmuszony.

Miss Jenny zakłęła go z żywością wielką aby jej szczerze wypowiedział wszystko. Małdrzyk tak już był usposobionym do otwartości z tą kobietą dziwną a narzucającą mu się — iż jej w krótkich słowach życie swe i położenie odmalował. Była to lekkomyślność, którą tylko zbyt poczciwe i miękkie serce jego mogło tłómaczyć.

Miss Jenny pomyślała chwilę.

— Gdybyś pan nie miał przesądów — rzekła, wierz mi, że u p. Richarda znalazłbyś lepsze, miłsze, lżejsze i korzystniejsze zajęcie. Jabym o tem z nim pomówić mogła.

— Ale na cóż ja mu się przydać mogę? — zawołał Floryan. — Na to potrzeba więcej znajomości tego kunsztu, a w razie gdybym się mógł nawet czegoś poduczyć, za nic w świecie nie wystąpiłbym publicznie.

— I nikt tego od pana wymagać nie będzie — odparła miss Jenny — ale Richard nie ma się kim

wyręczyć. Koni mamy dużo i kosztownych, przez niedozór oto świeżo stracił jednego, który go kilka tysięcy franków kosztował.

Małdrzyk namyślał się nie odpowiadając.

— Daj mi pani czas — rzekł — zobaczymy. W istocie byłbym może swobodniejszy gdyby się to jakoś ułożyć dało.

— Nie to pana nie wiąże—zawołała amazonka—ja z Richardem pomówię o tem.

Zaledwie wrócili do cyrku, Florek musiał pośpieszać do domu. Godzina śniadania nadchodziła, a pani Perron nie lubiła czekać. Dochodząc do hoteliku, spojrział na zegarek Małdrzyk i przekonał się, że mimo pośpiechu, już się opóźnił. Wprost więc pobiegł na górę do gosposi, i w przedpokoju usłyszał śmiechy i rozmowę. Śniadanie musiało już być na stole.

Towarzyszem pani — a zastępcą Florcka, był Micio.

— Czekaliśmy na was—odezwała się wesolo, zarumieniona mocno i roztrzpiotana gosposia—nadszedł jego przyjaciel... i sądząc żeś o nas zapomniał, kazałam dawać.

Micio był nieco zmięszany, ale humor mu zaraz powrócił.

— Zaręczam że powracasz z cyrku i od miss Jenny? — odezwała się Perron. — A co? nieprawda?

— Tak jest — rzekł Florek — przejeżdżałem Sfinksa.

— I zachwycasz się uroczą amazonką?— dodał de Lada.

— Miałem szczęście widzieć i miss Jenny.

— Bałamut stary, niepoprawiony—śmiała się klapsa mu dając Perron.

Zaczęto żartować z niego.

— Trochę winy spada na mnie—rzekł Micio, bom ja go tam wprowadził.

— I naturalnie, ponieważ on mnie osieroca, obowiązany pan jesteś zastępować go — dodała wdówka przymilając się.

— Sądzę że nawet z tej zamiany będziesz pani rada—odparł Florek chłodno — bo mój ziomek daleko jest zabawniejszy.

— A, tak!—śmiała się Perron — ale taki bałamut jak wszyscy polacy, którzy do każdej kobiety umizgać się gotowi—a potem...

Micio się chciał bronić, zakrzyczała go Perron. Śniadanie nadzwyczaj szło wesoło. Florek tylko trochę był zasepiony. Myślał o rzuconym przez miss Jenny projekcie umieszczenia się w cyrku i—widział teraz dopiero na coby zszedł... dla mizernego chleba kawałka—na podwładnego takiego monsieur Richarda i nadzorcę masztale-rzy cyrkowych.

O! ironio losu! On...

Myśl ta zburzyła go tak, iż wstawszy nagle



pod pozorem jakimś, pożegnał gosposię i chciał odchodzić do mieszkania. Micio poszedł za jego przykładem. Potrzebował uniewinnić się przed starym znajomym ze swej natrętności, i nadskakiwania przy pani Perron.

Zapalili cygara; de Lada usiadł i rozpoczął rozmowę od tego, iż miał pewne, acz słabe nadzieje, umieszczenia go jako komisanta win w domu, z którym był w stosunkach. Z tą nowiną właśnie przybywał, gdy spotkawszy go gosposia nie puściła i zaprosiła do siebie.

— Zdaje mi się — wyjąknął zadumany Floryan — być może, iż nie będziesz się pan potrzebował o mnie troskać. Niechący mi wskazałeś drogę. Któż wie? choć z wielkiem upokorzeniem, mógłbym przyjąć pewne obowiązki u pana Richard.

— A! a! — zawołał zdwiony Micio. — Toby było...

I nie kończąc zbliżył się do Floryana z rękę wyciągniłą.

— Pozwól być szczerym—*cartes sur table*.

Nie masz więc żadnych widoków z wdówką? Sam mi mówiłeś—parękroć stotysięcy—nieżona—ty jesteś, ona wam sprzyja.

— I bardzo jej jestem wdzięczny—rzekł zimno Floryan—ale do ożenienia... dotąd ani ochoty nie mam, ani widoku.

Micio przeszedł się gorączkowo po pokoju.

— Bo widzisz, mówiąc otwarcie — dodał — chociaż ja bardzo, bardzo świetnie stoję, i mój interes a bursa dobrze mi służą... jednakże znacznie większego kapitału potrzebuję, niż ten którym rozporządzam.

Dwakroć stotysięcy gotówki, dla mnie znaczą może miliony.

Zatrzymał się chwilę, popatrzał w oczy Floryanowi.

— Rozumiesz?—spytał.

Małdrzyk śmiał się i ramionami ruszał.

— *Si le coeur vous en dit!*—szepnął — ja na przeszkodzie nie stoję.

Ten chłód i obojętność—uderzyły Micia—nie wiedział już co o tem sądzić.

— Gdybyś pan miał widoki — dodał— słowo daję, za nic w świecie...

— Ale ja żadnych nie mam widoków—odparł Floryan — prócz że mi w tym pokoju i na stole pani Perron, a nawet w jej towarzystwie, bardzo miło.

Micio, który przed chwilą jeszcze był w zapale takim, że gotów był szturmować gospozię, widząc że Florek tak był dla niej obojętny, tak mało do jej przyjaźni przywiązywał wagi, powziął pewne wątpliwości i podejrzenia.

Ostygł. Nie mógł tego pojąć, jak człowiek w położeniu Małdrzyka, w jego wieku, mógł się wahać, gdy mu się taka gratka trafiała.

— *Il y a du louche*—rzekł sobie w duchu. Potrzeba to zbadać.

Małdrzyk, który miał więcej ochoty dumać niż gawędzić, siadł z ołówkiem nad papierem. Lada pożegnał go.

Miał nad czem myśleć biedak, a od chwili wyjazdu zagranicę przebiegł taką skalę wypadków, zmian, coraz go spychających niżej, iż wnijscie w siebie musiało go upoić goryczą.

Rzucał nim wicher jakiś—przeciw któremu siły nie miał, życie mu brzydło.

Nadzorcą w cyrku—ostatni z Małdrzyków!

Lecz do rozpieszczonego, tak oczy jasne, rozumne, czułe razem tej miss Jenny mówiły—o jesiennych szczęścia chwilach! Taka była sympatyczna, tak dobra dla niego i tak się garnęła ku nieznanemu prawie z ufnością. Nie byłóż obowiązku zaopiekować się tą tak oklaskiwaną a tak nieszczęśliwą?

Zapukano do drzwi—wezszła z dziwną minką, pani Perron.

Odwiedziny były nie spodziewane. Przychodziła po wielkiem roztrzepaniu i wesołości śniadania smutna i melancholiczna.

— Nie przeszkadzan?

— Nigdy!—rzekł Floryan.

— Znasz pan tego swojego ziomka?—spytała usta sznurując.

Ktoś inny, nie poczciwy prostoduch Floryan,

byłby poznał i domyślił się może, iż wdowa tym przyjacielem chciała obudzić w nim zazdrość i przyspieszyć to czego żądała... porozumienie się matrymonialne. Tak było w istocie—lecz Małdrzyk nie posądzał ją wcale.

— Znałem go niegdyś—odpowiedział Florek. Dawał sobie szczęśliwie radę na świecie. Grał dużo i wygrywał. Nie zbywa mu na sprycie, za statek ręczyć nie mogę.

— Ale wcale miły i energiczny — dodała wdowa.

— Podobał się?—spytał ciągle rysując Małdrzyk.

Wymówił to tak chłodno, że wdowa boleśnie dotknięta zerwała się z siedzenia.

— Widzę żeś nadto zajęty swoją robotą, pomówimy później.

Rzuciła nań wejrzenie pełne znaczenia i wyszła.

Nie była już pewną jak postępować miała, czy rozbudzać zazdrość, której wcale nie okazywał, czy starać się czułość w nim wywołać.

Gniewała się na niego... i na siebie — ale chłód ten zwiększał upór. Postanowiła rozważyć dobrze—jak dalej prowadzić rozpoczęte dzieło, nie domyślając się co jej zagrażało.

Jordan pisywał często—listy jego niepokojem o przyjaciela były natchnione. Zdawało mu się że sam przy nim być nie mogąc, powinien był



działać nań przynajmniej niemi. Przypominał mu nieustannie córkę, Lasocin, przeszłość — dawał nadzieję że los odmienić się może.

Wrażenie tych listów było w istocie hamulcem dla Małdrzyka, który mniej śmiało rozporządzał przyszłością — gdy przypominał przeszłość.

Do powstrzymania go od stanowczego jakiegoś kroku przyczyniła się i okoliczność, która na chwilę oderwała Małdrzyka od terażniejszości przygniatającej.

Dnia jednego, gdy wyjątkowo pilnie pracował nad rysunkiem, potrzebując gwałtownie pieniędzy—bo i wdowie był dłużnym (nie upominała się wcale) i kieszonkowego grosza mu brakło—wpadł do niego kapitan Arnold, bardzo ożywiony.

— Szczęście zem was zastał — wołał od progu. — Interes, spodziewam się nawet że niezły interes być musi. Stary kasztelan X. potrzebuje się z nim widzieć pilno. Odebrał jakieś dla pana polecenie z kraju.

Małdrzyk rzucił się od stolika.

— Nie znam kasztelana... ale cóż to być może?—zawołał.

— Kasztelan! pan nie znasz starego kasztelana!—krzyknął Arnold.—Toć przecie patriarcha nasz! najczcigodniejszy z ludzi. Starzec, który stracił miliony — który tak heroicznie znosi

niedostatek, on co był do zbytków nawykły i wykołysany w dostatkach.

Małdrzyk już mniej chciał słuchać pochwał, a rad był się dowiedzieć coprędzej o tem, co jego samego obchodzić mogło.

— Ubieraj się pan, jedziemy do kasztelana. Kawał drogi do niego, no — ale zastaniemy pewno, bo z domu nie wychodzi. Nogi mu już nie służą.

Zdaje się że ten interes do pana, uległ już zwłoce — bo się go w Paryżu dopytać nie mógł. Otóż jak to źle z całą emigracją nie mieć stosunków i tak się odosobnić.

Małdrzyk w ówieré godziny był gotów, jechali na Rue Lafitte, przy której oddawna, w entresolu niskim, w ciemnych i zaduszonych izdebkach, mieszkał starzec ośmiędziesiątletni, znosząc bez szemrania, z uśmiechem dobrodusznym niedostatek, na który go wystawiło wygnanie.

Odźwierny wskazał im ręką schody i dodał że drzwi były na prawo.

Zadzwonili do nich. Krok powolny dał się słyszeć, i staruszek w spencerze, zgarbiony w butach fianelowych na nogach, z tabakierką w rękę przyszedł im otworzyć.

Prosili go aby ich oznajmił panu kasztelanowi.

Przedpokoik był ciasny, brudnawy, zastawiony różnemi nieposprzątanemi przyrządami, szczot-

kami, garnuszkami, dzbankami, fiaskami, wisiały w nim nawet ścierki. Powietrze było ciężkie—i woń jakichś leków załatywała.

Przygnębiona staruszka w okularach, uboga odziana, przesunęła się i znikła.

Służący, który chodził z biletami powrócił wprędce, grzecznie, głosem cichym, prosząc ich do saloniku—i przepraszając że poczekać muszą, bo pan kasztelan jeszcze nie był ubrany i chciał się nieco ogarnąć.

Kapitan Arnold zaklął sługę aby nie fątygując się, był łaskaw przyjąć ich w sypialnym pokoju—lecz staruszek potrząsnął głową.

Weszli do przyciemnionego saloniku. Kasztelan mieszkał już w tym domu od lat kilkadziesiąt, był więc jakby w domu. Zgromadziły się zwolna około niego pamiątki, rodzinne portrety, miniatury, widoki miejsc opuszczonych. Nie było żadnego znaku starania o wygodę, o elegancję. Meble stare, spłowiałe—jeden fotel duży z podnóżkiem. Trochę książek leżało na stoliku, a szafeczka obok pełna ich była.

Okna entresolu wychodziły na podwórko spokojne, w którym ocalała cudem akacja się zieleńiła i kilka jej gałęzi zaglądały do okna.

W sąsiedniej sypialni słychać było głosy ciche i ruchy dające się domyślać, że stary kasztelan gotował się wyjść do gości.

Służący otworzył po chwili drzwi ostrożnie,

i pod rękę wprowadził z trudnością stąpającego starca, który się na lasce opierał.

Pomimo wieku podeszłego był to piękny jeszcze mężczyzna. Srebrny, lśniący, długi włos spadał mu na ramiona, wysokie, obnażone, gładkie czoło, nadawały twarzy coś monumentalnego, jak kopuła nad świątynią. Z pod siwych dużych brwi patrzyło oczów dwoje niebieskich, łagodnych razem i rozumnych. Rysy twarzy nieco starte latami, regularne były jeszcze i wyraziste. Usta osobliwie miały wyraz dobroci pomieszanej z odrobiną ironii jakiejś. Marszczki i fałdy, jakby poszanować chciały piękne to oblicze, układały się w klasyczne zarysy, czyniąc z niego niby marmurowe popiersie przypominające Senekę.

Twarz, mimo cierpienia, które ją czasem w drżenie wprowadzało, spokojną była i niezachmurzoną. Trzymał się a raczej usiłował stać prosto, gdyż chód zmuszał go pochylać na piersi głowę. Ubrany czysto, ale ubogo, w szarym surducie długim, z chustką białą grubo zawiązaną na szyi—podobnym był ze stroju i postawy do portretów XVIII wieku.

Służący usadowił go w fotelu. Kasztelan syknął trochę, odrzucił laskę, nogi wyciągnął, i rękę podnosząc—odezwał się:

— Witam panów moich! Darujecie — niedowidzę. Któryż kapitan Arnold?



Przystąpili bliżej, starzec zakrywszy się od światła, począł się im przypatrywać.

— Pan Małdrzyk!—rzekł — bardzo mi miło! Niegdyś, niegdys, *in illo tempore*, rodziców jego przypominam sobie. Siadajcież, proszę. Siadajcie. Niebardo tu u mnie przestronno i wygodnie, ziółka słyhać, któremi mnie doktor poi. O! ci doktorowie! Mało o nich Molière pisał.

Śmiał się staruszek i zwrócił ku obok siedzącemu Małdrzykowi.

— No i was tu przypędziło! *Socios dolorum* mamy dosyć. Słyszę żeś tam acan dobrodziej córeczkę porzucił. Mój drogi panie—ja też całą rodzinę—i z niej jedną tylko córkę widziałem, i jednego wnuka. Bóg tak chciał! wola Jego niech będzie błogosławiona.

Słyszając, że się rozmowa poczyna o sprawach, których niedelikatnie może było—obcemu być powiernikiem, kapitan wstał.

— Ja pana kasztelana pożegnam—rzekł z uszanowaniem zbliżając się aby go pocałować w ramię—mam tu interesik w sąsiedztwie, wrócę za chwilę.

Nie wstrzymywano go—zostali sami. Kasztelan przysunął się bliżej jeszcze do Małdrzyka, i ujął go za rękę.

— Mój mości dobrodzieju—rzekł—mam zlecenie do niego od przyjaznego mu marszałka L.

Pocziwy to człowiek, a w tych niepocziwych czasach, rzecz rzadka.

Historję acana dobrodzieja znam *praeter propter*, nie potrzebujesz sobie serca krwawić, potwarzając mi ją. Są źli ludziska—ale i dobrzy.

Widać że tam jednak opinia publiczna stronę acana dobrodzieja wzięść musiała, że ich sumienie ruszyło.

Naprzód donosi Marszałek, iż córeczka jego, delikatna, ale zdrowiu jej nie zagraża. Uczy się bardzo pilnie, roztropna nad wiek. Chwałą ją bardzo.

Westchnął kasztelan, dzieci czy wnuki własne na myśl mu przyszły i łzę, która się mu z powiek wykradała, otarł prędko.

— Oprócz tego marszałek mi przesyła... drogą pewną, obawiał się wprost do pana pisać i słać—bo oni się tam wszystkiego boją — pewną kwotę, którą mu się wydobyć jeszcze udało, tytułem ruchomości spieniężonych.

Małdrzyk lekkiego okrzyku nie mógł powstrzymać i uściśnął rękę kasztelana.

— Sumka ta—mówił starzec—jutro lub pojutrze będzie do dyspozycyi pańskiej. Jest tego trzy tysiące rubli... niewiele — ale— mój Boże—zawsze to coś znaczy. Jest za co ręce zacząć.

Małdrzyk dziękował uradowany.

— Cóż acindziej porabiasz?—pytał stary.

— Musiałem szukać pracy... niebardzo mi się wiodło. Żyło się jak mogło—rzekł Floryan.

— Tak, tak, nasze poczciwe polskie wytrzymałe natury—podchwycił kasztelan— z prapradziadów zahartowane, wytrzymują i zbytek, umieją i ubóstwo znieść. Krew ta nasza nawykła była dawniej do obozowego życia, w którym kaszę często ze szwedami trzeba było jeść, pod gołem niebem na mrozie sypiać — a potem naraz wśród uczt i luszyków spędzić nie śpiąc tygodnie. Przydało się nam to, że się dziadowie w krwi i przeręblach kąpali.

Tu roześmiał się.

— Nie patrzaj tylko acindziej na moje nogi obrzękłe, które się zdają kłam zadawać temu co mówię. To także spadek po przeszłości, bo ja wi-na węgierskiego nie pijałem.

Pytał potem starzec troskliwie Małdrzyka o życie, o znajomych i stosunki.

— Nie stróż acindziej od swoich, i w tej biedzie kupą się trzymać potrzeba. Swój swójego rychlej zrozumie i pocieszy. Między francuzami, choć i to dobre ludziska, snadniej się zabląkać.

Stary sługa w spencerze wszedł w tej chwili niosąc na talerzu szklanekę, łyżkę i proszek.

— Widzicie go — śmiejąc się rzekł kasztelan — stara dokuka, pokoju mi nie daje. Myślałem że przy gościu o proszkach zapomni. Nie.

— A kiedy doktor Gałęzowski kazał.

— Dawaj już, dawaj—rzekł kasztelan.—Doktor Gałęzowski powaga wielka, dzieci i starców dobroczyńca. Słuchać go potrzeba.

Skrzywił się i splunął wypijając proszek— a tuż i kapitan Arnold zjawił się z powrotem.

Z twarzy Floryana mógł poznać że dobre, pocieszające wiadomości otrzymał, bo był Małdrzyk przez całe życie jak przezroczyście naczynie, w którem płyn i jego barwę natychmiast się postrzega, skoro jest nalaną.

Nie mówili już więcej o osobistych sprawach. Kasztelan, który lubił nowych ludzi, i odgadywał ich łatwo, opowiadał o sobie i zapytywał Małdrzyka o niego. Widać było z toku rozmowy, że starzec coraz go lepiej poznawał i bystrzej odsłaniał strony jeszcze zakryte jego charakteru.

Wstali wreszcie się żegnać. Staruszek długo zatrzymał w swej dłoni rękę Floryana, i patrzył mu pilnie w oczy, badając osłabłym swym wzrokiem fizyognomię.

— Ponieważ—rzekł przy pożegnaniu— zbliżyły nas i zapoznały okoliczności, nie zapominajże acindziej o mnie. Proszę bardzo. Prawda że tu się ze mną zabawić trudno, że smutno może patrzeć na niedomagającego i stęskającego starca—ale to miłosierny uczynek, przyjść do niego



i przynieść ze sobą trochę życia, a w zamian trochę dobrych starych wynieść wspomnień.

Pożegnali się bardzo czule, a stary w spencerku i flanelowych chodakach, z tabakierką w ręku, przeprowadził ich do drzwi, u których już wchodzącego spotkali Tatianowicza, który codzień tu z anegdotkami, emigracyjnymi ploteczkami i swojemi prorocत्वami w kieszeni, przychodził.

Floryan u wyjścia z kamienicy z radości wielkiej uściskał kapitana. Pierwszą myślą jego było natychmiast korzystać z przyływu grosza i Arnolda ze sobą prosić na sute śniadanie.

Z tego co mu powiedział kasztelan, z przesyłki pieniężnej, wyciągnął po swojemu wcale inne niż należało wnioski. Byłto według niego dowód, że Jordan niezręcznie się wziął do rzeczy, że Kosuccy nie tak źli byli jak on głosił, że mógł śmiało więcej sobie pozwolić, bo mu pieniądze, jak teraz, przysyłać będą.

Dalszym a natychmiastowym wnioskiem było, porzucić tę głupią robotę, odżyć swobodniej, za przecierpiane dni użyć nieco wczasu.

Kapitan Arnold, któremu się z tych myśli nie tłómaczył, zaproszenie na śniadanie znalazł w swoim miejscu i przyjął je.

— Dziś jeszcze—dodał Floryan—napiszę do Klesza, po co się tam męczyć w Tours, niech powraca do mnie—podzielę z nim co mam.

Kapitan skinął głową nie odpowiadając na to, lecz domyślał się, że Jordan z trudnością da się od roboty oderwać i inaczej się zapatrywać będzie na przyszłość.

Śniadanie oblane dobrem winem, w lepszy jeszcze humor wprawiło Małdrzyka, który się odrodził. Innym był człowiekiem, około dziesięciu tysięcy franków, wedle ówczesnego kursu, spodziewał się mieć w kieszeni, zdawało się to niewyczerpanem.

— Niech djabli porwą Duranda z jego fabryką i rysunkami — mówił w duchu powracając do domu. — Dziś lub jutro go pożegnam, odpocznę.

Powróciwszy do domu, gdy wszedł w kapeluszu na ucho, z cygarem w ustach do pokoju pani Perron, wdowa spojrzawszy nań, posądziła go o podchmielenie.

W istocie upojony był, ale nie winem, tylko powrotem nadziei lepszego bytu, która uwalniała od pracy.

— Gdzieżeś pan był na śniadaniu? — zapytała szydersko.

— Ja? obchodziłem uroczystość wielką, moja droga Adelo — zawołał biorąc ją za rączkę śmiało Florek. — Ludzi co mi zagrabili majątek, ruszyło sumienie — przysyłają mi tymczasem... kilka tysięcy franków.

Perron, która trochę była pobladła, odetchnęła cyfrę posłyszawszy.

— Winszuję—rzekła—ale kilka tysięcy franków! *ce n'est pas le bout du monde!*

— Tak, tylko sędzę że to jest początek!—odparł rażno pan Floryan.

— I cóż myślisz pan zrobić z temi frankami?—zapytała wdowa.

— Co? to zabawne pytanie!—roześmiał się Florek.— Będę na ich łonie odpoczywał, Durandowi wypowiem robotę.

— A potem? gdy się franki te zjedzą?—mówiła Perron.

— Mam nadzieję, że ich sukcesorowie nadejdą—rzekł rozochocony Małdrzyk.

Perron pomyślała sobie z szatańską przebiegłością, że wszystko to może jej projektom posłużyć. Nie czyniła mu żadnych uwag, nie sprzeciwiała się. Dla niej jasnym było że straci ła two i prędko, że roboty nie znajdzie tak rychło i że może być na jej łasce.

— Wszystko to, doskonałe, mój miły lokatorze—dodała wdzięcząc się.—Rób co chcesz, ale mi daj słowo, że mieszkania nie opuścisz i nie zmienisz.

Będzie ci tu dobrze.

Floryan o tem nie myślał wcale—i przyrzekł chętnie. Wdowa tego dnia była dlań jeszcze przystępniejsza i łaskawsza niż kiedy.

Siadł pisać zaraz do Jordana, gdyż w istocie chciał się z nim podzielić swoim dostatkiem. List

był strzelisty, młodzieńczy, wesół—naglący do powrotu. Po napisaniu go, Florek odesłał rysunki, p. Durand przepaszając go że dla słabości oczów dalszych się podjąć nie może. Potem swobodny wieczorem pobiegł do cyrku.

Przygotowywano się do wielkiego nowego, po raz pierwszy odegrać się mającego widowiska, w którym całe siły cyrku zużytkowane być miały. Z przepychem niezmiernym przedstawić miano jakąś fantazyę arabską, jakiś pochód zwycięzki, na którego powodzenie i powtarzanie p. Richard rachował. Grała w nim najgłówniejszą rolę miss Jenny, do której teraz przystąpić prawie nie było podobna. Dała tylko znak ręką Floryanowi, że go zobaczyła, pozdrowiła przyjaźnie i poszła stroić się i malować.

Micio popychany i niebardzo wdzięcznie przyjmowany za kulisami, kręcił się tu uparcie. Spotkali się z nim.

— Co nowego?—zapytał de Lada.

— Nic, oprócz że mi z kraju nadeszły pieniądze — i że spodziewam się być trochę swobodniejszym.

Micio powinszował.

— Zagrajcież na giełdzie mając fundusz po temu!—zawołał—ja was wtajemniczę! Możecie się najłatwiej dorobić.



Floryan nie odpowiedział nic—lecz myśl ta jak błyskawica przeszliżnęła się po jego głowie.

— Któż wie?—rzekł w duchu—zobaczymy.

---

Prędzej niż się spodziewał Floryan nadeszła odpowiedź Jordana, ale też inna niż ją sobie mieć życzył.

List był długi, napół żartobliwy, wpół poważny.

— „Winszuję ci—pisał Klesz—winszuję i z osłupienia wyjść nie mogę nad tym cudem. Przy pisuję go nie sumieniu — ale opinii, od której chłosty trzeba się było umieć czem zasłonić.

Pamiętaj tylko, zaklinam cię. że cuda się nie powtarzają, i że daleko jest łatwiej w Paryżu sto stracić niż dziesięć zarobić.

Nazwij mnie, jeżeli chcesz despotą—nazwij gorszem czemś jeszcze.. „bij ale słuchaj“.

Pieniądze obrócić na kupienie renty, nie ruszaj ich.

Z Durandem się nie rozstawaj—zaklinam. Francuz gdy zobaczy że masz już trochę grosza, da ci lepsze warunki. Raz straciwszy stałe zajęcie, nie znajdziesz go łatwo, gdy ci go będzie potrzeba, nie dostaniesz może całkiem.

Za cud to i opiekę Bożą liczyłem że ci ry-

sunek nie męczący mógł dać kawałek chleba. To się jednemu na tysiąc nie trafia.

Nie porzucaj Duranda, ale jeśli chcesz—porzuć panią Perron, przeciwko temu nie mam nic. Weź mieszkanie bliżej fabryki.

Florku, na dziecięcia twego pamięć i miłość zaklinam cię—nie daj sobie temi kilkoma tysiącami głowy zawrócić. Nie zbijaj się z drogi.

Co do mnie! Miłość moja dla ciebie dawno by mnie z tego cichego, wesołego, pocziwego Tours—przypędziła na łono i przyjaźni... radbym był, jak w Lasocinie, leżeć z cygarem w ustach na łóżku, nieubrany i marzyć o niebieskich migdałach, o złotych rodzynekach, o purpurowych figach—ale sumienie nie puszcza.

Ciężarem tobie być nie mogę, i posłuchaj!

Ciebie ukarał Pan Bóg, choć niewiele grzeszyłeś—ale mnie tem wygnaniem wyświadczył największą łaskę. Z próżniaka, który darł Montaign'a, i pod pozorem filozofii ziewał i nudził się lub szydził z tego czego nie rozumiał—staję się powoli porządnym człowiekiem—a, co dziwniej, ludzie, którzy zwykle poznają się tylko na nieporządnym gdy ci porządnie baki im świecą—ludzie zaczynają znajdować, że ja mogę się na coś przydać na świecie.

Zaczynałem w Paryżu od prostego zecera i między moimi konfratrami byłem ostatnim. Miłość własna cierpiała okrutnie. Musiałem dokto-

rat chować głęboko, aby mę nie robić wstydu. Tu w Tours, choć zakład moich Mamów wcale nielada—przecież ludzi może mniej, albo są po-  
śledniejszego gatunku—awansowałem na *metteur en pages*. Zachorował korektor łaciny, a tu się dużo i łaciny drukuje dla księży—skromnie ofiarowałem usługi moje. Przyjęto je i zdumiono się, gdy cytate grecką, przypadkiem się znajdującą w tekście łacińskim, skorygowałem ze znajomością rzeczy.

Podrosłem zaraz w opinii.

Tymczasem przyszła do druku, istny wypadek, mała rozprawka do stopnia doktora filozofii — dano mi jej korektę, nie wytrzymałem i poprawiłem w niej na marginesie błąd stylu, motywując korektę.

O próżności ludzka!—tyś moją rękę popchnęła. Nazajutrz hałas wielki. Autor przychodzi do mnie, stając w obronie swojego błędu, dowodzę mu, że się omylił. Skromny i uczciwy człek, przekonany, upokorzony, przeprasza, głosi że drukarnia ma między robotnikami znakomitego filologa!

Rosnę, powiadam ci, jak na drożdżach. Mamy wołają mnie do siebie i... mnie com zawsze stał u drzwi, proszą siedzieć.

Zląkłem się żeby to nie było zwiastunem — odprawy.

Tymczasem, wcale przeciwnie.

Zmuszony opowiadał im dzieje! mojego próżnowania i encyklopedycznych polowań na niepoścignioną zwierzynę — prawdy. Mamy zaczynają mi się dziwić i szanować—awansują mnie na korektora, a raczej rewizora korekt w dziełach uczonych.

Myślisz że koniec na tem?

Gdzie zaś! Gdy się bieda na człowieka lać zacznie, to jak z cebra, a czasem gdy mu się wiedzie—to też (czas jakiś)—fortuna sypie ziarna złota, aby mu odebrać rozum.

Była potrzeba pilna zredagowania kompilacyi pewnej, do której trochę rupieci i łachmanów starych użyć należało. Kazano mi spróbować ażali tego nie wyłatał.

Wyłatałem im to... śmiejąc się— bez smaku do rzeczy—ale z zuchwałą erudycją i szalonym pathosem. Dla francuzów zprosta pisać nie można, pieprzyć, solić, podlewać trzeba musztardą. Dogodziłem smakowi. Zapłacono mi moją elukubrację jakby istotnie coś była warta—i—słowo ci daję—zaczynam tu być sławnym człowiekiem. Nazywają mnie — *le savant polonais*. Że jednak każdy medal ma odwrotną stronę—a znajduję że łaciny i teologii na prostego włóczęgę w tobołach mam zawiele, posądzać mnie zaczęto że jestem wywłoką i że bodaj kędyś nie byłem benedyktyнем a sukienkę rzuciwszy, jak oni mówią, w pokrzywy—poszedłem w świat grzeszyć.



To mi w ich oczach szkodzi, ale spodziewam się przekonać ich że się mylą.

Tymczasem — zamiast co jabym miał jechać do ciebie zaproszony — mógłbym śmiało nawet zaprosić p. Madrzyka tu i dać mu wcale dobrego wina, rybę, mięso, sałatę, deser, zapłacić za obu i nie wyczerpać moich kolosalnych dochodów.

Rozumiesz to dobrze, że gdy takiemu jak ja trutniowi zdarzyła się taka gratka, — gdy raz wszedł na tę szosowaną i wysadzaną drogę uczciwą — nazwałby go czterma literami gdyby z niej dla fantazyi schodził.

Nie poznalbyś tego Klesza dzisiejszego — porównując go do Lasocińskiego w oficynie. Tamto był łajdaczyna, próżniak, niezdara — dla którego największą przyjemnością bywało leżeć brzuchem do góry i strzelać bąki, któremi pułdłował; dziś twój Jordan, spowaźniał, zaczyna łysieć i może nabrać fizyognomii stanowi swemu uczonego diletanta właściwej.

Lecz dość, *pro domo sua*, — mój Florku. mój drogi — nie rzucaj pracy — nałamuj się do niej. Zaklinam cię. Uciekaj od Ew z kwaśnemi jabłkami, choćby ci się pierwszy ich kąsek słodkim wydawał. Oskoma nieuchronna. Zamiast ucieszyć się szczęściem twojem — słowo ci daję — zgryzłem się niem, boję się go.

Pisz proszę, szczerze, uspokój twego starego wiernego sługę“.

Nie możemy zaręczyć czy pan Floryan list cały przeczytał z uwagą. Rzucił nań okiem, przebiegł go, pochwycił główne fakty, ruszył ramionami i zakończył: Zawsze niepoprawiony dziwak i marzyciel.

Powodzenie Jordana cieszyło go o tyle, że mógł być o niego spokojnym, co do siebie — nieodwołalnie postanowił zrzucić brzemię.

Drugiego dnia rano pojechał do cyrku, po przedstawieniu, które nadzwyczaj wielkie miało powodzenie. Cały *sport* paryzki z wielkiego świata znajdował się na niem. Richard przewidywał że i to widowisko, i inne w podobnym rodzaju, które już projektował, zapowiadały we Francyi i Anglii, dokąd chciał zrobić wycieczkę, olbrzymie dochody. Potrzeba mu było pomocnika, którymby się mógł wyręczyć. Zrujnowany pan polski obudzał w nim zaufanie.

P. Richard miał słabość dla ludzi—dystyngowanych.

On—a dla niego miss Jenny, starała się ująć Floryana. Nazajutrz amazonka zabrała go do siebie na śniadanie.

Apartament, który zajmowała przy Polach Elizejskich, niedaleko cyrku, zdziwił bardzo Floryana — niesłychaną elegancją i prawie przepychem—na który, najwyższa nawet płaca i benefisa amazonki cyrkowej, z trudnością starczyć mogły.

Apartament był wprawdzie szczupły i znajdował się w małym domku, który miss Jenny sama jedna zdawała się zajmować—lecz było to cacko prawdziwie książęce.

Wszystko co na przepych paryzki się składa—własne czy pożyczone—znajdowało się w wykwintnie i z pewną oryginalnością wystrojonych pokojach. Salonik był cudnie przybrany kwiatami, dywanami, bronzami i fraszek kosztownych tysiącem, jadalnia cała w szafach rzeźbionych. Lokaj w liberyi posługiwał. Służba dość liczna się kręciła. Amazonka tu wyglądała jeśli nie na wielką panią (tak niedoświadczony Florek ją nazwał w duchu)—to na wielką lorekę, nawykłą przyjmować książąt i amerykańskich bogaczy.

Małdrzyk, który przybył jeszcze czując się niemal wielkim panem—zmałał nagle i jego kilka tysięcy franków stopniały w wyobraźni posiadacza do nieznaczącej odrobiny.

Miss Jenny, w imię tej przyjaźni, którą sobie zamówiła u Florka—mówiła z nim okazując się praktyczną i życzliwą.

Małdrzyk wspomniął jej o tem, że coś otrzymał z kraju. Spytała wprost—wiele to było?

Musiął wyjąknąć sumę, o której posłyszawszy uśmiechnęła się.

— Ale to tak jak nie!— rzekła.—Nie powinno to pana wstrzymywać od ułożenia się z Richardem. On musi mu zapłacić dobrze. Taki —

*argent de poche*, nie zawadzi wam, lecz z niego nic zrobić niemożna.

Przyszło nawet do oznaczenia bliższych szczegółów umowy z Richardem. Miss Jenny obiecywała wcale znaczną pensję i widoki powiększenia jej.

— Nie wahaj się pan — rzekła. — Ktoś inny znaleźć się może, a jabym bardzo rada mieć u boku mego przyjaciela i opiekuna.

Była tak piękną, tak uprzejmą i przyjaźń ta tyle obiecywała, że Małdrzyk prawie się zgodził.

Wiedział, że krok który czynił był — co najmniej nierozważny. Wewnętrzny niepokój oznajmywał mu o tem, ale był już pod urokiem kobiety, która nawet daleko twardszego człowieka oczarować mogła.

Jakieś dziwne, łudzące szczęście spóźnione, choć może krótkie, ciągnęło go pokusą niezwykłą.

Miss Jenny, która dla innych umiała pewnie być trzpiotowatą, zalotną — dla niego czyniła się poważną, chłodną, rozumną, spragnioną stałego przywiązania — serca i t. d.

Po półgodzinnej cichej rozmowie, warunki które mu narzuciła były tak jak przyjęte, Małdrzyk szczęśliwy, a ona cicho tryumfująca.

Floryan, przewidując ze strony wszystkich swych przyjaciół opozycję zajadłą, z którąby



był musiał walczyć, a walka nie obiecywała mu zwycięstwa.

Jeden Micio de Lada dowiedział się o tem w cyrku, i, niemal zazdroszcząc Małdrzykowi, pobiegł z tem do niego. Za pierwszym słowem wyrzeczonem—Florek zamknął mu usta.

— Proszę was, do czasu o tajemnicę, mam powody moje.

Zwrócono się do innego przedmiotu. Małdrzyk teraz przypomniał sobie propozycję wtajemniczenia w grę giełdową. Zdawało mu się że mógł ryzykować coś tem śmieiej, iż zapewnione miał w cyrku, wcale dobrze opłacające się zajęcia, które wkrótce chciał objąć.

Micio pomocy nie odmawiał. Mieli nazajutrz zrobić wstępne kroki. P. de Lada znał giełdowych pośredników; zaręczał że doskonale rozumiał grę na bursie i miał najszcześniejsze instynkta. Florek, któremu się uśmiechało szczęście, liczył też na własne.

Rozstali się tak i gość odchodził już, gdy go pani Perron zobaczyła i na chwileczkę zaprosiła do siebie. Uszczęśliwiony Micio towarzyszył jej tem chętniej, że rad był korzystać u wdówki—z ostygnięcia jej dla Małdrzyka — bo, zdawało mu się, iż albo już ostygła lub niechybnie nastąpić to musi.

Po krótkim wstępie—wdowa z wielką ciekawością badać go zaczęła o Floryana.

— Pan z nim jesteś dobrze, przedemną z wielu rzeczami tai się, jak się domyślam. Jestem niepokojną, bo dobrze mu życzę.

Chociaż proszony o tajemnicę, i przyrzekłszy ją, p. de Lada uznał dla swoich interesów korzystnym zwierzenie się zupełne przed wdową. Zaklął ją tylko ażeby go nie zdradziła. Cyrk, stosunki w nim, przyjaźń z miss Jenny, przyjęcie obowiązku — wyśpiewał wszystko przed nią Micio. Wdowa rumieniła się, bladła, udawała śmiech, pogardę, lecz głos ją zdradzał. Skończyło się na tem, że potrafiła się zwyciężyć i wybadawszy gościa, odprawić go wesoło, uprzejmie, nie okazując co się działo w jej duszy.

Dopiero po wyjściu Micia, Perron rozplakała się — z gniewu, zadumała i poprzysięgła, że tej kuglarce nie da sobie odebrać człowieka, którego, jeśli nie kochała — to chciała mieć jako wymarzonego męża — wygodnego i przyzwoitego.

W takich warunkach nawet i miłość zbudzić się mogła.

Florek był teraz tak czynnym, tak latającym, roztargnionym, że nawet na obiad rzadko powracał. Tego dnia chciała go mieć koniecznie i wymogła przyrzeczenie, że się stawi przed szóstą

Do tej godziny miała dosyć czasu, aby ostygnąwszy rozważyć jak postąpić wypadało. Po-

trzebowała dowiedzieć się kroniki skandalicznej miss Jenny i stosunków cyrkowych. Jako paryżanka, wzrosła na tym bruku, którego znała wszystkie tajniki, komórki i zakątki—wiedziała gdzie szukać plotek, i gdy przed obiadem, wróciła do domu, była dostatecznie wyposażoną aby rozpocząć wyprawę przeciw amazonce.

Florek, wszedł o naznaczonej porze, wesół, strojny, bo pierwszym jego staraniem było oporządzenie się u Dusautoy—i niezmiernie grzeczny dla wdówki, może dla tego że—mu coraz była obojętniejszą.

Nie byli sami. Pani Perron umyślnie zaprosiła pannę Julię, przyjaciółkę swą, która przy obiedzie rolę pewną, wyuczoną, odegrać miała. P. Julia była bardzo brzydka, chociaż sama o sobie mawiała że jest — *piquante*. Była nią pod innym względem, gdyż dowcip miała ostry, kolący, zręczny i doświadczeniem starej panny do niezmiernej wprawy doprowadzony.

Ta trzecia osoba p. Floryanowi dnia tego była bardzo pożądaną, *tête à tête* wdową, nadtoby go męczyło i obowiązywało.

P. Julia rozpoczęła pierwszą rozmowę od opowiadania o swej p. Durand, nad której fantazyami się rozwodziła.

— Nie ma się czem bawić, biedna starucha—mówiła—więc, gdy tylko nie nazbyt się zmęczoną czuje, muszę z nią wieczorami latać po teatrach.

Nie powiem żebym sama nie lubiła, osobliwie gdy Scribego grają — ale czasem to męczy. Niedosyć na tem, moja Durand, rzecz nie do wiary, ma pasyę do cyrku.

— Do cyrku!—przerwała gospodyni.

— Zdziecinniała—mówiła dalej p. Julia spoglądając zukosa na jedzącego ze spuszczoną głową Floryana. — Rozumiem że w cyrku, sportymanów zajmują konie, złotą młodzież amazonki wreszcie dzieci łamane sztuki, ale taką moją Durand!..

— I jeździecie do cyrku? — pytała Perron unikając wejrzenia na siedzącego naprzeciw niej gościa.

— A! jeździmy, dopóki kiedyś nie wywieziemy z niego, jakiego zapalenia płuc—westchnęła panna Julia.

Nastąpiła mała pauza.

— Wątpię żeby cię to bardzo bawiło?—wtrąciła Perron.

— Przez samą grzeczność dla mojej poczciwej Durand—mówiła p. Julia—przez grzeczność dla niej muszę się unosić. Szczypie mnie i daje szturchańce obudzając mój uspiiony zapal.

Dwie kobiety śmiały się, Floryan milczał i słuchał. P. Julia po małym przestanku mówiła dalej.

— Winnam temu żeś sławną miss Jenny miała szczęście oglądać.



Słyszałaś jej historię?

Małdrzyk pilno nastawił ucha.

— Była to biedna dziewczynina, która skakała na linie i pokazywała gimnastyczne sztuki po małych miasteczkach. Jakiś stary dyrektor cyrku podobał ją sobie i, jak mówią, uwiódł gdy nie miała lat piętnastu. Ale jemu winna że z niej zrobił amazonkę dziś cudów dokazującą. Anglicy za nią przepadają i łaski jej opłacają ogromnemi sumami, a mówią że łaskawa jest dla sterlingów bardzo.

Poczęły się śmiać obie, Florek bladł.

— Widziałem tę miss Jenny — przerwał—i choć anglikiem nie jestem, zachwycenie pojmuję. Jest to naprzód bardzo piękna i młodziuchna jeszcze kobieta, na której ta przeszłość, o której pani mówi, i ta terażniejszość, o której ludzie tak niekorzystnie sądzą, nie pozostawiła śladu.

— A! a! podobała się panu!—wtrąciła Julia.

Małdrzyk głową potwierdził.

— Ale rozpocząłeś pan i nie kończysz—dodała gospodyni.—Masz pan co na jej obronę?

— To tylko, że jak na amazonkę i opuszczone dziecko—rzekł Floryan—jest wcale wykształconą i dystygowaną.

— Znasz ją pan?—podchwyciła Perron, której oczy się zaogniły.

— Mój znajomy, p. de Lada, zrobił mi zna-

jomosć z dyrektorem cyrku—mówił Florek spokojnie.—Poznałem też miss Jenny.

Dwie kobiety spojrzały na siebie—chłód z jakim się tłómaczył Florek, zamknął im usta.

— Zrobiła na panu wrażenie — wtrąciła wdowa.

— Znakomitej amazonki!—rzekł Małdrzyk.

P. Julia wybuchnęła śmiechem głośnym.

— Pan co lubisz konie, boś nieraz mówił o tem—rozpoczęła gospodyni—muisz naturalnie mieć pociąg do cyrku. Rozumiem to że piękne konie dla mężczyzny pasyą być mogą, tylko nie piękne amazonki.

— U nas — spuszczać oczy szepnęła p. Julia—używają one najgorszej sławy i wątpię ażeby ona uzurpowaną była.

Zmłczyła chwilę i półgłosem, zwróciwszy się do pani Perron, poczęła mówić jej tylko, ale tak aby z łatwością słyszaną być mogła.

— O tej miss Jenny powiadają—że jest tak samo kochanką numeru drugiego, jak pierwszego—a dodatkowo na zbytki jej, bo jest zbyt nica, ma łożyć sławny z fantazyji swych lord Dunby.

— Lord?—podchwycił Floryan.

— Dunby—powtórzyła p. Julia.—Oprócz tego są inni szcudrzy adoratorowie i niedziw, że jej hotelik przy polach Elizejskich ma być prześlicznem cackiem.

Spojrzała bystro na Małdrzyka, który siedział stężaly jakiś, blady, pozornie obojętny, w istocie boleśnie dotknięty.

Szczegóły, które p. Julia przytaczała tak się schodziły i zgadzały z tem co on sam widział i słyszał—a tyle odejmowały uroczej postaci, o której marzył i tak ją spychały nisko.

Gorzko mu się zrobiło.

Perron, która wrażenie to odgadła i była przekonaną, że cios zadany poskutkuje, uznała właściwem złagodzić je, i jak gdyby ją nużyła rozmowa—przerwała:

— A! dosyćże o tym cyrku! Moja Julko, żebyś też nie miała innego na deser przedmiotu.

Zagadnięta natychmiast zwróciła się do najświeższej historii kryminalnej, o której wszystkie dzienniki szeroko się rozpisywały. Trafem, biedny polak grał w niej rolę,—zdradzony przez kochankę czy żonę, bo to jeszcze było wątpliwem, ranił ją i sam sobie chciał odebrać życie. Uratowano go gdy się rzucił do Sekwany.

Floryan, który od kilku dni dzienników nie miał w rękę, począł dopytywać o szczegóły.

Wedle panny Julii kobieta miała być niewinną, cała wina spadała na zazdrośnika.

— Nie będę go bronił, bo sprawy jego nie znam—rzekł Małdrzyk—lecz. . dla biednych wygnańców, sprawiedliwość nawet powinna być względną. Tęsknota, osierocenie, wprawiają ich

często w obłąd, który więcej jest godzien politowania niż kary. Panie, coście nigdy nietylko nie doświadczały, ale nie myślały o tem co to jest przerzucenie człowieka na ziemię obcą, w świat nie swój, zepchnięcie go w obojętne tłumy—nie wiecie co ten stan zrodzić może.

Wymówił to tak smutnie przejęty bólem wewnętrznym, że trzpiotowata i złośliwa, ale najlepszego serca p. Julia uczuła się poruszoną.

— Tak—rzekła cicho—my nie wiemy co jest wygnanie i bodajbyśmy nigdy się o tem nie dowiedziały.

Florek westchnął.

— Człowiek wyrzucony z ziemi, na której rósł—dodał—jest jak przesadzone drzewo. Jeżeli nie usycha, rośnie krzywo, a do takiego słabego biedaka robactwo łatwo się czepia.

P. Perron spojrzała na przyjaciółkę, obiedwie poszanowały w człowieku, któremu się wyrwały te słowa—bolesć, o jakiej świadczyły. Gospodyni naląła mu wina, kieliszek z nim swój chcąc potrącić.

Małdrzyk uśmiechnął się smutnie.

— Zdrowie wygnańców—odezwała się p. Julia żartobliwie—ale niech nam kobiet nie zabijają.

Tak się skończył ten obiad, od którego Małdrzyk wstał zboląły, pomieszany i lękając się aby



się z tem nie wydał zbytecznie, natychmiast wdowę pożegnawszy—wyszedł.

---

Wszyscy, którzy znali p. Floryana i mniej więcej z nim na poufalszej żyli stopie—postrzegli wkrótce po opisanych wypadkach zmianę nową w jego postępowaniu. On, który był zwykle dosyć otwartym i nie miał tajemnic, zamknął się w sobie. Nie unikał ludzi, przeciwnie, widać było że nie życzył sobie aby go o dzikość i oddalenie się od nich posądzano; nastroczał się zarówno kapitanowi i Tatianowiczowi, bywał nawet u profesora Żelazewicza, odwiedzał kasztelana, pokazywał się w kościele *l'Assomption*, pisywał do Jordana—ale nikt nie wiedział ani co robił, ani co go głównie zajmowało, a w towarzystwie swoich ziomków był chłodny, niewielemówny, tajemniczy, nieodgadnięty.

Gdy go się dopytywano o położenie, interesa, zajęcie, zbywał dwuznacznymi, ogólnymi frazesami. Nie bywał nigdzie długo, zdawał się zajęty bardzo, ale czem, o tem nikt nie wiedział. Na bulwarach, czasem w okolicach ulicy Vivienne, widywano go razem z Miciem de Lada, z którym przyjaźń zdawała się bardzo ścisła i poufała. Od tego zaś Micia, nikt się niczego, nigdy, nie mógł dowiedzieć, bo swoich ziomków unikał, i nie bywał nigdzie oprócz pono u starego księcia Józefa

L., u którego niegdyś na zielonym stoliku zdobył pierwsze epolety.

Ubrany wykwitniej niż dawniej, odmłodzony, z poważną miną. Floryan dawał się widzieć na bulwarach prawie codzień, jadał w najdroższych restauracjach—lecz i tam nie bawił nigdy długo.

Na Polach Elizejskich, w lasku Bulońskim widywano go czasem samego na bardzo pięknym koniu, którego zmieniał często, lub w towarzystwie miss Jenny, a niekiedy anglików i amerykańców.

Ci co obrachowywali i badali sposób jego życia—wiedzieli, że znaczniejsza jego część była pokryta nieprzejrzaną zasłoną.

Jak ze wszystkimi tak samo p. Floryan obchodził się z panią Perron. Nie wynosił się od niej, było mu tam wygodnie, widywał gospodynię czasem parę razy na dzień—ale dawny z nią ponętały i coraz serdeczniejszy stosunek,—napróżd się zachwiał, potem widocznie ostygając począł. Nie chciała go zrywać p. Adela, owszem tem silniej stała przy zachowaniu go, z uporem i wytrwałością niewieścią, tolerowała wszystko, gniew tłumiła w sobie, a widziała jak ten człowiek zwolna się jej wyslizgał.

Śniadania w domu jadał bardzo rzadko, obiady również, w mieszkaniu nocował wprawdzie, ale przychodził późno, zmęczony, zasypiał na

dzień, a wstawszy uciekał zaraz z domu. Nigdy go tu prawie w ciągu dnia nie było.

P. Perron nie była szczęśliwszą od innych w dopytywaniu go co robi ze sobą—i ją zbywał tem że odpoczywa, że się rozrywa, że ma kilku przyjaciół. Przed nią jedną może przyznał się że rozpoczął małą grę na giełdzie, która mu się dosyć wiodła. Po razy kilka przynosił do domu dawał do przechowania pani Perron po kilka tysięcy franków. To zaufanie miłym jej było, zdawało się obiecującym, lecz zrobiwszy ją kasyerką, nie chciał uczynić powiernicą.

Cierpliwie, może cierpliwiej niżby jej temperament przypuścić dozwalał, znosiła to przebiegła francuzka. Chciała go wiać swą łagodnością i dobrocią. Był dla niej uprzejmym—ale roztrągnionym zawsze, zajęтым, spieszącym się i małomównym.

Kapitan Arnold rzadziej niż dawniej mógł go pochwycić, a w dłuższą rozmowę nie umiał go wciągnąć. Wymykał mu się. Spotkali się czasem. zaczynał zaraz o Jordanie, gdy Arnold zwracał rozmowę na niego samego, odpowiadał troszcząc się tylko o przyjaciela.

Taki tryb życia osobliwszy, którego połowa przeznaczoną była aby drugą zasłaniała, trwał niemal długi rok cały, bez żadnej zmiany wybitnej.

W ciągu niego tylko Florek pilnie na to uważał aby się od swych ziomek nie oddzielać, i na

wszystkich wspólnych uroczystościach w Montmorency i Paryżu, być zawsze przytomnym.

A że od nikogo nic nie potrzebował, nikogo o nic nie prosił, owszem chętnie do wszystkich małych składek należał, biedniejszym potroszę pomagał, nie miano mu nic do wyrzucenia.

Mówiono o nim poruszając ramionami—Małdzykowi się nieźle dzieje, przysyłają mu pieniądze z domu, umie się rządzić. Porządny człowiek.

Blżej nikt go nie znał i nie dochodził co tam w głębi tkwiło.

Zamiast zestarzeć, p. Floryan zdawał się odmładzać. Twarz wprawdzie bledsza może była, mniej świeża, ale pełniejsza, on sam utył nieco, nabrał ciała i siły. Jazda konna i ruch widocznie mu służyły. Dawniej już mówił wybornie po francuzku, bo komuż z lepiej wychowanych polaków język ten jest obcym?—teraz wprawił się tak że zdawał się łatwiej wyrażać po francuzku niż po polsku, a akcent i właściwości języka paryzkiego bruku przyswoił sobie całkowicie. Trudno go było na bulwarach odróżnić od rodowitych dzieci Lutecyi. Znał wszystkie znakomitości Paryża, przynajmniej z widzenia, począwszy od małego Thiersa i Plonplon'a, aż do Theresy.

Kwaciarka Jockey Clubu uśmiechając się przypinała mu bukiet co dnia.

Ktoby był jednak badał tę fizyognomię tężejącą i coraz odźwierciedlającą duszę, byłby może



na niej postrzegł jakieś ślady namiętnych wzruszeń, wielkiego naprzemiany podniecenia i buty i—ucisku a smutku.

Pani Perron, u której złożona była kasa może najlepiej mogła wytłómaczyć te zjawiska, bo niekiedy miewała aż do dwudziestu i trzydziestu tysięcy franków w kasie tej, a czasem ona się do dna wyczerpywała. Przyływ i odpływ był bardzo nierówny.

W końcu, roku po zwrotach wielu szczęścia, skończyło się na powrocie do pierwszego stanu—ale przez rok żyło się nie oszczędzając sobie na nic. Nawet na imieniny p. Perron, na świętą Adelę, przyniósł p. Floryan ładną bransoletę z napisem—co wdowę niezmiernie uszczęśliwiło.

Czekała cierpliwie, czekała patrząc w zwierciadło, widząc się jeszcze bardzo ładniuchną, dosyć świeżą, a nie mogąc tego utaić przed sobą, że gdzieś ukazywały się jakby przepowiednie marszczek—i—na przodzie trzeba było wyrwać z włosów kilka nitki srebrzystych.

Ale i on starzej!—mówiła sobie pocichu.—Cierpliwości.

*Tout vient à point, pour qui sait attendre!*

Z Jordanem korespondencya, nieprzerwana nigdy, podlegała także rozmaitym wpływom humoru i zajęć. Pisywał Florek częściej i rzadziej, w listach unikając szczegółów o sobie. Klesz uspokojony o wynoszenie się od p. Perron nie

nalegał, coraz mniej ją znajdując niebezpieczną.

On sam o sobie zawsze w ten sposób humorystyczny donosił—że mu się wcale nieźle działo.

Powodzenie to jednak, o którego szczegółach tylko do Arnolda pisywał, ograniczało się bardzo skromnemi rozmiarami—a zaspokajało Jordana, bo on niewiele wymagał. W jedzeniu i pićiu był niemal anachoretą. Nieraz ażeby mieć więcej czasu do przeczytania czegoś, nie szedł na obiad i jadł chleb z serem, popijając szklanką lekkiego wina—przy stoliku—a raczej przy łóżku.

Pracował bowiem, od czego się odzwyczaić nie mógł, najczęściej leżąc.

Wyborny klimat południa, doskonałe owoce Tureny, tanie wino, chleb zdrowy, tryb życia dosyć spokojny, czyniły go szczęśliwym niemal—także bodaj wypiękniał.

Troska o Florka, z powodu stron tajemniczych jego życia, samem trwaniem bez wybuchu, bez widomych następstw, znacznie się zmniejszyła.

Mówił sobie że—Florek się powoli ustatkuje.

W jego położeniu znacznej zmiany nie było, ani też o nią zbytnio się starał. Używano go do korekt, niekiedy dawano mu rękopisma do przerabiania, radzono się, a uczeni naczelnicy firmy, sami proprio motu—powiększoną pracę starali się wynagradzać. Oszczędny bardzo Jordan raz pierwszy w życiu, niewiedzieć jak w końcu roku

znalazł się posiadaczem małego kapitaliku. Stało się to rzeczywiście mimo woli jego, a było skutkiem tego że Jordan życiem się zastosowywał do obyczajów francuzów jednego z nim—stanu i położenia. We Francyi zaś nie ma najuboższego człowieka, któryby nie miał za zasadę, iż coś z dochodu rocznego musi oszczędzić. Biada temu, który zjada co zarobi—według pojęć francuzkich jest to już nędzarz i w istocie prędzej czy później—nędza go czeka.

Każdy wyrobnik stara się coś schować. Jordan żyjąc jak inni, oszczędził też sporą sumkę—ale zachował ją pomyślawszy, że jeśli nie on, to mniej opatrzny Florek potrzebować jej kiedy może.

Do marzeń pocziwego Klesza należało, zrobić wycieczkę do Paryża, niespodziankę Małdrzykowi. Chciał zbliśka wpatrzeć się w jego życie. Lecz robota u Mamów tak była zawsze pilna i tyle jej się gromadziło oczekującej na niego, że nawet czasu świąt, na kilka dni oderwać się nie mógł.

Płynął rok drugi, i miał się ku końcowi, a czwarty się zaczynał od wyjazdu ich z kraju. Teraz już zamiast Lasockiej pisała Monia sama, a listy jej wprawiały w osłupienie ojca. Po odebraniu każdego z nich, zamykał się niespokojny w domu—dostawał jakby gorączki, zasmucał się,

i trzeba było czasu i zabiegów tych co z nim żyli, aby go zwykłemu, dawnemu życiu przywrócić.

Dziewczę—o którego wychowaniu i rozwinięciu nie miał żadnego wyobrażenia ojciec—pod naciskiem jakiejś niedoli, sieroctwa, uczucia swojego osamotnienia i tęsknoty za ojcem, którego czuła pokrzywdzenie i nieszczęśliwe położenie—musiało, jak było widać z tych listów, nadzwyczaj umysłowo i sercowo urosnąć. Było coś niemal przerażającego w pismach jej, dojrzałością sądu, goryczą poglądów, energią naddziecinną. Piętnastoletnie dziewczę—zdawało się w nich dojrzałą, doświadczoną, zbolalą niewiastą. Z wielkim taktem donosić umiała ojcu tylko to co było niezbędnem by ją poznała i jej położenie, a zbytnio się nie dręczył tem. na co nie mógł pomódz.

Listy długie zdawały się dla niej być potrzebą serca—stanowiąc wątek jej życia, które z życiem ojca starała się związać. Były one niekiedy rodzajem dziennika wrażeń, spowiedzią, wołaniem ku opiekunowi temu, wyciągnięciem rąk ku niemu.

Na Kosuckich unikała skarg, któreby ojca rozjątrzyć mogły, choć z toku opowiadań jej o sobie widać było, że ją uważano i obchodzono się z nią jak z obcą, na łasce będącą sierotą. Niekiedy tylko malowała mu Lasocin, przypominała dawne czasy lepsze, donosiła nawet o starych drzewach, które ojciec lubił, gdy je burza obaliła.

Niepospolity dar opowiadania i pisania miał



Monia, choć na listy wcale się nie wysilała. Były one tak improwizowane, tak natchnione, jak prawdziwe listy być powinny. Kunsztu w nich nie znać było, ale mówiło uczucie z wdziękiem jakie mu dawała natura.

Pakiety tych listów, często zapewne na jakąś zręczność bezpieczną czekać musiały, nim je wyprowadzono na pocztę, z czego domyślać się było można iż pisać do ojca wzbraniano. Przychodziły rzadko, ale po kilka razem.

Część ich, gdy Jordan nalegał na to i błagał, Małdrzyk musiał mu posłać do przeczytania. Klesz był niemi tak zachwycony, iż odpowiadając na posyłkę przyjacielowi, rozpoczął od słów:

„ — Klęknij i podziękuj Bogu, że ci dał takie dziecko. Cud to jest. Chyba duch matki czuwał nad nią. To nie piętnastoletnia dziewczeczka — to kobieta niezmiernego rozumu, anielskiego serca. Florku — obrazić cię nie chcę, ale tyś takiego dziecka niewart, a Bóg ci je dał chyba aby ci twe nieznanne cnoty nagrodzić i cierpienie wygnania osłodzić.

Są w listach miejsca, którychby się nie zaparł żaden z naszych najznakomitszych pisarzy, a co za uczucie! co za wdzięk, jaka prawda ducha, który nie umie nawet wyobrazić sobie fałszu...“

Zdaje się że i na p. Floryanie listy Moni, coraz piękniejsze, coraz gorętszem uczuciem natchnione, wielkie czyniły wrażenie. Jakaśmy mó-

wili, zamykał się z niemi, obojętniał dla wszystkich, wpadał w jakąś melancholię, zdawał się sobie czynić wyrzuty.

W końcu tego drugiego roku, raz po odebraniu pakietu od Moni—w pierwszej chwili napisał do Jordana „Wiesz co, wyrzucam sobie żem to dziecko wydał na łup sieroctwu, a—kto wie—może obejściu się nielistościwemu, żem ją porzucił.

Czego się ona może tam spodziewać u Kosuczych? Waham się, boję się ją wyciągnąć z kraju—bo sam nie mam zapewnionej egzystencji, bo gdziebym ją tu mógł umieścić—ale... nieraz myślałem już—zawołać—niech przyjedzie!“.

Jordan nierychło na to odpowiedział. I on nie był pewny czy godziło się skazywać ją na tułactwo. „Czekaj—napisał potem do przyjaciela.—Jestto krok śmiały, ani ci go śmiem radzić ani odradzać. Trzeba by mieć dar wieszczy aby odgadnąć—co lepiej?“.

---

Pora była jesienna, wiatr z deszczem smagał szyby okien, niebo wieczorne okrywały chmury potargane, czarne, przesuwające się po jaśniejszem zielonawo-żółtem tle zachodu. W ulicach ludzie biegli z pośpiechem osłonięci parasolami, unikając rynien, z których woda strumieniami się lała i wypełniała rynsztoki. Gdzieniedzie fiakr

obryzgiwał przejeżdżając przechodniów tem błotem paryżkiem, które do żadnego innego nie jest podobne. Przez szyby zamglone sklepów świeciło ich wewnętrzne przedzierało się dziwne, płowe jakieś, nieczyste przybierając barwy.

Niekiedy przepełniony omnibus, lśniący od słoty, gdy pod latarniami się przesuwał, ciężko się włókł po bruku ze swemi latarkami—i naciśniętymi na stopniach przechodniami, szukającemi w nim przytułku od niepogody.

Zdawało się że ten deszcz, który już, z mami przestankami, lał od południa, wyludnił ulicę—rozpedził przechodniów—i pozamykał nawet sklepiki, z których wiele nawpół było drzwiami poosłanianych.

Zdala jednak od ulic, któremi płynie nigdy nieustające tu życie, słybać było ten głuchy, stłumiony gwar, jakby podziemny — oddech olbrzyma, który nigdy nieusypia. Przed teatrzykami przepełnionemi, bo w nich wielu szukało schronienia, paliły się lampy i przemykali ludzie co z nich żyć muszą. Z kawiarni, przed którymi stały namioty i stoliki wszystko się pousuwało do wnętrza, stołki tylko poprzewracane, stoliki ponachylane odpoczywały, korzystając ze słoty.

Obok hoteliku Marsyjskiego martwo było i pusto. Świeciło się w nim i przed nim, lecz w środku wszystko spoczywało. Odzwierny przed zwykłą godziną drzwi zarygłował i zabierał się z rodziną swą do spokojnego i niczem nie przerwane-

go zasiąść obiadu, gdy właśnie w chwili podania *pot au feu*, tego dnia reprezentowanego przez wonną zupę kapuścianą, fiaker boga za nogą jadący, zatrzymał się przed bramą. Człowiek wydobyl się z niego, i niezmiernie gwałtownie i natarczywie dzwonić zaczął. Odźwierny, mąż nie młody już, w chwilach wolnych od obowiązku coś nakształt krawca—oburzył się niesłychanie na sposób dzwonięcia, i—choć człowiek cywilizowany a zwykle dość wyszukanych dobierający frazesów w rozmowie—odezwał się z gniewem:

— *Animal! va!*

Tymczasem dzwonięcie nie ustawało, był to karylion niewytłómaczony. Portyerowi zdawało się że otwierając furtkę spełnił swój obowiązek, — a widząc że mimo to dzwonek nawołuje, wybiegł z gębą przekleństw pełną.

Chciał już je wylać na stojącego przed sobą jegomości, gdy ten zawołał rozkazująco:

— Wrota otworzyć, fiaker zajechać musi. Wiozę chorego rannego, nie wysiądzie sam z fiakra, trzeba go nieść na schody.

Portyer się uląkł.

— Chorego? rannego? Któż to jest?

— Wasz lokator, tn się wieść kazał. Hotel Marsylski, przecież się nie mylę. Polak jest. Co u licha. Jęczy tam leżąc—prędeż.

Miano otwierać wrota, gdy bałasem ściągnięta ze schodów, na których poręczy się spierała, p.



Perron poczęła pytać co to było—czego żądano.

Portyer wiedzący o poufalitych stosunkach polaka z panią domu, zadarł głowę do góry, złożył rękę w trąbkę i na cały głos zawołał:

— Nieszczęście. Przywożą p. Floryana ranionego!

Krzyk się dał słyszeć na schodach i stoczyła się raczej niż zbiegła, blada, z załamanemi rękami p. Perron.

Otwierano wrota. W hoteliku na raz ruszyło się, zawrzało, zakipiało, wszystka służba wybiegła na schody, na korytarze, niektórzy aż w podwórko. Obawiano się czy pożaru nie ma w domu.

Tymczasem fiakr powoli wsuwał się w rozwar- te wrota. Stała już zszedłszy aż na bruk pani Perron, aby co prędzej zobaczyć co się stało.

Człowiek, który fiakrowi towarzyszył, zwolna, ostrożnie, otworzył drzwiczki. Pani Adela wsunęła się cała do wnętrza.

— Na Boga, co się stało? panie Floryanie.

Słaby głos zachrypły odpowiedział po chwili.

— Nic, nic, przypadek, noga złamana, nie wiem, lecz ruszyć się nie mogę. Po doktora posłijcie. Sam na górę nie mogę.

Przy świetle latarki podanej zobaczyła gospodyni bardzo bladą twarz Floryana, który wyciągnięty był w fiakrze i z boleści usta zakąsywał.

Niezbyt nerwowa kobieta, o mało nie omdlała—straciła przytomność. Stan ten szczęściem

nie trwał nad małą chwilę, rozbudziła się cała jej energia natychmiast i już wydawała rozkazy.

Ludzie, którzy się zbiegli, z wielkimi ostrożnościami poczęli debywać Floryana z powozu, przygotowywać się do przeniesienia go na górę, chłopak pobiegł po lekarza najbliższego. Małdrzyk syczał z bólu tylko, ale ani słowo mu się nie wyrwało z ust gdy go nie bardzo zręcznie, powoli, dźwigano na górę. Pani Perron szła przy nim, podtrzymując głowę, pilnując aby już obandażowanej nogi nie potracono.

Nieczas było badać i pytać. Człowiek, który przywiózł Floryana, natychmiast wraz z fiakrem zniknął.

Złożono wreszcie chorego na łóżku. Osłabłym głosem pić poprosił.

— Jakże się to stało?—ośmieliła się spytać Perron—mój Boże! miałżeby to być pojedynek?

— Nie! — rzekł Floryan—przypadek bardzo zwyczajny. Koń... koń padł ze mną, przywalił i zgruchotał mi nogę.

— Koń? gdzie?

— Wracałem z przejażdżki, nie wiem, ośliznął się, nastraszył, nie uważałem, padł.

Perron przerwała pytaniem.

— Opatrzonoż nogę?

— Tak—odparł Florek, któremu ciężko mówić było—doktór mi ją obandażował naprędce, ale chciałem tu być tu... i kazałem się wieść.

Doktór Moulin, posłajcie po Moulin'a.

Posłano już po niego. Był to lekarz domowy, dawniej pono wojskowy i przy szpitalach, praktykujący, może więcej chirurg niż doktor, co się najszcześliwiej składało.

Perron tymczasem płacząc usiadła przy łóżku. Miała pocziwe, litościwe serce niewieście, a potem—Floryan, którego nawykła była niemal jak swą własność uważać, obchodził ją więcej niż każdy inny.

Drżała nad losem jaki jego i ją razem mogli spotkać, tem bardziej że Małdrzyk od niejakiego czasu nieszczęśliwym był w grze, wszystkie swe zapasy z kasy powybierał, był jej dłużnym sporo—i—p. Perron to położenie właśnie spodziewała się zużytkować, aby go do stanowczego kroku przymusić.

Miała największą nadzieję, najlepsze oznaki—i gdy się jej zdawało że stawała u celu upragnionego—los zachwiał całym gmachem, tak powoli i pracowicie budowanym.

Na zapytania o wypadku, o szczegółach—Floryan nie odpowiadał prawie, pogrążony był w sobie, osłabły. Osłupiałemi oczyma patrzył w sufit, a blade ręce jego chwilami ścisnęły się konwulsyjnie.

Doktór Moulin wpadł przestraszony, biegnąc wprost do łóżka.

— Co się stało!

Podnosił już koldrę, którą noga była osłonięta.

— Noga złamana, kości potrzaskane — rzekł głosem stłumionym, głowę ku niemu obracając Małdrzyk.—Koń padł ze mną i przygniótł mnie sobą.

— Opatrywano?—zapytał doktor, który już dobywał narzędzia i wołał o światło.

— Naprędcę... obandażowano...— zaledwie słów tych dokończywszy Floryan zemdłał. Peron przybiegła go cucić, ocierać i zaniosła się od płaczu.

Moulin wysłał po pomocnika. Znoszono wodę, światło, co było potrzeba do opatrzenia nogi, która choć obandażowana naprędcę—potrzebowała co najrychlejszego ratunku; bo przez drogę ucierpiała.

Nastąpiło złowrogie milczenie, syczeniem i krótkimi wykrzykami przerywane tylko. Małdrzyk często mniej cierpliwy na małe cierpienia, miał tę polską naturę, która czuje obowiązek męż-twa gdy boleść jest wielką. Mógł zemdleć, ale nie byłby krzyknął, bo się wstydził jęku. Syczał, rękami tylko ściskając co napadł.

Opatrując kość i ranę, bo ciało było też zgniecione i poszarpane, doktor Moulin mocno się zmarszczył. Złamanie było kilkakrotne—obie kości nogi strzaskane—prawdopodobieństwo amputacyi na myśl przychodziło. Jednakże wprawny lekarz począł od tego co było najpilniejsze, co



niezbędne, i nogę zamknął, obłożył, ścisnął, próbując naprzód czy nie uda się uniknąć okaleczenia.

Wszystko trwało długo i parę razy musiano trzeźwić osłabłego, który wytrwale milczał.

— Trzeba posłać po *garde malade*, po siostrę Felicję, którą polecam,—dokończywszy opatrywania, ocierając pot z czoła odezwał się Moulin.

— Przepraszam — odpowiedziała Perron, która na chwilę nie chciała od łóżka odstąpić—ja się tu nikomu nie dam zastąpić.

— Pani? pani? — spytał z niedowierzaniem doktor—ale to nie kilka godzin, nie jedną noc tu spędzić będzie potrzeba.

— Choćby kilka miesięcy,—stanowczo odparła gospodyni. Siostra Felicja nie potrafi więcej odemnie. Pan mi powiesz co mam czynić.

— Pani nie wytrwasz!—rzekł Moulin.

— Proszę być spokojnym, gdyby mnie siły opuściły, naówczas poproszę siostry Felicji.

Moulin spojrział na nią i nie mówił już nic.

Poprosił o szklankę wina. Schyliwszy się ku p. Perron począł szybko opowiadać jej co czynić miała, oznajmił silną gorączkę i kazał się przywołać, jeśliby uznano tego potrzebę.

Choremu dano pić... milczał... Część znaczniejsza wieczoru upłynęła—noc się zbliżała, gdy po zamieszaniu jakie panowało czas jakiś w hoteliku, nastąpiła cisza głucha. Ludzie zmuszeni chodzić jeszcze stąpali na palcach.

Pani Perron siedziała w głowach, sparta na rękę. Łzy jej już były oschły—gorączka przepowiedziana Floryanowi, zdawała się wprzód jeszcze ją ogarniać. Przebiegały dreszcze, wstrząsała się oczy gorzały blaskiem niezwykłym, spalone usta zwilżała ciągle wodą. Jedna jej ręka prawie nieustannie chwyciła dłoń Floryana, który leżał nieruchomy i milezący, jakby w pół senny

Przybywający nad ranem doktor Moulin, zastał chorego bezprzytomnym, a stróżującą przy nim rozgorączkowaną też i przerażoną.

Upłynęło dni kilka, w ciągu których doktor Moulin, sprowadzony do pomocy lekarz drugi, pomocnik felczer, czuwali ciągle nad chorym, ale pod okiem nieopuszczającej na chwilę łóża pani Perron. Widząc jej twarz noszącą na sobie ślady wyraźne gorączki, doktor chciał koniecznie kazać się jej położyć—energiczna kobieta potrząsnęła głową nie nawet nie odpowiadając. Nazajutrz zaraz opróżniła pokój przylegający do tego w którym leżał Floryan, otworzyła drzwi, i tam posłać sobie kazała, aby być na zawołanie.

Hotel zdała na łaskę i nieszczęście swej pomocnicy i portyera. Cała zajęła się chorym.

Z narady doktorów wypadło że bez odjęcia nogi obejść się może, jeżeli—rana nie przybierze niebezpiecznego charakteru, kości, jak utrzymywano, zrosnąć się mogły, choć noga nigdy nie obiecywała być prostą i taką jak była

— Kochany panie Moulin—rzekła drugiego dnia wieczorem gospodyni—proszę nie zważać na żadne wydatki. Niech kosztuje co chce, polak wyzdrowieć powinien i mieć nogę całą.

— Za nic nie ręczę—odparł doktor—oprócz że starań nie będę szczędził i zrobię co jest w ludzkiej i doktorskiej mocy. Dla pewności wezwę specjalistów z fakultetu, ale ich rady będą kosztować drogo.

— Zapłacę co każecie—powtarzała Perron.

Od pierwszego zaraz dnia, gdy cokolwiek oprzytomniała gospodyni, wydała rozkazy na dole.

— Nikogo nie przyjmować, ktoby się zgłosił do Floryana, nikomu nie mówić o przypadku.

Portyer miał polecenie — poprostu wyprasać—obojętnem:

— Nie ma w domu.

Zmiarkowała lub dowiedziała się od Floryana że o przypadku jego tak jak nikt nie wiedział.

Wchodziło to w jej przyszłe rachuby aby chorego odosobnić—aby go opanować wyłącznie. Listy, gdyby przyszły, sobie oddawać kazała.

Pierwszego dnia nikt się nie zgłaszał.

Małdrzyk, który w ciągu tych lat miał stałą posadę w cyrku a razem pełnił obowiązki przyjaciela przy miss Jenny, z którą był na przemiany bardzo dobrze i źle bardzo—w końcu poróżnił się był z Richardem, ostygł dla amazonki, przekonawszy się iż była istotą, w której sztuka zastę-

powąła we wszystkim naturę, zimną, wyrachowaną, obojętną zawsze a grającą uczucie jak w cyrku grała boginie. Tylko ta okoliczność, iż Małdrzyka, doskonałego i śmiałego jeźdźca, pilnego w pełnieniu obowiązków, które polubił—niełatwo było zastąpić—zmuszała dyrektora do utrzymania go na miejscu, Miss Jenny, której płochosć jej przewrotnosć wyrzucał, unikała go, widząc że oszukiwać nie może—ale i jej bywał potrzebnym. Cierpiano go więc. Małdrzyk mając ciągle spory i nieporozumienia do znoszenia, byłby porzucił swe miejsce, lecz ono, po stracie ostatka na giełdzie, dawało mu jedyne utrzymanie, a nawykł był do wygodnego życia. Przypadek jakiemu uległ Floryan gdy dzikiego konia w małym cyrku ujeźdżał—może był dyrektorowi i miss Jenny na rękę, pozwalając się im go pozbyć. Richard kazawszy opatrzeć, obandażować, odesłał do domu i natychmiast obejrzał się za zastępcą. Nikt nie zabołał nad biednym człowiekiem.

Nazajutrz nie dowiedziano się nawet o stan jego, trzeciego dnia dyrektor odesłał zaległość jakąś, dołączwszy do niej bilet tysiąco-frankowy. Było to jedyne pożegnanie jakiego się mógł spodziewać. Pani Perron odebrała pieniądze, rzuciła je do szufladki i użyła ich na kosztą kuryacji.

Oprócz osób w cyrku znajdujących się naów-



czas, których interesem było nie rozgłaszać o wypadku—i które z tego powodu zachowały o nim milczenie, nikt nie domyślał się co z Floryanem się stało.

Pani Perron nie chciała aby przyjaciele Małdrzyka dowiedzieli się o tem zawczasie, bo sama chciała mieć całą zasługę pielęgnowania go — i ocalenia. Prawda że na to nieżałowała, ani siebie, ani pieniędzy, lecz była też zazdrosną.

Systematycznie obmyślanem było to osamotnienie chorego. Pani Perron zapowiedziała służbie że kto słówko piśnie—zostanie natychmiast wydalony. Żadnego z polaków nie kazała nawet wpuszczać na schody, żadnemu nie o Floryanie nęd to powiedzieć nie było wolno, że nie ma go w domu. Ktoby zaś do niej się chciał udać z zapytaniem, mówić mu miano że pani Perron jest na prowincyi.

Blisko trzech dni trwała nadzwyczaj silna gorączka, która tak siły wyczerpała, iż Moulin zaczął się lękać czy chory wytrzyma dalsze cierpienia. Rana była zaogniona, bo kości wychodziły. Sondowanie było bolesne.

Floryan jak tylko do przytomności powrócił, odzyskał razem i swe mężtwo. Znosił cierpienie ze stoicką wytrwałością.

Symptomata zresztą ogólnego stanu zdrowia, po upływie pewnego czasu, były dosyć pomyslnie. Życie wracało i funkcje, które go utrzymywały.

Sily zaczęły też przybierać choć zwolna. Moulin rokował dobrze o zrastaniu się kości, ale zapowiadał że kuracya musi potrwać bardzo długo.

Pani Perron niemal temu rada była. Przez ten bowiem czas on należał do niej tylko, nie mógł widywać nikogo, a ona czuwała nad tem aby go nic nie dochodziło. Chciał Floryan donieść natychmiast Jordanowi o nieszczęściu swoim, a że sam pisać nie mógł, prosił swoją opiekunkę aby go wyręczyła. Perron oparła się temu.

— Po co pisać? na co go straszyć? Gotów wszystko porzuciwszy przylecieć tu zaraz, a mnie on i tobie więcej będzie zawadzać niż pomagać.

Ja tylko naówczas ręczę za wyzdrowienie, gdy sama się zajmować będę.

Później, gdy będziesz lepiej, doniesiemy mu o tem.

Małdrzyk nie śmiał się jej opierać, nadto jej był winien, aby naprzekór coś chciał czynić.

Widział jej poświęcenie, starania, bezsenności, troski, wydatki i serce jego przejęte było tem żywszą wdzięcznością dla niej, że nikt więcej nie troszczył się, nie dowiadywał nawet o niego.

Wprawdzie kapitan Arnold, Tatianowicz i inni znajomi, po kilkakroć, niespokojni napastowali portyera o wiadomości, ten ich zbywał tem że nic nie wie, i że polaka nie ma nigdy w domu. Arnold postępowaniem tem, za długo trwającym, zdziwiony, bo—jakeśmy mówili—Małdrzyk ziom-

ków nie unikał, napisał o tem w końcu do Klesza.

Lecz Klesz, długim ciągiem czasu który nie złego nie przyniósł, był niejako uspiiony i czujność jego nad Floryanem znacznie się zmniejszyła. Przekonanym był że jej nie potrzebował tak dalece, i że — choć może jego postępowanie nie było najprzykładniejszem i miało wiele stron ciemnych—nie zagrażało przyszłości.

Ufał w to że listy Moni zastąpią teraz wszelki nadzór i opiekę, utrzymując Małdrzyka w atmosferze uczuć zdrowych i w związku z przeszłością.

Na list Arnolda.—Klesz odpowiedział żartobliwie:

„Co się z moim kochanym Florkiem stało, nie dochodźmy zbytecznie. Poczciwe człeczko, ma swe słabostki, ale z niemi, jak zwierz który lenieje i brzydko naówczas wygląda — chowa się i kryje. Jestem pewny, że gdy starą szersę odzyszcze powróci nam i na wierzech wypłynie.

Gdyby się trochę wyzwolił z pazurków białych wdówki, radbym był, bo zawsze jej się jeszcze więcej boję niż innych fantazyj, na jakie zachorować może.

Stosunek jego przyjacielski z tą kobietą, choć ostygły, jak sędzę, trwa nazbyt długo. Może z tego urosnąć nałóg, a na starość, która dla niego i dla nas nadchodzi — nawyknięcie jest naj-

większem niebezpieczeństwem. Zastępuje ono natomiast i w innej formie, ma jej siłę“.

Pisząc to poczciwy Jordan, któż wie, myślał może o sobie.

Zdarzyło mu się bowiem że i on w Tours mieszkając—nabrał takiego nałogu serca.

W pierwszych dniach po przybyciu, szukając mieszkania w pobliżu swojego zakładu pp. Mame miał sobie wskazaną staruszkę, panią Jourdan, u której najął izdebkę na poddaszu. Rodzina tych Jourdanów składała się z dwojga staruszków, ruchliwej jejmości i nawpół sparaliżowanego jej męża. Oprócz tego mieli dwie córki, jedną młodą i piękną, zajętą lekcyami muzyki, drugą już około czterdziestki mającą, pomagającą i wyręczającą matkę.

P. Ewelina starsza była zapewne niegdyś piękną, widać że przeszła przez ciężkie życia próby, bo nosiła się czarno i była smutną. Małe usługi w domu ona pełniła i Jordan ciągle się z nią spotykał.

Nigdy w życiu, wyjąwszy gdy miał lat osiemnaście i nie czuł jak był brzydkim—Klesz nie marzył o miłości. Lata, w których się kocha przeszły do niego, ale ta próżnia, którą zostawia po sobie—władza nieużytkowana, pragnienie niezaspokojone—zostały w nim dotąd.

Jego skromność, dobroć, a razem rozum, statek i miłe obchodzenie się ze wszystkimi, zje-



dnąło mu przyjaźń serdeczną całej rodziny Jourdanów.

W godzinach wolnych, chodził z cygarem bawić starego inwalida. Nawzajem młodsza, muzykalna panienska, na lichym, starym klawikordziku, grała mu, do łez pobudzając, pieśni polskie, mazurki Dąbrowskiego i kolendy Bożego Narodzenia, których nuty dla niej dostał.

Staruszka czuwała nad wygodami lokatora, a p. Ewelina wyprzedzała ją w tem i czasem kwadransami całemi rozmawiać z nim lubiła— on z nią. Jak brat i siostra opowiadali sobie wszystko, zwierzali się, stali poufałemi, dobrimi przyjaciółmi. Że ona mu się wydawała ładną, to nie dziw, była nią jeszcze; dziwniejsze to że on dla niej nie tak był brzydkim, jak dla innych.

Zrodziło się z tych stosunków w ciągu paru lat, słodkie nawyknienie. Jordan i Jourdan... brzmiało tak jakoś podobnie że go czasem żartobliwie przezywano monsieur Jourdan junior. Wynosić się z tego poddasza ani myślał Klesz, choć później stałoby go było na lepsze mieszkanie.

P. Ewelina mówiła otwarcie, że gdyby go nie widywała—chybaby się zatęskniła za nim śmiertelnie.

Klesz rozumiał to dobrze że gdyby się ze zbytnią czułością dla tej Ewuni wydał, stałby się przez to śmiesznym. Obracał więc w żarty

swój sentyment, lecz zataić go przed sobą nie mógł.

Ona zaś—wcale się z nim nie kryła. Rodzice, którzy widzieli że w przeciągu tych lat dwóch humor i ochotę do życia odzyskała — radzi był lokatorowi.

Śmiałe dziewczę, kilka już razy pół żartem; powiedziało Jordanowi, że—powinienby się z nią ożenić.

— A jakbym pannę Ewelinę wziął za słowo, odpowiadał Klesz—dopiero byś zobaczyła, co to za brzydka rzecz mieć starego brudasza za męża.

— O! przepraszam! zmusiłabym go żeby brudasem nie był.

Żartowali tak sobie—lecz... nałóg codziennego widywania się, życia ze sobą—rósł co dnia.

P. Ewelina miała taką moc nad starym leniuchem, który najlepiej lubił siedzieć zgarbionym nad książkami, że mu pootwierane tomy zamykała i z siostrą i z sobą prowadziła na przechadzki.

Stosunek to był, jak widzimy, groźny bardzo dla Klesza, ale on sam dotąd nie przypuszczał aby inaczej mógł się skończyć, chyba trwając jakim był—do starości.

Kapitan Arnold, który w czasie świąt, odwiedzał siostrzeńca i widział jakie miejsce zajmował w rodzinie Jourdanów, potrząsał głową i mawiał.

— Tylko się nie ożeń, proszę cię, bo, choć doskonała dziewczyna—ale już, gdybyś miał wi-sieć, to jest brać... to przynajmniej młodą. Za kilka lat będzie babą.

Żeby kobiety nie starzały—dodawał kapitan, coby to za miłe były istoty!

Wszyscy przyjaciele Małdrzyka—znajomi—ludzie z którymi miał interesa, jedną formułą odprawiani dosyć długo, zaczęli być niespokojni.

Arnold zwierzył się Tatianowiczowi, że go sześć razy od drzwi się pozbyto, zawsze tem—nie ma w domu, a gdy się rozgniewany pytał: ale gdzie się u licha podziewa?—Nie wiem—odpowiedział odźwierny. Tatianowicz doniósł o tem kasztelanowi, a ten, że miał jakąś słabość do Małdrzyka, posłał od siebie po informację. I jego tak zbyto.

Zaczynało to być niepokojącym i — podejrzaniem.

Floryan ze swojej strony dopytywał pani Perron, czy kto do niego nie przychodził, czy nie było listów. Mówiła że nie dowiadywała się żywa dusza, a listy chowała i zapierała się że przychodziły.

Małdrzyka bolała ta obojętność ludzi—skarżył się na nią.

— A! ludzie—odpowiadała z goryczą Perron, udzie! Pan wierzysz przyjaź ni, sercom i stosun-

kom! Gdzie teraz u kogo serce? Każdy myśli o sobie.

— Przecież nie wy—mówił Floryan, wyciągając ku niej rękę.

— Ja! ja!—mrzczała gospoia.—To zupełnie co innego! Wiecie żem się do was od pierwszego dnia przywiązała i że wierną wam jestem. Prawda — są kobiety płóche, ale wówczas tylko gdy serce ich nie przemówi—a te raz uderzywszy wiernem zostaje, choćby je odpychano.

Małrzyk i w skutek choroby i czując ile jej był winien—a jak go wszyscy opuścili—przywiązywał się do swej opiekunki i karmicielki.

— Mój Boże—mawiał czasami—kiedy ja mój dług jej wypłacę, nie mówię już o długu wdzięczności, ale o tem co winienem jej z powodu choroby.

— Proszę o tem nie myśleć — odpowiadała dwuznacznie wdówka—gdy będziesz zdrów, może się to jednym słowem opłacić wszystko.

Floryan, który tego jednego słowa nigdy wprzód przypuścić nawet nie chciał—teraz wśród nocy bezsennych widząc ją czuwającą nad sobą, pełniącą posługi wszystkie, myślał już nieraz, że inaczej jak oddając się jej cały, nie potrafi wywdziękzyć.

W jego oczach wszystkie jej wady, niedostateczne wychowanie, pewna płóchość przynajmniej pozorna, obyczaje nieco gminne i rażące



czasem nieokrzesaniem, które się z pod powierzchownego poloru dobywało—wszystko to nikło przy anielskiem sercu!

Mógłże w swym wieku, przy ubóstwie, na wygnaniu, żądać czegoś lepszego nad związek z kochającą go kobietą, która oprócz tego, przynosiła mu niezależność.

Przesąd tylko szlachecki i wspomnienia przeszłości mogły go wstrzymywać. Pierwszy z nich osłabł pobytem we Francyi, a przeszłość—zacie-rała się milczeniem Moni, która ją najżywiej przypomnieć mogła. Listy Moni gromadziły się w biurku pani Perron, ale ich mu nie oddawała. Wiedziała zdawna jakie one w nim budziły uczucia.

Zwolna tak, gdy się choroba przewlekała, korystała z czasu przebiegła francuzka—lecz, jak zobaczymy, nie przewidziała wszystkiego.

W czasie gdy ów przypadek spotkał Małdrzyka, przyjaciela jego (jeżeli tem imieniem godziło się go nazwać)—Micia de Lada, nie było w Paryżu.

Długi czas razem z nim grywali na giełdzie, on był inicjatorem Floryana, i dzielił z nim dobre i złe losy. Wygrywali, tracili, pożyczali sobie wzajemnie i katastrofa która Małdrzyka zraziła—przynajmniej do czasu, od nowych stawek na papiery—obu ich razem ogołociła. Micio nie tak złym był jak się wydawał, płochym tylko i

blagierem. A że blaga z Floryanem mu się nie powodziła—z nim później najmniej się w nią bawił.

Stosunki bliższe związały ich ze sobą.

De Lada wrócił do Paryża, a że przywiózł ze sobą trochę pieniędzy i znowu mu się grać zachciewało, przybiegł zaraz do Florka. Odprawiono go z niczem. Po starej znajomości znalazł się potem w cyrku, gdzie dopytując się o przyjaciela dowiedział się od M. Richard, o wypadku.

Przestraszony powrócił do hoteliku, domagając się gwałtem widzenia z gospodynią. Powiedziano mu że była na prowincyi. Lada się roześmiał.

— *A d'autres!*—zawołał na to, coraz większy wszczynając hałas. — Ja się na to wzięść nie dam.

Chciał iść przebojem na górę. Zbiegła się służba, powstał harmider, naostatek i pani Perron wybiedz musiała.

Nie było sposobu pozbyć się człowieka, który o wszystkim wiedział i głośno o tem mówił— a był rozjątrzony, i przypuszczał że to zasekwestrowanie przyjaciela, mogło dla niego być groźnem.

Pani Perron z dwojga wybierając mniejsze zło, zbiegła aby przyjąć Micia w swoim pokoju.

Przybyły znalazł ją wymizerowaną, zmienioną, zestarzałą.

— Na miłość Boga! — zawołała ręce przed nim składając—jeżeli panu miłym jest życie jego przyjaciela, błagam go, nie domagaj się widzenia z nim, nie mów nikomu... o chorobie. Taję ją, z powodu że lekarz nakazał spoczynek absolutny—nikogo ze znajomych, żadnej rozmowy, najmniejszego wzruszenia. Tylko tym sposobem możemy mu ocalić życie.

Micio słuchał — nie miał powodu niedowierzać—przyrzekł to czego po nim żądano, i dopytywać zaczął o stan Floryana, o chorobę i t. p.

Odpowiedź pani Perron była nadzwyczaj zręczną, taką na jaką tylko kobieta zdobyć się mogła. Prawda pomieszana w niej była tak kunsztownie z dodatkami, które jej znaczenie zmieniły, że jednego od drugiego rozpoznać i wydzielić było niepodobna. Odmalowała mu stan Małdrzyka jako zawsze groźny bardzo, a łyzy, do których ją usposabiało ciągle rozdrażnienie, poparły te wyznania.

Micio troskliwy o oto aby przyjacielowi, któremu ostatnio pozostał dłużnym, nie zabrakło pieniędzy na kurację, pośpieszył z ich ofiarą.

Wdowa przyjęła ją, lecz razem zapewniła go że Małdrzykowi na niczem zbywać nie może dopóki ona ma grosz jaki.

Lada już się był dawniej wyrzekł wszelkich widoków na wdówkę, zrozumiawszy, iż go używała tylko jako narzędzia dla obudzenia zazdro-

ści—domyślał się jakie miała nadzieje i plany—nie zdawały mu się one ani nadto dziwacznymi, ani złemi dla biednego Małdrzyka.

Wysłuchał więc opowiadania — uspokoił się nieco i zawarował sobie tylko aby, gdy się Florek lepiej mieć będzie, został do niego przypuszczonym.

W ciągu dość długiej rozmowy, często przezywanej płaczem, Micio zupełnie zapomniał że w początku jej przyrzekł tajemnicę—o przypadku i stanie przyjaciela.

Wyszedłszy z hoteliku, wpół godziny może, gdy jeszcze pełną miał głowę tego co tam słyszał—spotkał się z kapitanem Arnoldem.

Pierwszem jego słowem było:

— Wiecie? od kilku tygodni nie mamy żadnej wieści o Małdrzyku. Licho wie co się z nim stało? Wyjechał nie opowiadając się—zniknął.

— Ale, ba!—zawołał Micio— jakże może być żebyście nie wiedzieli. Biedny Małdrzyk miał okropny wypadek. Koń zgruchotał mu nogę. Leży chory prawie bez nadziei, i doktor do niego nikogo a nikogo nie dozwolił dopuszczać.

Arnold za głowę się pochwycił.

— Gdzie leży?—krzyknął.

— A no, w swoim hoteliku, a Perron go pilnuje.

Micio ruszył ramionami.

— Między nami mówiąc, jeżeli wyzdrowieje.



od baby się nie wykreści. Jak amen w pacierzu że się z nią ożeni.

Po rozstaniu się z Miciem, kapitan pobiegł do domu, jak oszalały i natychmiast dał znać listem o wszystkim Jordanowi.

Spadła na niego wiadomość ta jak piorun. W jednej chwili był już u swoich Mamów, prosząc o urlop, lub, jeśli by mu go dać nie chcieli— o uwolnienie zupełne. Widząc rozdrażnienie z jakim się tego domagał, naczelnicy firmy którym o utrzymanie takiego człowieka chodziło, nie tylko urlop, ale mu ofiarowali pieniądze na drogę.

U pp. Jourdan wiadomość o wyjeździe dom cały do góry nogami przewróciła. Złękli się aby go nie stracić P. Ewelina wbiegła ze łzami i wrzuszona rzuciła mu się na szyję, wołając: Opuść nas. Ja tego nie przeżyję!

I biedny Jordan, zapomniał się do tego stopnia iż owoc długiego pomiarkowania utracił. Powiedział swej przyjaciółce, że ją kocha i w zapale— obiecał się ożenić. Tak, ta chwila rozstania, która miała być tak straszną dla p. Eweliny, stała się najszcześniejszą.

Nie zeszła z poddasza nie zamieniwszy pierścionków chociaż Jordan—nie miał innego nad starą obrączkę wytartą swej matki.

W ciągu podróży—gdy stracił z oczów Tours, Ewunię — gdy ochłódł i oprzytomniał Jordan,

począł sobie okrutnie wyrzucać chwilę uniesienia, boleć nie nad sobą, ale nad kobietą, którą miał uczynić nieszczęśliwą. Wszystko to zapóźnem było! Miał pierścionek na palcu, miał jeszcze palące łzy jej radości na twarzy.

Przybywszy do Paryża, wpadł naprzód do kapitana Arnolda.

Tymczasem pani Perron, którą gwałtowne wtargnięcie Micia zatrwożyło—czuła że potrzeba było przyspieszyć z chorym rozmowę stanowczą.

Przygotowania do niej ułatwiały ją wielce. Floryan acz niewyraźnie już dawał jej kilkakrotnie do zrozumienia, że się czuje obowiązany do wdzięczności, którą ofiarą życia tylko wypełnić może. W duchu—miał się już Małdrzyk za związanego. Musiał się ożenić.

Tylko—ostatnie to słowo zawisło jakoś na ustach nie wymówione. Szło o to by je wydobyć. Nie było wątpliwości że dawszy je dotrzyma. Ale składało się zawsze tak dziwnie, tak szczęśliwie czy niefortunnie, że w chwili gdy już miał wymówić to tak pożądane—przyrzeczenie—przeszkadzało coś. Wchodził doktor, odwoływała panią służka. Małdrzyk odkładał i—może mu z tem lepiej było, bo widział razem i przymus i niestosowność tego związku. Przychodziło mu na myśl co powie surowy Jordan—jak boleśnie to uczuje jego Monia.

Za każdym razem — pani Perron coraz niecierpliwsza zaklinała się w duchu iż koniecznie oświadczenie to wyraźne, uroczyste Małdrzyka przyśpieszy... a w chwili stanowczej, w niepojęty sposób — wychodziła z niezem.

Na takim stopniu stały sprawy w hoteliku Marsylskim, gdy Jordan przybył, pojechał do kapitana, nie zastał go, i nie chcąc czekać ni zwlekać udał się wprost do hotelu.

Kapitan w liście doniósł mu, że tam nikogo nie wpuszczano. Jordan miał pewne przeczucia istotnego stanu rzeczy. Gwałtem się wcisnąć nie było podobna — musiał wsliznąć się niepostrzeżony.

Było to szarym mrokiem, mała furtka w bramie stała otworem. Wchodzący musiał pod samym dużym oknem odźwiernego się przesunąć, aby się dostać do wnętrza. Spojrzenie rzucone na podwórko przez furtkę, było dostatecznym dla Jordana, aby dobrał sobie taką chwilę, w której odźwierny tyłem do okna był zwrócony.

Szybko wkradłszy się Klesz, wpadł na schody, i niepostrzeżony znalazł się na pierwszym piętrze. Tu trzeba się było zatrzymać, bo numeru mieszkania nie wiedział, a pytać o nie było to się zdradzić.

Kleszowi szło o to wielce aby go nie odprawiono odedrzwi jak kapitana.

Po namyśle zdało mu się prawdopodobnem iż

na tem pierwszym piętrze Małdrzyk miészkać nie mógł. Powoli po ciemnych jeszcze schodach wdrapał się na drugie. Tu, stanął znówu. Trafem jeden z podróżnych wychodził w tej chwili i zamykał drzwi za sobą. Klesz przystąpił do niego i na wszelki wypadek, spytał głosem stłumionym, który był numer chorego polaka, bo miał do niego zlecenie. Francuz popatrzywszy nań, nie odpowiadając nawet, pokazał drzwi.

Szło o to tylko czy nie były zamknięte. Jordan z bijącym sercem przystąpił ku nim. W pokoju Florka znajdował się właśnie przybyły doktor Moulin i nieodstępna p. Perron. Pocisnął kłankę zlekka—i drzwi się uchyliły. Na palcach wślizgnął się do przedpokoiku. Ztąd przez pół uchylone małe drzwiczki widać było alkowę, łóżko chorego a opodal przy wyjściu do sąsiedniego pokoiku, który p. Perron zajmowała—ją i doktora na cichej rozmowie.

W czasie krótkiej chwili namysłu, gdy Jordan nie wiedział jeszcze, czekać ma czy wchodzić, pani Perron z Moulinem wysunęła się do swojego pokoju—i z chwili tej korzystając—Jordan wśliznął się zwolna idąc aż prawie do łoża, na którem leżał Florek.

W mroku na poduszkach widać było żółtą, wychudzoną twarz jego, z zamkniętymi ze znużenia oczyma. Lecz Małdrzyk, jak gdyby poczuł przytomność przyjaciela, zwolna podniósł powie-



ki, wlepił w niego oczy i podnosząc rękę, odezwał się słabym głosem:

— Nareszcie!! Jordan!

Wyrazy te, chociaż wymówione tak cicho, że szeptem były prawie — doszły do uszu pani Perron, wybiegła niespokojna, zobaczyła Klesza już ściskającego dłoń chorego, załamana ręce, zdrętwiała.

Gniew jaki ją orgarnął, omal nie spowodził nerwowego ataku, lecz okazać go, było to popsuć sobie sprawę i zdradzić się. Wdowa potrzebowała chwili ażeby zapanować nad sobą.

Tymczasem dłonie przyjaciół się ścisnęły.

— Myślałem... sądziłem — począł Floryan — żeście się mnie wszyscy wyrzekli, od nikogo ani wiadomości, ani słowa, ani życia znaku.

Pani Perron przystąpiła bliżej i wtrąciła głosem drżącym:

— Temu nie winien pan Klesz, bośmy mu znać nie dawali, doktor zakazał wszelkiego wzruszenia.

Małdrzyk nie odpowiadał zrazu, jak w tęczę patrząc na Jordana, którego znajdował zmienionym.

— Dziękuj — odezwał się — tej mojej dobrej opiekunce, temu aniołowi stróżowi (wskazał p. Perron), któremu winienem życie. Dnie i noce siedziała przy mnie... Co trosk, a co wydatków..

— Przepraszam — przerwała gospodyni, która

się skromną chciała okazać—co do wydatków... były własne wasze pieniądze.

— Moje?—spytał zdziwiony Florek.

— A! nie mówmy o tem— zagadła Perron.— Siadaj pan, panie Klesz i nie pozwalaj mu mówić długo!

Gdy się raz to stało czego sobie najmocniej nie życzyła, wdowa chciała sobie pozyskać Klesza, i dodała, zwracając się do niego.

— Gdzież pan stanąłeś?

— Dotąd nigdzie — odpowiedział Jordan— moją torbę podróżną rzuciłem u kapitana:

— A więc naturalnie będziesz mieszkał u mnie— dodała żywo Perron.— Właśnie jest mała izdebka, ale bardzo czysta, tu blisko.

Jordan się skłonił—ta uprzejmość gospodyni lepiej go dla niej usposabiała.

Perron wyszła—Florek rękę podniósł i wskazał na nią.

— W oczy i za oczy—począł mówić — muszę jej przyznać, że mi była opiekunką najtroskliwszą, najlepszą. Kobieta wielkiego serca, zleśmy ją dawniej sądzili — ja sam winien jestem że jej ocenić nie umiałem.

Klesz milczał.

— Jakimże sposobem dowiedziałeś się?—zapytał Floryan.

— Kapitan przypadkiem spotkał Ladę, od niego miał pierwszą wiadomość. O godzinie dzie-

siątej odebrałem list wyjechałem pierwszym pociągiem.

Małdryk o ile mógł zwrócił się ku przyjacielowi. Nie widzieli się tak dawno — tyle mieli sobie nawzajem do powiedzenia. Rozmowa przerywana rozpoczęła się za ledwie, gdy Perron weszła i zaczęła nastawać na to ażeby chory odpoczął.

Gwałtem niemal wyciągnęła Jordana.

— Niemożna go męczyć rozmową — szepnęła we drzwiach. — Każde wrażenie oddziaływa na stan jego ogólny, a ten na ranę.

— Jak długo to potrwać może nim się ona zgoi? — zapytał Klesz.

Wdowa poruszyła ramionami.

— Ja nie wiem, sam doktor oznaczyć nie może czasu — mówiła — zależy to od tylu okoliczności! Ranę sondując, drobne kostki wychodzą, a nim się potem zrośnie złamanie, nim stopniowo zablizni rana... to pewna, że wyleczenie bliskiem nie jest.

Klesz niespokojny poszedł za nią do jej pokoiku. Perron już odzyskała była władzę nad sobą i miała jasne pojęcie jak jej należało postąpić.

Musiała się okazać przed przyjacielem bezinteresowną, miłosierną, wspaniałomyślną — był to jeden sposób ujęcia go na swą stronę. Przeniknęła go była wprzód i znała z opowiadań Małdryka.

— Łaskawa pani — odezwał się zasmucony Klesz — wszystko to niezmiernie jest przykrem dla nas i dla pani. Ciężar masz taki z nim. Co się tyczy wydatków, szczęściem, przecuciem wzięłem ze sobą trochę oszczędzonych pieniędzy:

— Czekał pan — z uśmiechem przerwała Perron, dobywając papiery z szufladki. — Oto masz registra... nie zadłużył mi się jeszcze... Patrzaj...

Z tego nieszczęsnego cyrku...

— Z jakiego cyrku? — podwycił Klesz przerażony, który o nim wcale nie wiedział. — Cóż on mógł robić w cyrku?

— Jakto? pan, przyjaciel jego najbliższy nie wiedziałeś o tem, że przy dyrektorze cyrku na Polach Elizejskich jako doskonały jeździec miał posadę, która stanowiła jego utrzymanie.

Klesz załamał ręce.

— Małdrzyk! berejterem w cyrku! Boże miłosierny. On! To skończenie świata.

Wdowa się uśmiechnęła — wszystko to mogło ostatecznie wyjść na jej korzyść!

— Nie dziwuj się pan — rzekła cicho — była tam atrakcja, której się biedak oprzeć nie mógł, pewna miss Jenny, ładna amazonka, mająca talent kierowania sześciu końmi i wodzenia za nos razem dyrektora, lorda Dunby, p. Floryana i, co najmniej, jeszcze trójki.

Klesz oczy sobie zakrył.

Nielitościwa Perron szeptała dalej:



— Oprócz tego biedny nasz chory, grywał na bursie, z pomocą tego p. Lady.

— Nie znam go.

— Nie straciłeś pan na tem—ciągnęła dalej. Wygrywali i przegrywali, naostatku stracił co miał. Patrzajże pan na rejestra. Oto co mi był winien... . Przyszło z cyrku po wypadku.

(Prędko wskazywała białym pazurkiem cyfry):

— Oto co wniósł p. Lada. Widzi pan. Lekarstwa, doktorowie, wszystko spisane do grosza... nie ma prawie długu. Oszczędziłam com mogła, lecz choremu skąpic nie godziło się.

Klesz, który słuchał i patrzył, był tak przejęty wdzięcznością i szacunkiem dla wdowy, że zapomniawszy o uprzedzeniach jakie miał przeciw niej, z zapalem rękę jej ucałował.

Perron podparta na drugim ręku, patrzyła nań smutnie.

Gdy później nieco, po drugim widzeniu się z Fiorkiem i krótkiej z nim gawędce, odszedł Klesz na spoczynek — dopiero zostawiony sam sobie, mógł — ostygłszy nieco, zdać sobie sprawę z położenia i z tego do czego wobec niego był obowiązany.

Przybył w obawie aby wdowa nie chciała korzystać z wypadku—wahał się teraz z wiarą w tę myśl i nie wiedział nawet czy ją o to godziło się posądzać. Zresztą—miałże prawo sprze-

ciwiać się ożenieniu, gdyby go sobie życzył Florek, on—on, który—jak się wyrażał, mówiąc sam do siebie — też samą niedorzeczność miał popełnić.

Oświadczenie się i szalone zaręczyny z panną Eweliną—naprędce dokonane — wiązały go nie tylko tam ale i tu... bo, bo cóż mógł mieć przeciw zupełnie podobnemu, lub nawet więcej usprawiedliwionemu postępkowi Małdrzyka?

A jednak—to ożenienie Floryana z wdówką, kobietą mającą więcej sprytu i może serca, niż wykształcenia—z kobietą której przeszłość była dwuznaczną mgłą okryta—zdawało mu się okropnością, nieszczęściem.

— Gdyby był sam jeszcze—mówił sobie Klesz—ale ma córkę, ma dla niej obowiązki. Dać jej taką macochę!

I chwycił się za głowę z rozpacz. Pocięszało go to tylko, że ani Florek mu nic o ożenieniu nie mówił, ani ona nic nie napomknęła coby jakąś umowę prawdopodobną czyniło.

Nie było więc dotąd nic—oprócz—niebezpieczeństwa. Tak sobie mówił Jordan. A ja—dodał, na to tu jestem, ażebym je odwrócił, gdyby istotnie się okazało.

Zapomniał o tem że w chwili w którejby niebezpieczeństwo na jaw wyszło—zapobieżenie mu mogło bardzo być już niemożliwem.

Jordan przyrzekł sobie — choć go do Tours

ciągnęło bardzo—pozostać tu ażby się wszystko wyjaśniło — i nie odjechać dopóki o los Małdrzyka nie był spokojnym.

Nazajutrz—list panny Eweliny, wyprawiony w godzinę po odjeździe narzeczonego, przyszedł rano uszczęśliwić go, wstrząsnąć i zachwiać nieco wczoraj osnute plany przyszłości.

Koniec Tomu II-go.

TOM TRZECI.





Upłynęło dni kilka od przybycia Klesza do hoteliku. Znaczniejszą część czasu spędzał on teraz przy łóżku chorego, usiłując wyreczać p. Perron, o ile ona dała się zastępować.

Jordan nie był zręczny w posłudze, nie miał wprawy, sam zamało potrzebował starań około siebie, aby mógł przewidzieć co człowiekowi trochę rozpieszczonemu potrzebnem było.

Wdowa kręcąca się ciągle z prawdziwą czy udaną wesołością przy łóżku, w pokoiku, zawsze z uśmiechem na ustach, z dowcipem jakimś na pogotowiu, z przysługą jakąś, która cudownie chorego zachcianki odgadywała—zjednywała sobie coraz więcej Klesza.

— Padłbym przed nią na kolana—mówił Jordan w duchu—gdyby się tylko za to wszystko nie kazała mu ze sobą żenić!

O ożenieniu wszakże dotąd wcale wzmianki nie było.

Małdrzyk wychwalał ją — a Klesz potakiwał

mu. Dla przyjaciela była też tak uprzejmą, tak miłą, tak uprzedzającą jak dla p. Floryana.

Jordan się uspokoił nieco.

Drugiego dnia wręczyła mu pocichu wszystkie listy, które dotąd leżały u niej zachowane, uprzedzając tylko że doktor stanowczo oddania ich zakazywał i że je odwlec potrzeba było.

Klesz musiał się do tego zastosować.

Mówili więcej prawie o nim, o pobycie, życiu i kolejach jakie w Tours przebywał, niż o chorym. Jordan o Jourdanach opowiadając przygotowywał potroszę przyjaciela do tego, czego przed nim nie chciał taić, lecz nie miał odwagi przyznać się jak naostatek zaszedł daleko. Od dnia do dnia odkładał to wyznanie.

Stan chorego w ciągu pobytu Jordana, nietylko że się nie pogorszył, lecz nawet polepszać się zdawał. Rozmowa nie męczyła go, śmiał się czasem, i wesolość mu powracała.

Gdy się czasem zwróciła mimowoli ku Lasocinowi, do Moni i jej listów, Jordan zręcznie odciągał ją na inny przedmiot. Zwlekał.

Jednego wieczoru wreszcie, mówiąc o Jourdanach, o swej izdebce na poddaszu, o poczciwej rodzinie, do której się przywiązał jak gdyby już do niej należał, naostatek dużo o pannie Ewelinie, której serce, dobroć i przyjaźń dla siebie z zapalem wynosił—dodał w ostatku:

— Wiesz Florek, ty będziesz niewinną przy-

czyną, że ja srogie na mój wiek głupstwo popełnię. Powiem ci już wszystko co się ze mną stało.

Gdy list kapitana przyszedł zawiadamiający mnie o nieszczęściu twojem—natychmiast zacząłem się wybierać w drogę. Wpada panna Ewelina, i w chwili gdy jej powiadam że wyjeżdżam—woła:—A! ja nieszczęśliwa, ja tego nie przeżyję. Zdaje mi się że nawet rzuciła mi się na szyję—to tylko wiem że znalazły się jakoś i twarze nasze zablisko i moje ręce na jej ramionach. A, skutkiem tej katastrofy—dokończył Jordan patrząc w oczy Maldrzykowi—muszę się z nią ożenić.

Floryan chwycił go za rękę.

— Ty? ożenić się!—zawołał.

— Jak widzisz, była co nazywają *force majeure*—mówił z humorem Klesz—dla samej przyzwoitości należało się zareczyć, aby panna nie wstydziła się swojego uczucia.

— Naprawdę?—dodał Floryan.

— Niestety! nie kłamie—ciągnął dalej Jordan. — Dla mnie to będzie wielkiem szczęściem, o jakim nigdy nie marzyłem... ale dla tej istoty biednej...

Ręką w powietrzu zrobił znak zapytania.

Maldrzyk westchnął.

— Wiesz mój kochany Jordku—rzekł—twoje wyznanie, ułatwia mi wypowiedzenie tego co miałem ciągle na ustach.

Ja także skończę ożenieniem z Adela.



Klesz patrzył mu w oczy milezący.

— Ty, także?—wybąknął zdziwiony i zasmucony.

Oba zniżyli głos, jakby się lękali być podsłuchanymi.

— Mnie się zdawało że tyś się powinien był tego domysleć. Mam obowiązki dla tej kobiety, dała mi dowody przywiązania, które przez lat kilka wytrwało, mimo, że ja nie zawsze zasługiwałem na nie. Jakże inaczej spłacić jej dług wdzięczności?

Nastąpiła długa przerwa mileżąca, Jordan zwił w rękę kawałek papieru i rozkręcał go naprzemiennie. Florek westchnął.

— Nie należy to do mnie—odezwał się Jordan—sprzeciwiać ci się, ani odciągać od tego co uznajesz obowiązkiem; lecz jest jedna okoliczność, na którą powinienem zwrócić uwagę twoją. Masz córkę — najpierwsze są twe obowiązki dla niej. To co postanowiłeś byłoby pewnie przykrem jej, a nawet na jej los wpłynąćby mogło. Najlepszą kobietą dziś może być twoja. Adela—ale—ale jej przeszłość...

Floryan zadumany milczał.

— Monia—rzekł po namysle — niestety, ani mnie, ani macochy nigdy podobno widzieć nie będzie. Zaledwie się dowie, co się z ojcem jej stało.

Pomiędzy dawnym życiem mojem a teraźniejszym, jest przepaść niezgłębiona.

Mogliżeśmy kiedy przewidzieć że dziedzic Lasocina, ostatni potomek senatorskiej rodziny, będzie dworował Nababowi — i pełnił obowiązki starszego masztalerza w cyrku. Wszystko to spowodowała owa *dura necessitas*, która nikogo nie oszczędza i najtwardsze karki uginać lubi.

W początkach oburzałem się, targałem te więzy, któremi mnie ona krępowała, nie pomogło nic. Zwolna, to co mi rumieniec wstydu wywoływało na twarz, stało się chlebem powszednim, zobojętniałem na upokorzenia.

Nawykły do dobrego towarzystwa, jak chleb biały mieniałem na razowy, tak ludzi wykształconych, uczuć delikatniejszych, smaku wybredniejszego — zastąpiłem taką Liną i Lischen.. a potem...

Umilkł spuszczać głowę.

— Fatalizm niedoli czyni człowieka sofistą — dodał — mówimy sobie że chleb czarny ościsty tak smakuje i karmi jak bułka, i że prości ludzie takimi są ludźmi jak oglądzeni... lepszymi może.

Nie zaprzeczam żem się zsunął nisko, mój Jordku, ale napowrót drapać się pod górę nie mam siły.

Klesz głowę miał utopioną w rękach załamanych — nie mówił nic.

— Dziecko! dziecko! masz córkę! dodał cicho — to cała moja odpowiedź. Wyobraź sobie że ta biedna, stęskniona Monia, będzie zmuszoną

schronić się pod twoją opiekę. Wszystko jest możliwe. Kosucy...

— Mlecz — przerwał Floryan.

— Pomyśl co innego — począł po małym przestanku Jordan. Wyobraź sobie familię żony, która niechybnie zjawi się na wesele i po weselu. Wpadniesz w towarzystwo, w którym ci niepodobna będzie wyżyć.

Florek się uśmiechnął.

— Miałożby być gorsze od masztalerzy cyrkowych? — wtrącił.

— Nie wiem — rzekł Klesz — w cyrku czyniła ci je znośnem pewna ogląda.

— Na dziś dajmy temu pokój, Jordku — wyciągając doń rękę odezwał się głosem znużonym Małdrzyk. — Pomówimy o tem obszerniej jeszcze.

— Dobrze, dobrze — uspokajając szepnął Klesz — ale daj mi słowo, proszę, błagam cię, nie wiąż się niedwołalnie, dopóki — dopóki nie rozważysz dobrze, jakie to wrażenie na twem dziecku uczynić może.

— Monia od bardzo a bardzo dawna nie piła do mnie — odezwał się Małdrzyk — jestem w obawie o nią.

Jordanowi zdawało się, że wiadomości o liściach będących w jego ręku zatajać nie potrzebował — dodał więc:

— Listy są, ale doktor nie dozwolił ci ich oddawać.

— Są listy? są! — podchwycił niespokojnie Maldrzyk. Ale to przecie najokrutniejsza męczarnia nie módz ich czytać.

Wiesz—rzekł nagle—tajemnic w nich dla ciebie nie ma, czytałeś prawie wszystkie listy mojej córki, odczytaj i te, proszę, powiesz mi co w nich jest. To zakazanem być nie może.

Klesz przystał na to ostatnie.

Wieczorem tegoż dnia zabrał się do ułożenia i czytania korespondencyi. Dziennik i notatki Moni znaczniejszą jej część zajmowały, osobno zapieczętowany był list Lasockiej, najświeższy datą, i przed rozpoczęciem dziennika Moni, Klesz wziął się do zapisanego na cztery strony pół arkuszka starej piastunki.

Zmienione i jakby pod wrażeniem wielkiego wzruszenia nakreślone pisanie, niewyraźne, pokrzywione, zamazywane, zaniepokoiło go.

List był następującej treści:

„Nie chciałabym pana przestraszać nadaremnie, milczałam długo, nakoniec powinność każe objawić prawdę całą, a gdybym ja nie miała do tego odwagi, przyjaciółka nieboszczki matki Monisi—pani Jamorska—zagroziła mi że sama pana o tem zawiadomi.

Monia to prawdziwe cudo—to dziewczę, któremu się tylko dziwić i klękać przed niem.

Samo nieszczęście ją wychowywało, że na ta-



ką urosła panienkę, której wszystkie zazdroszczą, wszyscy się dziwią.

Państwu Kosuckim to nie w smak że ta, którą w oficynach trzymali, nauki jej skąpo dozwolali, ciągle ją starali się spychać jak najniżej, tak wysoko poszła. Jadwisia najstarsza ich córka, którą wypieścili, nie może się przy niej pokazać, bo ani urodą, ani rozumem daleko do niej nie dochodzi. Ztąd gniewy, złości i prześladowania, a dla biednej sieroty prawdziwe męczeństwo. Ale toby nic nie było jeszcze, bo jak ona to znosi!— jak anioł! Pomodli się, popłacze, łzy otrze i poznać po niej trudno co wycierpiała.

To gorzej że już jej koniecznie z domu się pozbyć chcą—bądź co bądź. A że posagu nie radzi płacić, choć wszystko zagarnęli niby dla niej—to cały świat wie—więc szukają męża takiego coby ją wziął bez niczego i wywiózł gdzieś za świat.

Napatrzył Kosucki jakiegoś dawnego towarzysza wojskowego, wdowca, niemłodego, rodem z za Kijowa, odstawnego urzędnika, który się napija i awanturnik jawny jest—otóż temu Monię oddać chcą. Już się zaczęły namawiania, swatan'a, pogrożki, a—Boże mnie skarż, jeśli niesłusznie posądzam — może być i niepoczeiwy gwałt, aby ją zmusić. Biedne dziewczę to wie i rozumie, gotowe raczej na śmierć niż na taką doleg.

Jak panu wiadomo że mnie odpędzono, że ja

nawet prawa nie mam się z nią widywać, ani pi-  
sać do niej. a ona sama jeśli pisze to ukradkiem,  
i żeby nie poczciwe slugi stare...

Mnie czasem. gdy podjadę pod wioskę i przy-  
drepczę pod dwór, wpuszczą pod okno jej—i tyle  
że się we dwie wypłaczymy.

Ratunku już tu innego nie ma— Bóg widzi—  
tylko abys ją pan wziął. aby z tego piekła była  
wyzwolona. Lepsza nędza. niedostatek. wszystko  
nad ten los. który oni dla niej gotują.

Zmiłuj się pan. obmyśl środki... jam, choć sta-  
ra i chora. gotowa ją odprowadzić.

Najęłam pozawczoraj furkę żeby mnie podwio-  
zła do marszałka i jemu wszystko. jak na spo-  
wiedzi wypłakałam. prosząc ratunku. Powie-  
dział mi—a cóż ja mogę? — Kosuccy już i tak na  
mnie sarkają przed ludźmi żem ja ich nieprzyja-  
ciel i że ich oklamuję przed światem.

Do ucieczki z ich domu—mówił—ja pomagać  
nie mogę, to darmo. Trzeba będzie pieniędzy na  
podróż—cóż robić—ostatnie dam. a więcej ode-  
mnie nie wymagajcie. Dziecka mi żal. a no, muru  
głową nie przebiję.

Ratujcież nieszczęśliwą.

Ona pewnie nie napisze o tem. aby darmo ojcu  
biednemu. nie zatruwać i tak przykrego życia;  
opiera się ucieczce aby się nie stała ciężarem,  
ale, uchowaj Boże. ostateczności, ona to życiem  
przyplaci..“

List Lasockiej zburzył Jordana, i na całą noc sen mu odjął. Ledwie miał siłę potem zajrzeć do dzienników Moni, z których boleść i smutek się sączył, ale o całej tej historii przesładowania głucho było. Cóż tu począć miał Jordan? Opowiedzieć wszystko ojcu, odczytać mu list Lasockiej, nie było sposobu — wzruszenie mogło być niebezpiecznem.

Samemu się ważyć na to, aby sprowadzić Monię—Jordan wahał się jeszcze.

Składało się wprawdzie tak, iż przybycie córki mogło wpłynąć i na los ojca, powstrzymać zamierzone ożenienie, lecz wyrwać z kraju sierotę, było to jedną więcej ofiarę rzucić na pastwę wygnania. Od Kosuckich nic już potem spodziewać się dla niej, ani dla Małdrzyka nie było podobna.

Klesz noc całą spędził na rozmyślaniu. Przeczytał raz jeszcze list Lasockiej, ostatnie karty dziennika Moni — zdawało mu się że Floryan, gdyby mógł być zawiadomiony o tem co się z jego dzieckiem działo—inaczejby nie postąpił. Nad rankiem usiadł pisać do Lasockiej, drugi list do marszałka przygotował—i biorąc na siebie odpowiedzialność za ten śmiały krok, wyprawił oba, jak tylko się dzień zrobił—kość była rzucona.

Z bładą ale wypogodzoną twarzą wszedł potem do Floryana. Monia przybyć prędko nie mogła—gdyby nic nie stanęło na przeszkodzie, samo

wyrwanie się z kraju, nawet z pomocą życzliwego marszałka, przygotowania do niego, niemało czasu zabrać musiały.

Należało rachować i na niedoświadczenie starej Lasockiej, która dłuższych podróży nigdy nie odbywała i wiele omyłek popełnić musiała.

Miał więc czas Jordan zwolna przyjaciela przygotowywać do tej smutnej razem i wesołej niespodzianki. Listy powierzone mu do czytania, miały posłużyć za temata do rozmowy o tem.

Gdy raz na pocztę rzucił odpowiedź swą, w której ogólnemi wyrazami doniósł o chorobie Maldrzyka — Klesz był już spokojniejszy.

Zrana witając go Florek, nie dostrzegł zmiany takiej na twarzy, któraby go niepokoić mogła. Spytał zaraz o treść listów.

— O! myślisz—odparł z udaną swobodą Klesz—że zadawnione dzienniki Moni mogłem na raz wszystkie odczytać? Gdzie tam—ledwie częsteczkę ich wczoraj wydecyfrowałem. Pisze ładnie, ale ja tego ładnego pisania panińskiego nie umiem dobrze czytać.

Nowego tak dalece nie ma nic. Śmiertelne nudy w Łasocinie u Kosuckich. Monia zdrowa, życie niezbyt przyjemne, tęsknota za ojcem zawsze wielka. Ah!—dodał Klesz—gdyby ją można ztamtąd wyrwać?

— Dokąd? — spytał Floryan, prawie z prze-



strachem.—Zmiłuj się! Dokąd? Jużciż nie tu do Paryża.

Klesz spojrział mu w oczy.

— Widzisz, mój drogi, że tubyś w tem towarzystwie mieć jej nie chciał.

Małdrzyk głowę skrył w poduszki i zamikł.

Mówili o czem innym, lecz Floryan znowu o listy zagadnął.

— To biedne dziecko moje, jaki tam je los czeka. Ze wszystkiego co mi dawniej Lasocka donosiła, z fotografii wnosząc, z jej własnych listów tak cudownych, przeczuwam że musi być ładną, że jest rozumna i miła, ale kto ją tam zobaczy? Natalia ma własne córki, więc o ich los naprzód starać się będzie. Biedna moja sierota.

— Tak, to pewno—dodał Klesz—że na Kosuckich serce i życzliwość nie rachować nie można.

— Wierz mi, Natalia tak złą nie jest.

— Ale wierzy w swego Zygmunta—przerwał Jordan—a, z przeproszeniem twem, o nim mam przekonanie, że nikczemniejszego nad niego człowieka nie ma pod słońcem.

— Niestety!—zamruczał Małdrzyk.

Nadejście doktora przerwało szczęściem już coraz drażliwszą rozmowę. Moulin miał dar rozweselania swych chorych i dodawania im odwagi. Wszedł więc z uśmiechem, rozpoczął od żartów, odłonił nogę i znalazł ją (prawdę mówił czy nie?) w bardzo pocieszającym stanie.

— Jeszcze parę miesięcy— zawołał— a będziesz pan mógł pójść walczyć! Na konia siadać nie życzę, choć ludzie i w tańcu nogi łamią, miałem tego przykłady.

---

Listy panny Eweliny, bardzo obfite, bo nie było prawie dnia, w którymby karteczki od niej nie odebrał Jordan — tęsknie nawoływały go do powrotu.

Lękał się odstąpić przyjaciela—gdyż—choć Florek wahać się zdawał jeszcze—w niebytności czujnego stróża, mogło coś zająć niedającego się naprawić.

Z oczów pani Perron czytał Klesz niecierpliwe rozdrażnienie, i jakby oczekiwanie tylko na chwilę pomyślną, dla doprowadzenia do skutku małżeństwa. Bliższe przypatrzenie się stosunkom dawało mu pewność że wdowa wszystkie siły i starania kierowała ku temu. Jordan był jej na zawadzie.

Nie przeciwiąc się przyjacielowi umiał on, na pozor obojętnymi uwagami, powstrzymywać Floryana i zmuszać do namysłów.

Kilka razy dłużej rozprawiali o tem jakby można, choć na kilka tygodni, sprowadzić tu Monię, dać jej trochę poznać świat, a nadewszystko widzieć ojca.

W zasadzie takim odwiedzinom, bo tylko o nich była mowa, p. Floryan nietylko nie był przeciwnym — ale ich sobie życzył. Nie chciał tylko żeby go widziała jak był — czekać musiała na wyzdrowienie.

Jordan napomknął że należałoby i inne projektu odroczyć chyba do późniejszego czasu, aby Moni nie uczynić przykrości. Florek się i temu nie sprzeciwiał.

Co do wydatków. Łudził się tem że przecież Natalia dałaby na kosztą podróży.

Klesz zyskał wprowadzając ten przedmiot na stół, iż myśl odroczenia małżeństwa przynajmniej Maldrzykowi narzucił i zgodę jego wymógł na to.

Marzył więc chory, że może córkę zobaczy. Ożywiało go to, a Klesz podsycał nadzieję. Matrymonialne projektu odłożone zostały do wyzdrowienia, do odwiedzin Moni i jej powrotu do kraju. Floryan na zapytanie katégoryczne przyjaciela czy z wdową mówił już o tem, czy dał słowo — najuroczyściej zaręczył że dotąd żadnego zobowiązania nie miał.

— Domyśla się, poczciwa Adela, że to się inaczej skończyć nie może, wierzy mi, lecz jest tak delikatną, że mnie nie wyciąga na słowo. Ty jeszcze nie znasz tej kobiety, która pod tą pozorną lekkością swą, kryje najszlachetniejszy charakter, najpoczciwsze serce.

Jordan nigdy się o to nie sprzeczał z przyja

cielem — wiedząc że naprzód na nicby się to nie zdało. a powtóre rozdrażnione uczucie mogłoby powiększyć jeszcze.

Zdawało mu się że w ten sposób zabezpieczwszy się na czas jakiś—mógł bezpiecznie na dni kilka do Tours odjechać.

Pani Perron. chociaż bardzo jej to było na rękę. dowiedziawszy się zakrzyknęła z początku:

— Ale po cóż? dla czego pan opuszczasz przyjaciela? Panie Floryanie. pan go nie powinieneś opuszczać.

Małdrzyk się uśmiechnął, szepcząc coś o nieodzownej potrzebie podróży. Klesz zresztą miał powrócić wkrótce.

Zabrakło go bardzo po odjeździe Floryanowi. został sam na sam z wdową.

Na ten raz obiecywała ona sobie. z kilku dni samotności skorzystać koniecznie. Wszystko było przygotowane. szło tylko o jedno słowo.

Marzyła nawet że ślub możeby się mógł, przy wielkich staraniach odbyć w pokoju. co nie było bezprzykładnem. zwłaszcza gdy chorobę uznano groźną. a obowiązek sumienia go nakazywał. Wikaryusz parafii był przyjacielem domu a pani Perron uchodziła za katoliczkę „praktykującą”. bo we Francyi są katolicy dwu rodzajów. tacy którzy nie praktykują — i co praktyką dowodzą swej wiary.

Ale, potrzeba się było spieszyć! Znowu por-



tyerowi wydany był najsurowszy rozkaz niewpuszczania nikogo do p. Maldrzyka. Uproszony doktor sam go powtórzył na dole.

Wdowa pod pozorem że zastąpić miała Jordana, na krok znówu się nie oddaliła od łóżka, podwoiła czułości i starań około chorego, otoczyła go wygódkami, bawiła jak dziecko, i miała przyjemność widzieć łzy na oczach jego, czuć serdeczny uścisk dłoni. słyszeć wyrazy najgorętszej wdzięczności. Ostatnie, stanowcze, wielkie słowo, spodziewane co chwila, niepojętym sposobem zawisało na ustach. Już, już zdawał się je chcieć wymówić, potem nagle wstrzymywał się i — milknął.

Parę dni upłynęły tak w rodzaju walki z oporem biernym chorego, wdowa gniewać się w duchu zaczynała.

Rachuby jej, zwykle niechybiające tym razem zawodziły ją okrutnie.

Jednego dnia nareszcie Floryan uczuł się gorzej, po długiem sondowaniu rany, dostał gorączki, sen go odbiegł, niepokój owładnął nim. Noga nie pozwalała się poruszać, a na miejscu uleżeć nie mógł. Trzeba go było podnosić, poprawiać poduszki, podkładać coś pod głowę, dawać pić, zakrywać światło, słowem ciągle biegać około niego i kolo łóżka, które już tak ustawione było, że z obu stron przystęp do niego był możliwy.

— A, moja dobra pani Adelo — odezwał się

wzdychając Małdrzyk—jakie sobie zadajesz trudy około mnie... czy podobna.

— Nie mówże o tem — przerwała wdowa.— To pewna że dla osoby obojętnej nigdybym się nie podobnego nie potrafiła, ale kiedy się do niewdzięcznika jakiego przywiąże kobieta... o!

— Możesz mnie nazywać niewdzięcznym? Powinnaś znać serce moje.

— A! tak — z uśmiechem pochylając się nad nim, szepnęła wdówka — czasem mi się zdaje że to serce znam i zanfać mu mogę—a jednak?

Małdrzyk rękę jej pochwycił.

— Nie mów tak, proszę — odezwał się— nie wątp nigdy. Przyjdzie chwila gdy dowiodę.

— O! o! chwila ta! chwila! a kiedyż ona przyjdzie?— podchwyciła Perron.—Gdy wyzdrowiejesz—zapomnisz...

— Nigdy w życiu.

Perron minkę zrobiła smutną.

— O! — rzekła — czuję, gdybym się na tem sercu zawieść miała, nie przeżyłabym tego. Czyż nie widzisz że cię kocham.

Otarła łzy problematyczne.

— Droga Adelo—przerwał poruszony Florek, nie puszczając jej ręki — czyż nie widzisz nawzajem żem się przywiązał do ciebie? i że nas nie już nie rozdzieli.

Z lekkim wykrzykiem zbliżyła się, pochyliła nad głową jego, wdówka.

— Powtórz to!—zawołała — nie nas nie rozdzieli... i—gdy ci to serce podyktowało.

Florek radby był odłożyć jeszcze uroczyste przyrzeczenie, lecz chwycono go za słowo.

— Byłem przyszedł do zdrowia—odezwał się —bądź pewną. Tymczasem niech to zostanie między nami. Mam ważne powody—proszę cię.

Uderzyło to trochę niemilo panią Perron, ale targować się nie mogła. Pocałowała go w czoło.

— Ja od tej chwili— zawołała—uważam się, jakbym przysięgą była związaną.

Małdrzyk, któremu z osłabienia i wzruszenia łzy płynęły, nic nie odpowiedział. Wdowa była jeszcze bardziej troskliwą o jego zdrowie i przyjemności, Floryan posmutniał, ale stan jego zdrowia tłumaczył ten humor.

Jordan tymczasem biegł do Tours, sam sobie się dziwiąc, gdy zbliżał się do miasta obudziło w nim jakiś niepokój, radość, niemal szal miły—coś coby się szczęściem nazwać mogło, gdyby ono było na ziemi. Podróż, szczególnie ostatnie stacje, wydały mu się niezmiernie długimi, myśli skupić nie mógł na inny przedmiot, oprócz tej swej Ewelinki. Był więc ktoś na ziemi co go kochał, którego los jego obchodził, z którym się czuł związanym.

Było to dla niego czemś tak nowem, tak do szpiku kości przejmującym, że nie poznawał sam siebie. Po raz pierwszy w życiu przyszło mu na

myśl przekonać się jak po podróży wygląda, przyczesał najeżone włosy, poprawił odzienie, związał chustkę rozplątaną.

P. Ewelina z siostrą czekały go na dworcu kolei, gdyż zawiadomił je o swem przybyciu. Pochwycił rękę narzeczonej i szedł z nią, z taką dumą patrząc na świat, jak gdyby — zdobył więcej niż jedno stęsknione do przywiązania serce kobiece.

U pp. Jourdanów, gdzie oboje starszankowie oczekiwali na niego, nie było końca opowiadaniom i rozmowom. Lecz zmartwili się wszyscy tą wiadomością że Jordan musiał jeszcze do Paryża powracać, choć — nie mówił im o istotnej przyczynie tego nadzoru nad przyjacielem.

P. Ewelina usiłowała dowieść że poświęcenie to było zadaleko posunięte, lecz widząc że się zasmucił, zamilkła.

Nazajutrz pobiegł Klesz do Mamów, usiłując się im wytłómaczyć. Byli wielce pobłażający, byle przyrzekł powrócić, a że u korekt było go kim zastąpić, dano mu redaktorską robotę do Paryża.

Daleko trudniej było się porozumieć z p. Ewelina, która się obawiała jeśli nie zerwania stosunków, to ich ostygnięcia. Zwolna jednak potrafił ją przekonać Jordan, że się nie miała czego obawiać i sam wniósł aby termin ślubu naznaczyć i wstępne o to poczynić starania.

Zabawiwszy dni parę Jordan się wybrał po-



śpiesznie nazad, przeprowadzany na kolej już przez samą tylko narzeczoną, bo siostra miała lekkie o tej godzinie. Pożegnanie było czułe, Jordan milczący, lecz łatwo było poznać że cierpiał mocno na przymusowem oddaleniu.

Przybywszy do Paryża zastał tu stan rzeczy niezmiennym pozornie, lecz—wpatrując się uważniej w Małdrzyka powziął zaraz wątpliwość czy mu słowa dotrzymał i czy nie zaszło coś w niebytności jego. Floryan był smutny i niespokojny.

Pod pozorem odebranego z kraju listu od marszałka Lubickiego. Jordan oznajmił przyjacielowi iż—prawdopodobnie Monia z Lasocką przybyć mogą.

Wiadomość ta, chociaż p. Floryan był do niej poniekąd przygotowanym, wstrząsnęła nim nadzwyczajnie, dostał lekkiej gorączki. Nadzieja widzenia tego dziecka, do którego był tak przywiązanym, radością razem i niepokojem go przejęła.

Słowo dane p. Perron przychodziło mu na myśl, obawiał się znalezienia wdowy zbyt poufałego ze swem dzieckiem. Zgodził się był wprawdzie ożenić z nią i podzielić życie, a postawić swą jedynaczkę przy tej kobiecie, oddać ją jej opiece—wzdrygał się. Męczyło go to.

Przestrzeń jaka go dzieliła od tej przyszłej towarzyszki, nigdy mu się większą nie wydawała — i — niestosowność związku po raz pierwszy uczuł przykro.

Gdyby był mógł — ledwieby nie wyrzekł się widzenia dziecka w tych warunkach. Nuż ta biedna domyśleć się miała prawdy? Jakież to nowe gotowało się dla niej cierpienie! Dla niego—ta żwawa, szczebiocząca, dowcipna, trochę powierzchownie wykształcona kobiecina, była — miłą wiele jej mógł i musiał wybaczyć, płacąc za dobre serce, ale na macochę jego ukochanej Moni... Krew oblewała mu twarz.

Jordan, choć o słowie danem nie wiedział, czytał ten niepokój z jego twarzy.

Jak tylko przyjazd Moni został mu zapowiedziany, Floryan nie mógł go już taić przed swą przyszłą. Wieczorem, gdy zostali sami, jaskając się, bełkocąc, objawił jej iż—być mogło, że miał pewne wskazówki — nadzieję, iż dziecię do niego na czas jakiś... przyjedzie... może!

Z nadzwyczajną radością nowinę tę przyjęła pani Perron.

— Ale to doskonale! to wybornie! to rozumnie! — zawołała—zobaczysz jaką z niej śliczną paryżankę zrobimy, jak ją wyelegantujemy, jak się tu bawić będzie i odżyje.

Ja się nią zajmę tak jak własnem dziecięciem. Proszę, proszę, jest to moim obowiązkiem. Macochą dla niej nie chcę być, ale matką.

Floryan na ten wybuch czułości sam nie wiedział jak odpowiadać.

Milczał. Ona całowała go i ścisкала. Wie-

działa, że okazując czułość dla dziecka, ojca tem sobie pozyszcze.

Małdrzyk zaś—głębiej tylko uczuł jaką lekko-  
myślność popełnił. Swój los oddać w ręce pani  
Perron było niczem—ale dziecka!

W twarzy jego, w ponurem zamysleniu, dni  
następnych widać było jak cierpiał — a przyznać  
się nie mógł, ani szukać na to rady u Jordana.

Wdowa uparcie przy tem stała, ażeby Monia  
przybywszy u niej zamieszkała. Lasockę miano  
obok postawić, ona sama od pierwszej chwili  
chciała się poświęcić swej—przybranej córeczce.  
Małdrzyk nie śmiał się temu sprzeciwiać, co mu  
z tak dobrego serca ofiarowano, lecz prosił tylko  
aby dziecie — nieśmiałe, miało czas powoli przy-  
wyknąć.

W duchu obiecywał sobie odesłać napowrót  
Monię do domu, nimby do ślubu przyszło.

Składało się więc wszystko jak najlepiej dla  
pani Perron—i widać to było na jej rozpromienio-  
nej twarzy, na zdjętym u drzwi zakazie wpuszczania  
gości, których się już nie obawiała. Radość  
ta, spokój były dla Jordana najlepszym dowodem,  
że Małdrzyk słowa swojego nie dotrzymał i przy-  
rzeczenie wdowie uroczyste dać musiał. Nie py-  
tał go o to, przez litość nad dusznym stanem  
jego.

Co do choroby—tej przebieg wogóle najszcze-  
śliwszy. Moulin nie mógł się wydziwić tej sile

z jaką natura oddziaływała w organizmie już naporów starganym i zużytym. Rana goiła się, kości zrastały, siły wracały nadspodziewanie prędko.

Przewidywano już dzień gdy chory, choć o kulach, podnieść się będzie mógł z łóżka. Moulin zawezasu zapowiadał iż długo o kijku chodzić przyjdzie, a noga jedna nazawsze krótszą pozostanie. Lecz tylu sławnych ludzi nakuliwało—dodawał z uśmiechem, przywołując lorda Byrona i Talleyranda! Był to specyficznie francuzki sposób pocieszania.

Małdrzykowi nigdy tak pilno nie było móżdż wstać jak teraz gdy się córki spodziewał. Niecierpiliwił się, błagał, prosił. Doktor od dnia do dnia odkładał.

Perron krzątała się jak zawsze, może nawet z podwójną czułością, lecz Jordan, badający każdy jej ruch, postawę, słowo, każdą marszczkę na czole—nagle spostrzegł iż coś zająść musiało, czy między Małdrzykiem a nią, czy osobiście ją dotykającego. Jakaś okoliczność tajemnicza, niezrozumiała, zasepiła jej czoło, wprawiała ją w rodzaj niecierpliwego rozdrażnienia.

Bliżej się przypatrując temu Jordan przekonał się, że—ta przykrość, której doznała pani Perron nie była w związku z jej stosunkami z Małdrzykiem. Musiała jednak być nadzwyczaj wielkiej wagi, gdyż (mimo umywania) Klesz poznał po o-



czach iż były często zaplakane, zapadły nagle, czoło się pofałdowało.

Perron, dawniej wesola, siadywała jak skamieniała w drugim pokoiku, a nawet przy łóżku Floryana, choć się wysilała na przymilanie mu, wpadała w zamyślenia takie, iż po kilka razy zadawanych jej pytań nie słyszała.

Nie uszło i to uwagi Klesza że najmniejszy ruch w hoteliku, głośniejsza rozmowa, natychmiast wywoływały ją z pokoju. Pytała niespokojnie: co to jest? — posyłała, trwożyła się, a drzwi pokoju Floryana, pod pozorem aby mu się nie naprzykrzano, zamykała starannie.

Zdawała się czegoś obawiać? ale czego? odgadnąć Klesz nie umiał. Łatwy do robienia znajomości z małemi ludźmi, których miłość własną umiał głaskać i oszczędzać—Jordan zawiązał był przyjacielskie stosunki z portyerem, pochwaliwszy kota faworyta jego żony. Prawa ręka pani Perron, starsza panna hotelowa, p. Paulina, była z nim też na bardzo dobrej stopie, ubolewając tylko, że tak miły człowiek mógł być tak okrutnie brzydkim.

Od portyera i p. Pauliny starał się coś dobrać o przyczynie tego złego humoru—Jordan—ale oboje oni, uśmiechali się, ruszali ramionami i bojaźliwe zachowali milczenie.

Miało ono wszakże znaczenie wyraziste—coś

było co musieli tacić. Mówiły to ich twarze, oczy, choć usta mileżeć musiały.

Zawiodłszy się na swej dobrej przyjaciółce p. Paulinie, na odźwiernym, który rozmowę zwracał na politykę i wspomnienia z czasów Ludwika Filipa. Klesz całą rozświecenia tej tajemnicy położył nadzieję w żonie odźwiernego, która lubiła mówić i być słuchaną, a do zachowania sekretu nie zdawała się stworzoną.

Dobrawszy chwilę gdy odźwiernego nie było w domu, a córka, pełna nadziei tłukła w drugiej izdebce fortepianik na pastwę jej oddany, Klesz się przysiadł do p. Petit, która właśnie zajęta była wybieraniem listków sałaty do przyszłego obiadu.

— Proszę kochanej pani—rzekł siadając Jordan—co też to jest z naszą kochaną gosposią, że ona od jakiegoś czasu tak dziwnie humor zmieniła, niespokojną jest i smutną.

P. Petit obejrzała się, ale nie było w izdebce nikogo więcej oprócz siedzącego na próżnym krzeselku kota, który się wdzięcznie łapkami umywał; położyła palec na ustach i staranniej jeszcze niż przed chwilą sortowała liście sałaty.

— Hm?—spytał uśmiechając się do niej Klesz.

Język świerzbiał pani Petit— lecz walczyła z nim, usta jej tylko drgały i krzywiły się, a oczy wyraziście świeciły.

Coś było! Jordan nie ustępował.

— Hm?—odezwał się powtórnie.

— Kiedy bo to, nie wszystko mówić można—szepnęła p. Petit.

— Przedemną? — podchwycił Jordan — jaż przecie jestem przyjacielem domu.

Argument ten trafił do przekonania żonie o-dźwiernego. Córka jej grała zapamiętałe, a pedał trzymany dla wzmocnienia głosu, brzmienie for-  
tepianu podwajał, kot się umywał, męża nie było, a Klesz siedział pochylony nastawiwszy uszu.

— To są stare dzieje. Kochany panie—poczę-  
ła pani z sałatą—bo to nie ma prawdy nad tę, że  
człowiekowi często przeszłość powraca jak czo-  
snek, gdy się go dużo zjadło. Czosnek gdy się go  
je, bardzo smaczny, ale gdy wraca, nieznośny.

Dowcipnemu porównaniu uśmiechnął się z ta-  
kiem współczuciem, że sobie mówiącą pozyskał.  
Raz począwszy jużby też z trudnością mogła się  
wstrzymać od dalszego ciągu.

— Niech to pan przy sobie zatrzyma—mówiła  
dalej—nasza pani ma trochę kłopotu. Jeszcze  
przed kilku latami pono, był tu u nas często  
bardzo przystojny mężczyzna, p. Gerard. Jego  
tu znali wszyscy dobrze, wesoły niezmiernie człek,  
jeździł z próbkami materyj jedwabnych od małych  
fabryk w Lyonie. No—i umizgał się do niej...  
no—i—kto wie co zaszło, ale wyglądało tak jakby  
się miał żenić. To wiem, że pisywali do siebie,  
hom listy trzymała nieraz w rękę. Tymczasem

go wysłali—ot nie wiem dokąd, czy do Turcyi, czy do Ameryki i—pojechał. Był tu na pożegnaniu. (Tu zniżyła głos). Co płaczu było! Potem znowu listy przychodziły z takimi jakimiś znaczkami pocztowemi, z końca świata. Mąż, który się na tem zna, powiadał że z takich krajów, z których rzadko ludzie żywi powracają.

Naraz też listy ustały.

Tymczasem—mówiła dalej pocichu p. Petit—polak przybył, no — i o Gerardzie już ani słyhu. Pan wie jak się ona do niego przywiązała! Strach! Toż oni z sobą zdawna jak mąż z żoną, tylko ślubu braknie.

Tu p. Petit sałatę odstawiwszy na bok, ręką zatuliwszy usta, schyliła się do ucha Jordanowi:

— Otoż... Gerard powrócił! Zarosły, opalony—do niepoznania! Jejmość gdy go zobaczyła, panna Paulina powiada że zemdlala i że ją rozsznurować musiała. Znać go nie chce, a ten powiada slysze że na piśmie ma przyrzeczenie małżeństwa i stoi przy tem mocno. Już kilka razy tu awanturę zrobił, przebojem wpadł. Mdłości, krzyki, klótnie, historye. Dowiedział się nie wiem z kąd o polaku, no i nie dziw bo tu na okolusienko o nim wiedzą wszyscy — więc się odgraża że go zmasakruje. Nie chcesz być moją, nie będziesz niczyją!

Gdzieś z tych gorących krajów, proszę pana,



po których się włuczyl, taki temperament wywiózł. Ani się od niego odczepić.

Jordan pokiwał głową.

— Tylko, zlitujże się pan, nie dawaj poznać że wiesz o tem. Ja pewna jestem że ona się go pozbędzie, tyle tylko że ją wymęczy albo obe-drze, ale to wściekły człowiek! Niech Bóg broni!

Strzepnęła rękami, z których krople wody prysnęły w twarz p. Jordanowi; przyjął je jednak nie ocierając ich nawet natychmiast, tak mu pochwycona wiadomość była pożądaną.

Swiała choć słaba jakaś nadzieja, że ów stary rywal mógł uwolnić Małdrzyka od wdowy.

O więcej szczegółów nie byłby nawet dopytywał Jordan, ale p. Petit była już w biegu—i niełatwo zatrzymać się mogła.

— Bo, trzeba panu wiedzieć — mówiła cicho z minką złośliwą, oko jedno mrużąc — że oni byli z sobą bardzo dobrze i ponfale. On tu niemal gospodarował. Stawał w najlepszym pokoju, śniadania i obiady jedli razem, cichotali, całowali się... nawet ludzi nie wystrzegali. Nie mogę za to zaręczyć, ale ona mu nawet pieniądze podobno dawała. Chwali się pierścionkiem.

Tu żona odźwiernego zrobiła znaczący ruch głową — gdy — dalsze zwierzenie się przerwało wejście samego gospodarza łoży. Jordan go przywitał i wyszedł.

Z tego co się dowiedział użytku zrobić—nie

chciał. Była to plotka, której powtórzyć nie mógł, a spodziewał się że może okoliczności się złożą tak, iż Gerard na jaw wypłynie.

Uparta natura południowa, zdawała się to obiecywać.

Małdrzyk także dostrzegł na twarzy p. Perron jakiejś zmiany, badał ją—lecz strwożona natychmiast się przymuszała do uśmiechu, zagadywała, żartowała i składała swą bladość i smutek na niepokój o jego zdrowie.

Klesz, lada chwila wyglądał już przybycia Moni. W liście swoim do Lasockiej, żądał od niej aby go z drogi zawiadomiła, kiedy przyjechać się spodziewają. Przestrzegał ją też aby nie nagle i nie wprost przybyły do chorego, ale naprzód stanęły we wskazanym hoteliku i dały mu znać o sobie pod adresem kapitana.

Listu tego od Lasockiej długo jakoś nie było, co dowodziło że wyjazdowi stanąć coś musiało na przeszkodzie. Codziennie Klesz chodził do wuja Arnolda i powracał z niczem.

Naostatek pismo tak pożądane — przybyło. Lasocka pisała z Krakowa, donosząc że z wielką trudnością zdołały się wybrać z kraju, że je ściganono, że Monia, która nie była ani zbyt silną, ani nazbyt zdrową, zasłabła trochę, w skutek wrażeń podróży i musiały się dla tego na dni kilka zatrzymać w Krakowie.

Dopisek samej Moni zapewniał iż ją zbyt La-

socka pieścila, że czuła się na siłach do dalsze podróży—a po kilku dniach nie w świecie wstrzymać ją nie potrafi — tak pragnęła coprędzej widzieć ojca.

Porównywając pismo Moni w tym liście do jej dawniejszych korespondencyj, Jordan dostrzegł zmiany, która go zaniepokoiła. Pocieszał się tem że samo wzruszenie mogło wpływać na charakter. Pierwsza podróż, jej wrażenia, rozstanie z krajem, z Lasocinem, sam ten sposób w jaki się Monia wykradać musiała, na kilka dni wzięta przez sąsiadkę—wywieziona potajemnie—mogły nabiwić gorączkę. Charakter dziewczęcia energiczny —nie wydołał zadaniu nad siły.

Zamiast uwiadomienia o liście Floryana — Klesz, namysłiwszy się, zwierzył się z nim tylko p. Perron.

— Wiesz pani—rzekł. — Miałem wiadomość, córka Floryana już jest w drodze. Zwolna i ostrożnie przygotuj go pani do tego.

Wdowa, która niedawno tak gorąco podejmowała się zająć przybyłą — teraz się jakoś zmieszła.

— Cieszę się — rzekła — ale... sama już nie wiem, on tak jest podrażniony... lękam się tego tak pożądanego przyjazdu.

Chciałam ją wziąć zaraz do siebie, rozmyślałam się teraz, że do mnie, jako do gospodyni, tyle różnych ludzi przychodzi. Ona do tego niena-

wykła. Trzeba je będzie tym czasem osobno umieścić.

Klesz zupełnie zgadzał się na to.

— Powiedz mu pan sam o tem—dodała Per-ron—bo ja się lękam ażeby mnie o jakieś zobojętnienie nie posądził.

Jordan przyobiecał w tem chętnie pośrednictwo.

Wdowa tarła zmarszczone czoło, i lzy miała na oczach.

---

Gdy po dłuższem nad wszelką rachubę oczekiwaniu, Klesz otrzymał wreszcie kartkę od Lasockiej oznajmiającą że do Paryża przybyły—zadrgały pod nim nogi, w oczach mu się zamglilo, przestraszył się. Pobiegl coprędzej.

Po latach tylu miał zobaczyć to ukochane dziecko—dziś, jak z listów było widać—niewiastę już nieszczęściem dojrzałą, przybywającą do ojca, aby nowe lzy nad nim wylewała.

Zwątpił biedny czy dobrze uczynił ściągając ją tutaj, a więcej może troszcząc się o los przyjaciela niż o to co ją tu na wygnaniu spotkać miało.

Stał u drzwi Klesz, ocierając pot z czoła, drżący, nie śmiejąc ich otworzyć długo.

Wszedł wreszcie. W głębi pokoju stała słusznego dosyć wzrostu, wysmukła, w czarnej sukni,



z włosami gładko przyczesanemi kobieta, której twarzy dojrzeć nie mógł. Pamiętając tylko dawnego wyrostka Monię, Jordan zatrzymał się wprogu zwątpiwszy czy się nie omylił, gdy dziewczę z krzykiem, z rękami otwartemi, przybiegło mu się rzucić na szyję.

Teraz dopiero mógł się jej przypatrzeć. Były to też same rysy, lecz opromienione boleścią, tęsknicą, piękniejsze niż były, a budzące politowanie, tak młodość ich i świeżość już ten robak cierpienia stoczył i zmęczył. Piękną była — ale jakby nie miała siły się rozwinąć, wzrostem kobieta, kształtami była prawie dziecięciem jeszcze. Błada, z oczami ciemno obramowanemi, chuda, wiotka, ręce miała białe i delikatne. na swój wiek za stare, a trochę żywiej poruszona przywitaniem oddychała ciężko i tchu jej już brakło.

Nastraszony trochę Jordan. podprowadził ją do krzesła, zmuszając aby usiadła. Wybiegła też z okrzykiem radości Lasocka, podróżą do której była nie nawykła tak rozgorączkowana i osłabła że mówić nie mogła.

Oczy swe rozumne wlepiwszy w Klesza—  
Monia wołała:

— A! paneś się nic a nic nie zmienił! a ojciec?

Kiedy zobaczę ojca? Mój Boże! sama myśl że już tu jestem w tem miejscu gdzie on, zawraca mi głowę. Ojciec...

Jordan począł powoli.

— Pani już wiesz?

— A! pani!—przerwało dziewczę—ja dla Jordana jestem i powinnam być przecież Monią, jak dawniej.

— No, to Monia już wie—poprawił się Klesz—że ojciec wiele, wiele przecierpiał, że był chory i zdrów jeszcze nie jest. Noga, którą złamał..

Monia krzyknęła ręce łamiąc.

— Noga się już zrosła — prędko dokończył Jordan— ale potrzeba czasu, aby siły powróciły, a teraz z nim musimy się obchodzić ostrożnie.

— O Boże mój!—zawołało płacząc dziewczę, on cierpiał a mnie tu nie było.

Zerwała się z siedzenia żywo.

— Mój kochany Jordanie, nie wstrzymuj mnie, zlituj się, do ojca!

Klesz się uśmiechnął.

— Muszę go przygotować—rzekł. — Jest lepiej, doktor mu nawet pozwolił już wstać i chodzić o kuli, jednak... wstrząśnienie takie mogłoby być szkodliwe.

— Widzenie dziecka — przerwała Monia — a! nie, to nie może mu zaszkodzić. Zlituj się... Kiedy?

— W żadnym razie niedziś—odparł Klesz— ja ztąd idę do niego, nie powiem mu o przyjeździe jeszcze, tylko że się go spodziewam, zobaczą jakie to zrobi wrażenie. Zresztą—rzekł zbliżając się do Moni — wam potrzeba spocząć także. Mo-

nia znużona, widać to z twarzy, a Florek zobaczywszy ją bladą...

— Ale ja zawsze byłam bladą i rumieniec nie przyjdzie już nigdy. Łzy go zmyły sieroce—dodała smutnie.

Tu Lasocka przerwała:

— A co ja miałam z nią w drodze! Panie Jezu! Spieszyc! spieszyć, ani jeść, ani spać, a tu gorączka, po nocach kaszel. Słyszę przewraca się po łóżku, zasnąć nie może. Lekarstwa żadnego nie chce brać. Chodziłam do Dietla w Krakowie, dał proszki, albo myślicie że brała?

— Bo mnie nic nie pomoże prócz gdy ojca zobaczę i przy nim się przytulę—szepnęła Monia.

— Do jutra! cierpliwości — rzekł Jordan.— Juźciż Monia nie chce aby ojciec chorował.

Spuściła głowę nie odpowiadając i po chwili dopiero z ust się jej dobyło:

— Do jutra, wiek cały!

Lasockiej pilno tymczasem było dzieje dawniejsze opowiadać.

— Co ten biedny anioł wycierpiał...

— Anioł?—roześmiało się dziewczę—Lasociu, szydzisz ze mnie, bo anieli się nie gniewają, a ja nieraz!

— Jak oni ją poniewierali, Boże miłosierny ciągnęła dalej stara piastunka.—Co to było za obchodzenie się z siostrzenicą! a ile razy ona lzy

polykać musiała słysząc jak w jej oczach z ojca się urągano i ogadywano go.

Pan nie wiesz. słowo daję — zawołała głos podnosząc Lasocka. — Koszuli całej, trzewików brakło. Ludzie się litowali. Stare sukienki ze swoich dzieci kazali dla niej przerabiać. Na-ostatek...

Zarumieniła się nieco wybladła twarzyczka Moni.

— Proszę cię. Lasociu, po co to przypominać! Jabym rada wszystko zapomnieć, a co mnie spotkało to przebaczyłam im; tylko ojca losu, nie mogę.

— W ostatku to wydanie jej za męż, na które się naposiedli. Za takiego człowieka!

Dziewczę gwałtowniej jeszcze przerwało:

— Lasociu! męczysz mnie! zlituj się.

Staruszka spojrzała znacząco na Jordana — i zamilkła. Zbliżyła się do Moni i pocałowała ją w czoło.

— Dzięki Bogu, wszystko skończono!

Klesz drgnął myśląc że cierpienie nieszczęśliwej zmienić się tylko miało. Nie śmiał pytać nawet, lecz był pewien, że z kraju żadnych środków utrzymania wywieść nie mogły. Co było począć dalej, jak żyć? z czego?

Na łasce tej kobiety, o którą się jej przeszłość upominała?

Małdrzyk kaleka, osłabły, zarobić nie był w



możności; on, oddając wszystko co miał, nie był pewien czy starczy potrzebom.

Z po za tej chwili jaśniejszej powrotu dziecka do ojca, patrzyła groźna przyszłość, niepewna lub upokarzająca.

Wszystko to przebiegło mu po głowie błyskawicą i zimny pot wystąpił na skronie.

Nie miał sobie jednak do wyrzucenia, że Monię tu sprowadził na nowe męczeństwo, bo to zawsze znośniejszym być mogło jeszcze—nad to co ją u Kosuckich czekało.

Z temi myślami czarnemi, które go rojem obśiadły, po chwili rozmowy, Klesz wyszedł z hotelu, obiecując przybyć nazajutrz po Monię. Wychojącemu zarzuciła dawnym obyczajem ręce na ramiona.

— Jordanie mój! opiekunie ty nasz, dobroczyńco—wołała—nie zwlekaj, wieź mnie do ojca!

Klesz wyszedł odurzony. Sumienie mu wyrzucało nadewszystko że egoista—pomyslał teraz o ożenieniu—gdy właśnie najpotrzebniejszym był sierocie i kalece.

Męcząc się tak i gryząc, musiał biedny wracać do Małdrzyka. Od progu zapowiedział mu już, widząc konieczność, że dziś lub jutro Monia przybywa.

Wiadomość ta, jak się spodziewać należało, do łez poruszyła osłabionego człowieka.

— O mój Boże—zawołał oglądając się po po-

koju, w którym wszędzie były ślady jego choroby i kalectwa—jakże ja ją tu przyjmę! Jakie tu na niej zrobi wrażenie. Ostatni raz trzymałem ją na kolanach w wielkiej sali w Lasocinie—a teraz tu... biedny łazarz odzyskam sierotę.

Klesz starał się nadać weselszy obrót rozmowie, ale się sam dławił tem co mu własna myśl przy nosiła. Jaka przyszłość! jaka przyszłość tych dwojga istot.

W Małdrzyku radość widzenia ukochanego dzlecka tak była wielką, że wszelkie inne myśli i troski stłumiła. Począł się śmiać, chciał próbować wstać i chodzić. Naglił Klesza aby jak tylko przyjadą, natychmiast je tu przywiózł. Posłał po panią Perron prosząc ją o wyznaczenie pokoju dla Moni i Lasockiej.

Wdowa go uspokoiła, że pamiętała o tem. Klesz napróżno chciał wyjść zaraz, bo potrzebował sam być z sobą i pomyśleć o przyszłości. Florek go nie puszczał. Potrzebował z nim mówić, czynił domysły jak córka mogła wyglądać. Uspokoić go nie było podobna.

Nierychło wreszcie Jordan potrafił się z hoteliku wyrwać i poszedł dumać nad Sekwanę. Przechadzającego się tu włączorem mogła policya podejrzyc o jakieś złe zamiary dla drugich, czy dla niego samego, tak posepną miał twarz i chód błędny. Pracował biedny usiłując rozwiązać węzeł splełany, który jedna chyba

wszechwładna śmierć rozciąć mogła. Wyjścia z tego położenia nie było.

Przypomniawszy sobie Klesz nieprędko że jacyś dalecy krewni, matki Floryana. ludzie bardzo majątni, mieszkali w Poznańskiem. Wprawdzie stosunki z nimi były od bardzo dawna zupełnie zerwane, zaledwie jakaś tradycya powinowactwa została, ale zdawało mu się, że czy u nich, czy gdzieindziej w części kraju, który on za własny uważał, znaleźć mogli przytułek, zajęcie jakieś, opiekę, dopóki by powrót nie stał się możliwym.

Postanowił więc o tych krewnych wybadać Floryana, poddać myśl wyrwania się z Paryża, dla Moni. Sądził że przybycie córki, ojca wyleczy z zamysłów matrymonialnych. Marzył biedny tak jak się marzy w zrozpaczonych razach, gdy myśl chwyta nici pajęczce i osnuwa kombinacye najdziwsze, nie mogąc o nie się oprzeć w rzeczywistości.

Powrót do innej części kraju, w Poznańskie, do Galicyi, stał mu teraz przed oczyma jako jedyne zbawienie. Jużciż nie mogło to być, w przekonaniu jego, aby człowiek w położeniu Małdrzyka nie znalazł tam współczucia, serc bratnich, opieki. On sam—gotów był przeprowadzić ich. Potem, mówił sobie, mógł do Tours powrócić, gdzie go serce wołało i panna Ewelina czekała.

Zmęczony myślami Jordan wrócił późno i padł nie rozbierając się na posłanie.

---

Pierwsza chwila łzawego powitania już była przeszła.

Floryan wpatrując się w twarz córki, która mu żonę przypominała, leżał nawpół, półsiedział na łóżku oparty—ona, z oczyma wlepionemi w ojca płakała cicho. Łzy spokojnie biegły po jej bladej twarzyczce. Znalazła go straszliwie wynędzniałym, zestarzałym, zmienionym, innym. Głos tylko pozostał dawny.

Lasocka nie mogła jeszcze w płaczu się utulić łkała, usta chustką zatykała, ocierała oczy, zdawało się jej że przestanie i na nowo łzy ją dławily. Jordan starał się za wszystkich być wesółym i tym humorem w drugich pobudzić radość, lecz i jemu się nie wiodło.

— Moi kochani—mówił—płaczecie przy powitaniu, a cóżby przy rozstaniu było. Chwała Bogu, żeśmy się żywi i cali znaleźli razem. Cieszmyż się.

Floryan nie śmiał rozpocząć rozmowy aby nie tknąć czegoś drażliwego, nie wywołać wspomnień Lasocina, narzekań na Natalię i Kosuckich.

Monia z taktem wielkim, rozpytywała ojca



o zdrowie, o lekarza, o to jak prędko będzie mógł chodzić, omijała wszystko co było z przeszłością w związku.

Jordan zaczepiał Lasocką o wrażenia podróży i Paryża.

Niestety! I ona i Monia nie miały tego bałwochwalczego uwielbienia dla wszystkiego co obce, które obudza w wielu zachwyty dziecienny; przeciwnie wszystko się im wydawało w tych krajach, które przebywały, dziwacznem, nie zrozumiałem, niemiłem, po tej wsi polskiej i cichem życiu w guieździe, z którego po raz pierwszy wyleciały.

Lasocka narzekała na zdzierstwo po hotelach, na niezrozumiałą kuchnię, na ludzi obojętnych i nietowarzyskich, a tak spieszących się i zajętych, że dla nikogo chwili nie mogli poświęcić.

Wśród cichej rozmowy ojca z córką i nieco głośniejszej Jordana z Lasocką—w hoteliku na dole usłyszeli wrzawę. Klesza ucho rozpoznało podniesiony, niespokojny głos pani Perron, odzwiernego, sług i krzyk jakiegoś podróżnego, który jakby naumyślnie coraz wrzaskliwiej się odzywał.

Hałas był taki, że wszyscy mimowolnie umilkli, a Lasocka się przestraszyła.

Floryan, który niespokojnie na drzwi spoglądał, bo się spodziewał i obawiał zarazem—niechronnego przybycia wdowy—i cierpiał zawcza-

su, myśląc jakie będzie z Monią powitanie, poznawszy także głos p. Perron, nieco ochłódł, widząc że się przypóźnić musi, będąc zajętą na dole.

Sprawa ta jakaś sporna, nie ustawała, ludzie biegali ciekawi schodzili po schodach na dół, trzaskano drzwiami; gospodyni wydawszy jakiś rozkaz głosem podniesionym zamilkła—krzykiem jej odpowiedziano, powstał tamult na dole i bramę odźwierny z hałasem zamknął. Nastąpiła chwila ciszy, ale z ulicy krzyk pod oknami parę jeszcze razy przerwał milczenie.

— Przyznam się panu — odezwała się Lasocka—że jeżeli tu tak zawsze hałasują, to dla choro-  
rego niebardzo wygodnie.

— Ale, to jakiś osobliwszy wypadek, nigdy się nic podobnego nie trafiało, od kiedy tu jestem.

Spokój przywrócony został, szeptano znowu, gdy drzwi się otworzyły i— ta, której przybycia tak się obawiał Małdrzyk, weszła blada i pomięszana.

Widać było że się do tego spotkania przygotowała, bo była inaczej ubraną niż zwykle; wdziała suknię czarną, na szyję koronki, łańcuszek jakiś paradny, broszę złotą i rękawiczki. Chciała się wydać dystygowaną, lecz maleńka jej, rucha-  
wa figurka, fizygnomia więcej mająca dowcipu i życia niż powagi, ze strojem tym się nie godziły.

Floryan zbladłszy, podniósł rękę i zawołał zwracając się do pani Perron:

— Moja córka!—A potem ku niej się pochylając, dodał: — Moja dobra opiekunka pani Perron, której pewnie życie i zdrowie winienem, bo mnie w całej chorobie, jak anioł pilnowała. Bądź jej wdzięczną!

Monia wstała żywo i podeszła ku wdowie, która jeszcze do siebie nie mogąc przyjść, bojaźliwym wejrzeniem rzuciła dokoła, i—słowo z ust jej się nie dobyło. Zastępowała go przymuszonym uśmiechem.

Monia pocałowała ją w ramię, Lasocka wstała witając obie z ciekawością wlepiały oczy w piękną francuzeczkę, która pokaszliwała, rumieniła się, bladła, zaczynała mówić — słów jej brakło. Jordan widząc ją tak pomieszana, co, nie bez przyczyny przypisywał jakiemuś wypadkowi na dole, przysunął jej krzesło i posadził.

Chociaż śmiała i przytomna zawsze, na ten raz Perron była tak zburzoną i przelęklą, że nie wiedziała co zrobić ze sobą. Zwiększyło się jeszcze pomieszanie gdy Floryan spytał jej — co się takiego stać mogło w hotelu, iż taki hałas słychać było i głos jej nawet rozpoznał.

— A! to nasz chleb powszedni—odparła z uśmiechem dziwnym pani Perron.—Musimy przyjmować wszelkiego rodzaju ludzi, których się potem pozbyć niemożna. Są takie gbury...

Lecz natychmiast, jakby chciała zatrzeć wspomnienie tego wypadku, zwróciła się wdowa do Moni i prędko, niewyraźnie, zaczęła opowiadać jak się tu jej spodziewała, wyglądała, przygotowała pokój, postawiła nawet bukiet. Zapewniała że jej tu będzie dobrze! że Paryż musi się jej podobać i t. d.

Za najmniejszym jednak na dole odgłosem, drżała widocznie Perron; bladła, nastawiała ucha, i po krótkim spoczynku wstała pod pozorem pilnych spraw, raz jeszcze zapraszając te panie aby się dziś przeniosły do niej.

Wieczorem nie pokazała się rychło. Nadszedł doktor: trzeba było opatrywać nogę, Jordan z pannami pojechał dopilnować przenosin — Floryan pozostał sam.

Późno już Monia z Lasocką przybyły z tłumokami do hoteliku Marsyjskiego — i raz jeszcze chwilę posiedziawszy u p. Floryana, poszły się rozpakować i umieścić w nowym lokalu, dokąd im sama gospodyni towarzyszyła.

Wszystko się pierwszych dni składało dobrze. Wprawdzie, mimo całej uprzejmości p. Perron, nie mogła ona sobie pozyskać ani serca Moni, ani Lasockiej — lecz obie one skarżyć się też na nią nie mogły.

Stara niania, kobieta bardzo doświadczona i przy całej swej dobroduszości, widząca jasno — spostrzegła coś dwuznacznego w stosunku p.



Adeli do Małdrzyka. Poufalość jego z nią nie podobala się ani jej ani Moni, która chodziła zamysłona.

Raziło ją i to że ojciec ciągle mówił o pani Perron o swej wdzięczności dla niej, o obowiązkach, o jej sercu dobrem, o przywiązanii do siebie.

Ze spuszczonei oczyma słuchało tego dziewczę—a Lasockiej się przyznawała, że francuzica się jej wydawała zbyt na swój wiek trzpiotowatą i niekoniecznie dobrego tonu.

— Ale co bo mówisz—przerywała Lasocka—wprost ordynaryjna baba, tylko że paple po francuzku. Dobra może sobie być — a no, czegoś się jej boję.

Zajęcie się zbyt napastliwe Monią, także raziło starą jej piastunkę. Była może zazdrosną.

Po południu drugiego dnia naparła się p. Perron obwozić ją po Paryżu, zaciągnęła do lasku Bulońskiego, przejechała z nią po bulwarach, a w ciągu całego tego spaceru usta się jej nie zamykały. Nie mogła tego pojąć, jak młoda osoba tak obojętnie spoglądała na te cuda niezrównanego Paryża. Wyraziła jej swe podziwienie, na co odparło dziewczę wzdychając:

— Ja ojcem jestem zajęta, i o nim tylko myślę. Biedny ojciec.

— Ale ojciec będzie zdrów, a młodość ma swe prawa! wołała Perron wskazując coraz to

nowe osobliwości, które przed obojętnymi oczyma Moni, przesuwały się nie zostając w pamięci.

Pierwszych dni, nie było czasu o czemś poważniejszym mówić, a Floryan też rozmowę fraszkami zapelniał. Jordan ciągle rozmyślał nad przyszłością i nad tem jak z położenia trudnego wyjść będą mogli, lecz z Małdrzykiem o tem mówić nie było podobna.

Dnie upływały napróżno, nie zmieniając fałszywego położenia, które, Floryanowi szczególnie, Jordanowi i Lasockiej, przewidującej to o czem nie wiedziała, ciężkimi były do przeżycia.

Małdrzyk o kuli i kiju już się po pokoju przechadzał, a Monia napraszała się aby mu za kij służyć mogła.

Jednego dnia Jordan w ulicy złapawszy doktora Moulin, zatrzymał go pytaniem:

— Powiedz mi, kochany doktorze, czy z biedy, z konieczności, nasz chory mógłby odbyć już podróż?

— Z biedy zawsze można wieść chorego, choćby w gorszym stanie niż on, ale nie powiem aby to mogło dobrze wpłynąć na przebieg choroby.

Dla czego pan pytasz o to?

— Ot, tak sobie—rzekł Jordan — bo przecie o podróży żadnej nie myślimy, chociaż mnie się

zdaje, że wiejskie powietrze dla Floryana byłoby lepszym.

— Powietrze, zapewne, ale podróż?

Doktór odszedł ramionami poruszywszy.

Klesz do zupełnego wyzdrowienia musiał rozmowę stanowczą odłożyć. Tymczasem niespodziane zupełnie zaszły okoliczności, które, jak zobaczymy, plany wszystkie pomieszały.

Monia z panią Lasocką były w swoim mieszkaniu dnia jednego, gdy hałas podobny do tego jaki ich tu powitał po przybyciu wszczął się na dole.

U Małdrzyka Jordan był tylko. Słyszając krzyk portyera i jakby szamotanie się na dole, otworzył drzwi i chciał zejść zobaczyć co się tam stało—gdy na schodach zatęniał chód pośpieszny i mężczyna czarno zarosły, średnich lat, z wzrokiem gniewnym, rozpychając służbę, która mu drogę zabiegała, wpadł na górę—wprost na Klesza.

Bez namysłu, popatrzywszy na niego, odepchnął i siłą wtargnął do pokoju. Szukał tu kogoś oczyma, a zobaczywszy Floryana, który oparty na kuli stał przy łóżku, zuchwale postąpił ku niemu. Nie zdejmując kapelusza, podparł się w bok.

— A! to waćpan jesteś ten polak, coś mi tu moją narzeczoną zbałamucił?

Jordan przybiegł osłaniając sobą Małdrzyka, ale napastnik go odepchnął.

— A! śliczny mi seduktor!—roześmiał się—

śliczny! o kulach! kaleka. Chcesz waćpan abym mu drogę nogę strzaskał! Do tego przyjdzie—tak—bo ja tego nie zniosę, aby kobietę, której wierzyłem, która moją była i być musi, wziął mi lada kto z przed nosa.

Małdrzyk cały zczerwieniony, nie wiedział co mówić, pięść ścisnął.

— Mości panie! mości panie!

— Nie nie pomoże—krzyczał napastnik—musimy się rozprawić, na życie lub śmierć. Nie ustąpię!

W tej chwili wpadła blada Perron i zobaczywszy co się działo z krzykiem padła na krzesło.

Małdrzyk stał mrucząc:

— Rozprawimy się.

— A naprzód—wrzasnął francuz dobywając z kieszeni papiery—chcę żebyś wiedział, że ja tu nie stoję bez przyczyny i bez prawa. Oto są dowody że żyliśmy ze sobą jak mąż z żoną, że mam uroczyste przyrzeczenie małżeństwa.

Od tego nie ustąpię. Bić się, będę się bił—procesować się, będę procesował. Dostyc dla niej cierpiałem. Spytaj z jakich szpon ją wyrwałem, w jakim była położeniu, co mi winna.

Przywiązałem się do tej niewdzięcznicy, cierpiałem dla niej—odegnać się nie dam... a... przywiedzie mnie do ostateczności, zabiję ciebie, zabiję ją... zabiję kto mi w drogę wlezie.

Jordan starał się go upamiętać.



— Za pozwoleniem—rzekł biorąc go za rękę, odtrącony natychmiast.

— Nie wdawaj się w rzecz nie swoją.

— Jestem przyjacielem tego pana, do którego niesłusznie się waćpan czepiasz.

— Jakto, niesłusznie?

— Że pani Perron przez litość go pilnowała w chorobie, przecież prawa waćpana naruszone nie są!—zwołał Jordan.—Nikt panu narzeczonej odbierać nie myśli.

Floryan zarumieniwszy się wtrącił:

— Ale, gdyby tak było? jakie masz waćpan prawa? kobieta sobą rozporządza, jest wolną.

— Nieprawda! na piśmie mam jej przyrzeczenie. Synaczek się nasz chowa w Anzières.

Pani Perron zemdląła wykrzyknawszy coś—Floryan padł na łóżko. Jordan przystąpił do zapalenia.

— Jestto sprawa pani Perron i wasza — rzekł—mój przyjaciel na prawa jego następować nie będzie. Ustąp pan, proszę... lub...

Przyszedłszy do siebie, wdowa z krzykiem podbiegła do francuza, chwyciła go za rękę i gwałtem wyciągnęła z pokoju.

Cześci tej sceny—niestety—Monia i Lasocka były, jeśli nie świadkami, to słuchaczkami w sieni. Dziewczę zrozumiawszy położenie uciekło się zamknąć w swej izdebce.

Klesz chciał natychmiast korzystać z wypad-

ku i przystąpił do Floryana, który z głową w dłoniach leżał na łóżku.

— Sluchaj Florek — rzekł—nie pozostaje ci nic, jak natychmiast się ztąd wynosić. Ani tobie, ani twojemu dziecku dłużej w tym domu nie przystało zostać. Każę cię bodaj na rękach przenieść do pierwszego lepszego hotelu.

— Na Boga, człowiecze, jam dłużny —zawołał Maldrzyk, jam zadłużony, ja przywiązałem się do niej. Cóż pocznę ze sobą i dzieckiem...

I zajęczał bolesnie.

— Zapłacę co potrzeba, wszystko — zawołał Jordan—tu o coś więcej idzie niż o pieniądze, bo o twoją cześć, o przyszłość dziecięcia. Musimy iść ztąd. Ta kobieta...

Maldrzyk dał mu znak aby nie śmiał nic mówić na nią. Jordan zamilkł, lecz nie ustąpił.

— Pakować się i wynosić! — zawołał — od tego nie ustępuję. Idę do Moni, aby i one były gotowe. Sam widzieć się będę z gospodynią i ureguluję rachunki. Musimy ztąd, natychmiast, dożyć jest tej jednej sceny.

Klesz mówił z taką energią, tak nakazująco, iż Maldrzyk zawsze miękki — uległ. Byłby się opierał może, gdyby nie dziecko.

Nie tracąc chwili, Jordan pobiegł na górę do gospodyni. Zastał tu francuza przechadzającego się wielkimi krokami po jej saloniku z miną zwycięzcy. Perron siedziała na kanapie z rękami

załamanemi. Na widok wchodzącego francuz poskoczył do progu groźnie.

— Przychodzę panią od nas uwolnić i od niepokoju a nieporozumienia, którego byliśmy przyczyną—odezwał się Jordan niepatrząc na francuza. — Wynosimy się natychmiast. Radbym nasz dług opłacił, przynajmniej ten, jaki się daje opłacić pieniędzmi — bo wdzięczność za jej starania około chorego, pozostanie na zawsze długiem.

Wdowa wstała z krzesła jakby chciała zaprotestować, francuz spojrział na nią groźnie.

— Wynoście się, tak, tak wynoście — rzekł szydersko—szczęśliwej drogi, a co się należy zapłaćcie. Kłaniam uniżenie.

I wskazał na drzwi.

Jordanowi tego tylko było potrzeba, wyszedł co żywiej, krzając się tak i rzucając pieniędzmi, że w godzinę wszystko było gotowe. Hotel wybrany jak najbliżej, mieszkanie na parterze, dozwalało Floryana o wieczornym mroku przeprowadzić pieszo do nowego lokalu.

Monia z jednej strony, Jordan szedł przy nim z drugiej. Rzeczy zrzucono w nieładzie naprędce, zdano komisyonerom, przewieziono niebawem. Szło głównie o chorego, którego położono na łóżko, a Klesz przewidując gorączkę, posłał po dr. Moulin.

Małdrzyk był przybity, milczący, nie mówił słowa.

Spadło to na niego jak kamień na głowę przechodnia, zmiana tak nagle poruszyła całą jego istotą, lecz widział przy sobie dziecię, nieodstępował go przyjaciel i rozważa musiała mu też wskazywać, że położenie jego wcale się nie pogorszyło.

Skłonny z charakteru do gwałtownego ale krótkiego tylko poczucia każdej boleści, Floryan już szukał dla uspokojenia się—tego coby go pocieszyć mogło.

Klesz dnia tego nie odszedł ani na chwilę. Córka także upierała się aby noc spędzić przy ojcu, udając jakby całego zajścia nierozumiała i tłómaczyła je jakimś sporem i nieporozumieniem.

Doktór przybyły przepisał lekarstwo, głowę potrząsł, nakazał spoczynek i, trybem wielu w podobnych razach, dał morfinę, aby sen choć sztuczny sprowadzić.

Okolo północy Małdrzyk spał, a Monia z oczyma suchemi modliła się przed obrazkiem starym, N. Panny, który z domu przywiozła.

---

Kilka dni po katastrofie upłynęło. Floryan był spokojniejszym. Klesz niemal wszystkie pieniądze jakie miał obrócił na spłacenie dosyć znacznego długu w Marsylskim hotelu, w którym już



dawny przyjaciel pani Perron rozporządzał się jak we własnym domu.

Szło teraz o to pocziwemu Jordanowi, ażeby przyjaciela z tego Paryża, do którego sam go przywiózł, wyciągnąć. Życ tu nie było z czego, ani na życie zarobić, zwłaszcza z domem, w którym dwie osoby przybyło. Moni ani Lasockiej nie mówił nic jeszcze Jordan, czekając ażby stan zdrowia Małdrzyka pozwolił z nim o podróży tej się rozmówić i skłonić go do niej.

Wybrał wreszcie chwilę, która mu się wydała stosowną. Floryan był spokojny i ostygły.

Żał po p. Perron, do której starań około siebie i szczebiotania był przywykł, powoli ostygł. Klesz przypominał mu, że bądź co bądź, choć dobrego serca, kobieta była płochą, lekkomyślną, a wyzwolenie od niej prawdziwem dla Moni dobrodziejstwem.

— Mój Florku—począł dnia tego, ton przybrawszy wesoły.—Prawda że ja głupi wyciągnąłem ciebie do tego Paryża—*mea culpa!* Spada też na mnie obowiązek ciebie wyrwać z tego piekła. Niedosyć djabłem jesteś, abys w nim mógł żyć.

— A dokądże? gdzie? do Ameryki!—rozpaczliwie prawie przerwał Małdrzyk.

— Bój się Boga!—zawołał Klesz.—Ja sędzę że nazad ku swoim, ku domowi. Jeżeli nie do Lasocina, bo tam dotąd nie można, choć nie roz-

paczam ażeby kiedyś się tam nie powróciło, to przynajmniej... hm?

Tu stanął i jakby sobie nagle coś przypomniał rzekł:

— Mówiłeś mi kiedyś, że masz dalekich krewnych w Poznańskim.

— Tak, bardzo dalekich powinowatych matki — odezwał się Małdrzyk poruszając ramionami — ale nie miałem z nimi nigdy stosunków. Nie znam ich, nie sądzę ażebym się do nich mógł odezwać nawet.

— No, a gdybyś spróbował?

— Zdaje się że to byłoby napróżnem, a mnie i im przykrem—rzekł Floryan.

— Pozwolisz mi napisać? toby ciebie nie kompromiowało?

— Na nic się nie zda—odparł Floryan.

— Przypuszczając nawet że ta daleka rodzina odmówi ci kąta i przytulku—mówił Klesz dalej —jużciż zawsze tam bylibyśmy na naszej ziemi, wśród swoich. Jest niepodobieństwem aby się tam ku nam choć jedna poczciwa dłoń nie wyciągnęła.

— Nie wiem—rzekł zimno Floryan—nie mam wyobrażenia o tem. To prawda że u nas, u mnie w Lasocinie krewny nie krewny, człowiek w takim położeniu jak ja, byłby otwartemi przyjęty rękami—ale... tam--w Księztwie? nie wiem.

— Ja jestem pewnym, że tam być gorzej nie może.

I pomilczawszy trochę, Klesz dodał: Napiszę. Małdrzyk się nie sprzeciwiał.

Potrzeba było z listem i decyzją spieszyć, bo—jeden Klesz o tem wiedział najlepiej, środki utrzymania zupełnie się wyczerpywały. Lasocka całą swą, bardzo szczupłą, kasę oddała pod rozporządzenie Jordana. Potrzeba się było rachować z obiadami. On sam jadał znów w Bulionie Duvala, sekretnie, kawaleczek mięsa i chleba. Wina nie pił.

Zapas jaki z sobą przywiózł poszedł na spłacenie długów. Tail on to szczególnie przed Monią, ale oko jej i serce odgadywało co przed nią ukrywano. Miała małe pamiąteczki po matce, nie bez wartości, nie zwierzając się nikomu—wyszła z Lasocką na miasto i pokryjomu je sprzedala. Lecz obie się do tego wzięły tak niezręcznie, musiały mieć tak podejrzaną powierzchowność z powodu przestachu, że jubiler, widząc przedmioty dosyć cenne w ręku osób ubogo wyglądających—zatrzymał je, i mimo prośb najusilniejszych, sam z nimi poszedł do hotelu. Tu się nastęrczył Klesz, który, nic nie mówiąc Floryanowi, wyzwolił dwie kobiety przestraszone.

Monia zaklęła go na wszystko, aby klejnociki jej sprzedał, a Jordan po małym oporze, zgodzić się musiał na to. Tym sposobem na czas jakiś.

spokój był zapewniony, lecz pamiątki stracone zostały.

Monia ubłagała Klesza, aby ojcu jej nie ważył się o tem wspominać.

Oprócz tego, człowiek po którym ani serca wielkiego, ani zbytnej ofiarności spodziewać się napozór nie było można, Micio de Lada, wywieiedział się o mieszkaniu Floryana i zaprzysięgając mu się, że z rachunków przekonał się iż był dłużnym jeszcze, złożył do rąk jego parę tysięcy franków. Prawda że dnia tego, jak mówił, na giełdzie wygrał kilkadziesiąt tysięcy na jakichś cudownie idących w górę hiszpańskich papierach.

Być może iż nie samo sumienie, ani sama wspaniałomyślność skłoniły go do tej ofiary. Złożyło się tak że przyszedłszy do Małdrzyka, zastał przy nim córkę. Dziewczę, pomimo smutku, bladeści, wychudzenia, miało nieopisany wdzięk i wyraz w twarzy, prawdziwie urok podbijający tych co z nią się spotykali. Począwszy od sług płci obojga, od najmniej podlegających urokom, kwaśnych i zgorzkłych ludzisk starych, aż do dzieci, Moni dosyć było z kim godzin kilka przebyć, aby go do siebie przywiązać.

Urok taki mimowolnie rzuciła na tego płochego Micia—dla którego miała to czego w żadnej paryżance znaleźć nie mógł, coś—prawdziwego, szczerego, naiwnego, czego najlepiej grana komedia nie zastąpi.



Z tą otwartości dziecięcą. Monia przyjęła przyjaciela ojca, uprzejmie. Nie można było mu odmówić wdzięcznej powierzchowności, może tylko zbyt wyuczony, a choć płochym był i podpsutym, coś mu polskiego serca zostało.

Micio zajął się niezmiernie panną Monią a co zatem szło, ojcem jej—losami obojga. Ujęła go tym rodzajem poufalości polskim dziewczynkom właściwej, które o nic złego nie posądzając nikogo, rade być przyjacielsko ze wszystkiemi. Micio się jej dosyć podobał i trochę ją zabawił—ona uczyniła na nim wrażenie piorunujące.

Było to coś naksztalt rozkoszy z jaką się pije czystą, dobrą wodę źródlaną, po długim używaniu sodowej.

Wyszedł upojony; a że się łatwo mógł domyśleć w jakim położeniu był Florek, wcisnął mu owe parę tysięcy franków.

Małdrzyk połowę natychmiast oddał Kleszowi, wiedząc że on go z niewoli Marsylskiej wykupił. Klesz bronił się w początku, potem je przyjął.

Oczekiwano na odpowiedź z Księstwa bardzo długo.

Rodzina, do której się Jordan zgłosił, w istocie od tak bardzo dawna o Małdrzyku nic nie wiedziała, że odebrane pismo wydało jej się jako rodzaj oszustwa, próba wyzyskania ich, chęć wymożenia jakiegoś zasilku. Pan Ksawery M., człek

ogłębny i niechętny do wydawania grosza, którego dla siebie dużo potrzebował, podejrzliwym był i w początku list rzucił, nie mając nawet zamiaru odpowiedzenia nań. Ciekawość w ostatku przemogła. Mając stosunki bardzo arystokratyczne i dawną znajomość z kasztelanem, p. Ksawery napisał do niego żądając informacji, o tym, jak go w liście nazwał—samozwańcu.

Kasztelan, jakieśmy widzieli, miał właśnie najlepsze dowody że Małdrzyk samozwańcem nie był, lecz od tego czasu, gdy go poznał, lat wiele przepłynęło i plotek też wiele dostało się do uszu staruszka.

Część emigracyi, z którą Floryan miał stosunki nie zbyt bliskie, kosem nań okiem patrzyła. Wiedzano że się plątał po cyrkach, że miał jakieś podejrzane przyjaciółki, że się jakoby chciał żenić z kobietą płochą, że grał i zgrywał się na giełdzie — słowem wszystko to co Małdrzykowi szkodzić mogło. Stary kasztelan więc odpisał ogłębnie, nie potępiając, lecz też nie zalecając człowieka, który w jego przekonaniu na twardej los, jaki go spotkał, zasłużył. Konserwatysta i mąż pobożny bardzo, nie był kasztelan pewnym, czy Małdrzyk nie należał do radykałów i demokratów, owszem podejrzywał go o to.

Wszystko to odbiło się w liście, pomiędzy którego wierszami stało więcej i domysleć się było łatwo, niż sam list zawierał.

P. Ksawery, odebrawszy to pismo, zebrał się na odpowiedź Kleszowi, przykrą, ostrą, odtrącającą i niepozostawiającą najmniejszej nadziei zbliżenia.

Sama myśl ta żeby miał do domu swojego przyjąć jakiegoś przybłądę, może propagatora jakichś niebezpiecznych idei, któryby go naraził na zajścia z landratem—przejmowała go trwogą.

Jordan odebrawszy odpowiedź, zgryzł się mocno, zdarł ją w kawałki i słowa nie powiedział o niej przyjacielowi.

Zarazem Micio, który już niemal codziennie zabiegał teraz do Małdrzyka, choć niezawsze tu Monię mógł widzieć—mając potrzebę dla swojego interesu win, jechać do Księstwa, popierał silnie myśl Klesza, aby tam szukać spoczynku i przytułku.

Ofiarował się przeprowadzać, i przez własnych znajomych i przyjaciół dopomagać. Monia także z Lasocką, obie stęknione za krajem, wyobrażając sobie że tam go znajdą, popierały całym sercem projekt Jordana.

Floryan się opierał jeszcze, chociaż nie miał nigdy siły dosyć do wytrwania w długiej opozycji, a tu przeciwko sobie miał córkę, którą jedną na świecie kochał nad wszystko. Dla niej gotów był nawet do ofiar najprzykrzejszych dla siebie, charakterowi najmniej właściwych. Wiązał go tylko ten Paryż, do którego kilkoletnim pobylem

się przyzwyczał. Być może iż ostatki nałogu serdecznego, przypomnienie pani Perron, jakaś dziecinna nadzieja—zobaczenia jej, zbliżenia się, wpływały na to usposobienie. Lecz wdowa znaku życia nie dała. Kapitan Arnold przez panią Durand miał wiadomość, że nawet ślub już pociachu zawarty został, między nią a zapalczywym marsylczykiem, który ostro ją trzymał. Durand z ubolewaniem mówiła że była bardzo nieszczęśliwą, lecz że się przez miłość dla synaczka poświęciła.

Klesz wiadomość o tem co najprędzej udzielił Floryanowi.

Po kilku dniach wahania, po różnych zarzutach przeciw podróży, Małdrzyk milczące dał przyzwolenie. Lecz, wezwany na radę doktor Moulin, stanowczo dłuższej podróży zabronił i czekać kazał do wiosny.

Micio de Lada, któremu było zrazu nadzwyczaj pilno do Księstwa, interesa swe przez listy pozalałtował i—został w Paryżu. Nigdy większej, gorętszej przyjaźni nie okazywał dla Małdrzyka, jak teraz. Jordanowi zdawało się że bezpiecznie go do wiosny może zostawić na straży; aby móż wrócić do Mamów, a więcej jeszcze do p. Eweliny, której listy były prawdziwie rozpaczliwe.

Postanowił jechać. Ostatniego wieczoru, powyjściu wszystkich, przysiadł się u łóżka Floryana.



— Muszę cię dziś pożegnać — odezwał się do niego — no, i prosić o błogosławieństwo.

— Mnie?

— A, tak! Wszakże wiesz, że się żenię.

— Nie wyrzekłeś się tej myśli?

— Nie — odparł Klesz żartobliwie — widać że napisaniem było iż jeden z nas to głupstwo popełnić musi, poświęcam się za ciebie.

— Jorku kochany, przypomnij sobie jakieś mnie od tego odwoził. W twoim wieku, panna i niemłoda, jak mówisz, i nic nie ma... ty...

— Tak, obojeśmy niemłodzi, oboje goli, ale, kochamy się, mój Florku. Dla ciebie coś się kochał i podkochiwał tyle razy w życiu — rzecz nielakoma powtarzać starą komedję, ale dla mnie — nowalia! Więc, przebaczone żem raz uległ pokusie. Nie ma sposobu — słowo się rzekło... żenię się.

— I pozostajesz tu?

— W Tours — rzekł Klesz — co nie przeszkadza abym cię nie odprowadził aż do Poznania.

— A potem? — smutnie zapytał Floryan.

Klesz ścisnął jego rękę.

— Jestem egoistą! — westchnął — tak! to prawda. Daruj. Któż wie, co i gdzie nas jeszcze czeka.

Takie było pożegnanie dwóch starych przyjaciół.

Micio opatrzony w surową instrukcję od Klesza obejmował jego obowiązki opiekuńcze — i o-

biecywał się z nich wywiązać gorliwie, o czem Jordan nie wątpił. Nie widział on w tem żadnego niebezpieczeństwa dla Moni, która się z nim obchodziła z powagą, taktem i uprzejmością nie dopuszczającą poufalości zbytycznej, Lasocka zaś miała baczne oko i może do zbytku strzegła dziewczęcia, które nie potrzebowało takiego dozoru.

Monia bowiem jak w swych listach, tak w o-  
bejściu się z ludźmi dowodziła wyższości swej  
i dojrzałości nad wiek. Niepospolita to była isto-  
ta, która umiała być młodą wrażeniami—a była  
rozumem i panowaniem nad sobą, niemal starą.  
O ile pieczyoty rodzicielskie często psują, tyle  
sieroctwo, upokorzenie, ciągłe nagany i upoko-  
rzenia często podnoszą i kształcą. Szkoła nie-  
szczęścia jest wielką mistrzynią. Monia byłaby  
może uciskiem tym zgniecioną, byłby on wywołał  
w niej skrytość, skłonność do udawania, pokorę  
nienawiścią podszytą, gdyby—przyszedł był od  
kolebki nie dając się jej rozwinąć, Szczęściem  
rodzicielska miłość strzegła jej dzieciństwa,  
a męczeństwo przyszło gdy już umysł i serce by-  
ły nawpół rozwinięte, gdy szlachetniejsze prądy  
w nich grały. Nauczyła się cierpieć milcząco,  
znosić łagodnie i cicho, a co na zewnątrz wyjść  
nie mogło, skupiło się w sercu i duchu.

Miała więc podwójny urok młodości i powa-  
gi z nią połączonych i niedziw że ów Micio de

Lada, tak się w niej rozkochał. Pod wszelkiemi względami nie był on jej wart, był cały na zewnątrz, na okaz, a w sercu miał pustki jak w głowie; lecz umiał się przedstawić pięknie, swe wady zamaskować zręcznie i tak jak niektóre piękności stające z profilu zawsze, bo wiedzą że się tak najlepiej wydadzą—on się przedstawiał zawsze z tej strony, która go miłym czyniła.

Był to pierwszy przyzwoity mężczyzna, mający pozory dobrego wychowania, który się do niej zbliżył i okazał jej coś więcej nad zwykle współczucie. Monia się wprawdzie nie zakochała w nim, bo była w tym stanie ucisku, który nie dopuszcza rozmiłowania się—ale mile patrzyła na niego, przyzwyczała się, był jej niemal potrzebnym. Ojciec nie posądzał wcale Micia, który o lat kilkanaście od Moni był starszym, choć wyglądał bardzo młodo, aby mógł mieć jakie zamiary. P. Floryan marzył, że taka doskonałość jak jego córka, na której wszyscy się poznać musieli, niechybnie znajdzie sobie świetną partycę, do której nazwisko jej dawało prawo. Łudził się też że i posag muszą oddać Kosuccy. Tymczasem przyjmował posługi Micia, jako dowody przyjaźni dla siebie.

Po wyjeździe Klesza, Micio stał się gościem codziennym, a że, jak mówił, fortuna mu sprzyjała, zręcznie bardzo dopomagał p. Floryanowi a jego paniom do uwygodnienia życia, aby oszczęd-

dności przymusowej i braku niczego nie uczyły. Bawił Floryana, jeździł z paniami, najmując dla nich powozy, prowadził je swoim kosztem do teatrów, wmawiając że miał darmo bilety od dyrekcyi i t. p.

Monia nie była chciwą ani widowisk, ani ciekawości, a jednak bawiło ją to i zajmowało. Z chłodną rozważą patrzyła, uczyła się i rzadko coś do jej uczucia przemówiło, uniosło ją na chwilę.

Micio im dłużej z nią był, patrzył na nią, słuchał jej, tem był mocniej zachwycony, a razem czuł dla niej głębsze poszanowanie.

Gdy w Paryżu Małdrzyk powoli przychodził do zdrowia i chodzić już próbował—Jordan wyjechawszy do Tours, schwycony przez pannę Ewelinę, stęskniony za nią i swem życiem spokojnem—dał się poprowadzić do ołtarza. Najął sobie w bliskim domu ubogie mieszkanie na dwoje, które Ewelina wyświeżyła i ubrała, aby mu w niem dobrze było — powrócił do Mamów i do swych zajęć, a że o Floryana do jakiegoś czasu był spokojnym, zajął się znowu pracą około drukarni, korekt i redakcyi pisemek popularnych, w czem celował.

Pryncypał jego obawiał się tak zdolnego i skromnego utracić człowieka i dowiedziawszy się o ożenieniu, nietylko ofiarował się do ślubu za świadka, do wesela za gościa—lecz pod serwetę nowożeńcowi włożył znaczny podrekał nowy kon-



trakt, który mu na przyszłość spokojnym być dozwalał.

Jordan zawczasu był sobie wymówił pozwolenie przeprowadzenia przyjaciela w Poznańskie, na co się zgodzono — lecz zaraz po ślubie, żona poczęła powoli przekonywać go, że to poświęcenie się nowe było zupełnie zbytecznem.

Nie sprzeciwiała mu się, ale umiała tak przedstawić rzeczy, na mocy własnych danych Jordana, iż podróż ta wydawała się dla niego szkodliwą a dla Floryana niepotrzebną.

Klesz prosił Moni, Lasockiej a nawet Micia, aby mu donosili o wszystkim. Z tych listów, zwłaszcza ostatniego, konieczność podróży się nie okazywała. Lada wołał sam być z Maldrzykiem i jego córką i sam tylko do ich wdzięczności mieć prawa.

Wprawdzie znał Księstwo o tyle tylko, że w niem parę razy po pańskich domach, trochę wina umieścił; zresztą stan jego majątkowy, duchowy, usposobienia, obyczaje, były mu obce, a jak większa część tych co długo żyli w Królestwie i prowincjach Zachodnich, z nich sądził o Poznańskim, co go w błąd wprowadzić musiało.

Nic bowiem niej do siebie podobnego nie ma, przy zewnętrznej i pozornej podobiznie oblicza, jak Księstwo pod wpływem niemieckiego wychowania i kultu zgniecione—i prowincye te, w któ-

rych mniej wychowywano, mniej przycwilizowywano, i gdzie się jeśli nie zewnętrzne znamiona to charakteru sprężyny stare lepiej uchowały. Pomijając tysiące przykładów wielkiej różnicy w całym ustroju duchowym, wymienim tylko jeden wielkiego znaczenia. W Królestwie i Zachodnich prowincjach przybysz z innych części dawnej Rzeczypospolitej, zawsze i wszędzie witalnym był, przyjmowanym, wspieranym prawdziwie po bratersku—gdy w Księstwie budził on natychmiast niewiarę, wstręt i zyskiwał imię „przybłądy“, z niemiecką szorstkością i wyrachowaniem odtrącano przychodniów, a takie domy jak Miłosław, były oazami na pustyni.

Miciowi zdawało się, był najmocniej przekonany, że taki los jaki spotkał Małdrzyka, musiał dla niego obudzić najżywsze współczucie, że się o opiekę nad nim i córką wszyscy będą ubiegali.

Floryan też oswojony był z myślą wyjazdu z Paryża, marzeniem jego było, znaleźć gdzieś małą dzierżawkę, osiąść na wsi, wziąć się pilno do gospodarstwa i czekać lepszych czasów. Za co zaś miał wziąć dzierżawę, nabyć inwentarz i gdzie znaleźć kapitał w gospodarstwie niezbędny—nie myślał o tem wcale. Jakoś to będzie!—powiadał sobie.

— *Station Posen!*...

Slicznym późnym już wieczorem wiosennym—  
dał się słyszeć wykrzyknik ten u drzwiczek wa-  
gonów, które się w niepoczesnym dworcu zatrzy-  
mały.

Pierwszy Micio de Lada wyskoczył na peron,  
zabierając torby i torebki, które rozkładał na zie-  
mi. Wsiadła potem Lasocka, Monia, a towarzyszy  
podał rękę podpierającemu się na lasce p. Floryanowi, który wzruszony, odezwał się cicho:

— Nareszcie, jesteśmy na swojej ziemi, mię-  
dzy swojemi!

Toż samo uczucie biło w sercu Lasockiej i  
Moni.

Dziwili się tytko potroszę, dotąd w kolo nie  
słyszac nic nad niemiecką mowę, głośną, a ledwie  
szepoty urywkowe po polsku.

Mrok niewiele widzieć dozwalał. Zwolna wszy-  
scy razem zaczęli wychodzić, przez natłok ludzi  
się przeciskając ku dorożkom, które na podróz-  
nych oczekiwały.

Micio, znający Poznań potroszę, jeszcze nie  
był pewien czy ma wieść do Bazaru, czy do Ho-  
telu Francuzkiego. Floryan był za Bazarem, sły-  
szał coś o nim, równie jak o Tellusie, którego  
wzniosły cel dawał mu wysokie wyobrażenie o po-  
czuciu obowiązku zachowania ziemi w rękach  
polskich.

W świetle tych instytucyj i kraj się mu wydawał opromienionym.

Zamówiono powóz i wolnym krokiem rozpoczęła się podróż do miasta twierdzami otoczonego, przez więzienne jakby bramy, które smutne zrobiły wrażenie.

Ale tuż w drzewach zielonych śpiewały słowiki tak wesoło, jakby tam nigdy prusaków nie było. W Bazarze panował nareszcie język polski i kuchnia nasza kraj żywo przypominała.

Lasocka roześmiała się zobaczywszy kureczę pieczone na rożnie, za którem, równie jak za barszczem, tęskniła.

Floryan był w najświetniejszym humorze, zdawało mu się, że do portu bezpiecznego przypłynął, był wdzięcznym Miciowi że go tu dowiózł i myślał tylko, w której stronie Księztwa,\* jak najmniej ziemczonej, ma szukać dzierżawy.

Wieczór upłynął tak wesoło, jak już oddawna nie pamiętano. Lasocka, oprócz kureczęcia, znajdowała powietrze zupełnie innym, zdrowszem i posilniejszym.

Micio następującego dnia program oznaczył. Monia z Lasocką chciały go rozpocząć od nabożeństwa w katedrze, u grobu pierwszych królów; miał je tam poprowadzić Lada i pokazać pomnik Mickiewicza. Potem, ponieważ monumentów i starożytności niewiele już do widzenia pozostawało, kobiety miały odpoczywać, pilnować i zaba-



wiać p. Floryana, a Micio puścić się na zwiady, na badanie gruntu, na przygotowanie jakiegoś działania, którego on sam dobrze określić nie miał.

Znajomych miał tu dosyć, chciał się ich radzić, zwierzyć im, pomówić obudzić współczucie dla wygnańca. Naturalnie rachował na Kurnatowskiego, u którego się zawsze najlepsze i jemu najpotrzebniejsze towarzystwo zbierało. Dalej, zdało mu się iż wszystko miało pójść samo z siebie, jak po maśle.

Pierwsza część tego programu, wędrówka do katedry, powiodła się zupełnie, chociaż ciepły deszczyk majowy, zmusił rozpiąć parasole. Ustał on potem i spojrzano na Mickiewicza.

Micio odprowadził kobiety do Bazaru, a sam, zapowiadając im że musi biegać za interesami, nie obiecał się powrotem aż wieczorem.

— Czegóż się pan masz tak spóźniać i papę samego zostawiać?—zapytała go trochę się marszcząc Monia.

— Pani moja—odparł żywo Lada—ja muszę szukać kogoś, rozpytywać się, słowem, właśnie dla p. Floryana pracować, aby się tu długo w mieście nie nudził. Wrócę jak tylko będę mógł.

— Dobrze, więc ja ojca zabawię i pana zastąpię—dodała Monia—ale bez was długo się nie obejdziemy.

Słówko to było nader pochlebne dla Lady.

żeby za nie serdecznie rękawiczki panny Moni nie ucałował.

Pobiegł natychmiast, cały rozpromieniony chęcią służenia ojcu tej anielskiej istoty.

P. Floryan, cierpiący na nogę po znużeniu podróżą, ulokował się był przy oknie swojego pokoju wychodzącem na ulicę, siadł, na drugim krzeselku wyciągnąwszy chorą nogę i — patrzył z żywym zajęciem. Chciał tu koniecznie coś swego, kraj mu przypominającego zobaczyć. Fizyognomia ulicy i przechodniów zdumiała go — była niezrozumiałą. Od idących dołem dolatywały go tylko wyrazy niemieckie. Sługi nawet idące ku rynkowi z koszykami szwargotały. Kiedy niekiedy przesunęła się staroświecka kapota mieszczańska, do której żywiej uderzyło serce, pokazał się chłopiek w sukmanie, wóz włościański, kobieta w krasnej chustce na głowie, niewstydzająca się głośno mówić po polsku, zresztą, bezbarwną była ulica, a wojskowych wśród tłumu gęsto, w liczbie przemagającej.

Z narodowych wspomnień został tylko ubogi mieszczanin i niemniej biedny chłopiek, przy których zawsze znamię pierwotne najdłużej się utrzymuje, przylega do nich i nie ściera. Inne klasy ludności, zdawały się chcieć ukrywać swe pochodzenie, nieledwie jako rzecz jakąś wstydliwą. Paletotowi i surdutowi ichmość, choć ich wąsate

twarze zdradzały typ polski, głośno rozmawiali tylko po niemiecku lub po francuzku.

To co Floryan widział w ulicy, było w istocie uosobieniem procesu, jakiemu kraj podlegał. Mieszczanin i chłopiek zostawali nim nietknięci, reszta fermentowała już przetwarzając się na jakiś produkt bezimienny, bezbarwny, przechodni.

— Ulica bo nic nie dowodzi — mówił sobie Małdrzyk, nieco boleśnie widokiem jej dotknięty. Lepsza część społeczności jest na wsi, miasta zawsze naprzód cudzoziemceją. Urząd, wojsko, nadaje im ten charakter.

Wychylony, zapatrzony p. Floryan, nie uważał że przeciwną stroną idący trotuarem mężczyzna niemłody, skromnie ubrany, stanął zaczął się mu pilnie przyglądać — zawahał, głowę pokiwiał i ostrożnie przybliżać zaczął, jak gdyby oczom nie wierzył i chciał sprawdzić to co widział.

Człowiek był twarzy bladej, wymokłej, chudy, żółty, w kapeluszu zużyтым, czysto ale ubogo odziany, z pozoru zdający się należeć do klas cywilizowanych, lecz zbiedzony i jakby podupadły.

Małdrzyk go nie zobaczył — dumał.

Przechodzień wszedł w bramę Bazaru i odźwiernego odszukawszy o coś dopytywać zaczął. Pokazano mu zapisanych w księdze gości. Pan Małdrzyk z córką i p. Lasocką z Paryża.

Nazwisko to przeczytawszy, uradował się nieznajomy, dobył biletu, ręcznie pisanego z kiesze-

ni, na którym stało: Stanisław Słomiński—i kazał go zanieść Małdrzykowi. Sam czekał z rozjaśnioną twarzą.

P. Floryan rzuciwszy okiem na bilet, żywo zawołał:

— Prosić! prosić!—I wstał o kiju z krzeselka w chwili gdy już Słomiński wchodził i od progu witał:

— Mój Boże! Florek! Co za szczęście! Jakim sposobem...

Byli to dawni przyjaciele i sąsiedzi; lecz Słomińskiego od lat wielu stracił z oczów Małdrzyk. Wiedział tylko że musiał przytułku szukać zagranicą.

— Co ty tu robisz?

— A ty?—odezwali się razem.

— Ja musiałem kraj opuścić—rzekł Małdrzyk — ogadano mnie niewinnie. Kosuccy ze wszystkiego odarli. Tułaczem jestem, a w dodatku—patrz, kaleką! Ja, dziecko moje jedyne...

— Boże mój! Co ja słyszę!—zawołał Słomiński siadając.—A ja, zobaczywszy cię, sądziłem, że gdzie do wód jedziesz.

— Cóż ty tu robisz?—spytał Małdrzyk.

— A! przywlokłem się, szukać chleba, zajęcia—rzekł cicho i smutnie Słomiński.

— I cóż?

— Nie mam go!—ruszył ramionami.—Na łasce tych pocziwych państwa Sewerynostwa,



próżnując siedzieć nie mogę. Dom ich i tak przepelniony, bo to jedyny przytułek i szpital na całe Księstwo... a...

Spuścił głowę i umilkł.

Małdrzyk zbladł i nie śmiał się odzywać. Popatrzyli sobie w oczy. Floryanowi się zimno zrobiło.

— Przecież to ziemia nasza, bracia nasi, gdzie szukać przytulku i współczucia pomocy, jeżeli nie tu—rzekł powoli Małdrzyk.

— Tak i ja myślałem przybywając — odparł dziwnie kręcąc łaską, którą w rękę trzymał Słomiński—lecz, zdaje się że się omylił. Nie wiem, może też... osoba moja nie wzbudza zaufania.

Zamilkł znowu.

— Jednakże nie może być aby cię opuszczono?—zamruczał Małdrzyk myśląc razem o sobie.

— Jałmużnę już ciż, mniej więcej chętniej kaźdyby dał, dla pozbycia się, lecz...

Wyrazów mu nie stało. Małdrzyk obawiał się pytać. Słomiński lękał się mówić więcej—wzdychali oba.

— Dawno tu jesteś?—spytał Floryan.

— Ja? już parę miesięcy—począł Słomiński. Czas jakiś przebywałem w Szwajcaryi, ale to kraj, choć poczciwy, choć chętny, ubogi bardzo. Wiesz ilu szwajcarów emigruje z własnego kąta szukając chleba po świecie. Cudzoziemcowi go też dać nie mogą. We Francji znaleźć coś trudno,

w Anglii i niegościnni i pomieszczenie się jeszcze uciążliwsze niż na stałym lądzie. Wyrobnikiem w porcie chyba potrzebaby zostać, a na to siły nie starczą. Nabłakawszy się o głodzie... przywlokłem się tu... Ale tu—tu... i landraci nas precz pędzą i — szlachta się obawia. Z miłosierdzia gdzieś kątek by się znalazł, lecz na miłosierdziu uciążliwym pozostać—o! jakże boleśnie.

— Przecież w znacznych dobrach, których tu tyle—przerwał Małdrzyk — posady choć oficyalistów by się dla nas mogły odszukać.

Słomiński się uśmiechnął.

— Ale bo widzisz—rzekł—szlachta nadto sama siebie dobrze zna, aby szlachcic szlachcica wziął za oficyalistę. Lęka się buty dawnego dziedzica i tego żeby mu zubożały jako równy równemu się nie stawił. Wie każdy z nich że próżniak jest i marnotrawca, więc w drugich widzi podobnych. Jakże się tu wcisnąć?

Nie posadzi cię do stołu, bo podszarzałeś się, a lęka się odprawić do oficyny, abys się nie obraził—woli się pozbyć jałmużną.

Z goryczą cedził tę truciznę Słomiński.

— Koniec końcem—dodał — ponieważ i policya tu pono popasać nie da, trzeba się będzie wynosić—ale, dokąd?

Małdrzyk, który niechętnie złemu wierzył, bo go znosić nie umiał, odezwał się nagle:

— Kochany panie Stanisławie, pesymista z ciebie. Musiałeś się źle wziaść do rzeczy.

Słomiński bladym a gorzkim uśmiechem mu odpowiedział.

— Sądziysz?—rzekł— a może i to być. Ja nigdy do ludzi wielkiego szczęścia nie miałem.

Pochylił się nieco ku Małdrzykowi.

— W kieszeni mam talara jednego, ostatniego, a tego połowę około dziś zjadłszy...

Nie dokończył.

— Zlituj się—przerwał Małdrzyk—przynajmniej zjedz ze mną. Dzielić się tak dalece nie mam czem—ale chlebem, do ostatniego kawałka.

— Na dziś dziękuję ci—odparł Słomiński.— Przypominam sobie że mnie prosił Żupański, zjem u niego, a potem zobaczymy.

Rozmowa się przerwała na długo, trudno ją było nawiązać znowu, bolesnych strun nie dotykając.

— Z rodziny został ci kto? —zapytał po milczeniu przeciągłem Małdrzyk.

— Brat — rzekł Słomiński — ale rodzinę własną, niebogaty. Odzierać go trudno i przysłać zasiłek obawia się.

— Nie, nie—wyrwało się Małdrzykowi — ręczę ci, musiałeś się jakoś wziaść do rzeczy niezręcznie. To się naprawi. Są dobrzy ludzie, mieliśmy tego dowody, tylko wyszukać ich trzeba.

Nie odpowiadając na to Słomiński począł

wspomnienia dawne odżywiać, znajomych wspólnych przypominać, lepsze czasy, wesołe dzieje lat młodszych razem spędzonych. Puściwszy się na te reminiscencye, nie spostrzegli się jak im obu łzy w oczach stanęły.

Słomiński spojrział na zegarek, srebrny, szwajcarski biedny godzinnik wytarty, a że godzina się zbliżała obiadowa u Żupańskiego, odszedł, obiecując powrócić.

P. Floryan znacznie sposepniawszy, czekał przybycia Lady na obiad do hotelu, i nie doczekawszy go, gdy Monia przyszła potwierdzić iż chyba wieczorem się go można spodziewać, siadł z nią i Lasocką do stołu. Obie one dostrzegły na wielce przezroczystej twarzy Małdzyka że humor jego się zmienił, lecz przypisując to stanowi zdrowia, napróżno usiłowały go rozbawić. Pozostał milczący, za każdym drzwi otwarciem, spodziewając się Lady a razem lękając się jego powrotu.

Wesołość Moni, która tu jeszcze żadnego rozczarowania nie doznała, a z kościoła przyniosła ten błogi spokój duszy, jaki on nadaje, razila ojca, a nie śmiał smutnem słowem odbierać jej tego stanu ukojenia i nadziei, Lasocka też była wesołą.

Po obiedzie, ponieważ pogoda się ustaliła, ciepło było i jasno, kobiety prosiły o pozwolenie wyjścia na miasto, dla rozpatrzenia się w niem.



na co Floryan zgodził się chętnie, bo wolał nawet sam pozostać z niepokojem i smutkiem, wolał też aby powracający Micio zastał go jednego tylko i szczerzej się mógł z pierwszych swych kroków wypowiadać.

Ale, i wieczór nadszedł a Lady nie było. Nadsięgnął nieco ożywiony parą kieliszkami wina Słomiński. Ten nie przyniósł mu nic, oprócz żwawszego narzekania na losy i ludzi.

Opowiadał jak tu systematyczna presya wywierana na narodowość, której coraz ciaśniejsze granice nakreślano, zwolna i nieznacznie oddziaływała na stan kraju, jak zmieniał charakter narodowy, choć znamiona narodowości zostawały, jak zwichnięta wychodziła ze szkół młodzież, z patryotyzmem wrzekomym, ale na niemiecki sposób wykoszlawionym.

Floryan słuchał w myślach własnych zatopiony. Zdawało mu się ciągle, że Słomiński był zgorzkniałym i ośleplym, i że widział nadto czarno. Dawał mu się jednak wyboleć, sądząc że ulgę przyniesie wywnętrzenie.

---

Micio, którego powierzchowność i paryzka elegancya, nie dawała w nim podejrzewać człowieka potrzebującego jakiegokolwiek pomocy—mile był przez wszystkich witany. Miał też tyle

taktu iż na początek nie wyrwał się z niczem, grunt badał, kroku fałszywego zrobić nie chciał.

Jak to się nieraz w życiu zdarza, niby przypadkiem, choć nie przypadkowym nie jest—u Kurnatowskiego zastał Lada wchodząc przy stoliczku, znajomego sobie majątnego bardzo, przynajmniej na oko, hrabiego Feliksa, posiadacza dotychczas dwudziestu kilku tysięcy morgów ziemi, i przy nim owego p. Ksawerego, o którym słyszeliśmy jako o dalekim krewnym Małdrzyka.

P. Ksawery otyły, ciężki, brzydki z twarzy, rysów pospolitych, oczu małych, ale zdrow i silny człowiek już lat mający do sześćdziesięciu, jadł dla towarzystwa przy tym stoliku co hrabia, ale pożywał się skromnie, bo był oszczędny, nie naśladował hrabiego Feliksa, który sobie nie żałował.

Dowodził właśnie p. Ksaweremu, że żołądek jest—gospodarzem, i że należy go dobrze zaopatrywać, aby reszta gospodarstwa nie szwankowała. P. Ksawery małowówny, mrucał i prycał, lecz namówić się nie dawał. Jadł proste potrawy, ale takie które najprędzej nasycić mogły.

Hrabia Feliks, znajomy dobrze Miciowi, bo u niego wziął był dwie beczki St. Julien, powitał go wesołem:

— Jak się masz! Bodaj cię z winem twojem! Kwaśniejel!

— A któż temu winien—roześmiał się Micio. wino było tanie i na konserwę nieobrachowane, trzeba je było pić prędzej, lub zapłacić drożej, aby stać mogło.

Ruszył ramionami hrabia.

— Siadaj przy nas—rzekł—weselej nam będzie. Jedziesz z Paryża?

— Tak jest.

— Cóż tam słyhać?

— Nic. Teresa śpiewa. Cesarzowa się stroi. Cesarz pali cygarety. Haussmann Paryż z krete sem przebudowuje.

P. Ksawery posłyszawszy o Paryżu, podniósł głowę i wpatrzył się w mówiącego. Jąkał się i wymowę miał bełkotliwą.

— A! pan z Paryża? z Paryża? —rzekł chrapliwie.

Tymczasem hrabia rozpytywał ciągle o frazszki, a Ksawery dojadając skrzętnie co miał przed sobą, zdawał się namyślać. Wtrącił znowu pytanie:

— Musi tam być dużo naszych bosonogich włóczegów?

Micio nie zrozumiał.

— Poszły ich znowu na tułactwo całe roje.

Hrabia niechętnie o tem mówił i słuchał, chciał zwrócić na co innego, ale p. Ksawery nie dał.

— Co sie mnie trafiło, to nie do wiary—mówił jąkając się.—Nigdy nie słyszał i nie widział

żadnego Małdrzyka w życiu. Aż tu jednego białego poranku, odbieram list, że impan Małdrzyk, bliski mój krewny — tak, tak—bliski krewny, na bruku paryzkim z córką, pomocy potrzebuje, żebym zaraz, w imię patryotyzmu!... dał co najmniej jaki folwark, aby znowu miał co tracić. Nie zabawne to? jak Boga kocham!

I p. Ksawery śmiać się począł aż zakrztusił. Lada słuchając zbladł, zadrżał, języka w ustach zapomniał — osłupiał. Potrzeba było aby tu w progę takie go nielitościwe powitało szyderstwo. Już mu się chciało ostro odciąć i stanąć w obronie ojca Moni, gdy p. Ksawery, widząc że powieść jego hrabiego nie zabawiła, a drugiemu słuchaczowi była jakby niezrozumiała, przerwał ją wołając na służącego o—piwo.

— Mówcie sobie acaństwo co chcecie, a ja, nad te wszystkie wasze fałszowane kwasy francuzkie, pocziwe grodziskie piwo wolę. Jak Boga kocham.

Nie mogąc się ująć za Małdrzyka. Micio ujął się choć za wina, dowodząc że z Francyi wprost sprowadzane były jak łza czyste i zdrowe.

— Ale! ale!—wykrztusił p. Ksawery sącząc piwo.—Pijże je zdrów sam, mości panie.

Dokończywszy kufła, gość, który zwykł był po obiedzie zawsze drzemać dla konkokcyi, wstał i milcząc towarzystwo pożegnał.

Micio sam pozostał z hrabią.



— Nie chciałem — odezwał się — wchodzić w spór z tym panem, ale Małdrzyka tego, o którym wspomniał—znam. Jesto człowiek najlepszego wychowania, wcale nie awanturnik, pokrzywdzony przez rodzinę, zasługujący na współczucie.

Hrabia zaczął w zębach wykałać piórkiem i patrzeć w okno, jakby go ta rzecz wcale nieobchodziła. Milczał.

— Mocno mnie to dotknęło co powiedział p. Ksawery, bo ja właśnie—mówił dalej Micio—byłem tego zdania i namówilem Małdrzyka aby w Księżtwie szukał... spokojnego przytułku; dopóki się stan rzeczy nie odmienił.

— A toś waćpan bardzo nieogłędnie postąpił—rzekł hrabia zwolna—bo tu u nas, o przytułek ciężko... Myśmy wszyscy pod brzemieniem podatków napół porujnowani. Na ostatku przyznam się acindziejowi, że choć go z najlepszej strony poznałeś, tego—jak że się zowie?

— Małdrzyk.

— Co za nazwisko!—uśmiechnął się hrabia. Więc Małdrzyka czy jak tam... ale — przeszłości jego nie wiesz. Rewolucyonista, radykał! Tu u nas dla tych ichmościów miejsca nie ma.

— Uchowaj Boże—podchwycił żywo Lada—człowiek w świecie najspokojniejszy, opinij zachowawczych.

— Znamy to, znamy—przerwał hrabia.—Już

dosyć że musiał się z kraju wynosić, to nie bez kozery. Tacy ludzie nam tu wnoszą liberalizm głupi i bezwyznaniowość.

Lada się roześmiał.

— Człowiek sam religijny, córka pobożna.

Po krótkiem milczeniu, hrabia dorzucił.

— Mogę ci dać dobrą radę, bo choć mi przysłałeś wino kwaśne, dobrze ci życzę. Nie wdawaj się w protegowanie emigrantów. To ci zaszkodzi

— Panie hrabio, to są najzacniejsi...

— Wiem, wiem, wszyscy są i zacni i współczucia godni—przerwał hrabia—lecz, mój drogi panie Mieczysławie, jest ich tylu, kraj nasz tak ubogi.

Hrabia przerwał sobie nagle i zawołał na kelnera o butelkę szampana. Lada nie nalegając zamilkł, myśląc że nie wszyscy będą tak usposobieni jak hrabia.

Tymczasem ten i ów ze znajomych, wchodził, witał się, siadał, rozpytywał o Paryż, opowiadał nowinki; kilku nałogowych graczy do kart usiadło. Mówiliśmy już że Micio de Lada niegdyś karierę swą rozpoczął odzielonego stolika u księcia Józefa i księcia Marcellego w Dubnie. Namietność do kart, przy których mu się zawsze szczęściło, nie wygasła w nim i teraz. Nie mógł patrzeć na grających nie ulegając pokusie. I tym więc razem, zapomniawszy o Floryanie, co dziwniej, o Moni, o tem z czem się wybrał na mia-

sto — naprzód stanął za grającymi, potem zakładając się zaczął, naostatek siadł sam do gry, jak zwykle, bardzo grubej. Był najpewniejszym i umiejętności swej, gdyż grał doskonale we wszystkie znane gry kartowe, i swojego szczęścia.

Przy kartach oczywiście o czem innem jak o nich mowy nie było, i gdy w Bazarze oczekiwano na powrót jego niecierpliwie, Lada zapalał się, grał, stawiał i—przegrywał.

Ponieważ zawsze mu się w końcu szczęściło, był więc uparty, powiększał stawki, lecz dnia tego fortuna chciała mu dać naukę, nie opatrzył się aż znaczniejszą część grosza, przeznaczonego na wypadek gwałtownej potrzeby dla Małdrzyka, puścił między ludzi.

Byłby może grał dalej, ale goście powoli wstawać i rozchodzić się zaczęli, musiał więc i on powracać ze spuszczoną głową i w bardzo złym humorze do p. Floryana.

Wieczór już był późny. Monia siedziała przy ojcu, który na łóżku odpoczywał, rozbierając w myśli co mu Słomiński opowiadał. Micio miał tyle mocy nad sobą, że w progu posłyszawszy głos Moni, nie chcąc ją martwić, przybrał wyraz twarzy przymuszenie wesoły, choć nim nikogo nie mógł oszukać.

Zobaczywszy go Małdrzyk wstał, niecierpliwie o rozpytanie się, jak mu się powiodło.

Micio klamać był zmuszony. Powiadał, że wi-

dział tylko osoby, z którymi miał interesa, że wogóle w Poznaniu nikogo prawie nie było, że rozpatrzenie się potrzebowało czasu. Zakończył tem, że wszystko dobrze będzie. Nawzajem Floryan opowiedział mu smutnie o swem widzeniu się ze Słomińskim i o tem co od niego słyszał.

Ale—według Micia—wcale co innego był Słomiński a on, i—nie umiano się wziąć do rzeczy.

Monia słuchała ale więcej jeszcze badała twarz Micia, która wcale co innego mówiła niż usta. Była przekonaną, że źle sprawa stać musiała. Wierzyła w gorliwość Micia, sądziła że niedarmo cały dzień spędził za domem—i źle sobie wróżyła.

Małdrzyk też półgębkiem coś przebąknął o niewielkiej nadziei.

Lada przerwał mu zuchwale:

— Proszę siedzieć spokojnie, odpoczywać, i dać mi czas, a wszystko się zrobi. Słomińskiego i jemu podobnych słuchać nie trzeba.

Na tem się dnia tego skończyło. Rodzina Małdrzyków pozostała w Bazarze na owym zapowiedzianym odpoczynku, a Micio od rana puścił się znowu między ludzi.

Miał teraz więcej jedno zadanie—żeby się odegrać, bo nie mógł sobie darować, że grosz tak potrzebny, w chwili, gdy zaciągnął pewne obowiązki względem rodziny, którą się opiekował—tak lekkomyślnie stracił.



Monia powróciwszy wieczorem do Lasockiej, chodziła długo zadumana. Lasocka nie spuszczała jej z oka, gdyż od pobytu w Paryżu, a bardziej od pierwszego wyjazdu z kraju, stan zdrowia Moni, zawsze delikatnej, coraz się pogorszał.

Miała suchy kaszelek i bladość jej dawna zaczęła się krasieć rumieńcem na policzkach, który nie był zdrowia oznaką. Stara piastunka nie trwożyła tem nikogo, ale sama złąkla się bardzo. Monia się wcale nie skarżyła. Tego dnia po długim milczeniu, dziewczę zamysłone klęknęło do modlitwy i przy niej rzewnie, pocichu się spłakało. Lasocka widziała to, lecz udala że nie postrzegła. Ona też, lepiej od wszystkich rozumiejąc położenie, walczyła z sobą, co ma począć. Czula że tu była ciężarem, jedną więcej gębą do nakarmienia. Gdyby jej nie było żal opuścić Moni samej, z ojcem kaleką i nieporadnym, byłaby się wybrała do kraju nazad, do ubogich krewnych. Ale jakże tu to dziewczę niedoświadczone, chore, porzucić z p. Floryanem, który nic nie widział, a rady sobie i nikomu dać nie umiał?

Rachowała co życie kosztowało i jak prędko zapasy się wyczerpać musiały.

Zawsze być na cudzej łasce, na opiece?—niepodobna było.

Biedna Lasocka nawet przez sen wzdychała tak i jęczała z tej troski, że często Monię lekko śpiącą budziła.

Kazano im czekać, p. Mieczysław coś obiecywał— trzeba więc było cierpliwie i spokojnie, powierzywszy się opatrności, wyczekiwać jakiegos zmiłowania Bożego i ludzkiego.

Zrana obie kobiety szły codzien na Mszę do kościoła, wracały potem do domu, gdzie już p. Mieczysława nie było. Rzadko przychodził obiadować z nimi, najczęściej do późna krzątał się w mieście a powracając nie miał się czem pochwalić. Wmawiał nadzieję jakąś, którą sam z dniem każdym tracił. Monia to czuła. Nadrabiał fantazyą niezręcznie. Floryan nudził się, co i na stan zdrowia jego wpływało. Nie miał nikogo znajomego oprócz Słomińskiego, który przychodził z narzekaniami i całym zasobem najgorszych zawsze wiadomości.

Stan ten jakiegoś oczekiwania, bez przewidzianego końca, coraz stawał się nieznośniejszym. Małdrzyk zatopiony w sobie, z początku kaszlu i osłabienia córki nie spostrzegł, nareszcie zwrócił na to uwagę. Posłano do apteki po pastylki, ale te wcale nie pomagały. Monia jednak im bardziej kaszlała, tem to swoje zakatarzenie wiosenne, jak je nazywała, starała się najniezręcznie w żart obrócić. Lasocka pierwsza czuwając nad nią po nocach, spostrzegła gorączkę i poty. Obawiała się prosić doktora, ażeby nie na bawić trwoga. Szepnęła coś o tem Miciowi, lecz ten uspokoił ją, nie biorąc tego naseryo. Zdawa-

ło mu się nawet, że dziewczę lepiej wyglądało niż w Paryżu, oczy miało weselsze... i pleć świeższą.

Dni za dniami upływały. Lada biegał po mieście, grał z różnem szczęściem, część swej przegranej odzyskał, ale interesu Małdrzyka nie mógł nawet jawnie na stół wyprowadzić. Ile razy o tem przemówił, zamykano mu usta.

Większa część słuchać o tem wcale nie chciała. Jedni powiadali, że sam sobie był winien, drudzy, jak brabia, że kraj był ubogi a czasy ciężkie, inni milczeniem zbywali i wynosili się.

Nieszczęśliwe te pokuszenia Micia; ten tylko miały skutek, że zwróciły uwagę na Małdrzyka i odpędziły od niego wszystkich. Jedni drugich przestrzegali, że taki a taki emigrant z Królestwa był w Bazarze. Krzywiono się, szeptano, ruszano ramionami. Wreszcie i od Lady zaczęli ludzie uciekać. W istocie położenie było rozpaczliwe. Micio, który zawsze był rozkochany w Moni, cały swój rozum, zręczność, wysiłał na wymyślenie czegoś skutecznego... i głowę łamał napróżno.

Małej dzierżawy, nawet probostwa jakiego, wzięść nie było można bez zaliczki, bez kaucyi za inwentarz i grosza na pierwsze potrzeby.

Pomimo to gdy przychodził do Małdrzyka, pocieszał, łudził go sperandami wymyślonemi, mówił o dzierżawkach, których na świecie nie było—całował po rękach Monię i szeptał codzien-

— Niech się pani nie frasuje, w zystko dobrze będzie.

Tymczasem w Bazarze wydatki rosły, pieniądze się wyczerpywały.

Małdrzyk stał się posepnym i na zdrowiu także szwankować zaczął. Lasocka ledwie się już włóczyła.

Jednego ranka powracając z kościoła, obie milczące szły ku Bazarowi, gdy Lasocką uderzyła kobiecina, niemłoda, zgarbiona, ubrana biednie, z ogromnym workiem włóczkowym, brudnym, na rękę, w kapeluszu straszliwie wyszarzanym, w bieliznie żółkłej — która mierzając krok swój z ich chodem, ciągle się im pilno przypatrywała.

Nie pierwszy to już raz ją spotykali w kościele i na ulicy, ale od dwóch dni dopiero babina śledzić się je zdawała i doprowadziła aż do Bazaru. W bramie już przysunęła się do Lasockiej, oczy, których powieki czerwono były obwiedzione, zwróciła ku niej błagająco i szepnęła:

— Moja mościa dobrodziejko... czy to córeczka pana Małdrzyka? Czy to może być? A! jaka podobna do matki.

Trzęsła się mówiąc to z poruszenia i chude jej ręce w podartych, starych nicianych rękawiczkach dygotały.

— Tak, to panna Monika Małdrzyk — odpowiedziała zdziwiona Lasocka.



Staruszka musiała być trocheń głuchą, ale odpowiedź z ust przeczytała.

Łzy się jej z zaczerwienionych powiek toczyły, mówić nie mogła.

— A ojciec?

— Jest tu—rzekła krótko Lasocka.

Babina się zawahała.

-- Mogłabym ja go zobaczyć?

Mówiąc to drżała, jakby zuchwalstwo własne ją przerażało.

Lasocka spojrzała na nią. Monią, która staruszkę wzięła za żebraczkę, a dać jej co nie miała, pośpieszyła na górę do ojca.

— Ja, bo — odezwała się nieznajoma — ja miałam niegdys to szczęście... o! mój Boże (tu płakać zaczęła znowu), być guwernantką przy matce tej malej.

P. Małdzyk mnie nie zna, ale może słyszał o mnie. Nazywam się Szląska z domu Valorge. Ojciec mój był francuz.

Przerywanych tych zwierzeń słuchała Lasocka, zakłopotana tem, że ta ex-guwernantka, której powierzchowność taki niedostatek zdradzała, będzie potrzebować pomocy. Nie chciała Małdzyka na przykrą narazić odmowę.

Staruszka jakby to odgadła, poczęła żywiej:

— Moja mościa dobrodziejko, ja, choć ubogo sobie chodzę, przez pokorę chrześcijańską, ale ja nic nie potrzebuję. Mam chleba kawałeczek, du-

sze są miłosierne, duchowieństwo łaskawe; jabym tylko widzieć chciała p. Małdryka, no i poznać córkę mojej uczennicy. A! ja ją tak kochałam.

Weszły więc razem na górę, gdzie Monia już poprzedziła Lasocką i przy ojcu siedziała.

P. Szląska nie chciała wejść bez oznajmienia i pozwolenia, wyprzedziła ją więc Lasocka.

Małdryk, który przypominał sobie iż o niej słyszał od żony, jako o wielkiej dewotce a kobiecie bardzo dobrej i niesłychanie skąpej tylko, \*kazał ją prosić. Nie wyobrażał sobie jednak aby była takim straszliwej nędzy niemal obrazem, i cofnął się przestraszony trochę.

Szląska weszła płacząc, bełkocząc i powitawszy Małdryka, zwróciła się do Moni z czułością nadzwyczajną.

— Kochaneczko! pozwól mi choć popatrzeć na siebie, żywym jesteś obrazem matki. O! mój Boże! mój Boże.

Żebyś wiedziała jak ja ją kochałam!

Tu rozpoczęła się trochę utrudniona rozmowa, lecz staruszka tak się nią ożywiła, że nawet przytępiony słuch zdawała się odzyskiwać.

Małdryk wdzięcznym jej był za tę miłość dla jego nieboszczki, za okazane żywe zajęcie Monią — i, gdy Szląska, rozpytywać i badać go poczęła, opowiedział jej całą swą sprawę, całe dzieje od wyjazdu z kraju, aż do przybycia do Poznania i

nadzieje, które pokładał na kraju, że tu znajdzie serca braterskie, zajęcie, przytułek.

Staruszka, która się zapewne nie spodziewała nic tak smutnego usłyszeć, załżała się łzami, załamała ręce. Po krótkiej chwili, poczęła rozpytywać jakie kroki uczyniono.

— Mój dobry panie—rzekła—wy tu bo bez duchownych, bez księży, nic nie zrobicie. Trzeba się do nich udać, to są prawdziwi kapłani, i ich tu ludzie słuchają.

Małdrzyk zamilkł.

— Jeżeli nie macie stosunków—rzekła babcina—no, to ja będę się starała, bo na mnie są łaskawi.

Protekcyja biednej kobieciny nie zdawała się wiele obiecującą, zmilczał p. Floryan dziękując ukłonem.

— Tu ludzie bardzo pobożni, szlachta gorliwa, pocziwa, a komu duchowni dobre dadzą świadectwo, ten znajdzie litościwe serca. Jabyń też tu była zginęła, gdyby nie zacni księża—niech im Bóg to nagrodi. A teraz, ot, jak ono jest to jest, to w klasztorze się pożywię u siostr, to u duszyczek pobożnych i u mniszek mam celeczkę i tak się żyje a Boga chwali.

Znowu tedy zwróciła się do Moni, przypatrując jej a płacząc—i nierychło wyszła z Bazaru.

Po wyjściu staruszki, która im swą pomoc obiecywała, Małdrzyk uśmiechnął się gorzko, myśląc na co zszedł i jakich mu los dawał opiekunów.

Nadszedł wkrótce Słomiński, któremu szydersko nieco p. Floryan opowiedział o znajomości ze Szląską i dawnym jej z domem stosunku. Pan Stanisław, który miał dar zapamiętywania kogo tylko zobaczył, i rozpytywania o każdego, zaraz sobie staruszkę przypomniał.

— Ale tu ją całe miasto zna, tę starą francuzkę—rzekł—bo ją tu francuzką zowią, toć dewotka pierwsza i jest w odorze świętobliwości! Całe dni siaduje, klęczy i jęczy po kościołach, a spowiada się dwa razy na tydzień. Ale ba!—dodał—to protektorka lepsza niż jaki wielmożny pan, nie mówiąc o tem iż ma i drugą reputacyę, że—znaczną posiada kapitały!

Wybuchnął śmiechem Floryan.

— Co pleciesz, ona ma pozór żebraczki!

— Tak, ale skąpa nadzwyczajnie, i ludzie co ją zbliśka znają, twierdzą, że się kryje z tem, ale znaczne ma pieniądze! Wszystko to pójdzie na kościoły!

Trzeciego dnia zjawiała się znowu Szląska, aby popatrzeć na Monię, ale o skutku swych zabiegów u duchowieństwa nie powiedziała nic. Była trochę smutniejszą.

Micio biegał jak zawsze, i powracał z niczem.



Czasami po dwa dni go nie było, gdyż za interesami jeździł do Kościana, do Srody, do Gniezna i wszędzie lub kogoś nie zastał, albo przybywał zapóźno, lub czekać mu kazano.

I on też posmutniał znacznie. Z wielkich nadziei powoli przyszedł do zwątpienia i szukał wyjścia, którego znaleźć nie mógł.

Chociaż dosyć w siebie wierzył, przychodziło mu już na myśl, wezwać w pomoc Klesza—lecz jednym więcej emigrantem przybywającym—było to nowy popłoch obudzić.

Wiedzieli wszyscy o Małdrzyku z córką — dowiedział się w końcu i p. Ksawery, który się przybycia tych powinowatych niezmiernie przestraszył. Uciekł na wieś, ale i tu spokoju nie miał, groźba jakiejś przyczepki wisiała nad nim jak miecz Damoklesa.

— Nie może być aby się do mnie nie zgłosili, przyjechali, tu z tem, to więcej jak pewna. Kombinują tylko i obrachowują jak mnie nacisnąć, aby ze mnie co wycisnęli. Tylko co ich nie widać.

Małdrzyk zaś o zgłoszeniu się do znanego z niuczynności i skąpstwa p. Ksawerego, ani myślał; Micio także.

Im się to więcej przedłużało, tem nieszczęśliwy skąpiec niespokojniejszym był.

— Ale czegoż oni tu siedzą? co oni tu wysiedzą—mówił sobie.—W tem coś jest; oblawę robią na mnie, aby zapolować na pewno.

Nie mogąc uciec, niepokojąc się, gorączkując, p. Ksawery wpadł na myśl oryginalną. Postanowił mniemanemu niebezpieczeństwu sam pierwszy stawić czoło, mając je za nieuniknione. Pojechał napowrót do Poznania. Wahał się, myślał— w ostatku jednego dnia wpadł do Bazaru, zapytał o Małdrzyka, kazał mu się oznajmić i wszedł sapiąc, nadęty, zachmurzony do niego.

Niezmiernie zdziwiony, i uradowany razem, bo inaczej sobie to przybycie tłumaczył Małdrzyk, z twarzą rozpromienioną wyszedł naprzeciw gościu.

P. Ksawery przywitał się zimno i zdaleka.

— Słyszac tu o panu—rzekł—ponieważ dalekie powinowactwo nasze rodziny niegdys łączyło, miałem sobie za obowiazek przyjsc się bliżej dowiedziec, co tu pana sprowadzilo?

Pytanie rzucone zimno, ostudzilo Małdrzyka, który spokojnie całą swą historie wygnania opowiedzial.

Niedowierzajaco jej sluchal p. Ksawery.

— Ubolewam nad tem, ze ktos panu niefortunnie Ksieztwo doradzil — rzekł chlodno.—My tu wszyscy podminowani przez niemcow, zrujnowani, z dnia na dzien zyjacy, dyszymy ledwie. Bieda nieopisana! Chooby kto chcial byc pomocą, nie moze. Ziemia niby jest, ale coz z tej ziemi. Ciazy na niej landszafta, potem dlug banku jakiego, wreszcie prywatne dluzki, a lichwiarskie

na ostatku. Zapłaciwszy procenta, jeśli zostanie chleba kawałtka—Bogu dziękować. Majątki jak dojrzałe gruszki spadają w ręce niemieckie.

Tak! tak, pan się dziwisz może, ale to święta prawda.

— Jabym chciał małą jaką dostać dzierżawkę—rzekł Florek—byłem przeżył, aż się zmieniają okoliczności.

P. Ksawery się roześmiał.

— Pan sądzisz, że się zmieniają kiedy okoliczności? No, a na tę małą dzierżawkę, ile pań masz kapitału do dyspozycji?

Małdrzyk zarumienił się mocno, zająknął i nie odpowiedział.

P. Ksawery spojrział nań złośliwie.

— Szkoda tu czas tracić — dodał—jabym radził jakoś... gdzieindziej... obrócić się. Tu nie ma co robić! Słowo daję.

Nastąpiło złowrogie milczenie. Przybyły, heroicznie tak zwalczywszy stracha, widząc że Małdrzyk nie wyglądał na suplikanta i wcale napaśtniczej nie miał miny, doświadczył uczucia jakiegoś jemu samemu niezrozumiałego. Uczuł się śmiesznym i okrutnym. Wstyd mu było. Chciałby był niewielkim kosztem naprawić sobie opinię człowieka, który w nim wzbudził pewne—polowanie. Westchnął parę razy.

Przez myśl mu przeszło — dać z lichem coś odczepnego!

Cyfra tej ofiary przedstawiła się naprzód dosyć przyzwoita i pokaźna. W mgnieniu oka zmalała o jedną trzecią, za chwilę zmniejszyła się do połowy. Zawahał się i zadumał.

Było to—jakby wyrzuconem za okno.

— Może się obejść i bez tego — powiedział sobie.—Zkąd znowu napada cię taka czułość?

Gdy tak rozmyślał jeszcze, niewiedząca o gościu nieznanym, weszła Monia. Postać ta wdzięczna, smutna, która każde oko pociągała ku sobie, zrobiła i na nim wrażenie.

Pomimo ubogiego stroju wyglądała tak pańsko, tak poważnie, iż p. Ksawery przy niej małym się uczuł.

— Moja córka—odezwał się Małdrzyk, i nazwisko p. Ksawerego dodał pocichu.

Przy córce niesposób było już upokarzać Małdrzyka jakąś ofiarą; tym sposobem gość się rozgrzeszył zupełnie, zabawił krótko i spiesźnie się pożegnał, nie obiecując powrotu. Odetchnął w bramie.

— O wlos nie popełniłem głupstwa — rzekł w duchu. — Panu Bogu dziękuję, że się nie uniósł. Na nicby się to nie zdało a kilkaset talarów, jak w błoto.

Szląska przyszła raz jeszcze. Zdawało się iż duchowieństwo musiało w Paryżu zasięgać wiadomości o Małdrzyku, i że tam jego ortodoksja i pobożność w wątpliwość były podane. Chłodno



więc usunięto się od pośredniczenia w tej sprawie.

Pocichu Szlaska namawiała Lasockę, aby Małdrzyka zaprowadziła do kościoła i skłoniła do zmanifestowania swej gorliwości religijnej. Lasocka podjąć się tego nie mogła. Małdrzyk miał w duszy wszczepioną w rodzicielskim domu i wychowaniu wiarę, nie wyrzekł się jej, lecz życiem zobojętniał. Nawet córka, która była pobożną i szukała w tem pociechy, nie umiała go skłonić do jawniejszego i częstszego nabożeństwa. Modlił się pocichu—zdawało mu się świętokradztwem uczuciem takim frymarczyć i z niem się popisywać.

Szlaska już nic nie obiecywała, milczała, przypatrywała się Moni, pieściła ją, obiecywała się modlić, uczyła ją najskuteczniejszego nabożeństwa i odchodziła zapłakana.

Zwracała się często do Lasockiej niespokojnie dopytując ją, czy się co nie znalazło, czy nie mieli jakich widoków. W staruszce jakby ciężka jakaś walka się odbywała, tak gorączkowo rzucała pytania, wpadała w zamysł.

— Moja dobra pani—rzekła jej raz wreszcie Lasocka, my tu podobno w mieście siedzimy na próżno, a ta biedna Monia coraz gorzej po nocach kaszle, bo jej powietrze miejskie nie potemu.

P. Mieczysław szuka, szuka dzierżawy. Zna-

lazłaby się ona może, ale z kąd na nią wziąć pieniędzy. Nie pożyczycy nikt. Bóg jeden wie co z tego będzie, ja im jestem ciężarem, powróciłabym do kraju, choć mi się rozstać z dzieckiem śmierci równa, ale jakże ją tu zostawić?

Płakały obie.

Jednego dnia rozkaszała się Monia przy staruszce, która zapłakana wybiegła. Nazajutrz rano, gdy kobiety były w kościele, niespodzianie wsunęła się do Małdrzyka stara Szlaska, oglądając dokoła bardzo niespokojnie.

Przydreptała do niego i pochwyciła za rękę.

— Mój panie—zawołała gorączkowo, wlepiając w niego oczy czerwone—przysięż mi, że mnie nie zdradzisz! bo byś mnie zgubił! Przysięż!

Małdrzyk posądził ją zrazu że dostała obłąkania.

— Co? jak?—począł pytać.

— Przysięż, że mnie nie zdradzisz — powtarzała staruszka.

Naglony tak, Floryan w końcu najuroczyściej jej to przyrzekł.

Obejrzała się raz jeszcze Szlaska, i pośpiesznie rękami drżącemi zaczęła coś z worka dobywać. Wypadły z niego na ziemię naprzód podarta książka, różaniec, pończocha, brudna chustka od nosa, naostatek wyrwała paczkę zgniecioną i zszarzaną, konwulsyjnym ruchem wciskając ją w rękę Małdrzykowi.

— Na, masz! tysiąc talarów... Nie moje, czyjeś... pożyczam na dzierżawę, żeby prędej to dziecko na wieś wywieść. Oddasz mi z piątym, nie chcę więcej jak pięć procentu, ale mnie nie zdradź, bo stracę przytułek i chleb. Nie moje, kościelne... z ołtarza...

I palce położyła na ustach.

Małdrzyk się opierał z przyjęciem, zmuszała go aby coprędej schował.

— Nieinaczej jak na dzierżawę, aby dziecko na wieś wywieść. Kaszle, okropnie kaszle. A nie zdradź mnie—bo zgubisz.

Wysiliwszy się na tę przemowę, Szlaska padła na najbliższe krzesło i oddychała ciężko. Floryan stał i uradowany i niepewny czy mu się godziło przyjąć tę ofiarę. Ale gdy jeszcze rozmyślał, Monia z Lasocką nadeszły, a staruszka wstała do swej dziewczynki, aby się nią nacieszyć.

— Żywy, żywiuteński obraz matki! — powtarzała.

Zabrała potem prędko swój worek leżący na ziemi, zagadała coś o nowennie, potajemnie dała znak Małdrzykowi aby milczał i wysunęła się z Bazaru, spiesząc na sumę, na którą dzwony wołały.

Długo nie mógł Małdrzyk przyjść do siebie.

Wieczorem nadszedł Micio. Jak zwykle zajął się Monią, której przyniósł bukiet i cukierki, starał się okazać wesołym, o skutku swych starań unikał wspomnienia.

— Słuchaj, panie Mieczysławie—po odejściu córki odezwał się Małdrzyk—nie pytaj mnie z kądem i jak dostałem trochę pieniędzy dałem słowo że wierzyciela mego nie zdradzę. Szukaj mi co rychlej małej, jak najmniejszej dzierżawy, lada jakiego gruntu kawałka z domkiem i drzewami, gdzieby mi Monia odżyć mogła.

Lada stał zdziwiony.

— Dużo pan masz?—spytał.

— Mało—rzekł Małdrzyk—pożyczono mi tyśiąć talarów.

Skrzywił się Micio.

— Nie ma za co rąk zaczepić—rzekł.

— Najmij ogród pod miastem, byle najlichsze gospodarstwo — żywo odezwał się Małdrzyk.— I jabyem może odżył pracą, i Monia przestałaby kaszleć.

— Postaram się zrobić co można —rzekł zasnucony Lada, widząc że sam nic dla Małdrzyka zrobić nie mógł.—Jutro pojedę w okolicę Srody, dowiem się, znajdę co może.

W głowie mu się nie mieściło z kądem te pieniądze pochodzić mogły. Małdrzyk prawie nie wychodził z domu, a odwiedziny Ksawerego wiedział na czem się one skończyły.

Skutkiem tego niespodzianego daru, gdyż inaczej nazwać go nie było można, ofiary tem większej że ją serce nad nałogiem skąpstwa zdobyło, Małdrzyk odżył. Wyobraźnia żywa malowała mu



już nadzwyczajne owoce jego pracy, sielankowe życie w chatce, przyszłość jakąś spokojną, cichą, ozłoconą—a poza nią nadzieję—ocknienia się sumienia w Kosuckich.

Monia poznała zaraz przy obiedzie humor ojca zmieniony. Uśmiech miał na ustach, stał się czulszym, przebąkiwał coś o prędkim wyniesieniu na wieś.

---

Domeczek, napół chata, niby dworek, biedny, słomą kryty, z kominem dużym, zczerniałym i popękany nad dachem, z przypartą do niego połamana drabiną, kilka wierzb starych i olch poobcinanych z gałęzi od dołu, otaczało. Poza nim siedziała kałuża, która się nazywała sadzawką, cała okryta pleśnią zieloną, a po brzegach zarosła tatarakami. Było to królestwo żab i przytułek kaczek, od rana już tu ciągnących ze swem potomstwem.

Ogródek warzywny opasywał dokoła chatę, wysokim, niedbale ustawionym płotem objęty. Dzikie wiśniowe krzaki rozczochrane, i bzy pooblamywane rosły przy nim. W podwórku była stara ze zgnitym zrębem studzienka z żórawiem, a przy niej koryto, które wiele pokoleń ludzi przeżyło. Dalej w głębi cisnęły się do siebie szopki i stajenki liche, chlewki, komórki a wystawka

krzywa z daszkiem opadającym na ziemię, obro-  
słym trawą i chwastami, wniście do loszku ozna-  
czała.

Chłopskie to gospodarstwo gburą, należało  
do młynarza, którego wiatrak zdala widać było,  
panujący nad okolicą. On to je puścił dzierżawą,  
bo miał dosyć do czynienia około mlewa, a i nie-  
wiele dbał o nie.

W chacie czy dworku, bo niewiedzieć jak to  
nazywać było, witała sionka naprzód ciemna, do  
której się schodziło po wschodku, to jest po ka-  
wałku drzewa chwiejącym się pod nogami; w le-  
wo była izba światła o dwóch okienkach, z komo-  
rą o jednym, bardzo małym; na prawo pie-  
karnia ze spiżareńką wilgotną, a z tyłu składzik  
przyklejony, który potrzeba było na mieszkanie  
przerobić, piec w nim postawić, na co dziedzic,  
choć niechętnie, się zgodził.

Dokoła było aż kilkanaście morgów łąki i pól,  
malutki zrynek niby lasu, w istocie trochę sosen  
i krzaków, z których susz tylko mógł dzierżawca  
zbierać.

Tak wyglądała dzierżawa dawnego dziedzica  
Lasocina, w którego parku, kilka podobnych go-  
spodarstw mogłoby się być wygodnie pomieścić.  
Ekonom p. Floryana mieszkał daleko wspanialej  
i przestronniej. Ale za niewielki grosz, cóż lep-  
szego dostać było można?

Gdy p. Mieczysław dopytawszy się o tę biedo-

tę, oznajmił o niej p. Floryanowi, zerwał się ucieszony tem, znudzony siedzeniem w Bazarze Małdrzyk, natychmiast jechać, oglądać i targu dobić. Pilno mu było uciekać z tego Poznania.

Moni dla ojca osmutniałego, przybitego, równie było pożądanem znaleźć kąt jakiś—zgodziłaby się była na wszystko. Najęto doróżkę miejską, puszczając się gościńcem ku Srodzie. Micio niewiele sobie z tego obiecywał, milczał. P. Floryan mówił ciągle przez drogę, snując najosobliwsze plany gospodarstwa, którem się miał sam zajmować. Chciał zaprowadzić jak w okolicach Paryża—*culture maraichère*, która w bliskości miasta, miała ogromne przynosić dochody. Ziemia wprawdzie nie była tak nadzwyczaj żyzną, jak powiadano, ale czego pracą i nawozami dokazać nie można... Wyobraźnia Małdrzyka na niewidzianem już stawiała—złote góry. Wierzył w to że zajmąwszy się gorliwie, cudów dokáže i nauczy zacofanych co się daje zrobić, gdy kto chce i umie. Ogromny ten zapal, któremu Lada nie potakiwał, ale mu się nie sprzeciwiał, zwolna widokiem pól, zabudowań tego co pomijali po drodze, a co się dosyć nędznie przedstawiało — ostygać zaczął.

Gdy nareszcie, po wielu pytaniach i objaśnieniach przez przechodniów, trafili do młynarskiej owej sadyby— Floryan zobaczywszy ją pobladł i zamilkł zupełnie. Serca mu się ścisnęło.

Dworek zrobił na nim wrażenie niemal przerażające. Dodać potrzeba że świeżo z niego wyniósł się był zadłużony przeszły dzierżawca, a po nim pozostałe śmiecia, złomki, nieład i brudy, chatę czyniły jeszcze mniej piękną i powabną niż była. Rzeczywistość smutna, uboga, ciężka, osmolona, narzucała się całym swym straszliwym brzemieniem.

Micio zawstydzony, że coś podobnego mógł polecać, stał z rękami obwisłymi i powtarzał:

— To niemożliwe, to okropne!

Obchodzili jednak wszystkie kąty, oprowadzani przez kulawego starego parobka, zostawionego tu na straży, który ich oprowadzał i pokazywał każdą rzecz z dumą jakby w istocie czemś osobliwszem była. Patrzał na tych z pańska wyglądających gości i nie mógł pojąć po co tu przybyli, kiedy się tak na wszystko krzywili.

Małdrzykowi wszakże tak się naprzykrzyło życie bez celu, bez wyjścia, w oczekiwaniu daremnem, że pomimo przykrego wrażenia, oglądał dworek po raz drugi, jakby chciał pogodzić się z myślą, z koniecznością zamieszkania w nim.

— Dla mnie, dla mnie — przebąkiwał — to wszystko znośne. Co mi tam! Ale dla Moni?

Jabym się mógł w tym składziku na tyle z biedą pomieścić, ona z Lasocką w komorze, chociaż tam trudno dwa łóżka postawić, a pierwszą izbę, bądź co bądź, trzeba mieć wolną dla — gości!



Wymawiając wyraz ten uśmiechnął się gorzko i ramionami poruszył.

Micio milczał zasepiony.

— Strach jakie to brudne i brzydkie — bąkał zadumany Florek—no, ale możnaby oczyścić, naprawić.

Na suficie, pomiędzy tarcicami pobielonemi a opadłemi z pobiałą, widać było plamy od deszczu, który przez dach się aż tu dostawał. Micio je pokazał.

Straszne to było, lecz Floryan z wolna godził się z tą nędzą, która go z zabójczej bezczynności i nudy wyrwać miała. Znekany, chciał szukać ratunku w rozpacziwem, chociażby ręcznem zatrudnieniu, mimo nogi, która go bolała jeszcze i na którą nakuliwał.

Parobek oprowadzający, właśnie na tę samą co on utykający nogę, kulawizną swą pobudzał go do smutnego śmiechu.

— Doskonaleśmy się z nim dobrali do pary.

Poszli na pola, perzem zarosłe, zająłowiłe w części, źle uprawne przez ostatniego dzierżawcę, który się z rozpaczy zapijał — i tu nic pocieszającego nie znaleźli; lecz w głowie Florka tkwiła owa *culture maraichère*, spodziewał się z tej roli najpyszniejszych warzywnych ogrodów i z morga bajecznych dochodów.

Lada, któremu ten kawałek ziemi smutnie jego pierwotne przypominał dziedzictwo, chodził

skwaszony. Myśl osadzenia Moni na tem pustkowiu, na tle tej nędzy, w ramach tego dworku obrzydliwego, oburzała go.

Wrócili do niego raz jeszcze, nie było na czem przysiąc nawet, póki usłużny parobek, spodziewając się na wódkę, nie przyniósł zkądś kulawego jan on zydelka.

Przez zabrukane oddawna szyby nic widać nie było, a w izbach czuć się dawała wilgoć i zapach pobiałej opadającej. Na ścianach wewnętrzny tynk opadał kawałami i leżał na podłodze.

Milczeli długo, Florek dumiał i wstał wreszcie wołając.

— Co robić, wolę tu biedę klepać niż w mieście. Sprowadzimy rzemieślników z Poznania, oczyści się to... i jakoś będzie. Nie mam wyboru.

Lada syknął:

— Zmiłuj się pan, zdrowie panny Moniki...

— Z pewnością tutejsze powietrze niegorsze od Bazarowego — przerwał Floryan — a ja mam nadzieję, że... może... powróci do kraju z Lasocką. Będę pisał do marszałka. Nie sposób ją tu bardzo długo zatrzymywać. Dla mnie zaś...

Nie dokończył, ręką tylko zamachnąwszy w powietrzu.

Ztąd pojechali do młyna, Małdrzyk chciał kończyć i upierał się przy tem, Lada odradzał i namyślić się zyczył. Zdaje się że właśnie ruina

i opustoszenie wabiły Florka, który chciał pokazać, że on przecie do czegoś jest zdatnym.

Prosty człek, pan Bartosz Gemba, czujący grosz w kieszeni, przyjął ich z dumą zbogaconego chłopa, który do zrujnowanych panów ma nienawiść i pogardza nimi. Nie silił się wcale na grzeszność, nie napraszał z dzierżawą; to co o jego dworku i kawałku ziemi mówiono, przyjmował z obojętnością i lekceważeniem, a z warunków ustąpić nic nie chciał. Elegancya Micia razila go, pańska mina Małdrzyka więcej się go zdawała zniechęcać do takiego dzierżawcy, niż pociągać ku niemu.

Skończyło się więc na tem, że Gemba wziął co chciał a do żadnych poprawek w budowlach się nie zobowiązał.

— Chcesz se pan tam co lepić a smarować, nie bronię, ale to nie moja rzecz. Dach trzeba połatać, aby za kołnierz nie ciekło.

I śmiał się uparty chłop, z którym w końcu jeszcze do ubitego targu napić się było potrzeba, zaprawnej wódki i zakąsić ją kawałkiem sera i chleba.

Stało się więc, dzierżawa była wzięta, a z uradowanych, śmiejących się oczów Gemby, wniósł Micie że zapłaconą być musiała drogo.

Floryan gorączkowo zaraz chciał się zająć restauracyami. Przed Monią śmiejąc się powiedział wróciwszy, że wprawdzie dom jest—chle-

wem, ale on z niego spodziewa się choć porządną zrobić chatę. Widząc ojca ożywionym i Monia się ucieszyła. Lasocka słuchając opowiadania humorystycznego p. Floryana, zamilkła strwożona.

Rozpoczęła się zaraz nazajutrz robota, najmowanie i wysyłanie drogo najętych rzemieślników. Małdrzyk trzeciego dnia sam chciał jechać, ale jeść nie było co, położyć się nie miał gdzie i na czem. Musiał czekać.

Monia wyglądała też przenosin z upragnieniem, Lasocka ze strachem. Stara Szląska, która się przyszła dowiedzieć co się dzieje, przeżegnała krzyżem świętym tę stronę w której leżała dzierżawa i—powszedniego dnia którego obiecała ich odwiedzić. Trochę życia wstąpiło we wszystkich, chociaż różne ono było, i mało komu pociechę przyniosło. Floryan gorączkowo, niecierpliwie się zajmował, ale w najwyższym stopniu niepraktycznie. Lada nie sprzeciwiał mu się, więcej zajmując Monią niż dzierżawą, ku której wstrętu swego nie ukrywał.

Pocichu starał się przynajmniej małemi wygodkami, które obmyślał do mieszkania Moni, uczynić je znośniejszem. Ani ona, ani Lasocka, nie znały przyszłego tego wygnania, które Florek tem czarniejszemi malował barwami, aby później pochwalić się mógł tem co tu zrobił. Przejęty swoją czynnością Małdrzyk ogromny list o tem



napisał do Klesza, prosząc go o nasiona warzyw, kwiatów i o książki, któreby uczyły ich uprawy.

Pieniądze za dzierżawę z góry naturalnie wypłacone być musiały. Każdego dnia szły do Młynarskiego kąta, bo się tak zwała chata, to sprzęty, to zapasy, bez których obejść się nie było podobna. Naostatek Lasocka ofiarowała sięjechać przodem, i wszystko tak urządzić, aby Małdrzyk z córką przybywszy, znalazł znośne pomieszczenie.

Nawykła do wcale innego gospodarstwa, nieobznajmiona dotąd z prawdziwym niedostatkiem, stara Lasocka gdy ją tu przywieziono, rozplakała się rzewnymi łzami. Zdawało się jej niepodobieństwem aby Monia, delikatna, do wygod nawykła, mogła pod tą ubogą wyżyć strzechą. Ona sama, w komorze na sianie pierwszą noc zmuszona przepędzić, całą ją przeplakała.

Kobieta wzięta do pomocy, ruszała ramionami, nie rozumiejąc tej rozpacz i tego wydziwiania. Robotnicy, których o pośpiech naglono, jak na złość, uprosić się nie dawali.

Przewlokły się więc przenosiny, na które czekał Micio, chcąc potem za swemi interesamijechać do Księstwa i Prus Zachodnich. Floryan, który się teraz czuł nieco zdrowszym i silniejszym, bo go praca ożywiała, choć o kiju, chodził po dniach całych, skupując ciągle i co było po-

trzebne i bez czego się obejść mogli. Zapał i gorączka nie opuszczały go.

Jednego wieczora powracającego w bramie zawiadomił odźwierny, że z policyi przychodził urzędnik dwa razy, który go nie zastał. Tknęło to bardzo nieprzyjemnie Małdrzyka, przypominającego sobie dotąd nieprzyjemne spotkania z p. komisarzem w Dreznie. Nadszedł Micio i natychmiast ofiarował się pójść rzecz wyjaśnić. Jakoż, mimo pory spóźnionej, ruszył do biura.

Zastał w nim właśnie tego urzędnika, który przychodził do Bazaru. Zapytany po polsku, odpowiedział mu naprzód z góry, że tego „dyalektu“ nie rozumie. Rozmowa więc rozpoczęła się po niemiecku.

Surowego oblicza biurokrata, z tą szorstkością pruską, która charakteryzuje urzędników tamtejszych i wojskowych, dobywszy papier z pieczęcią, oświadczył oczyma przebiegając treść jego, że p. Małdrzykowi z rodziną, pobyt w krajach pod berłem pruskim zostających, został wzbroniony. Dawano mu dwa dni zwłoki do wyjazdu, z tem że miał udać się wskazaną drogą do granicy rosyjskiej, lub w ostatku, gdzieby mu się podobało.

Przerażony Mieczysław natychmiast zażądał widzenia się z naczelnikiem biura.

Urzędnik się uśmiechnął.

— Jutro o godzinie posłuchania, możesz pan

być u niego — rzekł — ale to czas stracony. Na nic się to przydać nie może.

Nie zważając na to Micio stał przy swoim. Urzędnik siadł za stół i mówić już z nim nie chciał. Drżący z oburzenia i trwogi, Lada wyszedł, lecz że miał nadzieję jakiejś protekcji i zmiany tego rozkazu, do którego żadnego słusznego powodu nie było, postanowił nie mówić nic Floryanowi.

On i Monia czekali na niego niespokojni i oboje podbiegli do progu z zapytaniem:

— O cóż to idzie?

— Nie ma nic — odparł obojętnie niby Micio, jakaś kwestya opłaty od stępla paszportowego, drobnostka. Dziś było biuro urzędowe zamknięte. pójdę jutro rano.

Uspokajające to zapewnienie Lady, Moni, która mu bystro spojrziała w oczy, tak że się zmieszła, nie zaspokoilo. Przy ojcu nie chciała dopytywać więcej, lecz niespokojnie czekała ażby Mieczysław wyszedł i wysunęła się za nim w korytarz.

— Mów mi pan prawdę — zawołała zatrzymując go — czego od nas chcą w policyi?

Zawahał się Mieczysław.

— Mówiłem już, drobnostka jakaś...

— To dobrze, aleś pan mówił nieprawdę — odpowiedziało dziewczę — czytam to z jego twarzy.

— Słowo pani daję, że jeszcze się z właściwym naczelnikiem nie widział, nie wiem dobrze...

— Wiesz pan!—odrzekła stanowczo Monia. —Bardzo dobrze iż pan ojca nie chcesz przestraszać nadaremnie, czy przedwcześnie, za to mu jestem wdzięczna, ale ja, pan mnie nie znasz, ja jestem nieustraszoną, bo się zawsze najgorszego spodziewam. A więc, śmiało...

Micio zbliżył się i szepnął pocichu:

— Chcą nas ztąd wypędzić, jest rozkaz wyjazdu w ciągu dwóch dni.

Dziewczę bez drgnięcia, bez jawnego wzruszenia, odpowiedziało spokojnie:

— Czegoś podobnego spodziewałam się.

— Ale ja to przerobię! To być nie może! — zawołał Micio z zapalem—niebo i ziemię poruszę.

— Nadaremnie — rzekło dziewczę spokojnie. Myślmy zawczasu co począć? Dzierżawa, koszta, wszystkie zachody i nadzieje stracone! Mój Boże! I dokądże się obrócimy?

-- W najgorszym razie, chociaż ja nie przypuszczam tej ostateczności, zostaje gościnniejsza Galicya.

Monia mu nic już nie odpowiadając ze spuszczoną główką, z ustami chusteczką zatulonemi, bo kaszel ją napadł nagle, uciekła do Lasockiej.

Tu, mimo całego swojego męztwa, padła na krzesło, kaszel wybuchnął gwałtowny, a chustka niepostrzeżenie krwią się zafarbowwała. Monia



ukryła ją pośpiesznie, napiła się wody, której La-socka jej przyniosła, sparła na rękę siedziała długo jak martwa.

Małdrzyk też, choć się sam starał uspokoić, całą noc spędził w snach gorączkowych.

Nazajutrz rano, Mieczysław był już w biurze prezesa, do którego nierychło go wpuszczono.

Urzędnik który tu miał prawo zupełne rozporządzania jak mu się podobało ludźmi o wychództwo choćby tylko posądzanemi, przyjął zameldowanego w salonie bardzo przyzwoicie, ale z pewną skromną powagą urządzonym. Był to mężczyzna już niemłody, jak wszyscy prusacy w szkole wojskowości naprzód wyćwiczony, mający też powierzchowność raczej pana generała na urlopie, niż cywilnego urzędnika. Twarz jego spokojna, dość łagodnego ale smutnego wyrazu, nic nie mówiła. Oko tylko było przenikające i pełne inteligencji. Ust zamkniętych mógł mu dyplomata pozazdrościć. Obejście się było zimne, ale wyszukanie grzeczne. Spytał po niemiecku czem służyć może. Micio opowiedział w krótkich słowach z czem przychodził, o co prosił i wymownie wystawił położenie Małdrzyka, politycznie wcale nieskompromitowanego i t. d.

W czasie wykładu tego, którego słuchał prezes bardzo cierpliwie, nie przerywając, twarz jego coraz się posepniejszą stawała.

Gdy Micio skończył, milczał chwilę.

— Bardzo mi przykro—rzekł w końcu — iż pańskiej prośbie w żaden sposób zadosyć uczynić nie mogę. Mam powody, dla których wydalic muszę p. Małdrzyka. Co najwięcej, przez wzgląd na jego położenie, mógłbym o dzień jaki pozwolenie pobytu przedłużyć.

Micio był w rozpacz, poczynął już znowu mówić, gdy wysoki urzędnik przerwał mu z grzecznością prawie ironiczną salonowego człowieka.

— Boli mnie to, szczerze panu mówię, iż tak surowym być muszę, lecz rozkaz jest nieodwołalny. Mamy tu żywiołu polskiego, niespokojnego i zawsze ruchawego aż nadto, takiego którego się pozbyć nie możemy. Ten, którego zbyć się można, cierpianym tu nie będzie. Tak panie, niestety, polacy, nie mogą zapomnieć o polityce, mają swoją, my mamy naszą, a polityka wodą różaną się nie robi (*à l'eau de rose*).

I ręce rozłożył szeroko.

— Ale Małdrzyk, daję panu najuroczystsze słowo, nigdy w żadną nie wdawał się politykę—odparł Micio gorąco.

— Może to być—rzekł prezes—lecz sam jego los, położenie, nastęcza niepotrzebne myśli, a zresztą, nie sądzę żebyśmy dłuższą rozprawą w tym przedmiocie mogli przekonać jeden drugiego.

Skłonił się żegnając Micia, który stał zrozpaczony.

— Pan pozwoli zatelegrafować do ministra? rzekł drżącym głosem.

— Proszę, do kogo się podoba—odparł zimno prezes—ale nad trzy dni z dzisiejszym, pobytu nie dozwolę, a nie zechcecie mnie panowie zmusić do nieprzyjemnego dla mnie i dla nich użycia... żan-darma.

To mówiąc wziął ze stolika papiery i odszedł z niemi ku oknu—posłuchanie było skończone.

Micio wyszedł wprost do telegrafu i w imieniu Małdrzyka wysłał prośbę o pozostanie do ministra, chociaż mało miał nadziei aby ona poskutkować mogła.

Trzeba było postanowić coś, kryć dłużej położenie przed Małdrzykiem, czy całą mu prawdę powiedzieć? Ostatnie zdawało się jedynem możliwem, bo podróż nagła wymagała przygotowania, a trzy dni czasu, ledwie mogły starczyć na nie.

Po twarzy bladej i smutnej poznał p. Floryan, że powoli, opieszalym krokiem wchodzący Micio, nic mu dobrego nie miał zwiastować.

— Cóż przynosisz?—spytał Floryan.

— No, nic dobrego—rzekł Lada. — Wczoraj nie chciałem was martwić przedwcześnie, dziś wracam od prezesa policyi.

Małdrzyk spojrział nań bledniejąc.

— Jest bez przyczyny, niezrozumiały rozkaz, wyjazdu w przeciągu trzech dni najdalej. Napró-

żno starałem się prosić. Wysłałem telegram w imieniu pańskim do ministra.

Floryan zwrócił się ku oknu niemy, może ażeby ukryć łzę jaką, czując ją napływającą do oka. Przeszedł się wolnym krokiem po pokoju.

Odwaga i energia opuściły go, łamał ręce.

— Co począć? — wyjąknął.

— Siadaj pan — rzekł Micio przestraszony błądzącym Małdrzyka — wcale tak zrozpaczonem położenie to nie jest. Ja lepiej znając stosunki miejscowe, odrazu w Paryżu chciałem państwo namówić do Galicyi.

Floryanowi, któremu niewiele było potrzeba aby wyobraźni cugle puścił i pociechę jak najpłochszą uspokoił się, oczy pojaśniały.

— Tak, masz słuszność! Klesz ten pocziwy marzyciel nas tu niepotrzebnie posłał. Ja także miałem złe przecucia. Ludzie zimni, władze najnieprzyjaźniejsze. Tak! nic nie pozostaje tylko Galicya!

I uściskał Micia.

— Ale, ta nieszczęsna dzierzawa — zawołał. — Zbyt zaufaliśmy temu, że nam tu czas jakiś dano się zatrzymać. Ostatnie pieniądze wydałem na nią. Ten gbur młynarz o zwolnieniu mnie, o zwrocie pieniędzy słuchać nie zechce. Tyle wydatków, tyle rzeczy kupionych.

— Czekał pan — odparł Micio — naprzód, mam jeszcze choć słabiutką nadzieję na odpowiedzi



ministra, gdy ta wypadnie niepomysłną, jadę na grunt, i znajdę, choćby ze stratą, kogoś co dzierżawę tę weźmie na siebie.

— A! jesteś dobrym, jak anioł! Ja bo straciłem głowę! — słabym głosem rzekł Małdrzyk, i widząc wchodzącą Monię, bladą i pomieszaną, dał znak Ladzie, aby nic nie mówił. Dziewczę zrozumiało to nagłe milczenie.

— Ja wiem wszystko, kochany tatku—rzekło cicho, całując go w czoło. — Nie trać męztwa... tułactwo jest — tułactwem, powinniśmy byli być przygotowanemi na to.

I z półuśmieszkiem zwróciła się do Micia.

— Więc, dokąd? do Galicyi? — spytała. — A potem? Cóż? Patrzałam na karcie. Bukowina? Rumunia? Serbia? Turcja?

Małdrzyk trzymał ją za rękę, patrzył na tę męczennicę taką spokojną i zrezygnowaną i łzy, już teraz nie ukrywane, płynęły mu po twarzy.

— O! tak źle nie będzie—odparł Micio, siłąc się na nienaturalną wesołość—zobaczy pani.

— A pan? — spytało dziewczę — długo nam towarzyszyć będziesz?

Lada na jej pytające spojrzenie już chciał odpowiedzieć: chociażby do grobu — ale wstrzymał się i rzekł:

— Dopóki mi państwo służyć sobie pozwolicie.

Wśród tej smutnej rozmowy, z której już Flo-

ryan obyczajem swym, usiłował się na jaśniejsze wydobyć horyzonty—przyniesiono telegram.

W krótkich słowach, odpowiadał p. Schleinitz, że rozporządzenie zmienionem być nie mogło. Przyjęto odmowę tę, jako rzecz spodziewaną, prawie obojętnie. Lada już się gotował do podróży, prosząc aby nie czekając na niego wybierano się w drogę. Obiecywał choćby w ostatniej chwili stawić się dla towarzyszenia im na Wrocław do Krakowa.

Małdrzyk po pierwszym ciosie, który go silnie raził, zwolna odzyskiwał jakąś nadzieję, i już ją powiększał a barwił aby nie być zmuszonym łamać się z przeciwnościami, którym nie mógł sprostać.

Lasocka zalewała się łzami i chodziła jak bezprzytomna, a Monia musiała ją utulić, choć sama mało sił czuła w sobie.

Na taki stan rozprężenia nazajutrz przybyła Szlaska, nie umiejąc go zrozumieć zrazu. Obawiano się jej prawdę powiedzieć. Widziała z twarzy iż coś bolesnego, już i tak przykre pogorszyło położenie. Gdy Małdrzyk cicho jej się wypowiedział z tego co zaszło, z początku drzeć zaczęła i mało nie upadła zemdlona. Pomyślawszy krótko wybiegła pędem na miasto.

Można się było dorozumieć, że biedna babina do naturalnych swych uda się opiekunów, duchowieństwa, siostrzyczek i pobożnych pań, mają-

cych tu znaczenie i wziętość. Znanej ze swej gorliwości staruszcze we wszystkich tych domach drzwi stały otworem. Przez cały ten dzień niepokazała się już wcale, a nazajutrz też nie było jej do południa.

Przywlokła się wreszcie zmęczona, spłakana, bezsilna i tak już wyczerpana bieganiem, że kij w rękę wzięść musiała. A że kupić sobie laski nie mogła, jednego grosza żałując na nią, wzięła gdzieś prosty kołka kawalek, na którym się podpierała, i postawiła go przeddrzwiami, bo do pokoju wniknąć nie mógł. Dostała też ze zmęczenia zadyszki, która jej ledwie mówić dawała.

Małdrzyk, oprócz litości nad sobą, widząc w tej boleści staruszki trwogę o grosz tak nierozważnie powierzony, zapewnił ją pocichu iż da rewers formalny, i zapewnił że święty ten dług zwrócony jej zostanie.

Szląska nie mówiła nic, była pogroźona w sobie, szukała Moni, którą jej odbierano, aby jeszcze na nią popatrzeć.

Ta miłość dla niej—musiała wywołać wzajemną—dziewczę nie wiedząc o ofercie uczynionej, serdecznie się do biedaczki przywiązało, i gdyby było miało czem — podzieliliby się z tą, którą za żebraczkę uważało.

Opuściwszy dnia tego nieszpory, Szląska do późna w kątku siedziała u Małdrzyka, patrząc na Monię. Nie odzywała się, nie przeszkadzała ni-

komu, wyprosiła sobie tylko aby jej nie wypędzono.

Lasocka wylawszy wszystkie łzy jakie miała, zajęła się teraz pakowaniem, aby Moni oszczędzić pracy, której ona dla kaszlu prawie się jąć nie mogła.

Małdrzyk chodził, rachował, marzył i już wyobrażnia mu malowała osiedlenie się gdzieś w Galicyi, które musiało być daleko łatwiejszem i przyjemniejszym.

Słomiński, który nadszedł i przestraszony drżał o siebie aby go ten sam los co Małdrzyka nie spotkał, miał w zapasie kilka przykładów nader szczęśliwego osiedlenia się w Galicyi. On sam się tam nawet wybierał. P. Floryan otrzymawszy to potwierdzenie swych marzeń, najmocniej był przekonany, że teraz wszystko musiało pójść łatwo dobrze i—nawet świetnie. Znał i przypominał sobie kilku współobywateli, których familijne stosunki wyniosły na Podole galicyjskie—byli to przecież ludzie co ze sobą stare braterstwa tradycye wywieźli, i zachować je musieli. Zwolna powracała otucha.

Dnia tego oczekiwano napróżno Micia, nie było ani jego ani od niego wiadomości. Ostatni dzień się przybliżał, a odźwierny Bazaru pocichu szeptał, że zaglądały tu jakieś figury, dopytujące o Małdrzyków, których przesuwanie pod oknami nic dobrego nie wróżyło.



Tłumoki były popakowane dawno, Monia ciągle wyglądała oknem, Floryan nie odchodził od niego. Niepokój rosnał. Żeby był choć dał znać co go opóźniło.

Stara Szląska cicho szeptała po francuzku. Dobra nowina kiedy nowin nie ma.

Siadano do stołu, gdy Micio wszedł do pokoju.

Małdrzyk jak w tęczę patrzył na niego, serce mu biło.

— Zrobiłeś co? — spytał.

— O ile zrobić się dało — rzek Lada dobywając paczkę pruskich papierków i kładąc ją na stole przed Małdrzykiem, który rękami drżącymi liczyć je zaczął i nie mógł przeliczyć, bo mu się w zamglonych oczach émiło.

Musiałem ustąpić, strata była nieuchronna — dodał Lada — ale i tak szczęście jeszcze iż od dzierżawy wolni jesteśmy. Gemba nie chciał się zgodzić na przekaz innemu, bo w kontrakcie punktu o odstępstwie nie było. Lecz — rzecz skończona.

Floryan po raz trzeci obliczając papierki, postrzegł dopiero, że strata niemal piątą część wyłożonych pieniędzy wynosiła. Spodziewał się znaczniejszej, odetchnął. Rękę Miciowi wyciągnął, Monia mu wzrokiem podziękowała.

Teraz mogli jechać, ale Lada miał jeszcze znajomych, których pożegnać potrzebował. a na to ledwie czas do wieczora starczył. Uradzono

więc do rana nazajutrz pozostać, znajdując że to nie było przekroczeniem terminu.

Ostatni ten dzień upłynął w jakimś smutnem milczeniu i zadumie. Lasocka nie spuszczała z oka Moni, która chodziła, udawała wesołą, ale ciągle ciustkę do ust przykładala, a lękając się aby krwawe na niej ślady kaszlu nie strwożyły ojca i piastunki, wymykała się je zapierać w swoim pokoju.

Bladość jej i nagłe wychudzenie twarzy tak były naturalnem następstwem wrażeń jakich doznała, że innych przyczyn szukać nikt nie myślał.

Szląska i Słomiński dosiadywali przy Małdrzykach.

Rozmowa teraz toczyła się tylko o kraju obiecanym. o Galicyi, o której p. Stanisław po mieście wiadomości zebrał sporo, a z nich tylko tych Małdrzykowi udzielał, które go dobrą nadzieją natchnąć mogły:

Cudowne opowiadano rzeczy, o gościnnem przyjmowaniu po domach, o przytułku jaki tam znaleźli mnodzy nieszczęśliwi, których sobie niemal z rąk wyrywano. Ziemia była w porównaniu do pruskich posiadłości, mlekiem i miodem płynąca, żyzna. bogata i gościnna, jak owe stare słowiańskie, o których Helmold pisał, że u nich zbrodnią i wstydem było, nie ugościć choćby nieprzyjaciela.

Słomiński przywodził nawet osobitości wyda-

ne, które się wslawiły szczodrobliwością swoją, a władze miały nadzwyczaj być sympatycznie usposobione dla tułaczów.

Małdrzyk święcie wierzył, że tak być musiało. Cieszył się też iż obaczy starą stolicę, Kraków, a może—gdyby się powiodło, zbliży się ku miejscom dawnego swojego pobytu—ku Lasocinowi!

Siedziano tak do późnego wieczora. Szląska wstała gdy już dobrze zmierzchno i łkając poczęła się żegnać, i żegnać w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu krzyżem świętym na drogę „szczęśliwości“ wedle słów modlitwy błogosławiając swą Monię, ojca jej; Lasockę.

Krzyżek jeszcze jakiś otarty o obraz cudowny zawiesiła dziewczęciu na szyi, a w końcu gdy się na łkanie coraz bardziej zbierało, kij swój u drzwi porwawszy, uciekła.

Słomiński napierał się służyć, wyręczać i bawił aż do bram zamknięcia. P. Mieczysław też nadbiegł zdyszany i wielce poruszony pożegnaniami.

Nie mówił o tem że się spotkał z p. Ksawerym, który z przekąsem i prawdziwą satysfakcją wewnętrzną rozpowiadał już o wypędzeniu Małdrzyków, otwarcie Panu Bogu dziękując, że go od nich uwalniał.

Spadał mu wielki ciężar z głowy, gdyż zawsze się lękał być zmuszonym do jakiejś ofiary.

W mieście o wypadku tym sądzono, jak się

wyraził ktoś „objektywnie“, ludzie rozsądni wchodzili w położenie prezesa i mieli go za zupełnie wytlómaczonego. Trzeba się tylko było postawić na jego „punkcie widzenia“ — „jego momencie psychologicznym“.

Najlepsi okazywali to zimne współczucie, jakie się budzi w stojących na lądzie, gdy burza okrętem rzuca i pochłania go.

Były to dla nich nieuniknione następstwa całego szeregu wypadków, całego, po niemiecku mówiąc „procesu naszej niedoli“. Litość tak filozoficznym wyrażająca się językiem, tak poważna, tak zawsze rozumnie „objektywna“ — spokojnem darzyła sumieniem.

Niepoprawny Micio—uległ tego wieczora pokusie, której się nie oparł nigdy, grał trochę w karty — i wygrał, co mu było małą pociechą i pożądanym posiłkiem przed podróżą.

Nazajutrz cicho jeszcze było w miasteczku i ledwie gdzie wóz chłopski turkotał od przedmieść, gdy p. Floryan z Monią a Lasocka z p. Mieczysławem, w opakowanych tłumokami doróżkach wyruszyli z Bazaru do kolei, spiesząc na ranny pociąg, który na Wrocław miał ich wieźć do Krakowa.

Monia modliła się pocichu, niegościnne opuszczając progi.

Na kolei — czekał Słomiński i stara Szląska, która się tu o kiju do dnia z zapłakanemi oczyma



przywlokła. Niedola czasem czyni okrutnym człowieka, ale często serce mu otwiera które szczęście zamyka i niedostępny czyni.

---

— Ulica Szpitalna, Hotel Pollera — zawołał p. Mieczysław wielce odartemu dorożkarzowi, który okrutnie rozbitym i straszliwie brudnym powozikiem, parą koni wynędzniałych, w uprząży sznurkami pozwiązywanej, miał ich wieźć do gospody—wielce polecając—pod Różą!

Tak — pod Różą. niechybnieby było wygodniej, ale Micio znający miejscowe okoliczności, ostrożny, bo nie można było przewidzieć jak długo tu zostać wypadnie—wolał skromniejszą gospodę poczciwego Pollera, choć może nie tak wytworną i wygodną.

Małdrzyka, Monię, uderzyło niemile to nazwisko Szpitalnej ulicy, będące jakby wróżbą jakąś nieszczęśliwą. Natomiast fizyognomia miasta, tak wybitnie nasza, tak napiętnowana znamionami przeszłości, przy całym swym ubóstwie, zabrakuaniu i opuszczeniu, robiła wrażenie jakby się ze snu złego obudziło w lepszych czasach dawno minionych.

Co krok widok jakiś przypominał obyczaj, pobożność, fatalizm ten stary z wiarą w opatrność, który niemal tak jak mahometański — od

pracy ciężkiej uwalnia, zdając się na Pana Boga. Miasto—naówczas—wyglądało w istocie jak gdyby czekało od opatrności interwencji do oczyszczenia ulic nawet, do uczynienia porządku, do cudownego zmartwychwstania.

Dla przybywających z Europy wystrojonej, świeżej, rojącej się życiem gorączkowym, stara stolica robić musiała wrażenie odkopanej Pompei, jakiegoś prastarego zabytku, który z żywiołem wieku nie miał żadnego związku.

Z niewielu wyjątkami figury zaludniające średniowieczne ulice, średniowiecznym brukiem wysłane i mające woń świadcząca iż dezynfekcja była turzeczą nieznaną — doskonale godziły się z tem tłem malowniczym. Naprzód te tłumy starozakonnych w ich odwiecznych strojach, ci mieszczanie w kapotach, ci wieśniacy w ubiorach swych oryginalnych, ulicznicy i żebracy jakby z obrazu Callot'a, staruszkowie jakby z trumien powstałi, babki do kościołów wlokące się z różańcami w rękę, chłopaki od rzemieślników uśmiech, radości wywołali na usta Małdryka i Moni.

Jakaś śniona, niewidziana nigdy, marzona przeszłość w oczach ich stawała się cudowną rzeczywistością.

To charakterystyczne znamie, niemal wszystkich słowiańskich narodowości — zaniedbanie,

brud, lekceważenie wdzięku—wydało się przybywającym niemal miłem. Czuli się tu w domu.

Woń odpowiadała powierzchowności, był to, jeżeli *nie dulcis fumus patriae*, to wyziew ów pamiętny p. Floryanowi ze wszystkich miasteczek jego prowincyi.

Lasockę i Monię zachwycęły kościoły stare, okryte pyłem i mchem wieków, których żadne świętokradzkie restaurowanie nie tknęło; obrazy na zewnątrz ich do ścian poprzyklepiane, przed którymi lampki się paliły, ludzie klęcząc na bruku śpiewali. Tu jeszcze Pana Boga, po staremu czczono jawnie, gdy gdzienziej Moloch panował.

Coś poważnego, majestatycznego unosiło się nad tą wspaniałą ruiną stolicy, której ręce ludzkie nie tknęły, jakby nie śmiały jej z królewskich szat wieków odzierać.

Nawet głos dzwonów brzmiał tu inaczej—uroczysty powolny, tęskno, żałobnie a spokojnie.

Grób to był po którym chodziły widma—lecz wspaniały, wielki i piękny. Trzy wieki upłynęły od chwili osierocenia i zgonu, przepłynęły tedy wojny, bohaterowie, klęski, zmienili się ludzie, władze, prądy, a tej epoki prastarej z jej barw nie mogły wywłaszczyć.

Stała jeszcze niemal taką w powadze swej, jaką ją Zygmunt III pożegnał.

Monia, która przez całą drogę czuła się słabą, a kaszel jej się wielce pogorszył, co strudzeniu

przypisywano—wyglądała ciekawemi oczyma, zachwycona, wołając: O jakież to piękne! a jakież to nasze!

Widziała to już po raz drugi, a doznane wrażenie było teraz silniejsze jeszcze. Małdrzykowi też serce biło, bo ta prastara twarz, zdawało mu się, prastarego ducha musiała być wyrazem. Ludzie powinni byli tu podobni być do kamieni, takich jakichś serdecznych i świętych.

Język nakoniec, który słyszeli w ulicach brzmiał swojsko, a kilku szaraczkowo i obcisło ustrojonych żołnierzy, z kiepska po węgiersku—nie raziło wcale wśród innych postaci.

— Tu! — zawołał Małdrzyk dojeżdżając do Pollera—o tu, jesteście istotnie na swojej ziemi. Mój Boże! co za różnica od Poznania!

Micio nie mówił nic.

Skromna gospoda Pollera miała także wybitną cechę swojskości, a ludzie stojący w bramie, przypomnieli Floryanowi służbę jego w Lasocinie.

Na pierwszym pięttrze od ulicy, znalazło się mieszkanie bardzo dogodne. Dla oszczędności miała Monia stać z Lasocką, a Micio razem z Małdrzykiem. Ostrożnie już poczynano sobie, aby na dłuższy czas móżdż pozostać bez troski.

Przybywali tu bowiem, nie mając żywej duszy znajomej. Micio w Poznaniu mający winne stosunki, mógł się choć rozpytać i objaśnić, tu—zaledwie z przejazdu i krótkiego pobytu znając Kra-



ków, bliższej znajomości zupełnie mu brakło, trzeba jej było szukać lub od losu wyglądać, Lada śmiały, obyty z ludźmi, wygadany, zręczny, pochlebiał sobie, iż mu się łatwo uda zawrzeć stosunki. Nie przyznawał się do tego, ale w duchu rachował i na to, że grał w karty, a ta namiętność czy nałóg, zbliża ludzi i zawiązuje znajomości, nawet w wyższych sferach.

Małdrzykowi na myśl nie przychodził nikt, na kogoby mógł się powołać tutaj, lecz słyszał, że Kraków był miejscem schronienia wielu inwalidów — i sądził, że jakiś, ktoś choćby jego przyjaciół znajomy lub krewny znaleźć się może.

Mieli czas, mogli się rozpatrywać, zapas starczył przy oszczędności na kilka miesięcy. Małdrzyk też miał zaufanie w Miciu, a choć koso na to spoglądał gdy się do Moni przybliżał — cierpiało to — sądząc że niebezpieczeństwa niema. Monia nie okazywała mu nic nad dobrą przyjaźń i wdzięczność.

Z jakąś w sercu pociechą — rozpakowano się u Pollera, a nawet smutna ulica Szpitalna, wydała się im taką polską, i tak blizką była plantacyj, że ją uznano — ładną.

Obiad po podróży smakował wybornie i składał się z potraw, które tylko u nas na stołach się spotyka. Lasocka z zachwyceniem witała barszcz, Floryan powiedział, że tak szpikowanego zajęcia

nie jadł od wyjazdu z kraju — tylko zepsuty Micio cicho szeptał, że u Chevet'a bywa lepszy.

Monia nie usiadła do stołu. Lasocka powiadła, że była drogą zmęczona i potrzebowała spoczynku. Posłano jej rosół i kurczę. W istocie miała dosyć mocną gorączkę i krztusiła się ciągle, a że tuż przezedrzwiał ojciec mógł kaszel posłyszec, tłumiała go jak mogła.

Lasocka już krew postrzegła, lecz nie mówiła o niej, nie sądziła żeby to groźnym symptomem być mogło.

Micio od podróży, w ciągu której słyszał ten kaszel, niespokojnym był i mówił sobie, że lekarza poprosi.

Planu żadnego postępowania nie zakreślił ani Małdzyk, ani p. Mieczysław, oba się na los spuszczać potrosze. Floryan miał ztąd pisać do Klesza, i gotów go był nawet powołać, bo mu się zdawało, że on ze swą uczonością w mieście uniwersyteckiem łatwo znajdzie znajomych.

Nie zastanowił się nad tem, iż uczeni niewielką być mogli pomocą.

Lasocka o niczem nie myślała oprócz swej Moni i jej zdrowiu.

Z wielkiem wszystkich podziwieniem chora wieczorem wstała (nie chcąc ojca niepokoić) i, choć błada i wątła, przyszła go zabawiać. Mówiono o mieście i unoszono się nad jego pięknoscią.

Nazajutrz wszyscy jeszcze odpoczywali, gdy Micio się zerwał, ubrał pocichu i wyszedł na miasto — dla rozpatrzenia się w niem.

Włóczył się tak wiele po świecie, iż nie mógł przypuścić, żeby tu kogoś znajomego nie znalazł. Puścił się w ulice, potem po hotelach, rozpatrując pozapisywanych na tabliczkach podróży, lecz... nazwiska hrabiów, baronów, ritterów a nawet szlachty — wszystkie obco mu brzmiały. Powrócił więc do hotelu, gdzie Małdrzyk z cygarem w ustach napawał się „Czasem“.

Siedli studyować to pismo, szczególnie dla „przyjezdnych“ — czyby się jakie znane nazwisko nie znalazło. Około południa Lasocka z ułożoną spokojnie twarzą przyszła im oznajmić, że Monia jest jeszcze drogą zmęczona, i że lepiejby było, aby jadła u siebie i odpoczywała.

— Wiesz co, panie Floryanie — odezwał się Micio — w takim razie my moglibyśmy zejść na dół do restauracyi. Ludzi się tam, jak mi mówiono, zbiera dosyć. Nie jest to *la fine fleur* tatejszego towarzystwa, którą znaleźć można pod Różą i u Herteux — no... ale —

— Chodźmy, i owszem, to mnie rozerwie — rzekł Małdrzyk — a przyznaję ci się, że potrzebuję trochę dystrakcyi... Zobaczymy pocziwe oblicza naszych... hreczkosiejów, kto wie, może kogo z tamtych stron.

W godzinie obiadowej zeszli w istocie na dół

i znaleźli pokoje jadalne już dobrze obsadzone przy wszystkich stolikach. Restauracja wcale się wykwintnością nie odznaczała i siedzący w niej goście nie wyglądali na elegantów, ale zapach staroświeckiej, polskiej, tłustej i korzennej kuchni czuć było zdaleka.

Przeważali tu ludzie starzy lub dobrze podżyli, twarze z typem polskim, z rysami wyrazistymi, wąsate, czupryny szpakowate i łysiny. Tu i owdzie strój dawny i czamarka przypominały żywo przeszłość. Języka francuzkiego, który u nas przy wykwintniejszych stołach słyszeć się daje, tu nie było prawie można pochwycić. Jeżeli kto nim mówił, to pocichu.

Łatwo było poznać w tych biesiadnikach niepoczesnych, szlachtę ze wsi, przybyszów i robotników z różnych części kraju, inwalidów dożywających tu dni ostatka pod Panną Maryą i Wawelem.

Micio, który oko miał bystre, obejrzał wnet całe zgromadzenie, znalazł trochę odosobnione dwa miejsca, usadowił Małdrzyka i kazał obiad podawać. Towarzystwo całe na widok nieznanomych twarzy zwróciło oczy na nowych gości, ciekawie i niespokojnie.

Po krótkim przestanku milczenia, rozmowy przerwane zawiązały się nanowo. Od stolika do stolika interpelowali się wszyscy, bo całe to grono było z sobą znajome. Cichość angielska i szty-



wność wcale tu nie była w obyczaju; mało co, ledwie z nazwiska lub z twarzy sobie znani zaczęli się i prowadzili wesołe rozmowy. Sąsiedzi Floryana i Micia spoglądali na nich tak, jakby czekali, rychło się i oni do ogólnej przyłączą rozmowy, bo tu milczeć, odosabniać się, tać się z sobą nie było we zwyczaju.

Już przy zupie, siedzący niedaleko Małdrzyka szlachcic w czamarze, z wąsem spuścistym, dobrej tuszy, z krwawnikiem na palcu, z wejrzeniem badawczem, chrząknął i zapytał go:

— Wolno wiedzieć, z jakiej pan części kraju?

— Z za kordonu.

— A... Oddawna?

— O! już lat kilka — rzekł Małdrzyk — zmuszony byłem kraj opuścić.

Tu wypadło mu wedle miejscowego obyczaju zaraz się opowiedzieć, ale Małdrzyk przerwał smutnie i zamikł.

— A—odparł sąsiad—wielu tu mamy podobnych.

Micio, który lepiej jakoś przeczuł wymagania miejscowe, skłaniając głowę, zaprezentował po nazwisku siebie i Małdrzyka.

Szlachcic usłyszawszy to imię, mocno się zadumał, sięgnął za czamarę, dobył niezmiernie drobno nakształt rejestru zapisany seksterniczek, począł w nim szukać i oczy mu się rozjaśniły.

— Tak, Małdrzykowie, herbu Wąż! — odez-

wał się — są w Paprockim, są, stara i dobra szlachta, ale byłem pewny, oto widzi pan (dodał ukazując seksterniczek) zanotowany krzyżyk, znak że familię miałem za wygasłą.

— W istocie, ja podobno jestem ostatnim tego nazwiska — odezwał się p. Floryan. — Małdrzyków więcej niema.

Przestał jeść szlachcic z seksterniczkiem, do był ołówka na sznurku przyczepionego, poślinił go i zaczął notować.

— Korzystam — rzekł — z każdej zręczności, aby moje badania genealogiczne uzupełnić. Daruję mi pau... matka była z domu?

I tu rozpoczął cały szereg pytań, który na pradziadku się skończył, bo Małdrzyk dalej już sobie protoplastów nie mógł przypomnieć.

Tymczasem stygl podany szlachcicowi pekefleisz z chrzanem, do którego się wziął teraz z gorliwością podwojoną. Wywdzięczając się za genealogię Małdrzyków, opowiedział w krótkich słowach, że się zowie Albin Tadeusz ze Szczurowa Szczurowski... herbu własnego, że mu genealogowie krzywdę wyrządzili pomieszawszy z starą jego rodzinę odrębną z innymi Szczurowskimi z nieprawdziwego Szczurowa i t. d.

Oprócz tego bzika genealogicznego szlachcic nie miał w sobie nic odstręczającego, a był nieoszacowanym z tego powodu, że pamięć ludzi, nazwisk i stosunków miał niezmierną. Mieszkał

tu, jak powiadał, dla wychowania dzieci, a miał swoją wioskę około Krośna. Do pieczystego doszedłszy, byli już jak starzy i dobrzy znajomi; Szczurowski zabawiał ich anegdotami starymi i współczesnymi, był tego szczęśliwego temperamentu dawnych czasów, który się nigdy nie zachmurza, a w razie ostatecznym, najgorszym, woła: — Kiep świat! i śmieje się z niego.

Do swoich spisów szlachty i genealogij przywiązywał niezmierną wagę, głosząc, że wszystkich dotychczasowych heraldyków w Kamycz zapędzi, że nawet sławnego hr. Mniszcha z Wisniowca i hr. Aleksandra z Dubiecka prześcignie.

— A to, panie — dodawał, klepiąc ręką po piersi, na której leżał seksterniczek — to panie, fundament historyi naszej. Nie stanie szlachty, nie będzie Polski.

Wkrótce praktyczniejszy od Małdrzyka Micio, widząc pana Szczurowskiego ożywionym, przy siadł się do niego, żądając objaśnień o innych współbiesiadnikach, których on zdawał się znać wszystkich, bo niekiedy zdala mieszał się poufale do ich rozmowy.

— Ja? — rzekł zcicha Szczurowski — mogę panu nietylko tu po imieniu i nazwisku wszystkich wymienić, ale nawet w ulicy. Żyję w Krakowie od lat kilku, znam każdego, nawet mieszczan — ale tych ja genealogij nie zbieram.

Widzisz pan tego niepoczesnego starowinę,

z trochę krzywą gębą, tam w kątku... tego co połędwicę kraje na drobne kawałki, bo zębów nie ma. Cobys pan za niego dał? he? a ja, jak stoi, ofiaruję pół miliona złotych i zarobię. Jest to bogaty obywatel z Wołynia, który na piersiach nosi zawsze w Listach Zastawnych cały majątek. Stary kawaler! he! he! dobra sprzedał.

I szepnął nazwisko dobrze znane Małdrzykowi — Ten, mości dobrodzieju — obok, niedaleko, elegant, szkiełko w oku, nie wiem co tu robi, bo tu nie jego miejsce. Domyślam się, że zwąchał gdzieś kapitał i dobrodusznego szlachcica. Poluje on nie dla siebie — a któżby mu co dał! Jest to faktor panów, hrabiów i książąt, grosza potrzebujących. Gładki kawaler, nazwisko szlacheckie, ale wyrzuceniem jednej litery podrobione, goły jak święty turecki — ale w salonach niezbędny. Służka arystokracji do miłosnych intryżek i spraw finansowych.

Szczurowski byłby jak z rejestru wszystkich recytował, gdyby w tej chwili nie nadszedł drugi szlachcic brzuchaty, po polsku ubrany, od oddalonego stoliczka. Uważał Micio oddawna, że tam we trzech obywatele wiejscy wesoło i hałasliwie pili węgryzna i już butelek ze sześć stało próżnych.

Szlachcic, który tam rej wiódł, patrzył okiem niespokojnem na Małdrzyka i Micia, przy któ-



rych Szczurowski ciceronował. Goście się rozchodzili; węgryzna podawano nowego.

— Sluchaj Szczurze — szepnął mu w ucho podchocony, odwiódłszy go na stronę. — Z kimże to tak pilno konwersujesz? To są jacyś nie nasi... goście? hm? z kąd?

Szczurowski w ucho zaczął kłaść szlachcicowi nazwiska i objaśnienia, lecz ten niedługo słuchał, i z brawurą węża pokręcając zbliżył się nader grzecznie do Małdrzyka.

— Mości dobrodzieju — rzekł — jest to staropolskim obyczajem, gdy ludzie wesolej myśli zażywają w przyjacielskiem gronie, że radziby kupą jak największą być. Uczynicie nam panowie honor ten i przysuńcie się do naszego stolika, a fraternizujmy. Zdrowe hungarium nie zaszkodzi, przegawędzimy chwilkę przy kieliszku.

Tu się zaprezentował.

— Hilary Okszmiński, a to moi sąsiedzi i przyjaciele, baron Pucułowicz, podkomorzy Zawilejski.

Ani się było sposobu opierać, tak zaraz otoczono naszych panów i w obłężenie ich wzięto; taka była serdeczność w zaproszeniu, tak tym ludziom wesoło z oczów patrzało.

Szczurowski i Okszmiński byli w czamarach i z polska, baron Pucułowicz, którego rysy pochodzenie armeńskie zdradzały, brunet z nosem wschodnim, po francuzku się nosił, podkomorzy

Zawilejski miał minę poważną wielce i obywatel-sko-kamerherską... ale wszyscy otworzyli się wydawali i serdeczni.

Zasiedli do jednego stołu. napełniono kieliszki, szepnął Oksziński o parę nowych butelek — zarzucono gości pytaniami.

Micio opowiadał że przybywali z Poznania i jak różne na nich wrażenie czynił Kraków.

— A jakże! — zawołał Oksziński — niech sobie co chcą smarują skrybenci o Galilei, ja powiadam że tu serca są i obyczaj staropolski się uchował! Słowo daję.

Zaczęto się potraćć kieliszkami i wyrzekać na prusaków, że krew polską zatruli. Podkomorzy Zawilejski wychwalał stan błogostawiony kraju i stosunki pomyślne, rokujące dlań jeszcze świetniejszą przyszłość.

— Prawda że goli jesteśmy—dodał—że podatki duże, ale państwo potrzebuje wiele—*si vis pacem para bellum*.

— Jakoś to będzie!—śmiejąc się wołał rozweselony Oksziński—duch w nas żyje.

Małdrzykowi serce rosło, tu widocznie świat był inny, można było nań rachować. Rozgadano się otwarcie, a że przy kieliszkach tajemnic niema, nastąpiły zwierzenia się, ubolewania i pocieszania.

Micio jednakże postrzegł, że gdy Małdrzyk całe swe dzieje potroszę opowiedział, rzuciły one

jakby chłodem na słuchaczów. Nawet poczciwy Oksziński zmieszał się nieco, i odwrócono rozmowę na ciężkie czasy, na propinacyę, na lichwę, na rezolucyę, sejm, i na wszystkie dolegliwości tego błędnego stanu, jaki tu miał panować.

P. Hilary, baron, podkomorzy, rzucali ku sobie wejrzeniami, tak jakby znaki dawali ku rejteradzie. Małdrzyk to raczej poczuł niż postrzegł i dopiwszy kieliszka pierwszy wstał żegnając się, i przepraszając że się do chorej córki dowiedzieć musi.

Micio umyślnie pozostał.

Po odejściu Małdrzyka, mógł daleko otwarciej mówić o nim, o tem co go z kraju wyгнаło, i co ich spotkało w Poznańskim. Oksziński nalewał i pił, Szczurowski swoje notatki genealogiczne przeglądał.

— Wiesz acindziej co—odezwał się z powagą podkomorzy—dla tego biednego człowieka u nas jużciż się coś da zrobić, coś się znajdzie. Są małe posady w kasach oszczędności, przy Towarzystwie ubezpieczeń od ognia, po powiatach, nareszcie i jaka dzierżawka może się odszukać, ale trzeba czasu i stosunków.

Oksziński dodał:

— Wielkich rzeczy nie mamy bo nie mamy, my też chudeusze; no, ale kawałkiem chleba każdy się rozłamię.

Micio pomyślał, że łatwiej jeszcze podzieli się każdy kieliszkiem węgryna.

Pogawędzili chwilę, bo Okszmińskiemu gdy raz był w tem usposobieniu trudno zawsze bywało skończyć i jeszcze chciał, mimo ciężkich czasów, stawić butelkę, gdy Małdrzyk nadbiegł bładny, bez kapelusza.

— Mój Miciu — szepnął mu głosem niespokojnym—proszę cię, biegnij po doktora. Monia jest seryo chora. Krew się jej ustami rzuciła.

Wszyscy biesiadnicy domyślili się jakiegoś wypadku i powstali.

— Co się stało? co?—zapytał Okszmiński.

— Kto tu najlepszym doktorem?—wtrącił Micio, chwytając już za kapelusz.

— Ale któż ma być? Dietel, jeden Dietel na świecie!

— Biegnij do niego! — zawołał Małdrzyk łamiąc ręce i sam idąc za Miciem, który nie zegnając się salę opuścił.

Przerwane w sposób tak smutny biesiadowanie, musiało się skończyć. Baron i podkomorzy poczęli ścisnąć i całować Okszmińskiego, który się do łez rozczulił przy pożegnaniu—został sam, dobył sakwy i pugilaresu, siadł i wziął się do najsmutniejszego rozrachunku za ową chwilę zapomnienia trosk ziemskich. Twarz mu sposepniała—niczem bo było pić—ale płacić za tego węgryna!



Od przyjazdu do Krakowa upłynęło kilka tygodni. Stan zdrowia Moni, długo przez nią ukrywany, tajony przez Lasockę przed ojcem, tak się nagle pogorszył, że już z pokoju wychodzić nie mogła, z trudnością się o swej sile po nim przechadzała, siedziała najwięcej w krześle, a kaszel pomimo starań dr. Dietla i dawanych przez niego lekarstw, nie ustawał.

Jesień się zbliżała, na tę jesień doktor pociachu doradzał wyjazd do Meran, powietrze tamtejsze i kuracyę winogronową. Ale jakże o tem pomyśleć było można?

Micio mówił, że środki się znajdują i gotów był oddać wszystko co miał, dla ocalenia Moni—lecz, tymczasem nawet podróż była niemożliwą. Poruszenie gwałtowniejsze spowodowało wybuchy krwi, potrzeba było wypoczynku, nadewszystko tego spokoju ducha, którego biedne dziewczę nie miało.

Kłamano przed nią, łudząc ją nadziejami najpiękniejszymi dla ojca, lecz są momenta w życiu, szczególnie w chorobach niektórych, gdy człowiek jasnowidzenia nabywa. Monia, która własnego swojego stanu groźnym wcale nie sądziła, śmiała się i miała pewność wyzdrowienia rychłego: położenie ojca przenikała trafnie, wiedziała że się ono nie polepszyło.

Szukano na wszystkie strony jakiegoś stałego zajęcia dla Maldrzyka, wszędzie zbywano go

obietnicami, kazano czekać, nic stanowczego nie przychodziło. W istocie też dla p. Floryana stosownego coś wyszukać było trudno. Uczyć się czegoś za starym się czuł, a umieć, nic nie umiał. Przydałby się być może na leśniczego do znacznych dóbr, na kasyera, gdyby rachunków pisać nie potrzeba było, a najlepiej na jakąś sinecurę—gdzieby nie było nic do robienia, oprócz pokwitowania z odebranej pensyi.

On sam tęsknił za wioską i dzierżawą. Obiecywano mu coś w Sanockiem, ale na to także pół roku oczekiwać było potrzeba. Małdrzyk zrozpaczony, niespokojny o córkę, łzami pisany list wyprawił do Klesza.

Jedyną pociechą jego było, że Micio go nie opuszczał. W tym człowieku płochym, obudziło się, choć późno, uczucie prawdziwe, i uszlachetniło go, zmieniło. Wprawdzie porobiwszy znajomości i wpisawszy się do klubu, codziennie prawie ciągnął tam jaką godzinę spędzić nałogowo u zielonego stolika, a czasem i Małdrzyka namawiał ze sobą—ale znaczniejszą część dnia był na posługach chorej, która mu się uśmiechała i przywiązała do niego—jak do brata.

W tej miłości było coś niezwyčajnego, nadający jej odrębny charakter. Micio nigdy o niej mówić nie śmiał, choć mu serce przepełniała, Monia zdawała się ją rozumieć i opłacać przyjaźnią gorącą, ale żartowała z biedaka i w rozmowach

z nim nastrajała się zawsze na ton wesoly. Stan jej zdrowia coraz groźniejszy, obok tej wesołości niemal dziecięcej, czynił zbliżenie się do niej, podwójnie bolesnem.

Monia nietylko dla Micia była uśmiechniętą i żartobliwą, lecz starała się tak samo rozruszać i ożywić ojca, nie dać się smucić Lasockiej. Mówiła że się czuła dobrze, że stan jakiś błogi nastąpił po chorobie, który jej był bardzo miłym.

Często parę razy na dzień rzucała się krew, a ledwie ustał kaszel i spoczęła trochę—bo niekiedy znużona usypiała w krześle — śmiała się, drażniła Lasockę i bawiła się najmniejszymi rzeczami. Doktor Dietl przychodził, naturalnie otuchy dodając, potakując mniemanej rekonwalescencie, lecz zaledwie za progiem, rozumne czoło mu się marszczyło, przybierał minę smutną.

Micio nie śmiał go pytać. Widział stan groźnym, ale chciał się łudzić.

On także wychudł, wybladł i spoważniał do niepoznania. Całe otoczenie Moni losem jej tak było zajęte, że o sobie zapominało.

Tak upłynęło część lata, gdy dnia jednego, wcale niepozornego, ogorzałego, ubranego ubogo gościa dorożka przywiozła do hotelu Pollera. W progu zapytał gospodarza o Małdrzyków. Są—rzekł głową potrząsając gospodarz—są.

— Panienska jak się ma?

Spojrzał zapytany, poszepnął coś i złożył się niewiadomością.

Przybyłym był Jordan, który żonę w Tours porzuciwszy, na wiadomość o chorobie Moni i jej symptomatach, natychmiast przybiegł do Krakowa.

Małdrzyka—owego niegdys szukającego tylko rozrywek i zapomnienia kłopotów Florka, znalazł wynędzniałym i zdretniałym. Rzucili się sobie w objęcia i popłakali.

Monia, która drzemała w krzesle w sąsiednim pokoju, po chodzie poznała przyjaciela, przeczuła go, zawołała głośno—Jordan, chciała wstać i iść na powitanie ale ją siły opuściły.

Wykrzyk jej usłyszawszy, Klesz z ojcem pospieszyli do niej. Lasocka podała już wody. Monia z ręką na piersi, blada, z ustami sinemi, z oczami które choroba powiększyła, piękna jak anioł, a straszna jak obraz śmierci— z płaczem powitała Jordana, który pokłęknał przed nią.

— A! a! jakżeś ty dobry, mój przyjacielu— mówiło dziewczę, ciężko oddychając — odgadłeś myśl moją. Ja cię tak widzieć pragnęłam, tak mi cię brakło. Teraz, przy tobie, ja zaraz, prędko, prędko wyzdrowieję!

I śmiać się zaczęła, przytrzymując go przy sobie, przypatrując się trochę zestarzałemu a razem jakoś zażywniej i zdrowiej wyglądającemu Kleszowi.



— Oni tu wszyscy niepotrzebnie się tak o mnie troszczą bo ja w sobie czuję siły i wyzdrowieję. Ale lato było takie gorące.

Jordan, choć mu się na łyzy zbierało, niby się stara, uśmiechać, całował wychudłe rączęta białe—mówić nie mógł. Moni też tchu zabrakło.

Wyprowadzono Jordana pod pozorem nakarmienia go, ale wszedłszy do Małdrzyka, padł na krzesło ukryć nie mogąc wrażenia, jakie na nim widok ten uczynił.

— Znajdujesz ją tak źle? — zapytał pocichu ojciec.

— Nie wiem—rzekł Klesz—doktorem nie jestem, zdaje mi się tylko, że potrzebowałaby łagodniejszego klimatu.

— Tak, doktór Dietl radził Meran na jesień. Tymczasem zaś onaby jechać nie mogła, osłabioną jest.

Zamilkli oba. Nadszedł Micio, który za wczesnemi biegał winogronami, niosąc co gdzieś zdobył. Klesz zdziwił się i na jego twarzy znajdując wyraz boleści, który jej cechę chorobliwą nadawał.

Najjaśniej widział stan chorej nowoprzybyły i nie mógł się ludzić wcale. Ojciec i Micio zwolna się z nim oswoili, jej udawana czy rzeczywista wesołość także ich chwilami oszukiwała. Jordan porównywając obraz tej Moni jaką pamiętał, z tą którą znalazł wyciągniętą na fotelu,

przerażony był widokiem zniszczenia jakiemu uległ ten zaledwie rozwinięty kwiatek.

Z wielką trudnością potrafił przed ojcem ukryć co doznawał i nierychło zapanował nad sobą.

— Ożeniłeś się więc? — zawołał Małdrzyk, gdy pozostali sami.

— Tak, mój Florku, donosiłem ci o tem — rzekł Jordan — i jestem tak szczęśliwy, że się boję. Nigdy nie był tchórzem, bom nie miał nic do stracenia, teraz ciągle żyję w strachu. Jestto słaba strona szczęścia ludzkiego.

— No, a twoje finanse? — dodał Małdrzyk, óry wlkatsne pono miał na myśli.

— Swietne! — odparł Jordan. — Żona moja tak ałom je jak ja, a daleko jest oszczędniejszą niż byjłeam. Życie w tej błogosławionej Francyi południowej nie kosztuje wiele, bo tam samo powietrze karmi, a dodawszy do niego trochę sałaty i odrobinę wina — człowiek syty.

Zarabiam u Mamów ogromnie, tak że mi ich żal, bom przekonany iż płacą za drogo.

Jedno mam utrapienie — dołożył Jordan. — Miałem nałóg, naturę, potrzebę sprzeczenia się i polemizowania. Z żoną nie mogę, bo ona się zgodzi na wszystko co powiem, z Mamami czasem pocznę — ustępują mi, więc jeden resurs idę do klubu republikańskiego i tam jestem zagorzałym

monarchistą, a potem do zachowawców, i z nimi kłóć się broniąc republikanów.

Uśmiechano się smutnie z tego opowiadania Klesza, który poszedł dobywać małe podarki jakie przywiózł dla swej Moni, Florka i Lasockiej, a potem zniknął gdzieś na mieście. Nikomu nie mówiąc, pobiegł on do doktora Dietla. W godzinę potem z posępną twarzą powracał do Pollera.

Przybycie Klesza wlało trochę nowego życia we wszystkich. Monia, którą on niegdyś po Lasocińskim ogrodzie na rękach nosił, ciągle mu przy sobie siedzieć kazała. Słuchał jej opowiadań i potakiwać im musiał. Cieszyła się, że ojciec ma wkrótce dostać dzierżawę w Sanockiem mu obiecaną, że wyjadą na wieś. Mówiła jaki tam piękny założy ogródek, jak z Lasocią razem będą doskonale gospodarowały, hodowały kury czubate, gołębie z kapturkami, mnóstwo ślicznych stworzeń i t. p.

Klesz marzeniom tym dopomagał. Kazała mu potem mówić o Tours, o żonie i prześladowała go tem, że się im dla niej stał niewiernym, że o swoich starych przyjaciółach zapomniał.

Dni tak szły jedne za drugimi, bez jutra — bo oprócz Moni, nikt w przyszłość spojrzeć nie śmiał.

Klesz — ze smutkiem, którego nie umiał ukryć; starał się chwile jakie pozostawały chorej do życia, bo wiedział, iż była skazaną — ozłocić i uprzy-

jemnie zabawkami, które wymyślał. Znosił jej kwiaty, zbierał dla niej książki, bawił opowiadaniem i z troskliwością nianki, gdy widział znużenie, ustępował na palcach.

Przy nim Monia zdawała się nieco lepiej — trochę sił zaczerpnęła w atmosferze otaczającej — wesołość jej naturalniejszą się zdawała. Micio tym błyskiem nadziei zwiedziony, począł już obmyślać podróż do Meran. Odzyskał on był resztki jakiegoś swojego mienia, pościągał sumki należne i spodziewał się podróz ze wszelkimi wygodami dla chorej tak urządźć, aby jak najmniej czuła znużenia.

Klesz zapytany czy jej towarzyszyć będzie — ofiarował się także. Małdrzyk złudzony polepszeniem — wahał się czy ją ma puścić z Lasocką, a sam pozostać na straży spodziewanej dzierzawy, czy jechać z dzieckiem razem...

Najzwawiej zajmowała się podróżą i przygotowaniem do niej sama Monia.

Kończył się sierpień. Mówiono ciągle o podróży... z dnia na dzień ją odkładając. Dr. Dietl badał puls i znajdował, że się spieszyć nie było potrzeby. Jesień zapowiadała się piękną, a w Meran i październik gorący bywa, jeżeli nie jest dżdżysty.

Lasocka, która chodziła wybuchła, osłabła i pół żywa, dnia jednego zbliżyła się do łóżka dłużej niż zwykle usypiającej Moni. W ulicy



Szpitalnej ranny hałas chłopskich wozów, głosy sprzedających tuż chleb Prądnicki, zbudziły ją oddawna — Monia spała. Zasłonki w oknach były zapuszczone. Stara piastunka zbliżyła się do łóżeczka, wpatrzyła w bladą, białą, przez sen uśmiechniętą twarzyczkę — postąpiła chwilę schyliła się by oddech posłyszeć...

Oddechu nie było już...

Przyłożyła rękę do czoła i ledwie mogła krzyk w piersiach powstrzymać — czoło jak lód było zimne...

Monia usnęła na wieki.

Lasocka padła na kolana przy łóżku, twarzą na ręce skostniałe zmarłej i tak ją wchodząca sługa zastała, bezprzytomną i zemdlałą.

---

Było to we dwa dni po pogrzebie — Małdrzyk leżał na łóżku, w nogach jego siedział Klesz — opodal nieco Micio. Na wszystkich trzech wiadać było okrutną męczarnię przebytą. Małdrzyk od przysypania tej trumny — słowa prawie wymówić nie mógł. Odprowadzono go bezwładnego do domu, Jordan położył do łóżka i nie odstępował na krok.

Bolesć ta niema, bez wyrzekań, bez łez, zamknięta w sobie, była czemś straszniem jak śmierć. Wodził oczami osłupiałemi po izbie, po twarzach

przytomnych — nie widział nic — zdawał się nie nie czuć. Rzeczywistość nie istniała dla niego.

Na p. Mieczysławie rozpacz inny wywarła skutek, walczył z sobą — rzucał się — biegał na cmentarz, powracał do pokoju, w którym leżała chora Lasocka, rwał się w świat, chciał jechać i nie miał siły się oddalić.

Można było przewidzieć, że gwałtowne to uczucie ulegnie w końcu czasowi — zmieni się w smutek i życia wymaganom ustąpi.

Klesz napozór był zimny. On jeden zachował tu przytomność, siłę zajęcia się wszystkim, urządzenia pogrzebu, umiał się zaopiekować wszystkimi.

Można go było posądzić o obojętność, a miał tylko męztwo bohaterskie, bo cierpiał więcej, inaczej niż oni wszyscy. Nie zapomniał ani o stroju dla umarłej, ani o kwiatach do trumny, ani o grobowcu, ani wreszcie o skamieniałym ojcu.

W kilka dni Micio oświadczył mu pocichu, że niepodobieństwem jest dla niego pozostać tu dłużej, że jest zmuszony lecieć gdzieś w świat... bo mu te miejsca zbyt boleśnie szczęśliwą przeszłość przypominają.

Zamówił grobowiec dla Moni — milcząc pocałował w czoło Małdrzyka, który zdawał się tego ani czuć ni rozumieć, ścisnął rękę Jordana, poszedł do Lasockiej — od której wyrwał się szlochając — i zniknął...

Co się z nim stało, nikt się już dowiedzieć nie mógł, a Kleszowi na zapytanie dokąd się uda, odpowiedział że sam nie wie.

Lasocka zboląła zaczęła się nazad wybierać do kraju; okrucieństwem byłoby ją wstrzymywać. A że widok jej byłby nadto może Monię ojcu przypominał, musiała wyjechać bez pożegnania.

Zostali więc znowu sam na sam z sobą dwaj starzy przyjaciele. Klesz ani mógł opuścić Małdrzyka, ani tu zbyt długo przy nim pozostać. Jedynym środkiem ratowania go, zdało mu się zabrać go z sobą do Tours. Lecz tymczasem mówić z nim, rozbudzić w nim woli nie było podobna. Klesz karmił go jak dziecko... siedział przy nim ciągle obawiając się, aby nagle w jakiejś chwili szалу, nieprzytomności, nie odjął sobie życia. Rozpacz była tak straszna, iż i tego się obawiać i to przypuścić dozwalała.

Znając charakter człowieka, Jordan stanu tego nie umiał sobie wytłómaczyć. Wiedział, że wrażenia u niego, gwałtowne zrazu, przechodziły nadzwyczaj szybko. Śmierć córki zdało się jak gdyby go złamała bezpowrotnie.

Była to ruina człowieka bez woli, bez myśli, żyjąca tylko pozostałością jakąś wegetacyjnego żywota.

Stan ten przedłużał się bez widocznej zmiany, i to największą obawę budziło w Kleszu. Mówić

zaczynał do niego, nie zdawał się słyszeć, uważać, ani rozumieć.

Jordan wpadł na myśl, że miejsce to, w którym stracił dziecię, mogło wspomnieniem jego utrwaląć cierpienie. Postanowił go ztąd wyprowadzić. Wieźć do Tours nie było sposobu z takim znękaniami i osłabieniem.

Rano więc dnia jednego, zostawiwszy Floryana uspijonym, musiał się wymknąć z hotelu, aby poszukać jakiegoś mieszkania.

W Krakowie nie było to łatwem. Ludzie są wogóle bardzo gościnni, lecz za pieniądze odstąpić część lokalu umeblowanego, nie jest tu zwyczajem. O nic podobnego nawet się dowiedzieć nie mógł Jordan i powrócił w parę godzin do Pollera.

Jakież było zdziwienie jego, gdy pocichu wchodząc do pokoju, nie zastał w nim Floryana.

Z pozostałych rzeczy, widać było, że się naprędce odział i wyszedł. Wczoraj jeszcze tak był bezwładny, niemy i przybity, że Jordan pojąc tego nie mógł, przeraził się, wypadł z mieszkania, narobił hałasu, poruszył całą służbę i tego się tylko dowiedział, że widzieli Małdrzyka, krokiem chwiejnym, powoli wysuwającego się z domu. Dokąd dalej mógł się udać, nikt nie wiedział, odgadnąć było niepodobna.

Jordan wyleciał jak oszalały na miasto, instynktowo dążąc do Wisły, rozpytując po drodze



i nie mogąc dostać języka. Wśród mnóstwa przechodniów, mało odznaczająca się postać mężczyzny do stu innych podobnego, nikogo nie uderzała. Klesz udał się ku rzece, odbył długą pielgrzymkę ponad jej brzegami, nie znalazł żadnego śladu i strapiony, znużony śmiertelnie przywłókł się do miasta.

Zajrzał do hotelu ze słabą nadzieją, że tam się czegoś dowiedzieć, albo Małdrzyka zastać może, ale tu ani jego ani wieści o nim nie było.

Wieczór nadchodził—nie wiedział co począć Klesz i miał się udać do policji, wezwać jej pomocy, gdy na myśl mu przyszło nagle pojechać jeszcze na cmentarz, na świeżą mogiłę Moni.

Wziął więc na wszelki wypadek dorożkę i kazał pośpieszać.

W rogu cmentarza, wśród zarośli był grób Moni, nie omyliło go przecucie; Małdrzyk leżał tu ze znużenia i płaczu uspiiony i osłabły.

Potrzeba go było koniecznie z wilgotnej ziemi zdjąć i skłonić do powrotu. Powoli i ostrożnie wziął się do tego przyjacieli.

Małdrzyk obudzony nieprędko, gdyż upierał się pozostać w tym jakimś śnie chorobliwym, po długiej walce dał się dźwignąć, ujął pod rękę i zaprowadzić do powozu. Klesz tym razem energicznie występował, gniewał się i przywoływał do życia, nie folgując mu. Jak dziecko uległ Florian.

Leżącego z zamkniętymi oczyma przywiózł go do hotelu Klesz, dobył z pomocą sługi z dorozki, zaciągnął na górę i kazał dać coś ciepłego, aby wycieńczonego od rana głodem odżywić.

Milczący wprzód Jordan teraz mówił do niego wiele, gorąco, i spostrzegł że słuchał nareszcie a rozumiał. Trwało nawracanie to do życia późno w noc—poczem Małdrzyk usnął.

Zaszła w nim ta zmiana, że dawał znaki, iż rozumiał co mówiono do niego.

Zrana Jordan, tonem zwykłym przywitał go i zapytał jak się czuł. Floryan odpowiedział coś niezrozumiałego, ale zdobył się przynajmniej na szept jakiś. Była więc nadzieja, że ta martwota ustanie zwolna; Klesz się tem pocieszał. Zmusił go zrana do jedzenia, zaczął ciągle rozmowę, naostatek powiedział mu że mieszkanie zmienić należy, czemu się nie sprzeciwiał i wniósł aby szedł z nim obejrzeć parę pokoików, które im na tej samej uliczce u jakiegoś urzędnika stręczono. Ponieważ Małdrzyk i na to nie dał przeczącej odpowiedzi, Klesz ubrawszy się, pomógł mu do ubrania, wziął pod rękę i wyprowadził z sobą na ulicę.

Wskazane izdebki na pierwszym piętrze domu, którego dół zajmowały dwa nędzne żydowskie kramiki, były dosyć czyste, dosyć smutne, ale miały to za sobą, że w nich żadnych wspomnień nie było. Zgadzano się na tygodniowe al-

bo nawet na dzienne wynajęcie, cena była dosyć przystępna. Klesz więc nie wahał się zawrzeć umowę, bo Małdrzyk stał, patrzył i ani przeczył, ani dawał znaku żadnego.

Powrócili do hotelu; kazano się pakować i wieczorem byli już w tych nowych izdebkach. Małdrzyk, który wprzód leżał ciągle bezwładny, tu zaczął się przechadzać.

Klesz sam już wpadł na tę myśl, że nie należało mu niczem najmniejszym przypominać córki. Dla kogo innego byłoby to pociechą, takiemu charakterowi jak Floryan, potrzeba było zapomnienia, bo zżyć się z cierpieniem nie umiał.

Jordan, nie chcąc mu dać tonąć we własnych myślach, opowiadał o sobie, o Tours, o różnych rzeczach niemających żadnego związku z teraźniejszym położeniem. Małdrzyk słuchał go, okazywał widoczne zajęcie — parę razy coś przebaknął—i, jakby się głosu własnego uląkł, zamilkł natychmiast.

Wracała nadzieja przywrócenia go do jakiegoś stanu znośnego i rokującego ozdrowienie umysłowe.

Jordan z taktem jaki miłość daje, pracował stopniując i przedmiot swojego opowiadania i sposób sam w jaki to spełniał. Jednego dnia rzucił tę myśl, że potrzeba mu do Tours powracać i że go chce zabrać ze sobą.

Małdrzyk stanął i potrząsnął głową.

— Nie!—rzekł dobitnie.

— Nie masz tu co robić, nie mogę cię porzucić samego.

— Nie oddalę się ztąd: nie, nie— rzekł Małdrzyk—nie mogę... o! nie mogę.

Głos mu stłumiło łkanie.

Klesz nie nalegał dnia tego.

Nazajutrz Floryan cicho, nieśmiało, począł prosić przyjaciela:

— Pozwól! pozwól—na cmentarz!

Jordan się chciał opierać, lecz widząc stan jego, ulitował się. Wziął za kapelusze.

— Dobrze—rzekł—pojedziemy razem.

Stało się tak. W milczeniu udali się ku cmentarzowi. Małdrzyk wszedłszy z pośpiechem udał się ścieżką ku mogile, kląkł, padł twarzą na ziemię i płakał. Klesz go podniósł, wmawiając mężstwo—chciał zaraz napowrót go wieźć, lecz błagał i prosił ażeby mógł choć posiedzieć.

W bliskości leżał kamień ze starego zgruchotanego grobowca, na którym Jordan posadził go, wmówił mu ażeby spokojnie pozostał, a sam o kilka kroków stanął na straży.

Dzień był piękny, ani gorący ani zimny—słońce przedzierało się przez gałęzie drzew i krzewów, dość opuszczony i zaniedbany cmentarz, kąpiąc się w promieniach jasnych, mniej smutniej wyglądał. Małdrzyk z oczyma wlepionymi w grób, podparty na rękę, siedział spokojnie.



Nie ta rozpacz co wprzód, ale głęboki, nieuleczony smutek bladą twarz jego czynił piękną i zajmującą.

Jordan, który z boku za krzewami zatrzymał się, nie spuszczać z oka przyjaciela, spostrzegł z drugiej strony, z poza świerka wzrosłego nad starą mogiłą, kobietę, która z nadzwyczajnem zajęciem i współczuciem Małdrzykowi się przypatrywała.

Była to—niewiasta lat wątpliwych, tego wieku co się nieprzyznaje do żadnej cyfry — z resztkami bardzo już nie świeżej młodości, nadzwyczaj strojna, wyelegantowana, i— co nawet zdaleka rozpoznać się dawało, zuchwale, choć nie bez talentu pomalowana.

Ponieważ rysy dawniej piękne być musiały— zdala więc czyniła złudzenie przyjemne, bo figurkę zachowała bardzo zręczną, a nóżka i rączka obute i okryte bardzo starannie, miały kształty wielce udatne.

Ciekawe jej oczki czarne wlepione były z takim nateżeniem w biednego Małdrzyka, jakby tajemnicę mu z duszy wyrwać chciały. Nierychło dopatrzyła się nieznajoma stojącego po za nim Klesza, łatwo się domyśliła iż pilnował zbolalego, i trochę pomyślawszy—ostrożnie, bez szelestu najmniejszego prześliznęła się do p. Jordana. Niechcąc nazbyt się zbliżyć ażeby Małdrzyk roz-

mowy nie posłyszał, dała znak Kleszowi, prosząc aby on podszedł do niej.

— A! daruje pan — rzekła sznurując usta — niepodobna się oprzeć temu uczuciu, które na widok boleści takiej, każdym czułem sercem owładła. Widziałam już kilka dni temu tego nieszczęśliwego leżącego tu na mogile. Mój Boże! co za serce! Nie mógłby mnie pan objaśnić, kogo on stracił? kochankę? żonę?

— Córkę — odparł Klesz chłodno, bo mu się sentymentalna dama niebardzo podobała.

— Ostatnią dziecię? ah! Żonaty czy...

— Wdowiec — odparł Jordan.

— Któż to jest? daruj pan, że go tak badam, ale współczucie...

— Biedny, bardzo biedny człowiek — rzekł Klesz pęsepnie — wygnańiec, tułacz.

Kobieta przysłuchiwała się z takim zajęciem, iż Jordan dla tego serca niewieściego uczuł pewne politowanie. Nie widział potrzeby tajenia historyi Małdrzyka, opowiedział ją w kilku słowach, dodając jak ciężkie nań spadło zadanie.

Kobieta słuchała z zajęciem najżywszem. Gdy skończył on, zaczęła narzekać na nieczułość ludzi, (na serca skamieniałe, na świat zepsuty — i, jakby się rozstać z Kleszem nie mogła, nie przedstawiała go zarzucać pytaniami.

Jordan do takich znajomości nie miał ani skłonności, ani talentu, po kilka razy chciał się usunąć—nie puszczano go.

Ciekawa niewiasta, spytała go czy mieli w mieście przyjaciół, towarzystwo, radziła koniecznie wprowadzić nieszczęśliwego w koło takie, któreby go otoczyło „miłością i sympatyą“.

— Samotność tę melancholię jego powiększa—mówiła.

W ostatku spuszcżając oczy dodała, że od lat wielu mieszka w Krakowie, gdzie straciła matkę, której właśnie grób odwiedzała, że była także osamotnioną, i miłoby jej było przyjść w pomoc nieszczęśliwemu.

Klesz nie mógł nie podziękować, ale mu się to wydało tak dziwaczne, że nic nie odpowiedział.

— Pan dobrodziej łatwo się dowiesz o mnie—dodała spoglądając na Klesza umalowana pani—mnie tu wszyscy znają, i bywam wszędzie... nawet—pod Baranami. Jestem Pelagia Ruczewska, obywatelka z Kieleckiego. Smutne wypadki familijne, zagnały mnie do tego portu, do którego grób najdroższej matki przywiązuje. Miłoby mi było panów widzieć u mnie, i spełnić obowiązek chrześcijański, względem tak godnego a nieszczęśliwego człowieka.

Jordan nic na to nie odpowiadając dziękował ukłonami, a że w tej chwili właśnie poruszył się

Małdryk z siedzenia i chciał znowu ukłęknać na mogile, pożegnał prędko piękną damę i zbliżył się do niego — zapowiadając że trzeba było powracać do domu.

Floryan pokląkł trochę i dał się wziąć. Tymczasem panna Pelagia przodem wyruszywszy, wyprzedziła ich ku cmentarnej furcie, stanęła natarczywie na drodze, tak, że ominąć jej nie było podobna — i wprost się Małdrykowi narzuciła. To zjawisko niewieście, którego oczy żywo mu zaglądały do duszy, z początku tak zmieszalo p. Floryana, że uściskawszy rękę Klesza, wstrzymał się w pochodzie.

Zdawał się chcieć go pytać — co miało oznaczać. Jordan może rad był odciągnąć uwagę jego od wspomnień bolesnych... i szepnął mu na ucho.

— Litościwa dusza, która tu także grób odwiedza, rozpytywała mnie ze współczuciem o ciebie.

Stała się rzecz — niespodziewana. Małdryk kapelusz podniósł żywym ruchem ręki i ukłonił się nieznajomej, która mu odpowiedziała skłonieniem głowy bardzo sympatycznym, a gdyby się to nie działo przy cmentarzu, wśród grobów — można by powiedzieć — wyzywajacem.

— Awanturnica jakaś! — szepnął w duchu Klesz, który, naśladowując przyjaciela, skłonił się też i chciał ją pominąć, gdy panna Pelagia przyłączyła się do ich towarzystwa i idąc po stronie



Małdrzyka, pozdrowiwszy go, bardzo śmiało rozpoczęła z nim rozmowę.

Małdrzyk z początku zarumienił się, pobladł, wzrok o pomoc błagający rzucił na Klesza — na ostatek mało wyraźnemi słowy coś odpowiadać zaczął.

Krótkie jego i poplątane wyrazy nie zraziły widać panny Pelagii, która ciągle aż do dorożki przeprowadzała ich współczuciem swem.

Tu przeszła na stronę Klesza, i odciągnęła go na bok.

— Proszę pana, dla nieszczęśliwego tułacza, osamotnionego, mamy wszyscy obowiązki... Gdybym im, jemu mogła czem służyć... gdybyście byli łaskawi do mnie... Ja tu mam znajomych, stosunki rozległe... Proszę, bardzo proszę. Oto mój adres — na plantacyach, na dole.

I ciszej szépnęła:

— Przyrowadź go pan kiedy wieczorem... Rozerwie się... ratować go potrzeba.

Rozstali się nareszcie.

Klesz spostrzegł, że czego przyjaźń jego i najczulsze starania nie zdołały sprawić — jedno wejście kobiece... dokonało. Małdrzyk był jakby ze snu długiego przebudzony.

— Dała ci adres? — rzekł wsiadając do dorożki. — Trzeba podziękować — tyle współczucia — osoba nieznajoma.

Nie sprzeciwiał się Jordan, a choć nowa zna-

jomość nie była mu wcale do smaku, choć przesadzona czułość ubarwiona twarz, zrażały go od panny Pelagii — gotów był i do tego uciec się lekarstwa, byle Małdrzyka uzdrowić. Miał niezmiennie postanowienie zaraz potem zabrać go z sobą, choć gwałtem do Tours.

Jednakże nimby się ważył na zaproszenie odpowiedzieć — chciał zasiągnąć wiadomości o panie Pelagii — aby się w sumieniu uspokoić. Na niego jako na mentora spadała teraz cała odpowiedzialność za los Małdrzyka, który sobą nie władał.

Micio w ulicy zaznajomił go był z kilku członkami klubu — ale że Klesz wcale nie grał i na wieczory tam nie chodził, nie utrzymywał z nim i stosunków.

Teraz postanowił z nich korzystać ostrożnie, aby pannę Pelagię wybadać, która, jak sama mówiła, w najlepszym towarzystwie była znaną.

Trafić lepiej nie mógł jak do pana Euzebiusza Węcalskiego, którego mu dobry jego instynkt poddyktował. Euzebi ów, od lat wielu zbijający bruki krakowskie, niemający żadnych jawnych środków utrzymania, żył tu na dobrej stopie, szczególnie dobrze widziany w arystokratycznych salonach, czepiał się wszystkich ludzi majątnych, służył im, należał do zabaw, wtrącał się do intryg, brał udział w pojedynkach, głównie grał w karty i miał się znać na koniach.

Z tego co mu Micio mówił o nim, bo byli z sobą bardzo dobrze, p. Euzebiego w klubie prawie zawsze zastać było można.

Klesz powędrował tam — i — znalazł go żywą zajętego rozmową z kilku panami z prowincyi przybyłymi, których miał tu wprowadzić w koło swych znajomych. P. Euzebi ledwie sobie Klesza przypomniał. Zapytał co się stało z Miciem — a do rozmowy dłuższej nie zdawał się mieć ochoty, bo pilno mu było i ciągle na zegarek spoglądał.

Jordan zmuszając się do wesołości, do pochlebstwa niemal, wciągnął go w pogawędkę, poskarżył się na utrapienie, jakie miał z biednym przyjacielem i — niby nawiasowo, nadmienił o spotkaniu z p. Pelagią na cmentarzu.

Spytał go — czy ją znał, i ktoby była?

— Ah! proszę pana łaskawego—odparł śmiejąc się Euzebi — któż jej nie zna, tego starego malowanego grata, który się koniecznie chce wydać za mąż? Gdzie jej tu nie ma! Potrafi się wcisnąć wszędzie, choć się z niej śmieją... Z czasów swej młodości zachowała sentymentalność, dziś już niebędącą w modzie...

Zresztą! cóż pan chce? mówią, że ma nawet niezły posażek... a z przeszłości — może burzliwej, wspomnienia są tak mętne... iż... można je ignorować. Nudna, straszliwie nudna baba.

To powiedziawszy p. Euzebi sam już znudzony tem opowiadaniem, pożegnał się i wyszedł.

Klesz z tego co posłyszał, nie wyciągnął nic tak złego, coby zrobieniu znajomości z osobą tak dla Małdrzyka miłosierną, miało stawać na przeszkodzie.

— Że nudna, to nie kryminał — rzekł w duchu — a złośliwy p. Euzebi jeśli z przeszłości nic jasnego i pewnego dobyć nie mógł, znak to że tam pewnie nic nie ma. U nas dziewięćdziesiąt razy na sto potwarze na kobiety rzucane są fałszywe. Cóż dopiero gdy kto ich szuka, a nie znajduje.

Być mogło że poczciwy Klesz, jakkolwiek do ofiar gotowy, w końcu rad był powracać do żony, i Małdrzyka czyjejkolwiek oddać opiece, gdy z sobą go zabrać nie mógł; że sofistykował sam z sobą i w sumieniu chciał być spokojnym.

Trzeciego dnia wieczorem zagadnął Jordan przyjaciela:

— A co? pójdziemy tej pani podziękować?

Florek okazał gotowość.

Klesz dostrzegł, że się ubrał staranniej, wyszukał kapelusz, obejrzał rękawiczki — były to znaki pocieszające.

Wyszli razem na plantacye i dom wskazany znaleźli łatwo.

Chociaż na dworze dosyć jeszcze było jasno, w oknach na dole, które zajmować miała, jak się



domyslali, panna Pelagia, już światło widać było. Weszli oznajmieni przez służącą bardzo czysto ubraną i żwawą. Gospodyni na ich spotkanie do progu wybiegła.

Przy świecach, wieczorem, w sukni czarnej, w której jej było do twarzy, panna Pelagia daleko wydawała się młodszą i ładniejszą niż na cmentarzu.

W saloniku strojnym, wychuchanym, trochę ze staroświecka, na kanapie siedział średnich lat, z łańcuchem i krzyżem na szyi, poważny, pięknej postaci prałat, który, jak się okazało, rodem był z tej prowincyi co p. Małdryk. ale od lat dziesiątka przeniósł się do Krakowa. Przypominał też sobie rodzinę jego, Lasocin, pannę Natalię i powitał wygnańca z serdecznością wielką.

— Jaką to ja miałam myśl szczęśliwą—odezwiała się p. Pelagia — zem ks. prałata dziś na herbatkę poprosiła. Przecucie mi jakieś mówiło, że mnie panowie odwiedzają.

Dowiedziona to jest rzeczą, że zboleły człowiek, który wpośród swoich nie potrzebując się kryć puszcza wodze cierpieniu—mniej się męczy, będąc zmuszony wśród obcych, trochę poskramiać co czuje. Z Kleszem Florek był inny, tu niepodobna mu było zachować rozpaczliwego swego milczenia, ogłuchnąć na to co do niego mówiono. Prałat wyciągnął go na wspomnienia kraju, przypomnienie wspólnych znajomych.

Klesz widząc że to dobrze działa na przyjaciela, pomagał zrećźnie. Rozmowa ciężko się wlokąca w początku, ożywiła się przy herbacie. Ksiądz był rozumny, wymowny, usposobienia i humoru wesołego, a jako duchowny, nawykły do obchodzenia się z cierpieniem i cierpiącemi, umiał nie drażnić Małdrzyka—zająć go, rozerwać.

Gospodyni też przysiadła się bardzo uprzejmie do p. Floryana i na swój sposób go bawiła, rzucając nań pełne współczucia wejrzenia. Może nawet nadto się wtrącała do pogadanki z prałatem, jakby o gościa swojego była trochę zazdrośną.

Nad wszelkie spodziewanie Klesza wieczór się ten powiódł. Nawet panna Pelagia mniej mu się ekscentryczną wydała i mniej sentymentalną. Życzliwość jej dla Małdrzyka, brała Klesza za serce. Wiele jej za to wybaczał. Po kilkakroć Jordan, lękając się znużenia chorego, dawał mu znaki aby gospodynię pożegnał, lecz ona zawsze umiała temu zapobiedz.

Skorzystała wreszcie z tego, że Klesz się wdał w rozprawę jakąś dłuższą z prałatem, i odciągnęła Małdrzyka nieznacznie, zaczynając się z nim przechadzać po saloniku i cicho wiodąc poufałą gawędkę. Jordan prawie oczom swym nie chciał wierzyć, iż Małdrzyk tak posłusznie się dał kobiecie zawojować—a wcale się nie śpieszył z powrotem do domu.

Półgłosem prowadzona rozmowa jej z Floryanem, przedłużyła się, a gdy w końcu prałat się ruszył, oni też wzięli za kapelusze, znajomość między litościwą duszą a Małdrzykiem, zdawała się tak dobrze zawartą i ustaloną, jakby nie po raz drugi widzieli się w życiu.

Klesz mógł sobie powinszować, a jednak zrobiło mu się bardzo, bardzo smutno. Jakże słabem, biednem jest to biedne serce ludzkie -- pomyślał sobie w duchu, że lada co może w niem najboleśniejszą zagoić ranę? On jeszcze płakał nad tą swą ukochaną Monią — a Floryan już szukał pociechy, już pragnął o niej zapomnieć. Dla kogo?

Jordan z tym smutkiem powrócił do domu. Przyszłość też, niepokoiła go trochę. Znał dobroduszość, powolność, nierozwagę Małdrzyka. Lękał się o niego.

Wieczorem nic z sobą nie mówili. Drugiego dnia Małdrzyk przy śniadaniu zaczął chwalić litościwe serce niewiasty.

Ona zaś swe posłannictwo tak wzięła seryo, iż na dzień następny dostali zaproszenie na obiad, na łyżkę rosółu.

Klesz wątpił czy je przyjmie przyjaciel, który ludzi unikał, ale Małdrzyk ani się zawahał.

Oprócz nich zaproszonym był i ks. prałat. Skromny obiad, bardzo dobrą zdradzał kucharkę a w gospodyni, kobietę nieobojętną na małe przyjemności życia. Zbytku nie było, ale jedzenie

i wino, ze znajomością rzeczy dobrane zostało. Małdrzykowi miejsce dała panna Pelagia przy sobie, z drugiej strony posadziwszy prałata, a przy nim Klesza. Wypadło więc z tego że ona więcej zabawiała sąsiada po lewej stronie niż po prawej, Jordanowi zostawując staranie o nim.

Klesz bardzoby był rad podsłuchać o czem ze sobą żywo a cicho mówili gospodyni i Florek, lecz dochodziły go tylko urywane wyrazy: — serce, przywiązanie, boleść, sympatya—i ogólniki z których niewiele wywnioskować było można.

Melancholiczny, uczuciowy ton zdawał się przemagać. Małdrzyk dał sobie wina nalewać pięknej rączce gospodyni—i—pił je, zapominając się. Twarz zbladła zarumieniała się mocno. Klesza to trochę nastraszyło, lecz znaki dawane zostały niepostrzeżone.

Po obiedzie, p. Pelagia krótko tylko zwróciwszy się do prałata, któremu sama kawy czarnej przyniosła, znowu się zajęła nieszczęśliwym, wyprowadziła go na przechadzkę po saloniku, a nawet weszła z nim na chwilę do drugiego pokoiku, aby mu coś pokazać.

Jordan coraz mniej rozumiał Małdrzyka.

W parę dni, nie opowiedziawszy się przyjacielowi, przed południem, gdy Klesz poszedł sobie kupić cygar— Małdrzyk zniknął. Tym razem nie obudziło to już takiego strachu, Jordan się domyślał odwiedzin na plantacyach. Nie przewi-



dział tego tylko że oboje razem udali się na cmentarz i że panna Pelagia, która czuwała nad nieszczęśliwym wygnańcem — odprowadziła go do drzwi domu.

Działy się cuda. Klesz i rad był i zafrasowany. Na czym się to skończyć miało? Znał nadto Floryana, ażeby nie przewidywał że jeśli malowana panna zechce go podbić, z łatwością tego dokaże.

A potem? Znał tak mało przeszłość i charakter tej kobiety, tak mało miał wiary w popisywany sentymentalizm, że się lękał o przyszłość.

Co było począć? Jednego pięknego poranka, sam pod jakimś pozorem udał się do p. Pelagii. Zastał ją właśnie powracającą ze Mszy. Obejrzała się naprzód tęsknie czy nie przyprowadził ze sobą przyjaciela, a nie widząc go z trwogą spytała się czy nie zastał.

— Nie—rzekł Klesz siadając — nie wziąłem go ze sobą dla tego, że o nim z panią mam pomówić. Wątpię ażebyś pani знаła jego nieszczęśliwe położenie. Rodzina, niemiłosiernie, bez sumienia sobie z nim postąpiła. Pani okazałaś współczucie dla niego, chcę jej rady zasięgnąć.

P. Pelagia rumieniąc się nieco (nie była tego dnia na rano zbyt pomalowana) oświadczyła się uczynić co tylko było w jej mocy. Scisnęła podnosząc do góry rączki.

— Ja, będę musiał powracać do Francyi, zo-

stawilem tam żonę. Lękam się o nią. Małdrzyk ze mną jechać nie chce od grobu córki. Cóż on tu pocznie sam jeden, bez opieki?

Wreszcie, żyć nawet wkrótce może nie mieć z czego. Potrzeba mu i dla chleba i dla oderwania się od smutnych myśli, zajęcia jakiegoś i pracy.

Jordan tak bezlitośnie odmalowawszy stan przyjaciela, spojrział na p. Pelagię, chcąc się przekonać czy rozczarowanie nie nastąpi, lecz ledwie miał czas dokończyć, gdy mu przerwała.

— Ja o tem wszystkim wiem, myślałam.— zekła.—P. Floryan nic nie tai przedemną. Biedny, szlachetny, zacny człowiek!

Tu zawabawszy się trochę, ze spuszczonemi ku ziemi oczyma mówiła ciszej:

— Ja mam obietnicę pewną... pewną, że pański przyjaciel dostanie miejsce w Towarzystwie ubezpieczeń od ognia. Miejsce bardzo dobre, nic do czynienia, co najwięcej parę godzin przy stole i tylko podpisywanie dla formy.

— Toby było dobrodziejstwo dla niego — przebaknął Klesz.

— A jeżeli pan chcesz powracać do żony, niechże pan będzie spokojny... ja...

Zakrztusiła się p. Pelagia i zmieszła nieco, lękając może zbytnej otwartości własnej.

Jordan nie pytał więcej, podziękował i smutny odszedł do domu.

Miesiąc upłynął. Małdrzyk już się przedstawił był naczelnikowi instytucji, w której miał tak jak zapewnioną posadę. Klesz dosiadywał. lękając się go porzucić jeszcze, chociaż widział go z każdym dniem powracającym do zdrowia. Wycieczki na cmentarz jakoś ustały. Wybierał się wprawdzie czasami razem z Pelagią, ale poszedłszy do niej, gdy się zagadali, powracał uspokojony. Okazało się że dym cygara gospodyni nie szkodził, ale był nawet przyjemnym, choć austriackie tanie cygara z hawańskimi w żadnem pokrewieństwie nie są. W saloniku wolno mu palić było i ze swobody tej korzystał Małdrzyk.

List, który Klesz odebrał—i aż wykrzyknął czytając go—lecz się z tej oznaki wzruszenia tłómaczyć nie chciał—zmusił go do stanowczej rozmowy z Małdrzykiem.

— Jestem zmuszonym do Tours powracać!—zawołał. Jak ja tu ciebie porzucę.

— Jordku mój — zamruczał Floryan — cóż ty, masz mnie za dziecko? Przecież, dzięki Bogu, mam jakie takie utrzymanie zapewnione. Włóczyć mi się już nie chce. Po co? Zostanę tu.

Przeszedł się po pokoiku zadumany.

— Możesz już być o mnie spokojnym— rzekł zcicha i nieśmiało. — Ta najzacniejsza z kobiet, tak się troskliwie mną opiekuje. Prawdziwa łąska Boża, że mi ją zesłał.

Klesz bystro spojrział na niego.

— W istocie—odparł—osoba miłosierna, winiśmy jej wiele, ale proszę cię, Florku, ty co sam siebie znasz że łatwym jesteś do przywiązania się—i do związania swych losów z każdą kobietą, która ci się podoba—nie daj się...

Małdrzyk nie pozwalając mu dokończyć, zwrócił się żywo.

— Proszę cię, nie obawiaj się o mnie. Żenić się nie myślę, a ona za mąż wychodzić, co nie przeszkadza byśmy byli dobrymi przyjaciółmi.

— Przeciw temu nie mam nic — odparł Jordan.

Klesz śpieszył tak z wyjazdem iż zaledwie czas miał wpaść do panny Pelagii na pożegnanie. Wprawdzie mówiła ona że bolała bardzo iż ich opuszczał, ale na twarzy prędeej radość niż smutek wyczytać było można. Chciała go opatrzyć w zapasy na drogę, wyprowadziła aż do ganku... i prosiła aby zupełnie był spokojnym o przyjaciela.

Klesz tegoż dnia na dworcu uściskawszy jeszcze Małdrzyka ze łzami na oczach, wskoczył do wagonu i lokomotywa poniosła go ku Zachodowi...



Dwa lata upłynęły od opisanych wypadków. Jordan, który się już z Tours nie mógł oddalić, pisywał do przyjaciela, od którego niezawsze i krótkie otrzymywał odpowiedzi.

We trzy miesiące zaraz po odjeździe z Krakowa, przyszła wiadomość, że Małdrzyk żenił się z panną Pelagią. Klesz przewidywał to dawno i nie zdziwił się wcale.

Listy potem rzadsze się stały; dopiero po upływie dwóch lat, zaczęły zjawiać się częściej i cokolwiek dłuższe.

Małdrzk pisał do przyjaciela:

„Nie wiem czybyś mnie poznał tak zestarzałem. Ostatniego roku reszta włosów prawie nagle zupełnie mi posiwiła. Cierpiałem przedtem na ból głowy.

Życie prowadzę, wierz mi, tak regularne i spokojne, że mi można pozazdrościć. Zrana idę na chwilę do biura, a tam więcej się mówi o brukowych wiadomostkach niż pracuje. Nienużące to wcale. Na obiad powracam do domu, po czarnej kawie z cygarem zdrzemię się trochę. Ku wieczorowi ciągnę do klubu na małego wiseczka i po nim wracam na plantacye. Kładę się wczesnie, na sen się skarżyć nie mogę.

Z wyjątkiem świąt i niedzieli, kościoła, procesyj i uroczystości w których udział biorę, pogrzebów zasłużonych mężów, reprezentacyj nadzwyczajnych w teatrze i t. p., życie płynie regu-

larnie jak w zegarku, niespodzianek w nim nie ma. Miasto nasze jest jak mumia spowita i zabal-samowana, która ruchu nie potrzebuje—i we śnie czeka zmartwychpowstania.

Dzięki Bogu, że wszystkiemi tu jestem dobrze, nie mieszam się do żadnych swarów, czytam „Czas“ ażeby się zorientować i nauczyć, za jakim prądem iść należy; nabożeństw nie opuszczam, duchownych szanuję, warcholów się strzegę, wszystkich zatargów unikam — i dobrze mi z tem.

Znają mnie już z tej kompleksyi spokojnej ludzie i jestem dobrze widzianym. Miewam nawet zaproszenia na wielkie pańskie polowania, bo wiedzą iż byłem myśliwym. Ale, czy uwierzysz, dziś mi już one nie robią tej przyjemności co dawniej, męczę się łatwo, spoczynek mi potrzebny.

Tak, kochany mój Jordku, gdy ty swoich dwoje dzieci na rękach nosisz i z żoną w okolicy czynisz wycieczki, krzepki jeszcze jesteś i żwawy, ja utylłem, ociążałem, i Pana Boga chwale, a ruszam się jak najmniej.

Wierz mi, że po burzliwym życiu, taki port osłonięty od burzy, do którego nie zaglądną wichry, którego zwierciadła nie nie mąci—jest jedyną, najpożądaną rzeczą“.

Uderzyło to Klesza, że w listach swych, w których pisał teraz wiele o Krakowie, o sobie, o obojętnych wypadkach, nigdy prawie nie wspo-

minał o żonie. On też pytać go o nią nie śmiał. Chciał odwiedzić Małdrzyka aby się naocznie przekonać o jego szczęściu, lecz Ewelinka niebardzo by go rada puściła, a on sam — lękał się dowiedzieć czego innego niż... pragnął.

Z powodu rachunków, które pozostały do uregulowania z Miciem, gdyż Jordan wspólnie z nim stawiał grobowiec dla Moni, pisywali do siebie.

Lada dla widzenia już wzniesionego pomnika, zjechał był do Krakowa, i dni kilka tam bawił. Wiedział o tem Klesz, i listem zapytał go o to jak znalazł Małdrzyka, co sądził o jego pozyciu, prosząc aby o tem doniósł mu jak najotwarciej.

Mieczysław nierad pisywał, listy mu przychodziły ciężko. musiał do nich wprzód improwizować raptularze—nierychło więc Klesz otrzymał odpowiedź następującą.

„Trudno mi na pytanie wasze, odpisać tak, abyście z mojego listu mieli dokładne pojęcie co się z p. Floryanem stało.

Ja sam nie wiem jakby określić metamorfozę, której uległ. Jest to wprawdzie ten sam człowiek jakim był: dobry, serdeczny, kochający, przywiązujący się łatwo, szukający rozrywek, potrzebujący spokoju do życia tak jak są ryby co w mętnych i żywo płynących wodach nie mogą wytrzymać; lecz—wszystko w nim zastygło, stępiało, odrętwiało. Czasem na chwileczkę poruszy się. o-

żywi i wpada wnet w swój stanjakiegoś ociężałego lenistwa.

Stosunku jego do żony, wyznaję, zrozumieć nie mogę. Przy mnie, ona dla niego jest dosyć miłą i troskliwą—lecz, widać i czuć że dla niej stał się obojętnym. Panuje nad nim widocznie. W domu ona rozkazuje, on do przepisanego porządku stosuje się z uległością wielką. Całuje ją po rękach, chodzi na palcach, uśmiecha się — a jeśli o co mu prosić przychodzi, czyni to z nieśmiałością wielką. Jedno jej czasem spojrzenie ostre—usta mu zamyka.

Zdaje się jednak dosyć szczęśliwym i nie skarży się wcale.

W domu zajmuje pokój na tyle, skromny i niezbyt wygodny. Życie wedle trybu przez panią z góry oznaczonego, ściśle do jej programu jest zastosowane.

Duchownych zawsze u nich pełno, a że ona sama należy do czynnych dusz pobożnych—czuwa i nad tem ażeby mąż był zbawionym. Kilka razy na tydzień prowadzi ją do kościoła i asystuje wszystkim większym nabożeństwom i procesjom

Wolno mu jest wieczorami bywać w klubie—ale z pieniędzy—jak uważałem, ścisły musi zdawać rachunek.

Czasem z prałatami grywa u siebie w domu wiseczka. Cygaro, które, jak mi sam mówił, dawniej palił w salonie, później okazało się żonie



jego szkodliwem, teraz więc wychodzi z niem do swego pokoiku. Naówczas tylko gdy jeden z prałatów, który też pali, bywa zaproszony, gospodarzowi wolno także kurzyć, z tem ażeby wiele dymu nie robił.

Pomimo tak surowego regimentu jejmości, nie powiem ażeby Małdrzyk był z nią nieszczęśliwym. Któż wie? potrzebował on zawsze może kogos coby za niego miał wolę i uwolnił go od władania sobą.

Gdysmy się parę razy przechadzali sami, wspominając dawniejsze czasy, a mimowolnie przychodziło na myśl, nastęrczało ich porównanie z terażniejszym — uśmiezek ironiczny przebiegał po ustach Małdrzyka, i nikł natychmiast powleczoney wyrazem smutku.

Nie zbywa mu materyalnie na niczem. Żona aż do zbytku dba o to, aby się przyzwoicie i dystyngowanym wydawał. Nie daje mu się opuścić, bo gdyby nie to—sądzę, że nie miałyby ochoty ani się ubierać, ani włosów przyczesać.

O przeszłości niebardzo mówić lubi—jednego Klesza wspomina często i — słyszałem go parę razy wzdychającego do tego aby was w Tours odwiedzić. Na nieszczęście — dodał zaraz—jest to zupełnem niepodobieństwem. Koszt znaczny, a pensyjka moja na to nie starczy.

Unikałem przypomnienia córki, a on sam ani o niej, ani o Lasocinie nie napomknął ani razu,

choć mógł się domyslać, że przybyłem tu dla obejrzenia grobowca tego anioła naszego...”

Klesz list ten odebrawszy zadumał się nad nim długo, otarł oczy, potrząsł głową, i żeby rozpędzić smutek, który go owiał — poszedł do żony i dzieci.

---

Było to u wód w Karlsbadzie, wkrótce po wyprawieniu listu przez Micia do Jordana.

Na starej Wiesie, w domu pod Bocianem. pierwszym piętrze, rozgościła się rodzina dosyć liczna z Królestwa przybyła, o której zamożności wnosić było można z tego, że tygodniowo za mieszkanie znaczną sumę opłacała.

Pani sama, zbytecznie otyła, twarzy nalanej, żółta, pan słusznego wzrostu, napozór zdrów ale kaszlący; dwie dorosłe panny, i kilkunastoletni chłopak—składały rodzinę, nie licząc guwernantki albo raczej damy do towarzystwa panien, które matka z powodu ociążałości niewszędzie mogła wyprowadzać.

Panienki były wcale nieładne, a, co gorzej niemile, kwaśne. dumne, niewabiące do siebie; chłopak rozwydrzony, hałasliwy i nieustannej czujności wymagający.

Rodzice oboje, może z powodu niezdrovia, które ich aż do Sprüdlinga zagnało, twarze mieli

ponure i zgoda między małżeństwem nie zdawała się stanem normalnym. Powstawały co chwila o coś spory gwałtowne, które nawet przy guwernantce się nie uspokajały.

Panienki miały ten sam bojowniczy charakter, bo i z guwernantką i z bratem i ze sobą klóciły się ciągle.

Prawie jednego wieku, bo rok tylko różnicy było między nimi, podobne do siebie, chude, pęci ciemnej, stroiły się jak na swój wiek do zbytku i niesmacznie.

Obcy ludzie, będący w domu, od pierwszego dnia wiedzieli że panny protegował ojciec, a chłopca psuła matka.

Niepokój jakiś panował tu ciągle.

Dostatek około przybyłych widać było wielki. kufarów ze sobą wieźli mnóstwo, towarzyszył im lokaj w liberyi i służąca.

Tytułowali ich niemcy na chybił trafił hrabiami—i przyjęło się to odrazu. Panny szczególnie były kontente.

Czytelnik domyśli się łatwo, iż ci państwo zameldowali się jako: „Rittmeister Sigismund von Kossucki mit Familie und Dienerschaft“.

Od czasu gdyśmy ich widzieli na początku tej powieści, czas wielkie zmiany poczynił na obliczach obojga państwa. Pan Zygmunt jeszcze popolitszą odstawnego żołnierza miał postać, samej pani nie pozostało śladów młodości, a twarz

jej pomarszczona, chmurna, jakby zagniewana, nigdy się prawie nie rozjaśniała.

Dzieci za to wyrosły—lecz panienki miały coś w sobie rysów nieklasycznych ojca, a chłopak przystojniejszy od nich, wyrazem jakiegoś rozpamiętania na swój wiek nadzwyczajnego, odstręczał.

Pani Rose, guwernantka czy bona, szwajcarka, skutkiem atmosfery burzliwej w której żyła, miała też fizyognomię zniecierpliwionej męczennicy. Gdyby jej nie opłacano sownie, pewnieby dawno podziękowała za swą służbę.

W kilka dni po przybyciu do Karlsbadu, po rozpoczęciu kuracyi, którą pani u Sprüda, a mąż u słabszego brał źródła—jednego ranka cała ta rodzina siedziała pod Słońem ranną pijąc kawę. Nikomu jeszcze tu państwo Kosuccy znani nie byli.

Obok nich, u tego samego stolika, po stroju polskim łatwo było można poznać kilku obywateli galicyjskich, ludzi dobrej tuszy, których właśnie ten nadmiar zdrowia sprowadził do karłowych warów.

Towarzystwo tych panów, którzy ze sobą fajki na długich cybuchach z paradnemi bursztynami poprzynosili, było bardzo wesołe. Mówili, obyczajem polskim, głośno i krzykliwie, śmieli się zamaszty, a że rodzina Kosuckich nie miała czem zwrócić na siebie ich uwagi, wcale na nią nie zważali.



— Powiadasz, że ta stara pannica Pelagia, o którą się przed dwudziestu laty starał Julek, i pono był z nią bardzo blisko... (tu odchrząknął mówiący) poszła za męż?... Ale, proszę ci, ona chyba ma czterdzieści kilka lat?

— Nie przeczę, ale się malowała tak, że zdaleka wyglądała na trzydzieści.

— No, i kogóż uszczęśliwiła?—spytał otyły— to ciekawa rzecz. Mieszkasz w Krakowie, musisz być wtajemniczony.

— Niewątpliwie—odparł drugi—jestem w łaskach u prałata, a prałat był i jest w wielkich łaskach u panny, dziś pani Pelagii, wiem więc historię całą.

— Słuchamy—odezwali się drudzy.

— Wgnany z Prus, niejaki p. Floryan Małdrzyk, z córką chorą na suchoty, przybył do Krakowa. Człowiek to był nieszczęśliwy jak mało. Własna siostra i szwagier najniepoczciwszym sposobem odarli go z majątku. Mówią że łajdak szwagier go denuncyował.

Córkę jego trzymali z początku przy sobie jakby na łasce, aż w końcu od ucisku musiała uciekać do ojca. Z tego utrapienia, niewygód, niedostatku, dostała suchot, i w Krakowie zmarła.

Opowiadający tak krzyczał głośno, a słuchacze tak pilno nastawiali ucha, iż nie spostrzegli że tuż przy stole siedzącej rodzinie stało się coś niewytłómaczonego. Otyła pani krzyknęła, omdla-

ła i padła, córki zaczęły piszczeć, towarzyszący mężczyzna zerwał się wołając o doktora.

Zamęt się stał taki iż galicyjanie musieli przerwać rozmowę — i ciekawe opowiadanie o losach Małdrzyka i p. Pelagii zostało odłożone zapewne do obiadu u Puppa.

Pani Natalia Kosucka omdlała, miała jakieś konwulsyjne lkania i rzucania się, które przerywały mdłości. Musiano ją do niedalekiego domu pod Bocianem przenieść z pomocą służby. Cała rodzina pociągnęła za nią, a że godzina była już późna, goście z pod Słonia rozchodzić się poczęli i na starej Wiesie została tylko od sklepiku do sklepiku przechodząca wieść o omdleniu pani z pod Bociana, o której życie się lękano. Wypadek ten naturalnie poszedł na rachunek nieostrożnego obchodzenia się z pokarmami, o które osobę tak otyłą, najwłaściwiej można było posądzić.

Wieczorem, ponieważ rozeszła się wiadomość o przybyciu hrabiego Chambord i syna egipskiego keływa, o mdłościach pani z pod Bociana wcale już nie mówiono.

Doktor zapytany przez kogoś uspokoił zresztą ciekawych tem, iż—pani tej nic nie będzie.

Panny pokazały się z boną i braciszkiem na przechadzce i koło muzyki — co także było znakiem iż niebezpieczeństwo minęło.

Na górze jednak, gdzie na kanapie poduszka-

mi obłożona spoczywała Natalia, a mąż jej chodził krokami wielkimi, zamysłony— stały jakies lekarstwa na stoliku, i — cisza była jak przy chorych.

Małżeństwo nie mówiło do siebie. Pan Kosucki chodził i wzdychał albo raczej sapał. Pani stękała. Nie patrzyli na siebie. Ona w sufit miała wlepione oczy, on w podłogę.

Milczenie trwało długo, przeciągnęło się do mroku. Służąca weszła zapytać czy pani czego nie potrzebuje i odprawioną została skinieniem.

— Nie, ja tego nie przeżyję!— odezwała się w końcu kobieta.

P. Zygmunt stanął.

— Czego? co? głupiego gadania?—zawołał.— Albo to na nas jednych potwarze ciskają.

— Słuchaj, Zygmuncie — podnosząc się z kanapy gwałtownie poczęła kobieta. — Uderz się w piersi, to nie jest potwarz... nie! Tyś go zgubił! Pan Bóg nam na dzieciach nie będzie szczęścił, wydarty mu majątek marnie przepadnie.

Kosucki uśmiechnął się ironicznie.

— Co to za gadanie babskie! — zawołał. — Stracił majątek, zaplątał, odłużył, nas przy dziele pokrzydził. Wzięliśmy co nam należało, a że truteń się zwał—co my, co ja temu winienem.

Jeszcze śmierć tej suchotnicy na nas zwałają. Hodowaliśmy ją, wychowywali... chciałem wydać za mąż...

Gwałtownem uderzeniem ręką w stół kobieta mowę mężowi przerwała.

— Mówże to komu chcesz! — krzyknęła—ale nie mnie. Oszukuj sam siebie, świat, ludzi... ale ja...

Tu płacz przerwał jej mowę.

Kosucki stał wcale nim nieporuszony, spoglądając na żonę obojętnie.

— Więc cóż?—zapytał.—Co? To prawdziwie śmieszna rzecz, takie spóźnione zgryzoty sumienia.

Dziewczyna umarła — bo żyć nie mogła, p. Małdrzyk się z jakąś flandrą ożenił i wiedzie żywot szczęśliwy pod Wawelem. Czegóż ty chcesz? żebyśmy go poszli przeproszać, i majątek dzieci naszych dla niego nadwyrężali.

P. Natalia płakała. Kosucki ruszał ramionami.

— Mówią że ja go denuncyowałem, a gdybym nie ułatwił mu wyjazdu za granicę, kto wie gdzieby był teraz. Otóż to taka wdzięczność!

Milczeniem żony ośmielony, Kosucki coraz głośniejszą mową dowodził. Któż wie, był może przekonany, długo w sumieniu swem pracując nad oczyszczeniem się w oczach własnych, iż— był w istocie niewinnym.

Nie odzywała się już żona do niego, a dzieci powracające z przechadzki, przerwały małżeńskie spory.



Kosucki wyszedł z saloniku, mówiąc z dumą i głębokim przekonaniem:

— Otóż to sprawiedliwość ludzka!

I więcej już o tem mowy między małżeństwem nie było.

K O N I E C.

Drezno, 1981.



INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAŃ  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-930 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42









F

1701

T. 1-3